

*Już po kilku stronach zrozumiałem, że sam chciałbym bronić Rowan.
I że nie odłożę tej książki, dopóki nie poznam zakończenia.*

REMIGIUSZ MRÓZ

RUTH WARE

POD KLUCZEM

DOM JAK Z BAJKI STANIE SIĘ JEJ NAJGORSZYM KOSZMAREM



**POD
KLUCZEM**

RUTH WARE POD KLUCZEM

Przełożyła
ANNA TOMCZYK



Tytuł oryginału: *The Turn of The Key*

Copyright © Ruth Ware, 2019

First published by Harvill Secker 2019. Harvill Secker is part of the Penguin Random House group companies.

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Karolina Borowiec-Pieniak, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Eric Murh | Unsplash

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-67-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dla Iana, którego kocham tak bardzo,
że nawet nie umiem tego wyrazić słowami.*

3 września 2017

Szanowny Panie Wrexham!

Wiem, że Pan mnie nie zna, ale bardzo, bardzo proszę, musi mi Pan pomóc

3 września 2017

Więzenie Jej Królewskiej Mości w Charnworth

Szanowny Panie Wrexham!

Nie zna mnie Pan, ale być może czytał Pan o mojej sprawie w gazetach. Piszę do Pana, ponieważ chcę Pana uprzejmie prosić

4 września 2017

Więzenie Jej Królewskiej Mości w Charnworth

Szanowny Panie Wrexham!

Mam nadzieję, że mogę się do Pana tak zwracać. Jeszcze nigdy nie pisałam do żadnego notariusza.

Po pierwsze chcę zaznaczyć, że wiem, iż postępuję wbrew zasadom. Wiem, że powinnam się kontaktować przez mojego prawnika, ale on

5 września 2017

Szanowny Panie Wrexham!

Czy jest Pan ojcem? Albo wujkiem? Jeśli tak, to pozwolę sobie odnieść się

Szanowny Panie Wrexham!

Proszę mi pomóc. Ja nikogo *nie zabiłam*.

7 września 2017

Więzienie Jej Królewskiej Mości w Charnworth

Szanowny Panie Wrexham!

Nie ma Pan pojęcia, ile razy zaczynałam pisać ten list, a potem gniotłam te bzdury, które mi wychodziły, aż w końcu zrozumiałam, że niczego tu nie wyczaruję. Nie mogę Pana w żaden sposób ZMUSIĆ do wysłuchania mnie. Więc po prostu postaram się wyjaśnić wszystko jak najlepiej. Niezależnie od tego, ile to potrwa i jak bardzo to pogmatwam, zamierzam się nie poddawać i powiedzieć prawdę.

Nazywam się... I tutaj przerywam, znowu chcę podrzeć tę kartkę.

Bo jeśli się przedstawię, będzie Pan wiedział, dlaczego piszę. O mojej sprawie było głośno w prasie, moje nazwisko krzyczało z nagłówków, moja zboląta twarz wyglądała z pierwszych stron wszystkich gazet – a każdy artykuł sugerował, że wśród moich win brakuje już tylko obrazy instytucji Sądu. Mam okropne przeczucie, że jeśli podam swoje nazwisko, spisie mnie Pan na straty jako z góry przegraną sprawę i wyrzuci mój list. Wcale bym się Panu nie dziwiła – ale najpierw proszę mnie wysłuchać.

Jestem młodą kobietą, mam dwadzieścia siedem lat i jak Pan wywnioskował na podstawie powyższego adresu nadawcy, przebywam obecnie w szkockim więzieniu dla kobiet w Charnworth. Sama nigdy nie dostałam od nikogo listu z więzienia, więc nie wiem, jak wyglądają, kiedy trafiają do adresata, ale wyobrażam sobie, że moje obecne położenie było dla Pana oczywiste, jeszcze zanim otworzył Pan tę kopertę.

Pewnie Pan nie wie, że przebywam w areszcie śledczym.

I nie może Pan wiedzieć, że jestem niewinna.

Wiem, wiem. Wszyscy tak mówią. Każdy, kogo tu spotkałam, jest niewinny – a przynajmniej sami tak twierdzą. Ale w moim przypadku to prawda.

Być może domyślił się Pan, co będzie dalej. Piszę, aby poprosić Pana o reprezentowanie mnie podczas procesu.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to wbrew zasadom i oskarżeni nie powinni się zwracać bezpośrednio do adwokata (w poprzednim szkicu tego listu nazwałam Pana notariuszem – nie mam pojęcia o prawie, a już na pewno nie o szkockim systemie prawnym. Wszystko, co wiem, włącznie z tym, jak się Pan nazywa, pochodzi od kobiet, które tu ze mną siedzą).

Mam już prawnika – pana Gatesa – i jeśli dobrze rozumiem, to on powinien wybrać adwokata do procesu. Ale to właśnie on jest człowiekiem, który mnie tu umieścił. Nie wybrałam go – wskazali mi go policjanci, kiedy zaczęłam się bać i w końcu nabrałam dość rozumu, by się zamknąć i odmówić dalszych odpowiedzi, dopóki nie znajdą mi prawnika.

Myślałam, że on wszystko wyjaśni – pomoże mi dowieść moich racji. Ale kiedy przyjechał... Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć. On po prostu wszystko pogorszył. Zabronił mi *mówić*. Wszystko, co próbowałam powiedzieć, ucinał stwierdzeniem: „Moja klientka odmawia w tej chwili komentorza”, a przez to wydawałam się jeszcze bardziej winna. Czuję, że gdybym tylko mogła złożyć odpowiednie wyjaśnienia, to nigdy nie znalazłabym się w tym miejscu. Ale dziwnym trafem nie potrafię jasno przedstawić faktów, a policja sprawiła, że to wszystko brzmi bardzo źle, bardzo obciążająco.

To nie jest do końca tak, że pan Gates nie wysłuchał mojej wersji historii. Oczywiście, zrobił to, ale w jakiś sposób... O Boże, strasznie trudno to wytłumaczyć na piśmie. Usiadł i porozmawiał ze mną, ale on nie *słucha*. A nawet jeśli, to mi nie wierzy. Za

każdym razem, kiedy próbuję mu powiedzieć, co się stało, od samego początku, przerywa mi tymi pytaniami, które zbijają mnie z tropu, i moja historia cała się płacze, a ja mam ochotę wrzasnąć na niego, żeby *zamknął się w cholere*.

A on ciągle mówi mi o tym, co jest na nagraniach z tej pierwszej okropnej nocy na komisariacie, kiedy mnie maglowali i maglowali, a ja im powiedziałam... Boże, nie wiem, co powiedziałam. Przepraszam. Teraz płaczę. Przepraszam – strasznie przepraszam za te plamy na kartce. Mam nadzieję, że da Pan radę to rozczytać mimo kleksów.

Co powiedziałam... co ja wtedy powiedziałam, tego się nie da cofnąć. Wiem o tym. Mają wszystko na tamtym nagraniu. A to jest złe – naprawdę bardzo złe. Wiem o tym. Ale źle wyszło, czuję, że gdybym tylko dostała szansę wyłożenia swoich racji komuś, kto by naprawdę posłuchał... rozumie Pan, o co mi chodzi?

O Boże, może Pan nie zrozumiał. W końcu nigdy tu Pana nie było. Nigdy nie siedział Pan po drugiej stronie biurka tak wykończony, że miał Pan ochotę się przewrócić, i tak przerażony, że chciał Pan wymiotować, podczas gdy policja pytała i pytała, i pytała, aż w końcu nie wiedział Pan, co sam mówi.

Wydaje mi się, że to by było na tyle.

Panie Wrexham, to ja jestem tą nianią ze sprawy Elincourtów.

I *nie* zabiłam tego dziecka.

Zacząłam pisać do Pana wczoraj wieczorem, Panie Wrexham, a kiedy obudziłam się rano i spojrzałam na wymięte kartki pokryte moimi błagalnymi gryzmołami, w pierwszym odruchu chciałam je podrzeć i zacząć od nowa, jak to już wcześniej zrobiłam kilkanaście razy. Planowałam być taka niewzruszona, taka spokojna, taka opanowana – zamierzałam wszystko przejrzyście wyjaśnić i *sprawić*, żeby Pan to zrozumiał. A zamiast tego wyplakałam się na kartkę pełną oskarżeń.

Ale potem przeczytałam to, co napisałam, i pomyślałam, że nie. Nie mogę zacząć od nowa. Muszę po prostu kontynuować.

Cały czas powtarzam sobie, że gdyby tylko ktoś mi pozwolił oczyścić umysł i wyłożyć jasno moją wersję tej historii, nie przerywając mi, może udałoby się uporządkować cały ten koszmarny bałagan.

I oto piszę. To jest właśnie moja szansa, prawda?

W Szkocji można zamknąć człowieka przed procesem na sto czterdzieści dni. Chociaż tutaj jest nawet kobieta, która czeka już prawie dziesięć miesięcy. Dziesięć miesięcy! Wie Pan, Panie Wrexham, jak to długo? Pewnie wydaje się Panu, że tak, ale ja coś Panu powiem. W jej wypadku to dwieście dziewięćdziesiąt siedem dni. Ominęło ją Boże Narodzenie z dziećmi. Ominęły ją ich wszystkie urodziny. Ominęły ją Dzień Matki, Wielkanoc oraz ich pierwsze dni w szkole.

Dwieście dziewięćdziesiąt siedem dni. A oni ciągle przesuwają datę jej procesu.

Pan Gates mówi, że jego zdaniem ze mną nie potrwa to tak długo, ze względu na medialny rozgłos, ale nie wiem, czy może być tego taki pewien.

W każdym razie sto dni, sto czterdzieści dni, dwieście dziewięćdziesiąt siedem dni... To dużo czasu na pisanie, Panie Wrexham. Dużo czasu na myślenie, na rozpamiętywanie, na próby zrozumienia, co się tak naprawdę stało. Bo wielu rzeczy nie rozumiem, ale wiem jedno. Ja nie zabiłam tej dziewczynki. *Nie zabiłam*. Chociaż policja próbuje przekręcać fakty i mnie zagiąć, tego nie mogą zmienić.

Ja jej nie zabiłam. Czyli zrobił to ktoś inny. I on jest na wolności. A tymczasem ja tu siedzę i gniję.

Kończę już, bo wiem, że ten list nie powinien być zbyt długi – jest Pan zajęтым człowiekiem i w pewnym momencie po prostu przestanie Pan czytać.

Ale proszę, musi mi Pan uwierzyć. Jest Pan jedyną osobą, która może mi pomóc.

Proszę, niech Pan przyjedzie do mnie na widzenie, Panie Wrexham. Proszę mi pozwolić wyjaśnić sobie tę sytuację oraz to, jak wpłatałam się w ten koszmar. Jeśli ktokolwiek może przekonać ławę przysięgłych, to Pan.

Poprosiłam o wpisanie Pana nazwiska na listę odwiedzających – albo może Pan tu do mnie napisać, jeśli ma Pan więcej pytań. W końcu nigdzie się nie wybieram. Ha, ha.

Przepraszam, nie miałam zamiaru kończyć dowcipem. Wiem, że nie ma się z czego śmiać. Jeśli zostanę skazana, czeka mnie...

Ale nie. Nie mogę o tym myśleć. Nie teraz. Nie zostanę. Nie skażą mnie, bo jestem niewinna. Muszę tylko sprawić, by wszyscy to zrozumieli. Poczynając od Pana.

Proszę, Panie Wrexham, proszę powiedzieć, że Pan mi pomoże. Proszę mi odpisać. Nie chcę dramatyzować, ale czuję, że jest Pan moją jedyną nadzieją.

Pan Gates mi nie wierzy, widzę to w jego oczach.

Ale myślę, że Pan może to zrobić.

12 września 2017

Więzienie Jej Królewskiej Mości w Charnworth

Szanowny Panie Wrexham!

Minęły trzy dni od mojego listu i szczerze mówiąc, czekam na odpowiedź ze ściśniętym gardłem. Każdego dnia przychodzi poczta, a ja czuję, z jakąś bolesną nadzieją czuję, jak przyspiesza mi puls, i każdego dnia (jak dotąd) mnie Pan zawodzi.

Przepraszam. To brzmi jak szantaż emocjonalny. Nie o to mi chodziło. Rozumiem. Jest Pan zajęтым człowiekiem i minęły dopiero trzy dni, odkąd wysłałam list, ale... Chyba po części miałam nadzieję, że cały ten rozgłos przyda mi się przynajmniej na tyle, że zrobi ze mnie jakąś pokręconą celebrytkę – dzięki czemu wybrałby Pan mój list spośród wszystkich innych, które prawdopodobnie dostaje Pan od klientów, potencjalnych klientów i świrów.

Nie chce Pan się dowiedzieć, co się stało, Panie Wrexham? Ja bym chciała.

W każdym razie minęły trzy dni (czy już o tym wspominałam?) i... no, zaczynam się martwić. Nie ma tu za dużo do roboty, jest za to mnóstwo czasu na myślenie, przejmowanie się i projektowanie katastrof w głowie.

Spędziłam na tym kilka ostatnich dni i nocy. Na zamartwianiu się, że nie dostał Pan mojego listu. Zamartwianiu się, że władze więzienia nie przekazały go dalej (mogą tak zrobić i mi o tym nie powiedzieć? Naprawdę nie mam pojęcia). Zamartwianiu się, że nie udało mi się tego dobrze *wyjaśnić*.

To ostatnie sprawia, że nie śpię po nocach. Bo jeśli tak się stało, to moja wina.

Staralam się, żeby list był krótki i zgrabny, ale teraz wydaje mi się, że nie powinnam go była tak szybko kończyć. Powinnam była umieścić w nim więcej faktów, spróbować wyjaśnić, DLACZEGO jestem niewinna. Bo nie może Pan tak po prostu uwierzyć mi na słowo – rozumiem to.

Kiedy tu przyjechałam, inne kobiety – mogę być chyba z Panem szczerą, Panie Wrexham – były dla mnie tak obce, jakby z innego gatunku. Nie żebym uważała się za jakąś lepszą. Ale one wszystkie zdawały się... Zdawały się tu pasować. Nawet te przestraszone, te, które się samookaleczały, oraz te, które krzyczały, waląc głowami w ściany celi, i płakały nocami, nawet te dziewczyny ledwo po szkole. Wyglądały... Sama nie wiem. Wyglądały, jakby tu pasowały, przez te ich twarze, blade i wychudłe, związane włosy i niewyraźne tatuaże. Wyglądały... No, po prostu wyglądały na *winne*.

Ale ja byłam inna od nich.

Przede wszystkim jestem Angielką, a to mi w niczym nie pomogło. Nie potrafiłam ich zrozumieć, kiedy się wściekały i zaczynały krzyczeć, wydzierać mi się w twarz. Nie rozumiałam połowy ich slangu. Do tego jeszcze wyraźnie widać, że pochodzę z klasy średniej – nie potrafię tego wyjaśnić, ale jeśli chodzi o inne kobiety, to równie dobrze mogłabym mieć to wypisane na czole.

Przede wszystkim jednak nigdy dotąd nie byłam w więzieniu. Wydaje mi się, że przed przyjazdem tutaj nigdy nawet nie spotkałam nikogo, kto by siedział. Istnieją tu tajemnicze szyfry, których nie potrafiłam złamać, oraz prądy, po których nie potrafiłam się poruszać. Nie rozumiałam, co się dzieje, kiedy jedna kobieta podała coś drugiej na korytarzu i nagle pędem przybiegli wrzeszczący strażnicy. Nie umiałam przewidzieć sprzeczek. Nie wiedziałam, kto nie wziął leków ani kto jest na odwyku i może dostać na głowę. Nie wiedziałam, których lepiej unikać albo które mają wiecznie PMS. Nie wiedziałam, w co się ubrać ani co robić,

ani też co sprawi, że inne osadzone pobiją mnie albo oplują, ani też co sprowokuje strażników do brutalnego traktowania.

Inaczej brzmiałam. Inaczej wyglądałam. Inaczej się *czułam*.

Aż któregoś dnia weszłam do łazienki i kątem oka dostrzegłam kobietę, która szła w moją stronę z przeciwległego końca. Miała związane włosy, jak one wszystkie, jej oczy przypominały odłamki granitu, a twarz miała zastygłą, surową i białą. W pierwszej chwili pomyślałam: o Boże, wygląda na wkurwioną, ciekawe, za co tu siedzi.

Moją drugą myślą było to, że może powinnam skorzystać z innej łazienki.

A potem zrozumiałam.

Na przeciwległej ścianie wisiało lustro. Ta kobieta była mną.

To powinien być szok – zrozumienie, że nie jestem wcale nikim innym, tylko po prostu kolejną kobietą wciągniętą w ten bezduszny system. Ale, co dziwne, to mi pomogło.

Nadal nie do końca tu pasuję. Nadal jestem dziewczyną z Anglii, a one wszystkie wiedzą, za co tu siedzę. Pewnie Pan wie, że w więzieniu ludzie krzywdzący dzieci nie są lubiani. Oczywiście powiedziałam im, że to nieprawda – to, o co mnie oskarżają. Ale one mi się przyglądają i wiem, co sobie myślą: *Wszystkie tak mówią*.

Wiem też – wiem, że Pan też tak pomyśli. To właśnie chciałam powiedzieć. Rozumiem, że może Pan być sceptyczny. W końcu nie udało mi się przekonać policji. Jestem tutaj. Bez możliwości wyjścia za kaucją. Muszę być winna.

Ale to nieprawda.

Mam sto czterdzieści dni, aby Pana o tym przekonać. Wiadomo, muszę tylko powiedzieć prawdę. Muszę tylko zacząć od początku, przedstawić to wszystko jasno i spokojnie, a potem zakończyć.

A na początku było to ogłoszenie.

OFERTA: Duża rodzina poszukuje doświadczonej niani. Oferta obejmuje zakwaterowanie.

O NAS: Jesteśmy zapracowaną rodziną z czwórką dzieci, mieszkamy w pięknym (ale położonym na uboczu!) domu w szkockim rejonie Highlands. Mama i tata wspólnie prowadzą rodzinne biuro architektoniczne.

O TOBIE: Poszukujemy doświadczonej niani, przyzwyczajonej do pracy z dziećmi w każdym wieku, od niemowlaka do nastolatka. Musisz być rozsądna, zdecydowana i chętna do samodzielnej opieki nad dziećmi. Wymagane świetne referencje, zaświadczenie o niekaralności, świadectwo ukończenia kursu pierwszej pomocy oraz prawo jazdy bez punktów karnych.

O STANOWISKU: Mama i tata pracują głównie w domu. W tym czasie będziesz miała zwykły etat w godzinach 8-17 plus jeden wieczór w tygodniu z dziećmi, z wolnymi weekendami. O ile to możliwe, układamy nasz harmonogram tak, żeby jeden rodzic zawsze był na miejscu, jednak zdarza się, że musimy wyjechać oboje (bardzo sporadycznie nawet na dwa tygodnie), i wówczas będziesz zastępować rodziców.

W zamian możemy zaoferować bardzo atrakcyjny pakiet wynagrodzeń: 55 000 funtów rocznie (brutto, włącznie z premią), samochód do dyspozycji oraz ośmioletniowe wakacje raz w roku.

Zgłoszenia proszę wysłać na adres Sandry i Billa Elincourtów: Heatherbrae House, Carn Bridge.

Pamiętam niemal każde słowo. Co zabawne, kiedy wyskoczyło mi w Google, wcale nie szukałam pracy – wyszukiwałam... No, to naprawdę nie ma znaczenia, czego wtedy szukałam. Ale czegoś

zupełnie innego. I oto się pojawiło – jak prezent rzucony mi tak niespodziewanie, że omal nie zdołałam go złapać.

Przeczytałam je raz, a potem znowu, za drugim razem serce biło mi już szybciej, bo to było *idealne*. Niemal zbyt idealne.

Kiedy czytałam je po raz trzeci, bałam się spojrzeć na datę zakończenia naboru – byłam pewna, że ją przegapiłam.

Ale to był właśnie nadchodzący wieczór.

To niewiarygodne. Nie tylko pensja – chociaż, na Boga, kwota była zadziwiająca. Nie tylko stanowisko. Szczęśliwy traf. Pełen pakiet – po prostu wpadł mi w ręce właśnie wtedy, kiedy byłam w idealnej sytuacji, żeby się tam zgłosić.

Wie Pan, moja współlokatorka wyjechała, podróżowała. Poznałyśmy się w żłobku Little Nippers w Peckham, pracowałyśmy razem przy niemowlętach, śmiałyśmy się z naszej okropnej szefowej oraz nachalnych, stukniętych rodziców, z tymi ich cholernymi pieluszkami wielorazowymi i domowymi...

Przepraszam. Nie powinnam przeklinać. Zamazałam długopisem, ale pewnie jest Pan to w stanie odczytać przez papier i, na Boga, może ma Pan dzieci i może nawet ubierał je Pan w Małe Miękkie Pupki, czy jaka tam marka była modna w tamtych czasach.

I rozumiem to, naprawdę. To Pańskie dzieci. Dla nich warto zrobić wszystko. Po prostu, jeśli jest się tą osobą, która ma stos zasikanych, osranych kawałków materiału z całego dnia i wręcza go rodzicowi po południu, podczas gdy oczy łzawią od amoniaku... Nie żebym miała coś *przeciwno*, rozumie Pan? To część tej pracy. Wiem o tym. Ale każdy może sobie ponarzekać, prawda? Wszyscy musimy znaleźć jakieś ujście, bo inaczej można wybuchnąć z frustracji.

Przepraszam. Piszę bez ładu i składu. Może właśnie dlatego pan Gates zawsze próbuje zamknąć mi usta. Ponieważ kopię słowami dołek pod sobą i nie wiem, kiedy powinnam przestać, zawsze kopię dalej. Prawdopodobnie łączy Pan teraz fakty. „Nie sprawia wrażenia, jakby bardzo lubiła dzieci. Sama przyznała, że jest

sfrustrowana pracą. Co się stało, kiedy została zamknięta z czwórką dzieci bez dorosłych, którzy pomogliby jej »znaleźć ujście«?»

To właśnie zrobiła policja. Te wszystkie drobne, rzucone mimochodem uwagi – te wszystkie żenujące fakty. Dostrzegałam triumf na ich twarzach za każdym razem, kiedy coś takiego wtrącałam, i widziałam, że zbierają słowa jak okruszki, a potem dokładają je do stosu obciążających mnie dowodów.

Ale o to właśnie chodzi, Panie Wrexham. Mogłabym uprząść się bzdur o tym, jaką to jestem idealną, troskliwą, świętą osobą – ale nie byłoby to niczym więcej. Bzdurą. A ja nie zamierzam tu opowiadać Panu bzdur. Chciałabym, żeby Pan w to uwierzył – niczego bardziej na świecie nie pragnę.

Mówię Panu *prawdę*. Nieupiększoną, brzydką prawdę. I ona tak właśnie wygląda. *Jest nieokrzesa*na i nieprzyjemna, a ja nie udaję, że byłam aniołem. *Ale nikogo nie zabiłam*. Nie zabiłam, do cholery.

Przepraszam. Teraz też nie chciałam przeklinać.

Boże, tak strasznie to wszystko mieszam. Muszę zachować jasny umysł – poukładać to sobie w głowie. Tak jak mówi pan Gates, powinnam trzymać się faktów.

No dobra. Fakt. Ogłoszenie. Ogłoszenie jest faktem, prawda?

To ogłoszenie... z zachwycającą, oszałamiającą, bajeczną pensją.

Wie Pan, to powinien być pierwszy sygnał ostrzegawczy. Ta pensja. Oferta była *idiotycznie* szczodra. To znaczy byłaby szczodra nawet w Londynie, nawet dla niani mieszkającej poza domem. Ale dla niani na miejscu, z zapewnionym darmowym dachem nad głową i opłaconymi rachunkami, z samochodem... to było absurdalne.

Tak absurdalne, że zastanawiałam się nawet trochę, czy tam się nie wkradł jakiś błąd. Albo czy czegoś nie pominęli – może dziecko o jakichś specjalnych potrzebach? Ale czy nie napisaliby tego w ogłoszeniu?

Pół roku wcześniej pewnie bym się zatrzymała, zmarszczyła brwi i zignorowała to bez większego namysłu. Ale jednak pół roku wcześniej w ogóle nie zagłądałabym na tę stronę. Pół roku wcześniej miałam współlokatorkę i pracę, którą lubiłam, a nawet perspektywę awansu. Pół roku wcześniej byłam na całkiem niezłej pozycji. Ale wtedy... No, wtedy było trochę inaczej.

Moja koleżanka, dziewczyna z Little Nippers, o której wspomniałam, dwa miesiące wcześniej wyruszyła w podróż. Kiedy mnie powiadomiła, nie był to dla mnie koniec świata – szczerze mówiąc, dość mnie irytowała, z tymi jej zwyczajami pakowania zmywarki, ale bez włączania, słuchaniem dyskotekowych hitów europopowych, sykami za ścianą mojej sypialni, kiedy próbowałam spać. To znaczy wiedziałam, że będę za nią tęsknić, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo.

Zostawiła rzeczy w swoim pokoju i zgodziłyśmy się, że ona zapłaci połowę czynszu, a ja zatrzymam dla niej wolny pokój. Wydawało mi się to dobrym kompromisem – wcześniej, zanim na siebie trafiłyśmy, miałam wiele okropnych współlokatorek, wcale nie chciałam wracać do wrzucania ogłoszeń na Facebook oraz prób odsiewania dziwaków poprzez SMS-y i e-maile, a dzięki temu ona była trochę zakotwiczona – miałam gwarancję, że wróci.

Jednak kiedy minęło pierwsze upojenie wolnością, a nowość posiadania całego mieszkania dla siebie i oglądania na wspólnym telewizorze w salonie tego, co mi się żywnie podoba, zaczęła trochę blaknąć, okazało się, że jestem samotna. Tęskniłam za tym, jak pytała: „Czy to godzina wina, kochana?”, kiedy obie wracałyśmy z pracy. Tęskniłam za jej wywnętrzaniem się na temat Val, właścicielki Little Nippers, i za dzieleniem się anegdotami o najgorszych rodzicach. Kiedy poprosiłam o awans i go nie dostałam, poszłam sama do pubu, żeby utopić smutki, a skończyło się na tym, że płakałam do swojego piwa, rozmyślając, jak by to wyglądało, gdyby ona nadal tam była. Mogłybyśmy się z tego razem pośmiać, w pracy pokazywałyby Val faki za plecami i wybuchałyby

tym swoim prostackim, gromkim śmiechem, kiedy Val obracałaby się i prawie łapała ją na gorącym uczynku.

Panie Wrexham, chodzi o to, że ja źle znoszę porażki. Na egzaminach. Na randkach. W pracy. Naprawdę, na wszelkich testach. Mój instynkt zawsze nakazuje mi celować niezbyt wysoko, żeby oszczędzić sobie nieco cierpienia. Albo, jak w przypadku randkowania, po prostu nie mieć żadnych celów, zamiast ryzykować odrzucenie przez kogoś. To dlatego w końcu nie poszłam na studia. Miałam dobre oceny, ale nie mogłam znieść myśli o tym, że mogliby mnie odrzucić. Wyobrażałam sobie, jak czytają moje podanie z pogardliwym chichotem. *Za kogo ona się uważa?*

Lepiej osiągnąć świetne wyniki w prostym teście niż oblać trudny, takie było moje motto. Zawsze to o sobie wiedziałam. Ale dopóki nie wyprowadziła się moja współlokatorka, nie wiedziałam za to, że nie jestem też za dobra w byciu samej. Wydaje mi się, że przede wszystkim to wypchnęło mnie poza moją strefę komfortu i zmusiło do przeczytania tego ogłoszenia, wstrzymania oddechu i wyobrażenia sobie, co musi się kryć po drugiej stronie.

Dla policji oferowana pensja miała ogromne znaczenie, kiedy mnie po raz pierwszy przesłuchiwali. Ale szczerze mówiąc, wcale nie pieniądze były powodem mojego zgłoszenia na to stanowisko. Nie chodziło też o moją współlokatorkę, choć nie ukrywam, że gdyby nie wyjechała, nic z tego by się nie wydarzyło. Nie, prawdziwym powodem... Cóż, Pan prawdopodobnie wie, jaka była prawdziwa przyczyna. W końcu pisały o niej wszystkie gazety.

Wzięłam chorobowe w Little Nippers i spędziłam cały dzień na tworzeniu CV oraz zbieraniu wszystkiego, co wiedziałam, że jest potrzebne, by przekonać Elincourtów, iż jestem właśnie tą osobą, której szukali. Zaświadczenie o niekaralności – jest. Świadectwo ukończenia kursu pierwszej pomocy – jest. Idealne referencje – są, są i są.

Jedynym problemem było prawo jazdy. Ale na razie odłożyłam to na później. Uznałam, że wrócę do niego, jak przyjdzie pora – o ile zajdę tak daleko. Na razie nie myślałam o tym, co będzie po rozmowie kwalifikacyjnej.

Do listu motywacyjnego dodałam notatkę z prośbą, żeby Elincourtowie nie kontaktowali się w sprawie referencji z Little Nippers – wyjaśniłam, że nie chcę, aby obecni pracodawcy wiedzieli o moich staraniach o inną posadę, co było prawdą – a potem wysłałam wszystko na podany adres, wstrzymałam oddech i czekałam.

Dałam z siebie wszystko, żeby zyskać szansę spotkania się z nimi twarzą w twarz. W tamtej chwili nie byłam w stanie zrobić więcej.

Kilka kolejnych dni było trudnych, Panie Wrexham. Nie tak trudnych, jak czas spędzony tutaj, ale i tak niełatwych. Bo, Boże, *tak strasznie* pragnęłam tej rozmowy kwalifikacyjnej. Dopiero zaczynało do mnie docierać, jak bardzo. Z każdym mijającym dniem moja duma coraz bardziej topniała i musiałam walczyć, żeby znów do nich nie napisać i nie błagać o odpowiedź. Powstrzymywała mnie tylko świadomość, że jeśli nadal podejmują decyzję, to takie żalosne zachowanie na pewno mi nie pomoże.

Ale oto sześć dni później przyszedł i piknął w mojej skrzynce e-mail.

Do: supernanny1990@ymail.com

Od: sandra.elincourt@elincourtandelincourt.com

Temat: Stanowisko niani

Elincourt. To nazwisko wystarczyło, żeby w brzuchu zaczęło mi wirować jak w pralce. Ręce tak mi się trzęsły, że ledwo zdołałam otworzyć wiadomość, a serce podeszło mi do gardła. Pewnie, pewnie, ludzie rzadko się kontaktują z odrzuconymi aplikantami... Więc e-mail musiał oznaczać, że...?

Kliknęłam.

Cześć, Rowan!

Dziękuję Ci za zgłoszenie i przepraszam, że dopiero teraz dostajesz odpowiedź. Muszę przyznać, że nieco nas zaskoczyła liczba chętnych. Twoje CV było niezwykle imponujące i chcielibyśmy Cię zaprosić na rozmowę. Nasz dom jest dość daleko, więc chętnie opłacimy Ci podróż pociągiem, a także możemy zaproponować nocleg, jeśli nie dasz rady tego samego dnia wrócić do Londynu.

Muszę Cię jednak od razu przed czymś ostrzec, bo to mogłoby ostudzić Twój entuzjazm do tej pracy.

Kiedy kupiliśmy Heatherbrae, poznaliśmy wiele plotek o historii tego domu. Jest to stary budynek i nie ma w swojej przeszłości więcej zgonów i tragedii niż inne mu podobne, ale z jakiegoś powodu stały się one zaczątkiem lokalnych opowieści o duchach i tak dalej. Niestety ten fakt przeszkadzał naszym dotychczasowym nianiom do tego stopnia, że w ciągu ostatnich 14 miesięcy cztery zrezygnowały z pracy.

Jak możesz sobie wyobrazić, bardzo zaburzyło to rytm życia naszych dzieci, nie wspominając już o tym, jak niekorzystne zawodowo było dla mnie i mojego męża.

Dlatego właśnie chcemy postawić sprawę jasno i proponujemy hojne wynagrodzenie z nadzieją, że przyciągniemy osobę, która naprawdę będzie w stanie się zaangażować i zostać z naszą rodziną na dłużej – przynajmniej na rok.

Jeśli nie czujesz, że to możesz być Ty, albo jeśli masz jakieś obawy dotyczące historii naszego domu, powiedz nam, proszę, od razu, bo bardzo chcemy oszczędzić naszym dzieciom kolejnych przykrości. W związku z powyższym pensja będzie się składać ze zwykłej comiesięcznej diety oraz hojnej podsumowującej premii w rocznicę zatrudnienia.

Jeśli nadal chcesz wziąć udział w rozmowie kwalifikacyjnej, poinformuj mnie, proszę, kiedy jesteś dyspozycyjna w najbliższym tygodniu.

Pozdrawiam i nie mogę się doczekać naszego spotkania

Sandra Elincourt

Zamknęłam e-mail i przez chwilę po prostu siedziałam, gapiąc się w ekran. Potem wstałam, wydałam z siebie niemy okrzyk i triumfalnie uniosłam ręce w górę.

Udało mi się. *Udało mi się.*

Powinnam była wiedzieć, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Udało mi się, Panie Wrexham. Pokonałam pierwszą przeszkodę. Ale to *była* dopiero pierwsza przeszkoda. Musiałam teraz przetrwać rozmowę – i to bez potknięcia.

Niemal dokładnie tydzień po tym, jak otworzyłam e-mail od Sandry Elincourt, siedziałam w pociągu do Szkocji, odgrywając najlepiej, jak umiałam, Idealną Nianię Rowan. Moje zwykle bujne włosy wyszczotkowałam tak, że lśniły, i związałam je w schludny, wesoły kucyk; paznokcie miałam wypolerowane, a makijaż odpowiednio dyskretny, do tego jeszcze włożyłam swój strój „przyjaznej, ale rozsądnej, wesołej, ale pracowitej, profesjonalnej, ale nie nazbyt dumnej, by ukłęknać i powycierać wymiociny z podłogi” – schludną tweedową spódnicę oraz dopasowaną, bawełnianą, białą koszulę, a na wierzch kaszmirowy kardigan. Nie do końca jak z college’u dla niań Norland, ale zdecydowanie był to ukłon w tę stronę.

Czułam motylki w brzuchu. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłam. Oczywiście nie chodzi o opiekę nad dziećmi. Tym się zajmowałam od prawie dziesięciu lat, chociaż raczej w żłobkach niż domach prywatnych.

Ale... *tego*. Podejmowania ryzyka. Narażania się w taki sposób na odrzucenie.

Tak *strasznie* tego chciałam. Tak bardzo, że byłam niemal przerażona tym, co mnie czeka.

Ku mojej irytacji pociąg był opóźniony, więc podróż do Edynburga zajęła mi prawie sześć godzin zamiast rozkładowych czterech i pół, a kiedy wysiadłam na stacji Waverley, z trudem rozprostowując nogi, zorientowałam się, że minęła już siedemnasta i spóźniłam się na przesiadkę dobrą godzinę. Na szczęście według rozkładu miał

przyjechać kolejny pociąg i czekając na niego, wysłałam pani Elincourt SMS z obszernymi przeprosinami oraz informacją, że spóźnię się do Carn Bridge.

W końcu przyjechał – dużo mniejszy od wielkiego Intercity i starszy. Usadowiłam się przy oknie, a kiedy pociąg ruszył na północ, oglądałam, jak wiejskie krajobrazy zmieniają się z pofalowanych zielonych pól w przydymiony błękit i fioletowe wrzosowiska. Dalej wznosiły się góry, z każdą mijaną stacją coraz ciemniejsze i bardziej ponure. Było tam tak pięknie, że zapomniałam o rozdrażnieniu spóźnieniem. Widok wielkich wzgórz nieubłaganie wznoszących się wokół nas sprawiał, że wszystko inne odsuwało się na dalszy plan. Czułam, jak twarda gęstwa strachu w moim gardle zaczyna się roztopiać. A we mnie coś zaczęło... Nie wiem, Panie Wrexham. Tak jakbym zaczęła mieć *nadzieję*. Nadzieję, że to może się dziać naprawdę.

W jakiś dziwny sposób czułam się, jakbym jechała do domu.

Mijaliśmy stacje, których nazwy były na wpół znajome, Perth, Pitlochry, Aviemore, a niebo cały czas ciemniało. W końcu usłyszałam: „Carn Bridge, następna stacja Carn Bridge”, i pociąg zatrzymał się na małym wiktoriańskim dworcu, a ja wysiadłam. Stałam na peronie, cała w nerwach, i zastanawiałam się, co zrobić.

„Ktoś po Ciebie wyjdzie” – padło w e-mailu od pani Elincourt. Co to miało znaczyć? Taksówka? Ktoś z tabliczką z moim nazwiskiem?

Poszłam do wyjścia za garstką podróżnych i przystanąłam zakłopotana, podczas gdy inni pasażerowie rozeszli się do samochodów oraz czekających przyjaciół i krewnych. Miałam ciężką walizkę, postawiłam ją przy stopie i rozejrzałam się po ciemniejącym peronie. Cienie wydłużały się wieczornie, a przelotny optymizm, który ogarnął mnie w pociągu, zaczął blaknąć. Co, jeśli pani Elincourt nie dostała mojej wiadomości? Nie odpisała. Może zamówiona wcześniej taksówka przyjechała i odjechała wiele godzin temu, a mnie odhaczono jako tę, która się nie pojawiła?

Nagle wróciły motylki w brzuchu – i to nieprzyjemne.

Zaczął się czerwiec, ale byliśmy dość daleko na północy i tutaj wieczorne powietrze okazało się zaskakująco chłodne w porównaniu z dusznym, ciepłym londyńskim latem. Otuliłam się płaszczem i zauważyłam, że się trzęsę, a ze wzgórz zawiewał zimny wiatr. Peron opustoszał, zostałam sama.

Naszła mnie wielka ochota na papierosa, ale z doświadczenia wiedziałam, że nie robi się dobrego wrażenia, gdy śmierdzi się fajkami podczas rozmowy o pracę. Zamiast tego spojrzałam w telefon. Pociąg przyjechał idealnie na czas – a przynajmniej ten poprawiony czas, który podałam pani Elincourt w SMS-ie. Postanowiłam poczekać pięć minut i potem do niej zadzwonić.

Minęło pięć minut, ale uznałam, że poczekam jeszcze kolejne pięć. Nie chciałam robić złego wrażenia na wejściu, zadręczając ich, skoro może tylko utknęli w korku.

Minęło kolejne pięć minut i właśnie grzebałam w torebce, szukając wydruku e-maila od pani Elincourt, kiedy zobaczyłam mężczyznę idącego peronem, z rękoma w kieszeniach.

Na chwilę przestało bić mi serce, ale potem on podszedł bliżej, przyjrzałam się mu, nasze spojrzenia się spotkały i zdałam sobie sprawę, że to na pewno nie *on*. Był dużo za młody. Wyglądał na trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Był także – i nie umknęło mi to nawet mimo zdenerwowania – wyjątkowo przystojny, miał szorstki zarost, zmierzwione ciemne włosy i wysoką, szczupłą sylwetkę.

Był ubrany w kombinezon roboczy, a kiedy do mnie podszedł, wyjął ręce z kieszeni i zobaczyłam, że są brudne od ziemi albo oleju silnikowego, chociaż musiał próbować je wyczyścić. Przez chwilę wydawało mi się, że może jest pracownikiem kolei, ale kiedy się do mnie zbliżył, odezwał się:

– Rowan Caine?

Skinęłam głową.

– Cześć, jestem Jack Grant. – Uśmiechnął się, kąciki jego ust uniosły się rozbrajająco, jakby cieszył się z jakiegoś swojego

dowcipu. Miał szkocki akcent, ale łagodniejszy i nieco inny niż dziewczyna z Glasgow, z którą pracowałam po szkole. Wymówił swoje nazwisko z zaśpiewem, tak że rymowało się z angielskim „ant”, a nie dłuższym „aunt”.

– Pracuję w Heatherbrae House. Sandra poprosiła, żebym cię odebrał. Przepraszam za spóźnienie.

– Cześć – odpowiedziałam, nagle z jakiegoś niewyjaśnionego powodu zawstydzona. Odkasznęłam, próbując wymyślić, co mogłabym powiedzieć. – Yyy, nie ma sprawy. Nic się nie stało.

– Dlatego tak wyglądam. – Spojrzał z żalem na swoje dłonie. – Dopiero pół godziny temu powiedziała mi, że trzeba będzie po ciebie jechać. Byłem w połowie naprawy kosiarki, ale bałem się, że nie zdążę na twój pociąg, więc ruszyłem od razu, cały brudny. Mogę wziąć twoją walizkę?

– Naprawdę nie trzeba. – Podniosłam swój bagaż. – Nie jest ciężka. Dziękuję, że przyjechałeś.

Wzruszył ramionami.

– Nie musisz mi dziękować, to moja praca.

– Pracujesz dla Elincourtów?

– Dla Billa i Sandry, no. Jestem... w sumie sam nie wiem, jak się nazywa moja praca. Wydaje mi się, że Bill wpisał mnie na listę płac w swojej firmie jako kierowcę, ale bardziej pasowałby człowiek od wszystkiego. Zajmuję się ogrodem, naprawiam samochody, jeżdżę nimi po Carn Bridge i nie tylko. A ty jesteś nową nianią?

– Jeszcze nie jestem – odparłam nerwowo, a on uśmiechnął się do mnie kącikiem ust i mimo wszystko też musiałam się uśmiechnąć. To było zaraźliwe. – To znaczy ubiegam się o to stanowisko, tak. Mieli już dużo chętnych na rozmowach?

– Dwie albo trzy. Jak dotąd idzie ci lepiej niż tej pierwszej. Nie mówiła za bardzo po angielsku. Nie wiem, kto jej napisał zgłoszenie, ale z tego, co mówiła Sandra, nie zrobiła tego sama.

– Och. – Te słowa mnie trochę pokrzepiły. Wyobrażałam sobie paradę wykrochmalonych i wściekle kompetentnych dziewczyn

w stylu Mary Poppins. Wyprostowałam się i wygładziłam zagniecenia na tweedowej spódnicy. – To dobrze. To znaczy pewnie nie dla niej. Dobrze dla mnie.

Znaleźliśmy się już na zewnątrz dworca, szliśmy małym, pustawym parkingiem w stronę długiego, czarnego samochodu stojącego po przeciwnej stronie drogi. Jack przycisnął coś na breloczku w kieszeni, a wtedy rozbłysły światła i drzwi otworzyły się, strzelając w górę niczym skrzydła nietoperza, co sprawiło, że mimo woli opadła mi szczeka. Pomyślałam o nieciekawym, szarym volvo mojego ojczyma, które napawało go radością oraz dumą, i parsknęłam. Jack znowu się uśmiechnął.

– Odrobinę krzykliwe, co nie? To tesla. Elektryk. Nie wiem, czy sam wybrałbym taki pojazd, ale Bill... No, sama zobaczysz. Lubi technologię.

– Tak? – Moje słowa nie miały żadnego znaczenia, ale w jakiś sposób... sama znajomość tego drobnego szczegółu była maleńkim okruchem, połączeniem z tym mężczyzną bez twarzy.

Jack się odsunął, a ja włożyłam walizkę do bagażnika.

– Chcesz jechać z tyłu czy z przodu? – spytał, a ja poczułam, że się rumienię.

– Och, poproszę z przodu!

Myśl, że miałabym siedzieć po królewsku z tyłu, traktując go niczym szofera, wystarczyła, żebym poczuła zażenowanie.

– Stamtąd będą lepsze widoki – powiedział tylko, ale przycisnął coś, co sprawiło, że nietoperze skrzydło bagażnika się zasunęło, a potem przytrzymał otwarte przednie drzwi od strony pasażera.

Przez moment się nie poruszyłam, niemal zapominając, do kogo to powiedział. Po chwili nagle zebrałam się w sobie i wsiadłam do auta.

W pewnym sensie chyba już wcześniej wiedziałam, że Elincourtowie są bogaci. To znaczy mieli kierowcę łamane przez faceta od wszystkiego i proponowali pięćdziesiąt pięć kawałków za stanowisko niani, więc musieli mieć jakiś nadmiar gotówki, ale dopiero kiedy dojechaliśmy do Domu Heatherbrae, zaczęło do mnie docierać, jak *bardzo* są zamożni.

Ta świadomość sprawiła, że poczułam się dziwnie.

„Nie zależy mi na pieniądzach” – chciałam powiedzieć do Jacka, kiedy zatrzymaliśmy się przed wysoką, stalową bramą, która zaczęła powoli otwierać się do środka, bo najwyraźniej wyczuła jakiś nadajnik w samochodzie. Ale to nie była do końca prawda.

Ile zarabiają Sandra i Bill? – zaczęłam się zastanawiać. Tesla pracowała niesamowicie cicho, gdy jechaliśmy długim, krętym podjazdem. Chrzęst żwiru pod kołami był znacznie głośniejszy niż szum elektrycznego silnika.

– Jezu – wymamrotałam pod nosem, kiedy weszliśmy w kolejny zakręt, a domu nadal nie było widać. Jack zerknął na mnie kątem oka.

– Spora posiadłość, co?

– Dość.

Oczywiście ziemia musiała być tutaj tańsza niż na południu, ale nie *aż tak* tania. Przejechaliśmy przez most nad wartkim strumieniem, woda była ciemna od torfu, po czym minęliśmy kępę sosen. Wydawało się, że między drzewami mignęło coś szkarłatnego, i zaczęłam tego wypatrywać, ale ściemniało się, a ja nie byłam zupełnie pewna, czy nie wyobraziłam sobie tego ruchu.

Kiedy w końcu wyjechaliśmy z zacisza drzew na otwartą przestrzeń, po raz pierwszy ujrzałam Heatherbrae.

Spodziewałam się czegoś ostentacyjnego, w rodzaju typowego domu z katalogu albo rozległego rancza zbudowanego z bali. Ale nie spotkało mnie tam nic takiego. Przede mną stał wiktoriański dom, kubikowy, jak dziecięcy rysunek domu, z błyszczącymi czarnymi drzwiami pośrodku oraz oknami po ich obu stronach. Nie był wielki, ale solidnie zbudowany z bloków granitu, z jednej strony piął się po nim bujny winobluszcz, a ja nie wiedziałam dokładnie dlaczego, ale biły z niego ciepło, luksus i *wygoda*.

Zapadł już zmierzch, kiedy Jack wyłączył silnik tesli i zgasił przednie światła auta. Jedyne jasnymi punktami w okolicy pozostawały gwiazdy oraz lampy z wnętrza samego domu, oświetlające żwirową ścieżkę. Wszystko to przypominało widok z sentymentalnej ilustracji, jednej z tych przesiąkniętych nostalgią, z błyszczących puzzli, które uwielbiała moja babcia.

Łagodny szary kamień, porośnięty i nadgryziony zębem czasu, złote lampy świecące przez czyste, pofalowane szyby w oknach, ogromne róże gubiące płatki w zmroku – to było niemal zbyt idealne, w jakiś dziwny sposób nieznośnie idealne.

Kiedy wysiadłam z samochodu i spowiło mnie chłodne, wieczorne powietrze, przesiąknięte zapachem sosen i czyste jak woda mineralna, nagle poczułam, że dławi mnie tęsknota za takim życiem oraz wszystkim, co to miejsce sobą reprezentuje. Kontrast pomiędzy moim własnym dzieciństwem na przygnębiających, kanciastych przedmieściach, w szablonowym domu parterowym z lat pięćdziesiątych należącym do moich rodziców, gdzie każdy pokój poza moim był czysty i schludny, za to kompletnie pozbawiony charakteru lub wygody, był trudny do zniesienia, i kiedy poszłam schronić się na osłoniętym ganku, to bardziej po to, by odegnać od siebie te myśli, niż dlatego że byłam już gotowa na spotkanie z Sandrą.

Natychmiast coś wydało mi się dziwne. Ale co takiego? Drzwi przede mną były dość tradycyjne, z drewnianych desek, pomalowane na głęboką, błyszczącą czerń, ale coś wydawało się

nie w porządku, nawet jakby czegoś *brakowało*. Minęła chwila, zanim się zorientowałam, o co chodzi. Nie było w nich dziurki od klucza.

To spostrzeżenie było z jakiegoś powodu niepokojące. Taki maleńki szczegół, a jednak sprawił, że zaczęłam się zastanawiać – czy te drzwi to atrapa? Powinnam iść na drugą stronę domu?

Nie było też kołatki, więc zerknęłam przez ramię, oczekując od Jacka wskazówki, jak powinnam się zapowiedzieć. Ale on nadal siedział w aucie, sprawdzał coś na dużym, rozświetlonym ekranie dotykowym, który służył za deskę rozdzielczą.

Odwrociłam się i wyciągnęłam rękę, gotowa zastukać w drewno własnymi knykciami, wtedy jednak mój wzrok przyciągnęło coś wbudowanego w ścianę na lewo od drzwi. Widmowa, podświetlona ikona w kształcie dzwonka pojawiła się znikąd, świeciła na czymś, co przypominało lity kamień, i zobaczyłam, że coś, co miałam za zwykłą ścianę, jest w istocie sprytnie zamontowanym panelem. Chciałam coś na niej nacisnąć, ale musiała być aktywowana ruchem, bo nie zdążyłam nawet jej dotknąć, kiedy w domu rozbrzmiał dźwięk dzwonka.

Zamrugałam i nagle przypomniało mi się, co powiedział Jack przy samochodzie. „Bill... No, sama zobaczysz. Lubi technologię”. Czy właśnie o to mu chodziło?

– Rowan! Witaj! – Kobięcy głos zdawał się nie dochodzić z żadnego konkretnego miejsca, a ja podskoczyłam, rozglądając się za kamerą, za mikrofonem, za jakąś maskownicą, do której mogłabym odpowiedzieć. Niczego takiego nie było. A przynajmniej niczego, co bym zauważyła.

– Yyyy... Ta-ak – odpowiedziałam po prostu w przestrzeń, czując się jak kompletna idiotka. – Cześć. Czy to... Sandra?

– Tak! Przebieram się właśnie. Będę na dole za dziesięć sekund. Przepraszam, że każę ci tam czekać.

Nie było żadnego kliknięcia, które powiedziałyby mi, że odłożyła słuchawkę, ani żadnej innej wskazówki, że to koniec rozmowy, lecz

panel powoli zgasł, a ja czekałam dalej, czując się jednocześnie obserwowana oraz ignorowana.

W końcu, po czasie, który wydawał się bardzo długi, ale pewnie wyniósł mniej niż trzydzieści sekund, rozlała się nagła kakofonia szczekania i frontowe drzwi zostały otwarte. Wystrzeliły zza nich dwa czarne labradory, a za nimi pojawiła się szczupła blondynka o miodowym odcieniu włosów, pewnie koło czterdziestki, śmiejąc się i nieskutecznie łapiąc je za obroże, podczas gdy psy biegały wokół niej, radośnie skamłając.

– Hero! Claude! Do domu!

Jednak psy nie zwracały na to uwagi, skakały na mnie, a ja cofnęłam się kilka kroków. Jeden z nich wepchnął mi nos w krocze, boleśnie mocno, i zaczęłam śmiać się nerwowo, próbując odsunąć jego pysk i myśląc o zapasowej parze rajstop w walizce, a także zgrzytając zębami na myśl, że pies może mi podrzeć te, które mam na sobie. Znowu na mnie skoczył i kichnął. Poczułam swędzenie z tyłu czaszki. Cholera. Czy spakowałam inhalator?

– Hero! – odezwała się znowu kobieta. – Hero, *przestań*. – Wyszła do mnie spod osłony ganku i wyciągnęła dłoń. – Rowan, prawda? *Uspokój się*, Hero, natychmiast! – Udało jej się przypiąć trzymaną w rękę smycz do obroży i pociągnęła psa do siebie. – Przepraszam, jest taka towarzyska. Przeszkadzają ci psy?

– Ani trochę – odpowiedziałam, co było tylko częściowo prawdą. Nie przeszkadzały mi same psy, ale jeśli nie brałam leków antyhistaminowych, powodowały u mnie nasilenie astmy. Poza tym, pomijając astmę, nie chciałam, żeby w oficjalnej sytuacji wpychały mi nosy między nogi. Poczułam, że zaciska mi się klatka piersiowa, chociaż w tym przypadku to musiała być wyłącznie reakcja psychosomatyczna. – Dobry pies – dodałam z całym entuzjazmem, na jaki zdołałam się zdobyć, i poklepałam zwierzę po głowie.

– Właściwie to dobra suka. Hero jest suczką, a Claude psem. To rodzeństwo.

– Dobra suka – poprawiłam się bez przekonania. Hero entuzjastycznie polizała moją rękę, a ja powstrzymałam odruch wytarcia dłoni w spódnicę. Usłyszałam za sobą trzaśnięcie drzwi i kroki Jacka chrzesczące na żwirze. Z pewną ulgą zobaczyłam, że psy zwróciły swoją uwagę na niego, szczekając radośnie, kiedy przyniósł moją walizkę z bagażnika.

– Proszę, twój bagaż, Rowan. Miło było cię poznać – oznajmił, stawiając ją obok mnie, a potem zwrócił się do pani Elincourt: – Jeśli pozwolisz, wrócę do naprawy kosiarki, Sandro. Chyba że potrzebujesz mnie do czegoś innego?

– Co takiego? – spytała nieuważnie pani Elincourt, po czym pokiwała głową. – Ach, kosiarka. Tak, proszę. Dasz radę ją naprawić?

– Mam nadzieję. Jeśli nie, zadzwonię rano do Aleckiego Browna.

– Dziękuję, Jack – odparła Sandra i pokręciła głową, kiedy odchodził na bok budynku; jego wysoka, barczysta sylwetka ciemniała na tle wieczornego nieba. – Naprawdę, ten człowiek to *taki* skarb. Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili. On i Jean są tacy solidni. Tym samym cała ta afera z nianiami wydaje się jeszcze mniej zrozumiała.

Cała ta afera z nianiami. A jednak. Pierwsze odniesienie do owego dziwnego faktu, który miałam z tyłu głowy przez całą podróż: już cztery kobiety zrezygnowały z tego stanowiska.

Na początku w przypiływie radości tak naprawdę nie przejmowałam się zbyt tą częścią listu Sandry. W kontekście rozmowy kwalifikacyjnej nie wydawało się to zbyt ważne, ale kiedy czytałam ponownie jej e-maile oraz instrukcje dojazdu do Carn Bridge, ponownie się na to natknęłam, a tym razem ta uwaga bardziej rzucała się w oczy – była trochę dziwaczna i lekko absurdalna. Spędziłam nieco czasu, rozmyślając o tym podczas długich, nudnych godzin w pociągu. Obracałam jej słowa w głowie, rozdarta między ochotą, by się roześmiać, a czymś bardziej zagadkowym i niepokojącym.

Nie *wierzyłam* w moce nadprzyrodzone – powinnam to od razu zaznaczyć, Panie Wrexham. Dlatego legendy o tym domu były mi obojętne, właściwie sam pomysł, że nianie i służący mogliby zostać wypędzeni przez jakieś tajemnicze, upiorne wydarzenie, przedstawiał się absurdalnie – niemal wiktoriańsko.

Jednak cztery kobiety zrezygnowały z zatrudnienia u Elincourtów w ostatnim roku, to był fakt. Całkiem prawdopodobne wydawało się pechowe zatrudnienie nerwowej, przesądnej dziewczyny. Ale czterech z rzędu wyglądało na... już mniej prawdopodobne.

Co oznaczało, że istniało spore ryzyko, że chodziło o coś jeszcze, a w trakcie długiej drogi do Szkocji po głowie chodziły mi najprzeróżniejsze scenariusze. Trochę spodziewałam się, że Heatherbrae okaże się pełną przeciągów rudera albo że pani Elincourt będzie bardzo wymagającą pracodawczynią. Przynajmniej do tej pory się na to nie zanosilo. Ale nie spieszyłam się z oceną.

W domu psy były jeszcze bardziej rozochoczone i przejęte, że wpuszczono kogoś obcego, aż w końcu pani Elincourt zaprzestała prób okiełznania ich i zaciągnęła oba za obroże do pokoju gdzieś na tyłach, żeby je zamknąć.

Kiedy zniknęła, pospiesznie wyszperałam z kieszeni swój inhalator i zaciągnęłam się ukradkiem, a potem czekałam na nią tuż przy frontowych drzwiach, czując, jak ogarnia mnie atmosfera tego miejsca.

Nie był to duży budynek, zwykły dom jednorodzinny. A meble nie wyglądały ostentacyjnie, po prostu były niesamowicie wygodne i dobrze wykonane. Czuć jednak było... pieniądze. Tylko tak potrafię to opisać. Od wypolerowanej drewnianej poręczy schodów oraz chodnika w głębokim kolorze torfu, który wił się po długich, eleganckich schodach, po miękkie, brązowe, wyściełane aksamitem krzesło, wciśnięte pomiędzy schody a postrzępiony perski dywanik rozciągnięty na wytartych kamiennych płytach w korytarzu. Od powolnego, pewnego tykania pięknego stojącego zegara przy wysokim oknie po głęboką patynę lat na jadalnianym stole przy ścianie: wszystko to składało się na niemal przytłaczające poczucie luksusu. Nie było tam wcale schludnie – na kanapie walały się stosy gazet, a pod drzwiami frontowymi leżał porzucony dziecięcy kalosz – ale nie znalazłam ani jednej niepasującej rzeczy. Poduszki na kanapie były grubo wypchane piórami, nie było widać ani kłębków psiej sierści w kątach pokoju, ani śladów błota na schodach.

Nawet *zapach* był odpowiedni – bez śladu mokrego psa czy starego gotowania, tylko pasta z wosku pszczelego, palone drewno i delikatna nuta suszonych płatków róż.

Tam było... tam było idealnie, Panie Wrexham. To był dom, który sama chciałabym mieć, gdyby wystarczyło mi pieniędzy, smaku i czasu, by stworzyć coś tak głęboko, nieskończenie przyjaznego i ciepłego.

Właśnie o tym wszystkim myślałam, kiedy usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi i zobaczyłam Sandrę wracającą z odległej strony korytarza. Odgarnęła z twarzy gęste włosy w kolorze miodu i uśmiechnęła się.

– Jejku, przepraszam, nie widują zbyt często obcych, więc strasznie się ekscytują na widok kogoś nowego. Zapewniam cię, że nie zachowują się tak przez cały czas. Zacznijmy jeszcze raz. Cześć, Rowan, jestem Sandra.

Wyciągnęła rękę po raz drugi, szczupłą, silną i opaloną, a do tego ozdobioną trzema lub czterema kosztownie wyglądającymi pierścionkami. Uścisnęłam ją i poczułam, że jej palce obejmują moje z niespotykaną stanowczością. Odwzajemniłam uśmiech.

– Dobrze, pewnie umierasz z głodu i padasz z nóg po takiej długiej podróży. Przyjechałaś z Londynu, prawda?

Skinęłam głową.

– Pokażę ci twój pokój, a jak już się przebierzesz i rozgościsz, zjedź na dół, zjemy coś. Nie wiedziałam, że jest tak późno. Już po dwudziestej pierwszej. Miałaś koszmarną podróż?

– Nie, nie była koszmarna – odparłam. – Tylko powolna. W Yorku mieli jakąś awarię trakcji, więc nie zdążyłam na przesiadkę. Naprawdę przepraszam, zwykle jestem bardzo punktualna.

Przynajmniej to była prawda. Niezależnie od moich innych wad i niedoskonałości, bardzo rzadko się spóźniam.

– Dostałam twój SMS. Przepraszam, że nie odpowiedziałam, ale nie zobaczyłam go od razu, byłam właśnie w trakcie kąpania dzieci, więc ledwo zdążyłam wybiec i powiedzieć Jackowi, żeby cię odebrał. Mam nadzieję, że nie czekałaś sto lat na dworcu.

To nie było do końca pytanie – raczej stwierdzenie, ale i tak odpowiedziałam.

– Niezbyt długo. Czyli dzieci śpią?

– Tak, trójka młodszych. Maddie ma osiem lat, Ellie pięć, a najmłodsza, Petra, dopiero skończyła osiemnaście miesięcy, wszystkie śpią.

– A czwarte? – spytałam, myśląc o czerwonym błysku, który dojrzałam między drzewami na podjeździe. – W ogłoszeniu napisałaś o czwórce...?

– Rhiannon ma czternaście lat i w tygodniu jej nie ma. Chodzi do szkoły z internatem. To nie było moje marzenie, wolałabym, żeby została w domu, ale nie działa tu w pobliżu żadne gimnazjum. Najbliższa zwykła szkoła jest ponad godzinę jazdy stąd i to za daleko na codzienne dojazdy. Mieszka więc w internacie koło Inverness i na większość weekendów wraca do domu. Za każdym razem, kiedy wyjeżdża, serce trochę mi pęka, ale wygląda na to, że jej się tam podoba.

Jeśli tak bardzo chcesz mieć ją w domu, to dlaczego się nie przeprowadzicie? – pomyślałam.

– Czyli się z nią nie spotkam? – spytałam. Sandra pokręciła głową.

– Nie, niestety nie, ale szczerze mówiąc, i tak miałabyś spędzać czas głównie z młodszymi. W każdym razie to oznacza, że możemy sobie teraz spokojnie porozmawiać, a jutro poznasz dzieciaki. Aha, i obawiam się, że mój mąż, Bill, też nie może się pojawić.

– O? – To była niespodzianka, w sumie nawet szok. W takim razie go nie poznam. To było takie oczywiste, że powinien chcieć spotkać się z osobą, którą mogliby zatrudnić jako opiekunkę do swoich dzieci... Próbowałam niczego po sobie nie pokazać. Nie oceniam. – O, to szkoda.

– Tak, wyjechał służbowo. Muszę przyznać, że to była okropna szarpanina, ten rok ze wszystkimi rezygnującymi nianiami. Dzieci, co zrozumiały, są bardzo rozbite, a firma naprawdę ucierpiała. Jesteśmy architektami, działamy jako wspólnicy. W sumie jeden wspólnik i jedna wspólniczka! – Uśmiechnęła się, pokazując bardzo

białe, idealnie równe zęby. – Tylko ja i on, a to oznacza, że w bardziej zajętych okresach, kiedy pracujemy nad więcej niż jednym projektem, bywamy strasznie obciążeni. Staramy się tak to układać, żeby zawsze jedno z nas było w domu, ale po odejściu Katii, to była nasza ostatnia niania, zapanował chaos. Ja musiałam zakasać rękawy tutaj, a Bill usiłuje złożyć do kupy firmę; muszę szczerze przyznać, że ktokolwiek dostanie tę pracę, nie będzie miał zbyt łagodnego okresu adaptacji. Zwykle przez pierwszy miesiąc staram się pracować z domu, by mieć pewność, że wszystko jest w porządku, ale tym razem to nie będzie możliwe. Bill nie może być w dwóch miejscach naraz, a realizacja kilku projektów wymaga pracy w terenie. Potrzebujemy kogoś bardzo doświadczonego, kto nie spieszy się tym, że zostanie szybko sam z dziećmi, a do tego musi być gotów rozpocząć pracę jak najszybciej. – Spojrzała na mnie odrobinę zaniepokojona, między jej wyraźnie zaznaczonymi brwiami pojawiła się bruzda. – Myślisz, że to możesz być ty?

Przełknęłam. Pora porzucić zwątpienie i wejść w rolę Idealnej Niani Rowan.

– Zdecydowanie – odparłam, a pewność w moim głosie prawie przekonała mnie samą. – To znaczy widziałaś moje CV...

– Byliśmy pod wielkim wrażeniem twojego CV – oznajmiła Sandra, a ja zarumieniłam się lekko i skinęłam w podziękowaniu głową. – Szczerze mówiąc, robi największe wrażenie ze wszystkich, które otrzymaliśmy do tej pory. Spełniasz wszystkie nasze wymagania w kontekście opieki nad dziećmi w różnym wieku. Ale jaki masz okres wypowiedzenia? To znaczy, oczywiście... – Mówiła teraz szybko, jakby trochę zawstydzona. – Oczywiście wybranie *dobrej* niani jest najważniejsze, to rozumie się samo przez się. Ale naprawdę potrzebujemy kogoś, kto mógłby zacząć mniej więcej... cóż, mniej więcej teraz, jeśli mam być szczerą. Udawanie, że nie odgrywa to żadnej roli, byłoby naiwne.

– Mam czterotygodniowy okres wypowiedzenia. – Zauważyłam, że usta Sandry wydymają się w lekko zatroskany dziubek, więc szybko dodałam: – Ale myślę, że prawdopodobnie mogłabym negocjować i skończyć wcześniej. Zostało mi jeszcze sporo urlopu, musiałabym usiąść z kalendarzem i to policzyć, ale wydaje mi się, że są spore szanse, by skrócić to do dwóch tygodni. Może nawet bardziej.

Tak, o ile Little Nippers jest gotowe na ustępstwa. Bóg raczy wiedzieć. Nie dali mi zbyt wielu powodów, bym była wobec nich lojalna.

Nie umknął mi błysk nadziei i ulgi, który pojawił się w oku Sandry. Ale potem najwyraźniej zorientowała się, gdzie stoimy.

– Spójrz tylko, trzymam cię cały czas w korytarzu. Nie powinnam cię tak wypytywać, skoro nawet nie pozwoliłam ci jeszcze zdjąć płaszcza. Pokażę ci twój pokój, a potem możemy zaszyć się w kuchni i porządnie porozmawiać, a ty sobie coś zjesz.

Odwróciła się, a ja podążyłam za nią długimi, krętymi schodami, jej stopy cicho stapały po grubym, miękkim jak aksamit dywanie. Na górze zatrzymała się i przyłożyła palec wskazujący do ust. Stałam i rozejrzałam się po szerokiej przestrzeni, małym stoliku z wazonem pełnym rumianych piwonii, które właśnie zaczynały gubić płatki. Korytarz znikał w półmroku, oświetlony tylko zabarwioną na różowo nocną lampką wetkniętą do kontaktu w ścianie. Było tu sześćcioro drzwi. Do ostatnich na dalekim końcu były przytwierdzone krzywe drewniane litery, a kiedy moje oczy przyzwyczyły się do słabego światła, odczytałam słowa. „Księżniczka Ellie” i „Królowa Maddie”. Drzwi najbliższej schodów były na wpół uchylone, z wnętrza blado świeciła lampka nocna. Słyszałam dobiegające stamtąd pochrapywanie malucha.

– Dzieci śpią – szepnęła Sandra. – A przynajmniej taką mam nadzieję. Wcześniej słyszałam jakieś tupanie, ale wygląda na to, że teraz jest cicho! Maddie ma wyjątkowo lekki sen, więc muszę

trochę chodzić na palcach. My z Billem śpimy na tym piętrze, ale Rhi na górze. Tędy.

Na drugim piętrze z nieco mniejszego korytarza wychodziło troje kolejnych drzwi. Środkowe były otwarte, a wewnątrz pomieszczenia dostrzegłam małą szafkę pełną mopów i szczotek oraz bezprzewodowy odkurzacz ładujący się przy ścianie. Sandra pospiesznie je zamknęła.

Drzwi na lewo były zamknięte i miały napis: „SPIEPRZAJ, WEJŚCIE GROZI ŚMIERCIA” wypisany na drewnianych deskach czymś, co wyglądało jak rozmazana czerwona szminka.

– To pokój Rhiannon – wyjaśniła Sandra, unosząc lekko brwi, co mogło oznaczać cokolwiek od rozbawienia po rezygnację. – Ten – położyła rękę na klamce drzwi najdalej na prawo od schodów – jest twój. No, to znaczy... – Przerwała nieco speszona. – To znaczy ten pokój dajemy zawsze niani, dzisiaj będziesz tu spała. Przepraszam, nie chciałam być bezczelna!

Spróbowałam się lekko roześmiać – wyszło trochę nerwowo – a ona otworzyła drzwi. W środku było ciemno, ale zamiast szukać po omacku włącznika, Sandra wyciągnęła swój telefon. Spodziewałam się, że włączy latarkę, jednak przycisnęła coś i światła w pokoju ożyły.

I to nie tylko główne, przy suficie – to właściwie było bardzo słabe, rzucało jedynie bladą, złotą poświatę – również lampka do czytania przy łóżku, a także stojąca lampa przy oknie obok małego stoliczka oraz ozdobne lampki oplatające wezgielnie łóżka.

Moje zaskoczenie musiało być widoczne, bo Sandra zaśmiała się zachwycona.

– Fajnie, co? Oczywiście mamy też włączniki, no, panele, ale to jest *smart* dom. Całe ogrzewanie, światła i tak dalej mogą być sterowane z naszych telefonów. – Przesunęła coś na ekranie i główna lampa nagle rozbłysła dużo jaśniej, a potem znów się przyciemniła. Po przeciwnej stronie pokoju, w łazience

przylegającej do pomieszczenia, zapaliło się światło, a potem znowu zgasło.

– Nie tylko oświetlenie... – ciągnęła Sandra, po czym przeszła do innego ekranu, dotknęła ikony i z niewidzialnego głośnika zaczęły płynąć ciche dźwięki. Miles Davis, pomyślałam, chociaż nie znałam się za dobrze na jazzie.

– Jest też aktywator głosowy, ale moim zdaniem to trochę upiorne, więc nie używam go zbyt często. Ale mogę ci pokazać. – Odkaszlęła, po czym powiedziała nieco sztucznym, podniesionym tonem: – Muzyka stop!

Po chwili Miles Davies nagle się wyłączył.

– Oczywiście możesz też kontrolować ustawienia na panelu.

Przycisnęła coś na ścianie, żeby mi pokazać, a biały panel rozświetlił się na moment, kiedy zasłony na oknie naprzeciwko zasunęły się z szelestem i potem znowu się rozsunęły.

– Łał – powiedziałam. Naprawdę nie byłam pewna, co powiedzieć. Z jednej strony to robiło wrażenie. Z drugiej... Wróciłam do słowa, którego użyła Sandra. Upiorne.

– Wiem – odparła z lekkim uśmiechem. – To trochę absurdalne. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale jako architekci mamy zawodowy obowiązek wypróbować wszystkie modne gadżety. Nieważne... – Zerknęła na swój telefon, tym razem sprawdzając godzinę. – Muszę przestać gadać i wyjąć kolację z piekarnika, a ty powinnaś zdjąć płaszcz i się rozpakować. Możemy się zobaczyć na dole za... piętnaście minut?

– Może być – odparłam dość cicho, a ona uśmiechnęła się do mnie i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy wyszła, postawiłam walizkę na podłodze i przeszłam na drugą stronę pokoju, pod okno. Na zewnątrz było zupełnie ciepło, ale przyciskając twarz do szyby i otaczając dłońmi skronie, mogłam dostrzec rozgwieżdżone niebo oraz ciemne kształty gór na horyzoncie. Nie było prawie żadnych świateł.

Kiedy uświadomiłam sobie, jak to miejsce jest rzeczywiście odizolowane, przeszedł mnie dreszcz, ale tylko na chwilę. Odwróciłam się tyłem do okna i zaczęłam studiować pokój.

Od razu mnie uderzyło, że stanowił dziwną mieszaninę tradycji z nowoczesnością. Okno było czysto wiktoriańskie, włącznie z mosiężnym skoblem i lekko pofalowanymi szybkami. Ale oświetlenie pochodziło z dwudziestego pierwszego wieku – żadnych nudnych żarówek pośrodku sufitu. Zamiast tego całe mnóstwo punktowych świateł, lamp i kloszy wycelowanych w górę, każde z nich skierowane w inną część pokoju i dostrojone do różnych barw oraz o innej intensywności. Nie było też kaloryferów, nie widziałam nawet, skąd się bierze ciepło, ale na pewno miało jakieś źródło – wieczór był dość chłodny, by mój oddech pozostawił białą mgiełkę na okiennej szybie. Ogrzewanie podłogowe. Jakiś ukryty wlot powietrza?

Meble były bardziej konserwatywne, z mocną nutką stylu drogiego pensjonatu. Naprzeciw mnie, przodem do okna, stało ogromne łóżko przykryte szerokim wyborem brokatowych poduszek, a pod oknem znajdowała się mała, grubo wyściełana sofa z malutkim stolikiem – idealne miejsce na rozmowę z przyjaciółką albo wypicie kawy. Była też komoda, biurko, dwa krzesła z wysokimi oparciami oraz tapicerowana skrzynia w nogach łóżka, która musiała pełnić funkcję zarówno pojemnika do przechowywania, jak i dodatkowego siedzenia. Po obu stronach pokoju były drzwi i po otwarciu pierwszych z brzegu zobaczyłam garderobę wypełnioną pustymi stojakami oraz półkami. Światła punktowe od razu automatycznie zapaliły się nad pustymi regałami. Sprawdziłam drugie, ale wydawały się zamknięte na klucz.

Trzecie były otwarte na oścież i przypomniało mi się, że tam Sandra włączyła coś, co rozświetliło łazienkę. Weszłam do środka i zobaczyłam na ścianie panel, taki jaki Sandra przycisnęła przy głównych drzwiach do pokoju. Dotknęłam go, nie do końca

spodziewając się, że działa, ale on rozbłysnął i ożył, wyświetlając skomplikowany zestaw ikon i prostokątów. Przycisnęłam jeden przypadkowy, niepewna, co się stanie, a światła powoli się rozjarzyły, odkrywając supernowoczesny pokój kąpielowy z olbrzymią deszczownicą i betonową szafkę z umywalką wielkości mojego kuchennego blatu. W tym pomieszczeniu nie znajdowało się nic pseudowiktoriańskiego. Wszystko było kosmicznie skomplikowane, stylowo lśniące i nowoczesne, a do tego miało więcej szyku w jednej prostokątnej płytce na ścianie, niż większość łazienek ma w całości.

Pomyślałam o swojej łazience w domu – włosy w zardzewiałym sitku odpływu, brudne ręczniki rzucone w kąt, ślady kosmetyków do makijażu na lustrze.

Boże, ale bym *to* chciała mieć.

Wcześniej... Nie wiem, czego pragnęłam wcześniej. Nie skupiałam się na niczym poza przyjazdem tutaj, poznaniem Elincourtów i dowiedzeniem się, co się kryje za tamtym ogłoszeniem. Tylko tyle. Naprawdę nie pomyślałam nawet o tym, że rzeczywiście mogłabym dostać tę pracę.

Teraz... Teraz jej *chciałam*. Nie tylko tych pięćdziesięciu pięciu tysięcy za rok, ale wszystkiego. Chciałam mieć ten piękny dom, ten wspaniały pokój, włącznie z tym pełnym przepychu prysznicem wyłożonym marmurem, błyszczącym szkłem bez śladu kamienia oraz wypolerowanymi chromowanymi dodatkami.

A jeszcze bardziej chciałam być częścią tej rodziny.

Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, co tu robię, to ten pokój je wszystkie rozwiązał.

Przez długi, długi czas stałam po prostu przy szafce łazienkowej, oparłam się całymi dłońmi o blat i gapiłam się w lustro. Twarz, która stamtąd na mnie patrzyła, była trochę niepokojąca. Nie do końca w samym wyrazie, ale miałam coś w oczach. Było w nich coś – jakiś rodzaj głodu. Nie mogłam wyglądać na zbyt zdesperowaną przed Sandrą. Na zainteresowaną tak. Ale desperacja – ten rodzaj

głodnej desperacji, który się wówczas we mnie wpatrywał – była tylko i wyłącznie odpychająca.

Powoli przygładziłam włosy, oblizałam palec, przywołałam do porządku niesforną brew. Potem moja dłoń powędrowała do naszyjnika.

Nosiłam go codziennie, odkąd skończyłam szkołę i biżuteria nie była już zabroniona przez żaden regulamin. Nawet jako dziecko zakładałam go w weekendy oraz zawsze, kiedy było mi wolno, ignorując westchnienia matki oraz jej komentarze na temat taniego, brzydkiego badziewia, które barwi skórę na zielono. Był to prezent na moje pierwsze urodziny i teraz, po ponad dwudziestu latach, wydawało mi się, że jest częścią mnie, czymś, czego prawie nie zauważałam, nawet kiedy sięgałam do niego dłonią w chwilach stresu lub nudy.

Teraz go zauważyłam.

Ozdobne, srebrne R na końcu dyndającego łańcuszka. A raczej, jak często przypominała mi matka, nie srebrne, ale posrebrzane, co stawało się coraz bardziej oczywiste, bo miedziany metal prześwitywał w tych miejscach, w których bezwiednie pocierałam wisiorek palcami.

Nie miałam żadnego powodu, by go zdejmować. Nie był niestosowny. Istniała bardzo niewielka szansa, że ktoś go w ogóle zauważy. A jednak...

Powoli sięgnęłam dłońmi do karku i odpięłam zapięcie.

Potem maznęłam usta błyszczkiem, przygładziłam spódnice, poprawiłam kucyk i byłam gotowa, żeby zejść na dół do Sandry Elincourt na najważniejszą rozmowę kwalifikacyjną w moim życiu.

Kiedy zesłam, nie zobaczyłam nigdzie Sandry, ale poczułam jakiś pyszny, wytrawny zapach dochodzący z przeciwnego końca korytarza. Mając w pamięci, że to tam Sandra wyprowadziła psy, ostrożnie ruszyłam w tamtą stronę. Ale kiedy otworzyłam drzwi, okazało się, że wkraczam do innego świata.

Wyglądało to, jakby tył domu został brutalnie ucięty i przeszczepiony do zaskakującego modernistycznego pudła, niemal agresywnie współczesnego. Strzeliste metalowe belki sięgały sufitu, a pod moimi stopami enkaustyczne płytki nagle się urywały, zastąpione podłogą z lanego betonu, wypolerowaną na tępy połysk. Tak jakby połączono brutalistyczną katedrę z industrialną kuchnią. Pośrodku znajdowała się błyszcząca, metalowa kuchenna wyspa, otoczona chromowanymi stołkami, dzieląca przestrzeń na jasną część kuchenną i blado oświetloną jadalnię, w której długi, zwieńczony betonem stół ciągnął się przez całą długość pomieszczenia.

Na środku Sandra stała przed monstrualnym wolnostojącym piekarnikiem, największym, jaki w życiu widziałam, i nakładała coś z naczynia żaroodpornego do dwóch misek. Podniosła głowę, gdy wesłam.

– Rowan! Słuchaj, strasznie przepraszam, ale zapomniałam spytać. Nie jesteś wege, prawda?

– Nie. Nie, jem prawie wszystko.

– Uff, co za ulga, bo mamy duszoną wołowinę i niewiele więcej. Rozmyślałam właśnie gorączkowo, czy zdążę zrobić pieczone ziemniaki. Za pamięci. – Podeszła do wielkiej stalowej lodówki, wcisnęła niewidzialny przycisk na drzwiach knykiem jednej dłoni

i wyraźnie wypowiedziała słowa: – Happy, zamów, proszę, ziemniaki.

– Dodaję ziemniaki do twojej listy zakupów – odpowiedział głos robota, a ekran rozświetlił się, ukazując spis sprawunków. – Jedz z Happy, Sandro!

W szoku miałam ochotę się roześmiać, ale powstrzymałam ten odruch i zamiast tego przyglądałam się, jak Sandra stawia na długim stole miseczki razem z chrupiącym bochenkiem chleba na desce oraz małym naczyniem z czymś w rodzaju kwaśnej śmietany. Miseczki były z kostnej porcelany i wyglądały, jakby pochodziły z okresu wiktoriańskiego, ręcznie malowane w delikatne małe kwiatki ozdobione złotymi listkami. Ten kontrast pomiędzy matematycznie surowymi, modernistycznymi liniami szklanego pomieszczenia oraz delikatnymi zabytkowymi miseczkami był niemal absurdalny, co wytrącało mnie trochę z równowagi. Przypominało to całą resztę domu, ale niby w lustrzanym odbiciu – wiktoriańską duchotę poprzecinaną akcentami kosmicznej nowoczesności. Tutaj nowoczesność wyszła na prowadzenie, ale miseczki oraz ciężkie kwiatowe zawijasy srebrnych sztuców przypominały o tym, co znajdowało się za zamkniętymi drzwiami.

– No, to do dzieła – powiedziała niepotrzebnie Sandra, siadając przy stole i kiwając mi dłonią, żebym zajęła miejsce naprzeciwko niej. – Wołowy gulasz. Częstuj się chlebem do wycierania sosu, a tu mamy chrzanowy *crème fraîche*. Po dodaniu go całość smakuje fantastycznie.

– Wspaniale pachnie – przyznałam szczerze, a Sandra odrzuciła włosy do tyłu i obdarzyła mnie uśmiechem, który miał wyglądać skromnie, ale w rzeczywistości wyrażał: „Wiem o tym”.

– Wiesz, to zasługa kuchenki. La Cornue. To niemal niemożliwe, żeby coś schrzanić, wrzucasz tylko składniki i zapominasz! Tęsknię czasem za tradycyjną kuchenką, ale nie ma tu sieci gazowej, więc wszystko działa na prąd. Płyta jest indukcyjna.

– Jeszcze nigdy nie używałam płyty indukcyjnej – wyznałam, przyglądając się z powątpiewaniem urządzeniu. Był to potwór szeroki prawie na dwa metry, pełen pokręteł, drzwiczek i rączek, a na szczycie miał gładką powierzchnię do gotowania, która wydawała się podzielona na strefy; nie potrafiłabym odgadnąć, jak to wszystko działa.

– Trzeba się do niej przyzwyczaić – przyznała Sandra. – Ale przysięgam, że jest bardzo intuicyjna. Ten płaski talerz pośrodku to teppanyaki. Raczej sceptycznie podchodziłam do jej ceny, ale Bill się uparł i muszę przyznać, że był to zakup wart każdego wydanego pensa, a może nawet więcej.

– Aha. Rozumiem. – Chociaż tak naprawdę nie rozumiałam. Co to w ogóle, u licha, jest teppanyaki? Wzięłam kęs gulaszu, który był gęsty, bogaty w smaku i przepyszny. Na gotowanie sobie takich posiłków nigdy nie mam czasu ani możliwości w domu. Pozwoliłam też Sandrze położyć sobie nieco *crème fraîche* na wierzch oraz zaopatrzyć mnie w kawałek chrupiącego chleba. Na stole już wcześniej stała otwarta butelka czerwonego wina, więc nalała go nam do dwóch pięknie wytrawionych, wiktoriańskich kieliszków i przesunęła jeden w moją stronę po stole.

– No, to wolałabyś najpierw zjeść i potem porozmawiać czy lepiej zacząć od razu?

– Ja... – Zerknęłam na swój talerz, a potem w myślach wzruszyłam ramionami. Nie ma sensu tego odkładać. Obciągnęłam spódnicę i odrobinę wyprostowałam się na metalowym stołku. – Może zacznijmy. Co chciałabyś wiedzieć?

– Cóż, twoje CV było bardzo obszerne i *bardzo* imponujące. Skontaktowałam się już z twoim poprzednim pracodawcą... Jak ona się nazywa? Grace Devonshire?

– Yyyy... tak, właśnie tak.

– Nie mogła się ciebie nachwalić. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, iż sprawdziłam twoje referencje przed rozmową, ale przejechałam się już kilka razy na nieodpowiednich kandydatkach

i wydaje mi się, że bez sensu marnować wszystkim czas, ciągnąc cię tutaj tylko po to, żebyś poniosła porażkę na ostatniej prostej. Ale pani Grace piała nad tobą z zachwytu. Państwo Hartcourt chyba się przeprowadzili, ale rozmawiałam też z panią Grainger, która również cię komplementowała.

– Ale nie kontaktowałaś się z Little Nippers? – spytałam lekko zaniepokojona, lecz ona pokręciła głową.

– Nie, w pełni to rozumiem. Często nie jest łatwo szukać pracy, jednocześnie pracując na innym stanowisku. Ale może mogłabyś opowiedzieć mi o swoim zatrudnieniu w tym miejscu?

– Naprawdę jest mniej więcej tak, jak wyjaśniłam już w CV: pracuję tam od dwóch lat, kieruję oddziałem niemowlęcym. Potrzebowałam jakiejś odmiany od stanowiska niani w prywatnym domu i żłobek wydawał mi się dobrym rozwiązaniem. To była świetna okazja do zyskania doświadczenia, mam nieco więcej obowiązków menedżerskich, muszę organizować grafik pracowników i tak dalej, ale szczerze mówiąc, okazało się, że tęsknię za rodzinną atmosferą, którą gwarantowała praca niani. Kocham dzieci, niestety w żłobku nie da się spędzać z nimi tyle czasu jeden na jeden, jak na prywatnej posadzie. Dotąd przed zmianą powstrzymywała mnie myśl, że to krok w tył zarówno w kwestii płacy, jak i odpowiedzialności, ale tutejsze stanowisko wydaje się dokładnie takim wyzwaniem, jakiego szukam.

Ćwiczyłam tę przemowę w głowie całą drogę pociągiem, a teraz jej słowa wybrzmiały z wyćwiczoną autentycznością. Odbylałam już dość rozmów, by wiedzieć, o co w tym chodzi – należy wyjaśnić, dlaczego chce się zrezygnować z obecnej pracy, nie mówiąc źle o swoim pracodawcy i nie wychodząc na nielojalnego pracownika. Moja – nieco wygładzona – wersja wypadków najwyraźniej zadziałała, bo pani Elincourt pokiwała głową ze współczuciem.

– Potrafię to sobie wyobrazić.

– Poza tym, oczywiście – dodałam spontanicznie, bo tej konkretnej kwestii akurat nie przemyślałam – chciałabym się

wyrwać z Londynu. Tam jest tak głośno i brudno, wydaje mi się, że chyba potrzebuję zmiany otoczenia.

– To potrafię *doskonale* zrozumieć – odparła z uśmiechem pani Elincourt. – My z Billem przeżyliśmy tę samą długą ciemną noc duszy kilka lat temu. Rhiannon miała osiem czy dziewięć lat, a my zaczynaliśmy myśleć o gimnazjach. Maddie była maluchem, ja miałam serdecznie dość wożenia jej wózkami po brudnych parkach i sprawdzania, czy w piaskownicy nie leżą jakieś igły, zanim ją tam wpuszczę. To wyglądało na idealną okazję, żeby się całkowicie odciąć, zbudować nowe życie, znaleźć jakąś superprywatną szkołę dla Rhi.

– I jesteś zadowolona z tego ruchu?

– Och, jak najbardziej. Wtedy to oczywiście nie było łatwe dla dzieci, ale z pewnością była to dobra decyzja. Uwielbiamy Szkocję. Nigdy nie chcieliśmy być taką rodziną, która buduje sobie drugi dom, a potem wystawia go na Airbnb na dziewięć miesięcy w roku. Pragnęliśmy naprawdę tu *mieszkać*, wiesz, stać się częścią tej społeczności.

Pokiwałam głową, jakby dylematy związane z budową drugiego domu były częścią mojej codzienności.

– Heatherbrae to był wielki projekt – ciągnęła Sandra. – Zanedbywano je przez całe dziesięciolecie. Mieszkał tu bardzo ekscentryczny staruszek, który trafił do domu opieki, a potem pozwolił, żeby budynek popadał w ruinę aż do jego śmierci. Wszystko próchniało, rury pękały, elektryka zawodziła – trzeba było go rozebrać do samego szkieletu, a potem całkowicie przerobić. Dwa lata ciężkiej harówki, rekonfiguracji pomieszczeń oraz remontu wszystkiego, poczynając od nowej instalacji, kończąc na wykopaniu szamba. Ale było warto. I oczywiście było to wspaniałe doświadczenie w naszej pracy! Mamy całą teczkę zdjęć przed i po, tam naprawdę widać, że dobra architektura może polegać w równej mierze na podkreślaniu klimatu stojącego już domu, co tworzeniu nowego od zera. Chociaż takie rzeczy

oczywiście też robimy. Specjalizujemy się w architekturze wernakularnej.

Pokiwałam głową, jakbym miała w ogóle pojęcie, co to znaczy, i upiłam łyk wina.

– Ale wystarczy już tego gadania o mnie i o domu, wróćmy do ciebie. – Sandra znów przeszła do rzeczy. – Możesz mi trochę opowiedzieć, co cię skłoniło do wybrania zawodu niani?

Łał. To było niezłe pytanie. W głowie wyświetliło mi się kilkanaście obrazów naraz. Moi rodzice krzyczący na mnie za wtarcie ciastoliny Play-Doh w dywan, mam sześć lat. Dziewięć lat, matka kręci głową nad moim świadectwem, nawet nie próbując ukryć rozczarowania. Dwanaście lat, szkolne przedstawienie, na które nikt się nie pofatygował. Szesnaście lat: „szkoda, że nie przygotowałaś się bardziej z historii” zamiast gratulacji z powodu piątek, które dostałam z matematyki, angielskiego i przedmiotów przyrodniczych. Osiemnaście lat bycia nie dość dobrą, nie taką córką, jaką miałam być. Osiemnaście lat niespełniania oczekiwań.

– No... – Czułam, że się pograżam. Nie przećwiczyłam tej części odpowiedzi, a teraz się za to przeklinałam. To oczywiste pytanie, powinnam była się na nie przygotować. – No, chyba... to znaczy... Po prostu lubię dzieci.

To było słabe. Bardzo słabe. I nie do końca prawdziwe. A kiedy te słowa padły, uświadomiłam sobie coś jeszcze. Sandra się uśmiechała, ale w jej wyrazie twarzy była jakaś neutralność, której wcześniej tam nie widziałam, i nagle zrozumiałam dlaczego... Kobieta pod trzydziestkę mówiąca o tym, jak bardzo lubi dzieci...

Pospieszyłam naprawić swój błąd.

– Ale muszę przyznać, że podziwiam każdego, kto chce być rodzicem. Ja zdecydowanie jeszcze nie jestem na to gotowa!

Bingo. Nie mogłam nie zauważyć cienia ulgi, który przemknął przez twarz Sandry, choć został szybko stłumiony.

– Zresztą nie żebym mogła to teraz rozważać – dodałam, czując się już dość pewnie, by pozwolić sobie na mały żart – skoro

niezmiennie jestem sama.

– Więc... Nie jesteś związana z Londynem?

– Nie bardzo. Mam oczywiście przyjaciół, ale moi rodzice kilka lat temu wyprowadzili się za granicę. Właściwie, kiedy rozstanę się z Little Nippers, nic mnie już nie będzie trzymać w Londynie. Mogłabym podjąć nową pracę niemal od razu.

Świadomie nie powiedziałam *tę pracę*, bo nie chciałam wyjść na przekonaną, że ją dostanę, ale Sandra uśmiechała się i entuzjastycznie kiwała głową.

– Tak, jak już prawdopodobnie wynikało z naszej wcześniejszej rozmowy, skłamałabym, mówiąc, że to nie jest ważny czynnik. Zbliżają się letnie wakacje i zdecydowanie *musimy* znaleźć kogoś na to stanowisko przed końcem szkoły, bo inaczej nie dam rady. Poza tym za parę tygodni odbywają się naprawdę, *naprawdę* ważne targi i oboje z Billem musimy tam pojechać.

– Czyli jaki jest ostateczny termin?

– Rhi zaczyna wakacje na koniec czerwca, czyli... za ile? Jakies trzy, cztery tygodnie? Ale targi zaczynają się w weekend przed jej wolnym. Tak po prawdzie, im szybciej, tym lepiej. Dwa tygodnie są do zrobienia. Trzy tygodnie... no, to by było do przeżycia. Cztery tygodnie zahaczałyby już o katastrofę. Mówiłaś, że masz czterotygodniowy okres wypowiedzenia?

Skinęłam głową.

– Tak, ale rozpakowując się, policzyłam, że mam przynajmniej osiem dni zaległych wakacji, więc na pewno mogę to skrócić do nieco ponad dwóch tygodni, jeśli wezmę pod uwagę urlop, a może nawet uda się zakończyć współpracę wcześniej. Moim zdaniem powinni być skłonni do negocjacji.

W rzeczywistości nie miałam pojęcia, na ile w żłobku będą pomocni, a podejrzewałam, że niezbyt. Nie byłam ulubienicą Janine, mojej przełożonej, kierowniczką oddziału niemowlęcego. Nie wydawało mi się, żeby bardzo żałowała mojego odejścia, ale nie sądziłam też, żeby stawała na głowie, by mi pomóc. Jednak są

różne sposoby – pracownicy żłobka nie mogą przychodzić do pracy przez czterdzieści osiem godzin po wirusie pokarmowym, a ja zamierzałam mieć dużo wirusów pokarmowych w połowie czerwca. Tego też nie powiedziałam Sandrze. Z jakiegoś powodu nikt nie chce zatrudniać niani z elastycznymi zasadami moralnymi, nawet jeśli nagina je po to, by komuś pomóc.

Podczas posiłku Sandra przeszła przez jeszcze kilka obowiązkowych pytań z rozmów kwalifikacyjnych, jakich się spodziewałam – wymień swoje siły i słabości, podaj przykład trudnej sytuacji i opisz, jak sobie z nią poradziłaś... Wszystkie te typowe zagrania. Odpowiadałam już na nie podczas kilkunastu innych rozmów, więc miałam wyćwiczone odpowiedzi, delikatnie tylko dostroiłam je do tego, co wydawało mi się, że akurat Sandra chciałaby usłyszeć. Moja standardowa odpowiedź na pytanie o przykład trudnej sytuacji dotyczyła małego chłopca, który przyszedł na adaptację do Little Nippers cały w siniakach oraz tego, jak poradziłam sobie z jego rodzicami w związku z kolejnymi obawami o jego bezpieczeństwo. To dobrze działało w żłobkach, ale nie sądziłam, żeby Sandra miała ochotę słuchać, jak doniosłam na rodziców odpowiednim organom. Zamiast tego opowiedziałam inną historię, o czterolatce dokuczającej innym w mojej poprzedniej pracy oraz o tym, jak udało mi się znaleźć źródło tego zachowania w jej własnych lękach związanych z rozpoczęciem przygody z podstawówką.

Kiedy mówiłam, ona przeglądała dokumenty, które przywiozłam ze sobą, zaświadczenie o niekaralności i certyfikaty z kursów pierwszej pomocy. Wszystkie były oczywiście w porządku, wiedziałam o tym, ale i tak czułam, że serce wali mi z nerwów, gdy im się przyglądała. Czułam ucisk w piersi, choć nie byłam do końca pewna, czy to za sprawą nerwów, czy psów. Zwalczyłam chęć wyjęcia inhalatora i zaciągnięcia się.

– A prawo jazdy? – spytała, gdy skończyłam swoją anegdotkę o czterolatce. Odłożyłam widelec na gładki, wypolerowany

betonowy blat stołu i wzięłam głęboki wdech.

– Ach, tak, oczywiście. Obawiam się, że tu mamy problem. Mam prawo jazdy otrzymane w UK, jest czyste, ale sam dokument ukradziono mi w ubiegłym tygodniu, kiedy zgubiłam portfel. Zamówiłam już nowe, ale potrzebne było nowe zdjęcie, więc wyrobienie duplikatu trwa całe wieki. Zapewniam jednak, że *potrafię jeździć*.

Przynajmniej to ostatnie było prawdą. Zacisnęłam kciuki i z ulgą zobaczyłam, jak Sandra kiwa głową, po czym przeszła do czegoś związanego z moimi ambicjami zawodowymi. Czy chciałabym zdobyć jakieś dodatkowe kwalifikacje. Gdzie widzę siebie za rok. To drugie pytanie naprawdę miało znaczenie, poznałam to po tym, że Sandra odstawiła kieliszek z winem i rzeczywiście na mnie popatrzyła, gdy odpowiadałam.

– Za rok? – powtórzyłam powoli, próbując wymyślić, co chciała ode mnie usłyszeć. Czy oczekuje ambicji? Przywiązania? Rozwoju osobistego? Rok to dziwny czas do wyboru, większość pracodawców decyduje się na pytanie o pięć lat; Sandra mnie zaskoczyła. Co ona chciała sprawdzić?

W końcu się zdecydowałam.

– No cóż... Wiesz, że chciałabym dostać tę pracę, i szczerze mówiąc, za rok mam nadzieję być tutaj. Gdybyś zdecydowała się mnie przyjąć, nie rzucałabym Londynu i wszystkich przyjaciół dla krótkoterminowej posady. Kiedy pracuję dla rodziny, wyobrażam to sobie jako długi związek, zarówno ze względu na mnie, jak i dzieci. Chcę je naprawdę poznać, poobserwować trochę, jak dorastają. Gdybyś mnie zapytała, gdzie widzę siebie za pięć lat... No, to zupełnie inna sprawa. I pewnie udzieliłabym ci innej odpowiedzi. Jestem ambitna, chciałabym kiedyś zdobyć tytuł magistra z opieki przedszkolnej albo psychologii dziecięcej. Ale rok... jakiegokolwiek stanowisko teraz obejmę, na pewno chciałabym, żeby było na dłużej niż rok, dla dobra nas wszystkich.

Twarz Sandry rozpromieniła się szerokim uśmiechem i wiedziałam – po prostu *wiedziałam* – że udzieliłam właściwej odpowiedzi, takiej, jakiej oczekiwała. Ale czy tyle wystarczy, by dostać tę pracę? Naprawdę nie miałam pojęcia.

Rozmawialiśmy jeszcze około godziny, Sandra uzupełniała oba nasze kieliszki, chociaż w którymś momencie, jakoś po drugiej czy trzeciej dolewce, w przypiływie rozsądku nakryłam swój ręką i pokręciłam głową.

– Lepiej nie. Rzadko pijam alkohol. Wino szybko mi uderza do głowy.

To nie była do końca prawda. Lubię wino, podobnie jak większość moich przyjaciół, ale wiedziałam, że kolejny kieliszek prawdopodobnie sprawi, że będę mniej ostrożna, a wtedy trudniej by mi było udzielać dyplomatycznych, oficjalnych odpowiedzi. Historie by się zagmatwały, nazwiska i daty poplątały, a ja wstałabym rano i złapała się za głowę, zastanawiając się, co mogło mi się wymknąć i czy nie dopuściłam się jakichś koszmarnych gaf.

Sandra napełniła więc swój kieliszek, zerknęła na zegarek i zaskoczona przełknęła ślinę.

– Rany, dziesięć po jedenastej! Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Musisz być wykończona, Rowan.

– Trochę – odparłam szczerze. Cały dzień spędziłam w podróży i teraz zaczęło to do mnie docierać.

– No dobrze, wydaje mi się, że poruszyliśmy wszystko, o co chciałam zapytać. Jutro, mam nadzieję, spotkasz się z maluchami, zobaczymy, czy się dogadacie, a potem Jack odwiezie cię do Carn Bridge na pociąg. Może tak być? O której godzinie odjazd?

– O jedenastej dwadzieścia pięć, więc pasuje.

– Świetnie. – Wstała i złożyła całą zastawę w stosik, który odstawiła obok zlewozmywaka. – Zostawimy to dla Jean i pójdziemy spać.

Skinęłam głową, znów zastanawiając się, kim jest tajemnicza Jean, ale nie bardzo chciałam o to pytać.

– To ja idę wypuścić psy. Dobranoc, Rowan.

– Dobranoc. Dziękuję za przepyszną kolację, Sandro.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dzieci zwykle wstają o szóstej, ale nie musisz zrywać się tak wcześnie. Chyba że chcesz!

Zaśmiała się dźwięcznie, a ja zanotowałam sobie w pamięci, żeby nastawić budzik na szóstą, mimo że na samą myśl o tym powieki ciążyły mi jeszcze bardziej.

Kiedy Sandra wyganiała psy do ogrodu, wróciłam do starej części domu, z tym samym dziwnym poczuciem nagłego przemieszczenia, jakiego doświadczyłam wcześniej, idąc w przeciwnym kierunku. Strzelisty szklany sufit raptownie się obniżył i zmienił w lukrowaną powierzchnię weselnego tortu. Odbijający się echem stukot moich obcasów kaczuszek na betonowej podłodze zmienił się w delikatne klikanie parkietu, a potem szum dywanu, gdy już zaczęłam wchodzić po schodach. Zatrzymałam się na pierwszym piętrze. Drzwi najbliżej mnie, te do pokoju dziecięcego, wciąż były uchylone. Nie mogłam się powstrzymać, otworzyłam je i weszłam do środka, wdychając przyjemny, ciepły zapach czystego, zadowolonego malucha.

Petra leżała na plecach, ręce i nogi miała rozrzucone na boki jak żabka. Skopała kocyk, więc bardzo delikatnie ją przykryłam, czując jej delikatny oddech na cienkich włoskach grzbietu mojej dłoni.

Kiedy ją otuliłam, drgnęła i wyrzuciła jedną rączkę w górę, a ja na chwilę skamieniałam, bo myślałam, że się obudzi i zacznie płakać. Ale tylko westchnęła i ułożyła się z powrotem, a ja cichutko wycofałam się z pokoju do czekającej na mnie luksusowej sypialni.

Myjąc się i szczotkując zęby, starałam się chodzić możliwie bezszelestnie, nasłuchując cichego skrzypienia desek parkietu pod moimi stopami; nie chciałam przeszkadzać Sandrze na dole. W końcu byłam gotowa, żeby się położyć – budzik nastawiony, ubrania na jutro starannie przygotowane na małej, miękkiej sofie.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie zasunęłam zasłon.

Otuliłam się szlafrokiem, podeszłam do okna i delikatnie pociągnęłam za tkaninę. Nie ruszyły się.

Zdziwiona, spróbowałam mocniej, a potem przestałam i zajrzałam pod nie, podejrzewając, że może to są jakieś udawane, ozdobne zasłony i powinnam zamiast nich użyć rolet. Ale nie, to były prawdziwe zasłony, wisiały na prawdziwej szynie. Wtedy mi się przypomniało – Sandra przycisnęła coś na ścianie, a zasłony zsunęły się i potem znowu rozsunęły. Były automatyczne.

Cholera. Podeszłam do panelu koło drzwi i machnęłam przed nim ręką. Natychmiast się rozświecił i pokazał ten niezrozumiały zestaw kwadratów oraz ikon. Żadna nie wyglądała jak zasłony. Jedna z nich mogła oznaczać okno, ale kiedy ją ostrożnie przycisnęłam, ciszę przeszył nagle dźwięk trąbki jazzowej, więc pospiesznie znowu dźgnęłam ją palcem.

Dzięki Bogu, od razu się wyłączyła, a ja stałam przez chwilę, spodziewając się, że Petra się rozplacze albo że Sandra wbiegnie po schodach i będzie chciała wiedzieć, dlaczego budzę dzieci, ale nic się nie wydarzyło.

Wróciłam do analizowania panelu, ale tym razem niczego nie przyciskałam. Próbowałam sobie przypomnieć, co wcześniej zrobiła z nim Sandra. Ten duży kwadrat pośrodku oznaczał główne światło, tego byłam prawie pewna. A rozrzucone kwadraty po prawej być może kontrolują pozostałe światła w pokoju. Ale co oznacza ta spirala oraz suwak po lewej? Głośność muzyki? Ciepło?

Potem przypomniałam sobie komentarz Sandry na temat funkcji głosowych.

– Zasuń zasłony – powiedziałam cicho i ku mojemu zdumieniu zasłony zsunęły się z ledwo słyszalnym szumem.

Świetnie. Dobrze. To teraz musiałam jeszcze tylko poradzić sobie ze światłami.

Lampka przy łóżku miała przycisk, więc wiedziałam, że się z nią uporam. Z resztą udało mi się metodą prób i błędów, ale przy fotelu

była lampa, której nie umiałam wyłączyć.

– Zgaś światło – spróbowałam, nic się jednak nie wydarzyło. – Zgaś lampę.

Wyłączyła się lampka przy łóżku.

– Zgaś lampę przy fotelu. – Znowu nic. – Cholera jasna.

W końcu wytropiłam kabel oraz wtyczkę w dziwnym gniazdku w ścianie, nie takim jak do normalnych urządzeń, i odłączyłam ją. W pokoju natychmiast zapadła ciemność tak gęsta, że niemal mogłam jej dotknąć.

Powoli przeszłam po omacku przez pokój, znalazłam nogi łóżka i się położyłam. Już się przykrywałam, kiedy z westchnieniem przypomniałam sobie, że nie podłączyłam telefonu do ładowarki. Kurde.

Nie miałam ochoty walczyć znowu ze światłami, więc zapaliłam latarkę w telefonie, wstałam z łóżka i zaczęłam grzebać w walizce.

Nie było tam ładowarki. Czyżbym już ją wyjęła? Byłam pewna, że ją spakowałam.

Przewróciłam walizkę do góry dnem, wyrzucając wszystkie swoje rzeczy na podłogę, ale żaden kabel nie wychynął spośród innych przedmiotów. Kurde. Kurde. Jeśli nie dam rady naładować telefonu, to jutro czeka mnie najnudniejsza podróż na świecie. Nie zabrałam nawet książki – wszystko do czytania miałam w aplikacji Kindle. Zapomniałam jej? Zostawiłam ją w pociągu? W każdym razie zdecydowanie nie było jej w walizce. Stałam tak przez chwilę, gryząc wargę, a potem otworzyłam jedną z szuflad nocnej szafki, z nikłą nadzieją, że może poprzedni gość zostawił po sobie jakąś ładowarkę.

I... bingo. Nie ładowarka, ale sam kabel. Tyle mi wystarczyło – gniazdko miało wbudowany port USB.

Z westchnieniem ulgi wyplątałam kabel spośród ulotek i kartek w szufladzie, włożyłam go do gniazdka i podłączyłam telefon. Zaświeciła się mała ikonka ładowania, a ja szczęśliwie wróciłam do łóżka. Już miałam wyłączyć latarkę i się położyć, kiedy

zauważyłam, że z szuflady coś mi wypadło na poduszkę. Kawałek papieru. Chciałam go zgnieść i rzucić na podłogę, ale najpierw na niego zerknęłam, żeby sprawdzić, czy to coś ważnego.

Nic ważnego. Tylko dziecięcy rysunek. Chyba że...

Znowu sięgnęłam po telefon, celując latarką w kartkę, i przyjrzałam się uważniej tej stronie.

Nie było to dzieło sztuki, tylko ludziki z kresek i grube linie narysowane kredkami. Widniał tam dom z czterema oknami i błyszczącymi, czarnymi drzwiami wejściowymi, podobny do Heatherbrae. Okna pokolorowano na czarno, poza jednym, w którym było widać bladą twarz wyglądającą z ciemności.

Było to dziwnie niepokojące, ale obrazka nie podpisano żadnym imieniem i nie wiedziałam, dlaczego leżał w szufladzie szafki nocnej. Odwróciłam go, szukając wskazówek. Było tam coś napisane. Pismo nie wyglądało na dziecięce, należało do dorosłego – pochylone i z zawijasami, w dodatku jakby nie było angielskie, ale nie umiałam do końca wyjaśnić, dlaczego miałam takie wrażenie.

„Do nowej niani” – głosiła staranna, kształtna kursywa. „Mam na imię Katia. Piszę do ciebie tę notatkę, bo chciałam Ci napisać, żebyś była...”

I tu wiadomość się urywała.

Zmarszczyłam brwi. Kim była Katia? To imię mi się z czymś kojarzyło. Zaraz przypomniałam sobie głos Sandry przy kolacji: „ale po odejściu Katii, to była nasza ostatnia niania...”.

A więc Katia tu mieszkała. Nawet spała. Ale co chciała przekazać swojej następczyni? I czy nie zdążyła, czy zmieniła zdanie co do tego, co zamierzała napisać?

Żebyś była... dobra dla dzieci? Żebyś była... tu szczęśliwa? Żebyś była... entuzjastycznie nastawiona do psów Sandry?

To mogło być cokolwiek. Tylko dlaczego na końcu języka miałam: „żebyś była ostrożna”?

Te dwie rzeczy razem, upiorny mały rysunek oraz niedokończona notatka, wzbudziły we mnie dziwne uczucie, którego nie potrafiłam

nazwać. Tak jakby niepokój, ale nie umiałam wskazać jego przyczyny.

Cóż, cokolwiek chciała napisać, teraz było już za późno. Złożyłam rysunek i schowałam go z powrotem do szuflady. Potem wyłączyłam telefon, podciągnęłam kołdrę pod brodę, spróbowałam zapomnieć o tym, że ważyły się moje losy, i zasnąć.

Zbudził mnie stanowczy, przeszywający dzwonek mojego budzika i przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem ani dlaczego czuję się taka zmęczona. Znajdowałam się w Szkocji. I była szósta rano – o całą godzinę wcześniej, niż zwykłam wstawać.

Usiadłam, wygładziłam rozczochrane włosy i przetarłam zaspane oczy. Słyszałam z dołu tupanie i podekscytowane piski. Wyglądało na to, że dzieci już nie śpią...

Zasłony nie przepuszczały światła, ale słońce wpadało już w szczeliny wokół ich brzegów, więc zmusiłam nogi do podniesienia się z łóżka i podeszłam do okna; spróbowałam je rozsunąć, dopiero potem przypomniałam sobie poprzedni wieczór.

– Rozsuń zasłony – powiedziałam na głos, czując się naprawdę głupio, a one rozsunęły się z szelestem, jakby to była magiczna sztuczka. Nie wiedziałam, czego się spodziewałam, ale z pewnością nie tego, co zobaczyłam.

Piękno rozpościerającej się przede mną scenerii zaparło mi dech w piersi.

Ten dom został idealnie usytuowany przez jakiegoś dawno nieżyjącego wiktoriańskiego architekta, tak że jego okna wychodziły na niczym niezakłóconą panoramę błękitnych wzgórz, zielonych dolin oraz sosnowych lasów w głębokim odcieniu zieleni. Widok rozciągał się daleko, daleko, falujące podnóża gór były gdzieś usiane małymi, ciemnymi strumykami oraz pomarszczonymi dachami odległych zagród, a także oddalonym o kilka kilometrów jeziorem, odbijającym poranne słońce tak jasno, że wyglądało właściwie jak łąka śniegu. W oddali górowało nad tym wszystkim pasmo *Cairngorm* – czyli, jak mówił Google, Błękitnych Gór po gaelicku.

Kiedy sprawdziłam pochodzenie ich nazwy, tłumaczenie wydało mi się nieco absurdalne. Zdjęcia w internecie pokazywały wszystkie kolory, jakich można się spodziewać – zieloną trawę, brązowe paprocie, czerwonawą ziemię upstrzoną gdzieś fioletową plamą wrzosu, a zimą wszystko przykryte bielą śniegu. Pomysł, że miałyby być błękitne, wydawał się skrajnie dziwaczny.

Jednak tutaj, z mgłą unoszącą się na ich zboczach w porannym słońcu oraz z brzaskiem barwiącym niebo za nimi na różowo, naprawdę *wyglądały* na niebieskie. Nie porastające je paprocie, ale same bezlitosne granitowe wzgórza, postrzępione urwiska i wierzchołki, daleko ponad linią drzew. Najwyższy szczyt wyglądał na pokryty śniegiem nawet w czerwcu.

Poczułam radość, a potem usłyszałam jakiś hałas w ogrodzie na dole i zerknęłam tam.

To był Jack Grant. Szedł od strony grupki budynków gospodarczych skupionych wokół rogu domu. Miał mokre włosy, jakby dopiero wziął prysznic, a w ręku trzymał torbę z narzędziami. Obserwowałam go przez minutę, wpatrując się w czubek jego ciemnej głowy, ale po chwili poczułam, że robię się coraz bardziej wścibska, więc odwróciłam się od okna, by pójść do łazienki i samej wziąć prysznic.

W środku było ciemno, więc odruchowo zaczęłam szukać dłonią włącznika, a dopiero potem przypomniałam sobie o cholernym panelu. Ożył za moim dotknięciem, znów pokazując mi tę niezrozumiałą mozaikę kwadratów, suwaków i kropek. Przycisnęłam jeden przypadkowy z nadzieją, że nie dostanę znowu Milesa Daviesa. Próbowałam wycelować w ten sam co wczoraj, ale najwyraźniej się pomyliłam, ponieważ sufit nagle oświetliło słabe niebieskie światło. Może to jakiś rodzaj trybu nocnego, kiedy chce się iść do toalety, nie budząc partnera? Na pewno za słabe, żeby wziąć prysznic.

Kolejny przycisk, który wypróbowałam, wygasił niebieskie światła. Nad wanną zapaliły się dwie blade, złote lampy, które

skąpały moje ciało w ciepłym, pochlebnym blasku. Dokładnie tego bym chciała, gdybym brała długą kąpiel z pianą, ale kabina prysznicowa była nadal ciemna, a ja potrzebowałam czegoś jaśniejszego i... cóż, bardziej porannego.

Udało mi się za czwartym albo piątym razem – znalazłam ustawienie, które było jasne, ale nie oślepiające, dodatkowo podświetlało ramę lustra, idealnie do zrobienia makijażu. Z westchnieniem ulgi rzuciłam szlafrok na podłogę i weszłam pod prysznic, gdzie czekało mnie kolejne wyzwanie. Znajdował się tam oszałamiający wybór różnych dyszy, wylewek i słuchawek prysznicowych. Pytanie tylko, jak je obsłużyć? Odpowiedzią okazał się kolejny panel, tym razem wodoodporny, ukryty pomiędzy płytkami prysznicowa. Kiedy go dotknęłam, wyświetliły się litery. „Dzień dobry, Katio”.

To imię sprawiło, że przeszedł mnie dziwny dreszcz i przypomniałam sobie tę niedokończoną notatkę na dziecięcym rysunku z poprzedniego wieczora. Pokazała się też uśmiechnięta buźka i mały przycisk przewijania w dół. No cóż, Katią nie jestem. Wcisnęłam przycisk, a litery się zmieniły. „Dzień dobry, Jo”. Przycisnęłam go znowu. „Dzień dobry, Lauren”. „Dzień dobry, Holly”. „Dzień dobry, gościu”.

Nie było więcej możliwości. No więc gość. Przycisnęłam uśmiechniętą buźkę. Nic się nie wydarzyło. Zamiast tego wyświetlacz pokazał szyfr tych kropek, kwadratów i suwaków. Przycisnęłam jeden przypadkowy i pisnęłam, bo z jakichś dwudziestu dysz wystrzeliły silne strumienie lodowatej wody, prosto na mój brzuch i uda. Pospiesznie walnęłam w przycisk po lewej stronie panelu i dysze się wyłączyły. Byłam zdyszana, zmarznięta i naprawdę wściekła.

No dobrze. Może powinnam spróbować jakiejś zaprogramowanej opcji, zanim to rozpracuję. Dotknęłam panelu i znowu zaświeciło się: „Dzień dobry, Katio”. Tym razem z lekką obawą wcisnęłam uśmiechniętą buźkę i pojawiła się wiadomość. „Przygotowujemy

twój ulubiony prysznic. Myj się z Happy!” – pokazał ekran. Kiedy wiadomość wyblakła, ku mojemu zdumieniu jedna z prysznicowych słuchawek przesunęła się łagodnie w górę na zaprogramowaną wcześniej wysokość, przechyliła się pod kątem i zaczęła wypuszczać strumień ciepłej wody. Przez chwilę stałam z rozdziawionymi ustami, a potem jedną ręką wypróbowałam wodę. Kimkolwiek była Katia, musiała być bardzo wysoka i lubiła trochę bardziej gorące prysznice ode mnie. Mogłabym jakoś wytrzymać tę temperaturę, ale niestety strumień leciał z tak wysoka, że całkowicie omijał czubek mojej głowy i odbijał się od szklanej tafli naprzeciwko, co znacząco utrudniało mi umycie włosów.

Wcisnęłam wyłącznik i spróbowałam jeszcze raz. Zdecydowałam się na: „Dzień dobry, Holly” i czekałam na efekty, szcękając zębami.

Bingo. Ustawienia Holly okazały się gorącym, rześkim deszczem płynącym z kratki nad głową, co było... no, to było cudowne. Nie da się tego inaczej nazwać. Woda wytryskiwała w absurdalnej wprost obfitości, oblewając mnie ciepłem. Czułam, jak gorący deszcz bębni o moją czaszkę, usuwając ostatnie resztki senności oraz wczorajszego czerwonego wina. Na pewno dogadałabym się z Holly, kimkolwiek była. Umyłam włosy szamponem, nałożyłam odżywkę, spłukałam, a potem po prostu stałam z zamkniętymi oczami, ciesząc się tym, jakie uczucie wywołuje woda na mojej nagiej skórze.

Pokusa, by tam zostać, rozkoszować się luksusem, była bardzo silna, ale prawdopodobnie zeszło mi już z dziesięć minut na rozgryzienie łazienki. Gdybym zmarnowała jeszcze więcej czasu, to mój wczesny budzik mógłby się okazać bezsensowny. Po co się zmuszać do pobudki bladym świtem, jeśli nie zejść na dół, by ponarzucać się ze swoim entuzjazmem Sandrze?

Z poczuciem rezygnacji wcisnęłam wyłącznik na panelu, sięgnęłam po puszysty biały ręcznik czekający na podgrzewanej poręczy i przypomniałam sobie, że jeśli mi się uda, to nie będzie to

ostatni raz, kiedy mogę się nacieszyć takim prysznicem. Wręcz przeciwnie.

Gdy schodziłam po schodach, powitały mnie zapach tostów oraz głosy roześmianych dzieci. Okrążając dół klatki schodowej, zobaczyłam bardzo mały szlafrok w szkocką kratę porzucony na najniższym stopniu oraz pojedynczy kapeć pośrodku korytarza. Podniosłam jedno i drugie, po czym przeszłam do kuchni, w której Sandra stała przed ogromnym, błyszczącym chromem tosterem, trzymając kawałek brązowego chleba i machając nim w kierunku dwóch małych dziewczynek w soczyscie czerwonych piżamach, siedzących przy metalowej kuchennej wyspie. Ich kręcone włosy, u jednej ciemne, u drugiej w bardzo jasnym odcieniu blond, były potargane od spania. Nie mogły opanować chichotu.

– Nie prowokuj jej! Będzie to znowu robić.

– Co znowu robić? – spytałam, a Sandra się odwróciła.

– Ach, Rowan! Boże, wcześniej wstałaś. Mam nadzieję, że dziewczynki cię nie obudziły. Nadal próbujemy nauczyć niektórych członków naszej rodziny, żeby wytrzymali w łóżku dłużej niż do szóstej rano. – Skinęła głową, wskazując młodszą dziewczynkę, tę z jasnymi włosami.

– Nie ma sprawy. – Odparłam szczerze i dodałam nieco mniej zgodnie z prawdą: – Sama też wcześniej się budzę.

– No, to na pewno przydatna umiejętność w tym domu – odpowiedziała Sandra z westchnieniem. Była ubrana w szlafrok i wyglądała na porządnie zmęczoną.

– Petra rzuciła swoją owsianką – dodała dziewczynka, bulgocząc ze śmiechu i wskazując palcem na malucha z zaróżowionymi policzkami, siedzącego w wysokim krzeselku w rogu, a ja zobaczyłam, że miała rację. Porcja owsianki wielkości jajka zsuwała się po przodzie piekarnika, by zaraz plasnąć na betonową podłogę, a Petra promieniała z dumy i nabierała właśnie kolejną łyżeczkę, żeby znowu ją rzucić.

– Petra zuca! – odezwała się i wymierzyła.

– Nu-nu – powiedziała z uśmiechem i wyciągnęłam rękę po łyżeczkę. – Petra, podaj mi to, proszę.

Dziecko przez chwilę patrzyło na mnie niepewnie, mierząc mnie wzrokiem, jej brwi w jasnym odcieniu blond zmarszczyły się uroczo, a potem pulchną twarz rozpromienił uśmiech.

– Petra zuca! – powtórzyła i wycelowała owsiankę we mnie.

Uchyliłam się, ale nie dość szybko, trafiła mnie prosto w pierś.

Na minutę zaniemówiłam, a potem zalała mnie fala ogromnej wściekłości, bo zdałam sobie sprawę, co zrobiła. Głupio nie zabrałam ze sobą zapasowych ubrań, a koszula z poprzedniego dnia była wymięta i miała plamę od czerwonego wina, której nie pamiętałam; najwyraźniej musiałam się oblać.

Dosłownie nie miałam już ani jednego czystego ubrania. Do końca dnia miałam chodzić upaprana owsianką. Mała *gówniara*.

Uratowała mnie młodsza z pozostałych dziewczynek. Wybuchła śmiechem, a potem zakryła usta dłońmi, jakby przerażona.

Przypomniałam sobie, kim jestem, gdzie jestem i dlaczego tam jestem.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Nic się nie stało – zwróciłam się do małej dziewczynki. – Masz na imię Ellie, prawda? Możesz się śmiać. To *jest* dość zabawne.

Odkryła buzię i ostrożnie się uśmiechnęła.

– O mój Boże – westchnęła Sandra, jakby zmęczona i zrezygnowana. – Rowan, *tak* mi przykro. Mówi się o buncie dwulatka, ale przysięgam, Petra specjalizuje się w nim już pół roku. Czy z twoją bluzką wszystko w porządku?

– Nie zwracaj sobie tym głowy, Sandro – odpowiedziałam. Z bluzką nie było wszystko w porządku, przynajmniej dopóki nie będę mogła jej uprać, a może nawet wtedy też nie. To był jedwab, wyłącznie do czyszczenia chemicznego, głupi wybór na rozmowę kwalifikacyjną na nianię, ale nie przemyślałam tego, że będę spędzać czas z dziećmi. Może mogłabym chociaż zyskać jakąś małą

moralną przewagę w tej sytuacji. – Serio, takie rzeczy przecież się zdarzają przy dzieciach. To tylko owsianka. Chociaż... – Nachyliłam się i zabrałam Petrze miseczkę, zanim się zorientowała, co się dzieje, i odstawiłam ją poza jej zasięgiem. – Myślę, że już dosyć, mała panno Petro, więc może się tym zaopiekuję i posprzątam. Gdzie trzymasz mop, Sandro? Wytrę od razu tego gluta z podłogi, zanim któraś z dziewczynek się poślizgnie.

– Stoi w pomieszczeniu gospodarczym, za tamtymi drzwiami – odpowiedziała Sandra z uśmiechem pełnym wdzięczności. – Bardzo ci dziękuję, Rowan. Naprawdę nie oczekiwałam, że zaczniesz od razu pracować bez wynagrodzenia, to wykracza poza twoje obowiązki.

– Cieszę się, że mogę pomóc – odparłam pewnie. Przechodząc obok, zmierzwiłam włosy Petry z czułością, którą nie do końca do niej żywiłam, i mrugnęłam do Ellie. Maddie na mnie nie patrzyła, gapiła się w swój talerz, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Może wstydziła się tego, jaką rolę odegrała wcześniej w tym zamieszaniu, podpuszczając Petrę.

Okazało się, że pomieszczenie gospodarcze znajduje się w starszej części domu – oryginalnie była to pewnie komórka przy kuchni, jak można było sądzić po wiktoriańskiej umywalce i kamiennej posadzce – nie miałam jednak nastroju, by doceniać architektoniczne szczegóły. Po prostu zamknęłam za sobą drzwi i wzięłam kilka głębokich wdechów, usiłując pozbyć się resztek irytacji, a potem podjęłam próbę ratowania bluzki. Największa część owsianki wylądowała w zlewie, ale resztę musiałam potraktować gąbką. Po kilku próbach, które skończyły się tylko tym, że wybrudziłam spódnicę owsiankową wodą, zablokowałam drzwi do kuchni mopem i zdjęłam bluzkę.

Stałam tam w samym staniku i spódnicy, zapierając plamę od owsianki pod kranem i starając się nie zamoczyć reszty bluzki bardziej, niż to konieczne, kiedy usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z przeciwnej strony pomieszczenia gospodarczego,

odwróciłam się i zobaczyłam otwarte drzwi na podwórko oraz Jacka Granta, który wchodził do środka, wycierając dłonie o spodnie na szelkach.

– Kosiarka działa, San... – zawołał, po czym przerwał i zaskoczony szeroko otworzył oczy. Na policzki wystąpił mu jaskrawy rumieniec.

Krzyknęłam zdziwiona i przycisnęłam mokrą bluzkę do piersi, próbując ukryć swoją nagość.

– O mój Boże, strasznie przepraszam – odezwał się. Zakrywał oczy, patrzył w sufit, w podłogę, wszędzie, tylko nie na mnie. Policzki mu płonęły. – Ja już... ja... strasznie przepraszam.

A potem się odwrócił i uciekł, zatrzasnął za sobą drzwi na podwórko. Byłam w szoku, nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

Nie było sensu robić ani jednego, ani drugiego, więc szybko osuszyłam mokrą bluzkę ręcznikiem wiszącym na kaloryferze, napełniłam wiadro od mopa i wróciłam do kuchni z policzkami równie różowymi co te Jacka.

– Bluzka czysta? – spytała przez ramię Sandra, kiedy weszłam. – Zrobię ci kawę.

– Tak. – Nie byłam pewna, czy jej mówić, co się właśnie wydarzyło. Czy słyszała mój zaskoczony pisk? Czy Jack coś jej powie? – Sandro, właśnie...

Ale wtedy zabrakło mi odwagi. Nie wiedziałam, w jaki sposób powiedzieć: „Sandro, właśnie pokazałam cycki twojemu majstrowi”, żeby nie zabrzmiało to tragicznie nieprofesjonalnie. Poczułam, że na samą myśl mój rumieniec wstydu nabiera ciemniejszej barwy. Nie mogłam o tym powiedzieć. Należało mieć nadzieję, że Jack okaże się dżentelmenem na tyle, by o tym nie wspomnieć.

– Mleko i cukier? – spytała przez ramię roztargniona Sandra, więc odłożyłam tę rozmowę na bok.

– Poproszę mleko – odparłam, postawiłam wiadro od mopa na podłodze i zaczęłam sprzątać pociski Petry z kuchenki oraz

podłogi, czując, że moje policzki w tym czasie stygną.

W końcu, kiedy kawa była gotowa, a ja usiadłam przy stole i zjadłam wyśmienity tost z marmoladą, byłam już niemal w stanie udawać, że to się nigdy nie wydarzyło.

– No więc – odezwała się Sandra, wycierając dłonie w ścierkę – dziewczynki, nie zdążyłam wam jeszcze przedstawić Rowan. Przyjechała tu, żeby obejrzeć nasz dom i was poznać. Przywitajcie się.

– Cześć – mruknęła Maddie, chociaż zwróciła się bardziej do talerza niż do mnie. Wyglądała na mniej niż osiem lat, miała ciemne włosy i drobną, ziemistą buzię. Pod blatem widziałam jej chude kolana pokryte strupami.

– Cześć, Maddie – odpowiedziałam z uśmiechem, który, jak miałam nadzieję, podbije jej serce, ale ona z uporem patrzyła w dół. Z Ellie było łatwiej, przyglądała mi się spod jasnej grzywki ze szczerą ciekawością. – Cześć, Ellie. Ile masz lat?

– Pięć – odpowiedziała. Jej niebieskie oczy były okrągłe jak guziki.
– Będiesz naszą nową nianią?

– Mam... – Natychmiast przerwałam, niepewna, co powiedzieć. Czy „Mam taką nadzieję” zabrzmiałoby zbyt rozpaczliwie i błagalnie?

– Może – ucięła krótko Sandra. – Rowan nie zdecydowała jeszcze, czy chce tu pracować, więc musicie być bardzo grzeczne, żeby zrobić dobre wrażenie.

Mrugnęła do mnie ukradkiem.

– Słuchajcie, pobiegnijcie na górę i się przebierzcie, a potem oprowadzimy Rowan.

– A co z Petrą? – spytała Ellie.

– Ja się nią zajmę. No już, raz, raz.

Obie dziewczynki posłusznie zsunęły się z wysokich stołków, podreptały korytarzem i na górę. Sandra przyglądała się im z czułością.

– O ja, jakie grzeczne! – powiedziałam, naprawdę pod wrażeniem. Miałam już pod opieką dość dzieci, by wiedzieć, że pięciolatki ubierające się na polecenie to nie jest częsty widok. Nawet ośmiolatki czasem potrzebują nadzoru. Sandra przewróciła oczami.

– Wiedzą, że mają się nie wygłupiać przy gościach. Ale zobaczymy, czy rzeczywiście robią to, co miały...

Dotknęła czegoś na iPadzie leżącym na blacie i wtedy pojawił się obraz – dziecięca sypialnia. Kamera najwyraźniej wisiała gdzieś pod sufitem, skierowana w dół na dwa małe łóżka. Nie było dźwięku, ale hałas zatrzaszanych drzwi rozległ się na tyle donośnie, że dobiegł do nas schodami, a miś na kominku zakółysał się i spadł. Patrzyłyśmy, jak u dołu ekranu Maddie tupie ze złością, po czym z założonymi rękoma siada wściekła na łóżku po lewej. Sandra wcisnęła coś innego i kamera zrobiła zbliżenie na twarz Maddie, a raczej na czubek jej głowy, bo dziewczynka patrzyła na swoje uda. Z iPada dochodziły teraz ciche trzaski, jakby włączono mikrofon.

– Maddie – odezwała się Sandra. – Co ci mówiłam o trzaskaniu drzwiami?

– Nie trzaskałam. – Głos dobiegający z głośnika iPada był cichy i metaliczny.

– Trzaskałaś, widziałam cię. Mogłaś uderzyć Ellie. A teraz się ubierz i możesz pooglądać telewizję. Wszystko leży na twoim krześle, uszykowałam ci dzisiaj rano.

Maddie nic nie powiedziała, ale wstała i zdjęła górę od pizamy, a Sandra wyłączyła obraz.

– Łał – powiedziałam, nieco oszołomiona. – Imponujące!

Wcale nie ten przymiotnik przyszedł mi do głowy. Bardziej pasowałoby tu „stalkerski”, chociaż sama nie byłam pewna dlaczego. Wiele miejsc, w których pracowałam, miało kamery kontrolujące nianie albo nianie elektroniczne z wbudowanymi głośnikami i kamerami. Może to dlatego, że nie wiedziałam o tym do tej pory. Nie zauważyłam poprzedniego wieczora żadnych kamer,

więc gdziekolwiek się znajdowały, musiały być dobrze ukryte. Czy Sandra obserwowała mnie, kiedy kładłam się do łóżka? Czy widziała, jak zaglądam do pokoju Petry? Ta myśl sprawiła, że policzki spłonęły mi rumieńcem.

– Cały dom jest podpięty – oznajmiła swobodnie Sandra i odłożyła iPada na blat. – To bardzo wygodne, zwłaszcza w wielopiętrowym budynku. Dzięki temu nie muszę biegać w górę i w dół, żeby zajrzeć do dziewczynek.

– Bardzo wygodne – powtórzyłam cicho, ukrywając zaniepokojenie. *Cały dom?* Co to oznacza? Na pewno pokoje dzieci. Ale czy pokoje gościnne też? Sypialnie? *Łazienki?* Nie, to by było niemożliwe. I na pewno nielegalne. Odłożyłam ostatni kawałek tostu z powrotem na talerz, nagle straciłam apetyt.

– Skończyłaś? – spytała radośnie Sandra, a kiedy skinęłam głową, strzepnęła resztkę tostu do rozdrabniacza i odstawiła talerz razem z miseczkami po owsiance dziewczynek do zlewu. Zauważyłam, że naczynia z poprzedniego wieczoru zniknęły. Czy tajemnicza Jean zdążyła już przyjść i wyjść?

– No, to jeśli się najadłaś, pozwól, że oprowadzę cię po domu, a dziewczynki w tym czasie się ubiorą. – Wyjęła Petrę z wysokiego krzeselka, przetarła jej buzię wilgotną flanelą, oparła sobie córkę na biodrze i razem wróciliśmy do starej części domu. Przeszliśmy przez główny korytarz z kamienną posadzką, który miał dwoje drzwi po obu stronach wejścia do budynku.

– Dobrze, to żebyś znała układ: korytarz jest na środku domu, z tyłu jest kuchnia, a dalej pomieszczenie gospodarcze, które już oczywiście widziałaś. To była kiedyś część dla służby, w sumie jedyna, która przetrwała. Resztę musieliśmy zburzyć. Z przodu domu mamy większe pokoje... To jest stara jadalnia. – Sandra kiwnęła dłonią w kierunku przejścia po prawej stronie drzwi frontowych. – Ale okazało się, że zawsze jemy w kuchni, więc zamieniliśmy ją w coś pomiędzy biurem a biblioteką. Zajrzyj sobie.

Wetknęłam głowę za drzwi i ujrzałam niewielki pokój ze ścianami wyłożonymi boazerią i pomalowanymi na piękny, głęboki, morski kolor. Z jednej strony stały regały sięgające od podłogi do sufitu, zastawione mieszaniną powieści w miękkiej oprawie oraz albumów o architekturze. Mogłaby to być mała, ale idealnie skonstruowana biblioteka w historycznej posiadłości organizacji National Trust – tylko że na środku pokoju stało ogromne szklane biurko z rozłożonym na nim wielkim iMakiem z podwójnym ekranem oraz jakieś aeronautyczne ergonomiczne krzesło, ustawione przodem do monitorów.

Zamrugłam. W tym, jak ten dom łączył stare z nowym, było coś niepokojącego. Nie wyglądał jak większość domów, gdzie nowoczesne dodatki docierały się z oryginalnymi elementami i łączyły w przyjazną, eklektyczną całość. Tutaj można było odnieść wrażenie, że to olej i woda – wszystko było albo nieśmiało oryginalne, albo krzykliwie nowoczesne, bez żadnych starań, by te obie cechy połączyć.

– Jaki piękny pokój – powiedziałam w końcu, bo Sandra najwidoczniej czekała na jakąś uprzejmą reakcję. – Te kolory są po prostu... Są fantastyczne. – Sandra się uśmiechnęła, podrzucając Petrę na biodrze w radosny sposób.

– Dziękuję! Bill zajmuje się całym technicznym rozkładem, ale wystrój wewnątrz należy głównie do mnie. Uwielbiam ten odcień morskiego. Akurat ten pokój to głównie domena Billa, więc trochę się powstrzymywałam, ale zobaczysz, że w salonie pozwoliłam sobie na małe szaleństwa. W końcu to mój dom, nie musi się podobać nikomu innemu. Chodź, pokażę ci.

Pokojem, do którego mnie później zaprowadziła, był właśnie wspomniany salon; głębokie sofy z guzikami na oparciach ustawione w kwadrat wokół pięknego, wykładanego kaflami kominka. Sufit i stolarka były w tym samym morskim odcieniu co boazeria w biurze, ale same ściany okazały się zaskakujące – pokryte bogatą, misterną tapetą, we wzór niemal zbyt zawiły, by go

dostrzec, w głębokich odcieniach błękitu, szmaragdu i akwamaryny. Kiedy przyjrzałam się bliżej, dostrzegłam, że jest to połączenie jeżyn i pawie – jedne i drugie stylizowane oraz splecione do tego stopnia, że praktycznie nie dało się ich rozróżnić. Jeżyny były w kolorach ciemnej zieleni i metalicznej czerni, pawie w opalizującym błękicie i ametyście, a ich ogony wiły się i rozciągały, płacząc z jeżynami, co tworzyło jakiś koszmarny labirynt – na wpół ptasi, na wpół bluszczowy.

Ten motyw powtarzał się na płytkach wokół kominka, gdzie po obu stronach paleniska widniały dwa wyprostowane pawie – tułowie na najniższej półce, a ogony rozciągnięte w górę. Ogień się nie palił, ale pokój nie był wcale zimny, wręcz przeciwnie. Wiktorianańskie grzejniki z kutego żelaza na ścianach dawały przyjemne ciepło, a do tego promienie słońca padały na szlachetnie wyblakłe perskie dywany. Na mosiężnym stoliku kawowym leżało więcej rozłożonych książek, stał tam też drugi wazon piwonii, tym razem opadających bez wody, ale Sandra je zignorowała i poprowadziła mnie do drzwi na lewo od kominka, wiodących w kierunku kuchni.

Za nimi znajdował się dużo mniejszy pokój, wyłożony dębowym drewnem, z pozdieraną skórzaną sofą i telewizorem na przeciwległej ścianie. Łatwo było zauważyć, do czego służyło to pomieszczenie – podłogę pokrywały porzucone zabawki, rozsypane klocki Duplo, lalki Barbie bez głów oraz częściowo zapadnięty namiot do zabawy upchnięty w rogu. Dość ciemne ściany zdobiły naklejki i dziecięce rysunki, a nawet dziwne kredkowe bazgroły na samej boazerii.

– To był dawny pokój śniadaniowy – wyjaśniła Sandra. – Dość ponury, bo wychodzi na północ, a te sosny zasłaniają sporo światła, więc zamieniliśmy go w pokój telewizyjny, ale oczywiście ostatecznie dzieci całkowicie go przejęły!

Zaśmiała się i podniosła pluszowego żółtego banana, po czym wręczyła go Petrze.

– A teraz, na domknięcie pętli...

Poprowadziła mnie do drugich drzwi ukrytych w boazerii – i znowu miałam poczucie, że się potykam, po czym ląduję w zupełnie innym domu. Byłyśmy z powrotem w szklanej komnacie na tyłach, ale weszłyśmy do niej od przeciwnej strony. Kiedy wielka kuchnia, szafki i urządzenia nie zasłaniały widoku, przed nami nie było dosłownie nic, tylko szkło – a za nim rozciągał się krajobraz: lasy oraz daleki błysk jezior i strumyków. Tak jakby nic nas nie dzieliło od tej dzikości. Czułam, że w każdej chwili może między nami wylądować jakiś myszołów.

W jednym rogu stał kojec wyłożony gumowymi matami w kształcie puzzli. Sandra posadziła tam Petrę z jej bananem, po czym wskazała dłonią na ściany.

– Z tej strony w dawnych czasach znajdowała się jadalnia dla służby, ale była zniszczona i spróchniała, a poza tym to są zbyt piękne widoki, żeby ograniczać je wąskimi oknami ze szprosami, więc zdecydowaliśmy po prostu... – Przejechała palcem w poprzek gardła, a potem się roześmiała. – Myślę, że dla niektórych to może być szokujące, ale wierz mi, zrozumiałabyś, gdybyś widziała to wcześniej.

Pomyślałam o moim maleńkim mieszkaniu w Londynie, o tym, jak mogłoby się całe zmieścić nawet w samym tym jednym pomieszczeniu.

Coś się we mnie skręcało i łamało, tylko odrobinę, i nagle nie byłam pewna, czy w ogóle powinnam była tu przyjeżdżać. Ale wiedziałam jedną rzecz. Nie mogłam wrócić. Nie wtedy.

Pewnie Pan się zastanawia, po co to wszystko opowiadam, Panie Wrexham. Bo wiem, że jest Pan zajęty, i wiem, że przynajmniej na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakby nie miało nic wspólnego z moją sprawą. A jednak... ma wszystko. Musi Pan *zobaczyć* dom Heatherbrae, żeby poczuć ciepło płynące z grzejników pod podłogą, promienie słońca na twarzy. Musi być Pan w stanie wyciągnąć dłoń

i pogłaskać te aksamitne sofy, szorstkie niczym koci język, oraz jedwabście gładkie, polerowane betonowe powierzchnie.

Musi Pan zrozumieć, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.

Reszta poranka minęła w mgnieniu oka. Spędziłam czas, robiąc domową ciastolinę z dziećmi, a potem pomagałam im ulepić z niej jakieś nierówne, asymetryczne stworki, z których większość Petra rozgniotła z powrotem przy wtórze pisków, śmiechu oraz poirytowanego marudzenia Ellie. Maddie najbardziej mnie zaskoczyła – była zacięta i nieugięta, jakby się uparła, żeby się do mnie nie uśmiechnąć, ale ja nie ustępowałam, znajdowałam drobne rzeczy, które ją cieszyły, zapędziłam się nawet tak daleko, żeby się roześmiać, choć trochę z oporami, kiedy Petra niemądrze wepchnęła sobie garść różowej ciastoliny do buzi, a potem ją wypluła, krztusząc się i próbując wymiotować przez jej słony smak, z komicznym wyrazem obrzydzenia na małej, pulchnej twarzyczce.

W końcu Sandra poklepała mnie po ramieniu i powiedziała, że jeśli jestem gotowa, to Jack już czeka, by odwieźć mnie na dworzec, więc umyłam ręce i połaskotałam Petrę pod brodą.

Moja walizka stała koło drzwi; spakowałam się wcześniej, zanim zeszłam na śniadanie, bo wiedziałam, że potem nie będzie zbyt wiele czasu, ale nie miałam pojęcia, kto zniósł ją na dół z pokoju gościnnego. Miałam gorącą nadzieję, że nie niewidzialna Jean, chociaż nie wiedziałam, dlaczego na myśl o niej robiło mi się niezręcznie.

Jack czekał przed domem, przy samochodzie z cicho pracującym silnikiem, ręce miał w kieszeniach, a promienie słońca podkreślały płowe i rude kosmyki w jego ciemnych włosach.

– Cóż, to była *ogromna* przyjemność cię poznać – powiedziała Sandra, wyciągając dłoń i patrząc na mnie ze szczerą serdecznością. – Muszę to omówić z Billem, ale myślę, że mogę powiedzieć... no, tylko tyle, że wkrótce odezwiemy się do ciebie

z ostateczną decyzją. *Naprawdę* wkrótce. Dziękuję, Rowan, byłaś wspaniała.

– Mnie też było szalenie miło cię poznać, Sandro. Twoje dziewczynki są szalenie kochane. – Ech, przestań powtarzać „szalenie”. – Mam nadzieję, że będę kiedyś miała okazję poznać Rhiannon. – To było zakodowane: „Mam nadzieję, że dostanę tę pracę”. – Do widzenia, Ellie. – Wyciągnęłam rękę, a ona potrząsnęła nią poważnie, jak pięcioletnia bizneswoman. – Do widzenia, Maddie.

Ale Maddie, ku mojemu przerażeniu, nie przyjęła dłoni. Zamiast tego odwróciła się i wtuliła twarz w brzuch mamy, nie patrząc mi w oczy. Był to dziwnie dziecięcy gest, który sprawił, że wydawała się sporo młodsza. Ponad jej głową Sandra wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Nic na to nie poradzisz”.

Też wzruszyłam ramionami, poczochnęłam Maddie włosy i odwróciłam się do auta.

Wrzuciłam walizkę i właśnie obchodziłam samochód, żeby usiąść z przodu na miejscu pasażera, kiedy coś mnie uderzyło jak mały, ciemny huragan. Ramiona zaciśnięte wokół mojego pasa i mała, twarda czaszka wbijająca mi się pod żebra.

Wiercąc się w ciasnym uścisku, ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że to Maddie. Może ostatecznie podbiłam jej serce?

– Maddie – odezwałam się, ale nie odpowiedziała. Nie byłam pewna, co zrobić, ale w końcu pochyliłam się, żeby ją uściskać. – Dziękuję, że pokazałaś mi swój piękny dom. Do widzenia.

Miałam nadzieję, że po tym ostatnim słowie mnie puści, ale tylko zacisnęła objęcia, ściskając mnie nieprzyjemnie mocno, tak że zaczęło mi brakować tchu.

– Nie... – Usłyszałam, jak chlipie w moją nadal mokrą bluzkę, chociaż nie wyłapałam tego drugiego słowa. Nie wyjeżdżaj?

– Muszę – odszepnęłam. – Ale mam nadzieję, że niedługo będę mogła wrócić.

To akurat była prawda. Boże, miałam taką nadzieję.

Ale Maddie kręciła głową, jej ciemne włosy ocierały się o wystające kręgi. Czułam ciepło jej oddechu przez bluzkę. Było w tym wszystkim coś dziwnie intymnego i nieprzyjemnego, coś, czego nie umiałam nazwać, ale nagle bardzo zapragnęłam, żeby mnie puściła. Pamiętając jednak o obecności Sandry, nie wyrывałam się jej. Zamiast tego uśmiechnęłam się i na chwilę zacisnęłam ramiona wokół dziewczynki, odwzajemniając uścisk. Kiedy to zrobiłam, wydała cichy dźwięk, jakby chlipnięcie.

– Maddie? Coś się stało?

– Nie wracaj tutaj – wyszeptała, nadal nie patrząc mi w oczy. – To nie jest bezpieczne.

– Nie jest bezpieczne? – Zaśmiałam się lekko. – Maddie, co masz na myśli?

– To nie jest *bezpieczne* – powtórzyła, łkając trochę ze zdenerwowaniem i kręcąc mocniej głową, tak że ledwo dosłyszałam jej słowa. – To by się im nie spodobało.

– Komu by się to nie spodobało?

Ale po tym oderwała się ode mnie i pobiegła bosą po trawie, krzycząc coś przez ramię.

– Maddie! – zawołałam ją. – Maddie, zaczekaj!

– Nie przejmuj się – odezwała się ze śmiechem Sandra. Podeszła do samochodu od tej strony, po której stałam. Najwyraźniej nie dostrzegła nic poza nagłym uściskiem Maddie oraz jej późniejszą ucieczką. – Obawiam się, że to właśnie cała Maddie. Po prostu ją zostaw, wróci na lunch. Ale musiała cię polubić. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy z własnej woli nie przytuliła się do nikogo obcego.

– Dziękuję – odparłam raczej zaniepokojona i pozwoliłam Sandrze wsadzić się do samochodu oraz zatrzasnąć za mną drzwi.

Dopiero kiedy ruszyliśmy powoli podjazdem, jednym okiem wypatrując uciekającego dziecka między drzewami, zorientowałam się, że powtarzam w głowie ostatnie zdanie Maddie i zastanawiam się, czy naprawdę powiedziała to, co wydawało mi się, że usłyszałam.

To, co krzyknęła przez ramię, wydawało się bowiem niemal zbyt absurdalne, by było prawdziwe – a jednak, im dłużej nad tym dumałam, tym bardziej byłam pewna tego, co powiedziała.

„Duchom” – wyszlochała. „Duchom by się to nie spodobało”.

– No, to chyba na razie się zegnamy – odezwał się Jack. Stał przy barierce na dworcu, z moją walizką w jednej dłoni, z drugą ręką wyciągniętą do mnie. Chwyciłam ją i uścisnęłam. Wokół paznokci głęboko wżarł mu się wczorajszy smar, ale skórę miał czystą i ciepłą, a dziwna bliskość tego kontaktu przyprawiła mnie o lekki dreszcz, którego nie umiałam wyjaśnić.

– Miło było cię poznać – powiedziałam trochę niezręcznie, a potem z poczuciem, że mogę to jednak zrobić, bo w przeciwnym wypadku będę żałować, dodałam w jakimś szalonym przypiływie: – Szkoda, że nie udało mi się poznać Billa. Albo... albo Jean.

– Jean? – Jack był trochę zaskoczony. – Ona rzadko bywa za dnia. Jeździ do domu, do ojca.

– Czy ona... w takim razie jest młoda?

– Nie! – Znowu się uśmiechnął w ten swój sposób, kąciki jego ust uniosły się i stworzyły minę pełną tak urzekającej radości, że poczułam, jak moje usta bezwiednie układają się podobnie, mimo że wcale nie zrozumiałam dowcipu. – Ma przynajmniej z pięćdziesiąt lat, może więcej, chociaż nigdy nie odważyłem się jej spytać o wiek. Nie, jest... jak to się nazywa? Opiekunką? Jej ojciec mieszka tu w wiosce, chyba choruje na alzheimera. Nie można go zostawić na dłużej niż godzinę, dwie. Ona przyjeżdża tu rano, zanim on się obudzi, a potem jeszcze raz wieczorem. Myje naczynia i takie tam.

– Och! – Poczułam, że się rumienię, uśmiechnęłam się niedorzecznie i zaśmiałam cicho. – Och, rozumiem. Myślałam... Nieważne. To nie ma znaczenia.

Nie było czasu na analizę, jaką to mi przyniosło ulgę, ale miałam wcześniej dziwne wrażenie wytrącenia z równowagi, zaskoczenia

czymś, czego nie spodziewałam się napotkać.

– No, to miło było cię poznać, Rowan.

– Wzajemnie... Jack. – Wypowiedziałam jego imię trochę skrępowana i znowu się zarumieniłam. Ponad doliną usłyszałam dźwięk nadjeżdżającego pociągu. – Do widzenia.

– Do widzenia. – Podał mi walizkę, a ja ją chwyciłam, nadal naśladując jego zaokrąglony, urzekający uśmiech, i zaczęłam iść na peron, napominając się surowo, by *nie* oglądać się za siebie. Kiedy w końcu wjechał pociąg, wsiadłam do niego i usadowiłam się w wagonie, zaryzykowałam ostatnie spojrzenie przez okno na miejsce, w którym wcześniej stał. Ale już go nie było. I tak, ponieważ pociąg ruszył już z dworca, ostatnie, co wówczas zapamiętałam z Carn Bridge, to widok pustego peronu, nieskazitelnie czystego; skąpany w słońcu, czekał na mój powrót.

Z powrotem w Londynie przygotowałam się na to, że będę cierpieć w męczarniach, czekając na odpowiedź. „Naprawdę niedługo” – powiedziała Sandra. Ale co to znaczyło? Na pewno mnie polubiła – chyba że się łudziłam. Ale odbyłam już dość rozmów kwalifikacyjnych, aby umieć określić nastrój panujący podczas zegnania się. W ostatnich miesiącach doświadczyłam zarówno triumfu, kiedy stawiałam na wysokości zadania, jak i wściekłego rozczarowania tym, że sama siebie zawiodłam. W powrotnym pociągu do Londynu czułam się bliżej tego pierwszego.

Czy będę rozmawiać jeszcze z innymi osobami? Wydawała się taka zdesperowana, żeby znaleźć kogoś, kto może szybko zacząć, a przecież musiała wiedzieć, że każdy dzień, w którym nie da mi znać, oznacza kolejny dodatkowy dzień, w którym nie będę mogła dla niej pracować. Ale co, jeśli jedna z pozostałych kandydatek będzie mogła zacząć od razu?

Biorąc pod uwagę, że Sandra podkreśliła: „naprawdę niedługo”, pozwoliłam sobie czekać na telefon, kiedy dotrę do domu, ale nie dostałam żadnej wiadomości ani wieczorem tego samego dnia, ani

kolejnego, gdy wyszłam do pracy. W Little Nippers musiałyśmy zostawiać nasze komórki wyłączone w szafkach, więc poddałam się długiemu porankowi spędzonemu na wysłuchiwanie, jak Janine nawija o swoim nudnym chłopaku, a do tego dyryguje mną i Hayley, ale przez cały ten czas myślami byłam gdzie indziej.

Moja przerwa na lunch zaczynała się dopiero o trzynastej, ale gdy tylko wybiła na zegarze, pospiesznie zapięłam pieluszkę, którą właśnie zmieniałam, wstałam i podałam dziecko Hayley.

– Przepraszam, Hayley, możesz go wziąć? Coś mi wypadło, muszę to załatwić.

Ściągnęłam foliowy jednorazowy fartuch i dosłownie pobiegłam do pokoju socjalnego. Tam wyjęłam torbę z szafki i uciekłam tylnym wyjściem na małe, betonowe podwórko, z dala od spojrzeń dzieci i rodziców. Używałyśmy go do palenia, telefonowania oraz innych czynności, których nie wolno nam było robić podczas pracy. Wydawało mi się, że trwało to wieki, zanim komórka się włączyła i przestała pokazywać w nieskończoność ekran startowy, ale w końcu pojawił się ekran blokady. Drżącymi rękoma wpisałam hasło i odświeżyłam pocztę mailową, trzymając się przy tym za naszyjnik, badając palcami pętelki i żłobienia, podczas gdy wiadomości się pobierały.

Jedna... dwie... Przyszły trzy, wszystkie albo nieważne, albo spam, i poczułam, że serce mi pęka – dopóki nie dostrzegłam małej ikonki w rogu ekranu. Miałam wiadomość na poczcie głosowej.

Bez przerwy przewracało mi się w żołądku i wręcz mnie zemdliło, kiedy niecierpliwie wyczekiwałam końca automatycznych komunikatów. Jeśli to się nie udało... Jeśli to się nie udało...

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co będzie, jeśli się nie uda. Ale zanim zdążyłam skończyć tę myśl, usłyszałam sygnał oraz urywany, afektowany akcent Sandry, brzmiący metalicznie z małego głośniczka.

– O, cześć, Rowan. Przepraszam, że nie rozmawiam z tobą osobiście, pewnie jesteś w pracy. Cóż, niezmiernie miło mi

poinformować, że omówiliśmy to z Billem i chętnie zaproponujemy ci pracę, *pod warunkiem*, że możesz zacząć najpóźniej siedemnastego czerwca, a jeśli się da, to wcześniej. Zdaję sobie sprawę, że nie omówiliśmy szczegółów oraz kwestii premii, o której wspomniałam w moim mailu. Planowaliśmy wypłacać ci dietę w wysokości tysiąca funtów miesięcznie, a reszta trafiłaby do ciebie w grudniu w formie końcoworocznej premii. Mam nadzieję, że to jest dla ciebie do zaakceptowania. Zdaję sobie sprawę, że to może trochę niekonwencjonalne, ale skoro zamieszkasz u nas, nie będziesz miała wiele codziennych wydatków. Jeśli możesz, to jak najszybciej daj mi znać, czy przyjmujesz naszą propozycję i... aha, tak, cudownie było cię wczoraj poznać. Byłam pod wrażeniem, jak dzieci do ciebie lgnęły, zwłaszcza Maddie. To zwykle nie jest najłatwiejsze dziecko i... oj, znowu się rozgadałam, więc lepiej już skończę, ale bardzo chcielibyśmy cię mieć u siebie. Czekam na twoją wiadomość.

Rozbrzmiało kliknięcie i nagranie się zakończyło.

Przez chwilę nie mogłam się poruszyć. Po prostu tam stałam z telefonem w dłoni, gapiąc się w ekran. A potem zalała mnie wielka fala euforii i zaczęłam tańczyć, skakać w kółko, wymachiwać rękoma w powietrzu i śmiać się jak obłąkana.

– Cholera jasna, co w ciebie wstąpiło? – odezwał się ponad moim ramieniem szorstki od papierosów głos i odwróciłam się, wciąż roześmiana. O drzwi opierała się Janine z papierosem w jednej dłoni i zapalniczką w drugiej.

– Co we mnie wstąpiło? – odparłam z założonymi rękoma, pełna radości, której nawet nie próbowałam ukrywać. – Zaraz ci opowiem, Janine, co we mnie wstąpiło. Dostałam nową pracę.

– No cóż. – Janine otworzyła zapalniczkę z odrobinę kwaśną miną. – Nie musisz od razu wyglądać tak triumfująco.

– Oj, proszę cię, masz równie dość Val, co ja. Roluje nas wszystkie, i dobrze o tym wiesz. W ubiegłym roku podniosła czesne

o dziesięć procent, a my, asystentki, ledwo dostajemy płacę minimalną. Nie może tego już zawsze zwać na recesję.

– Jesteś po prostu wkurzona o to, że to ja zostałam szefową oddziału niemowląt – oznajmiła Janine. Zaciągnęła się papierosem, po czym podsunęła mi swoją paczkę. Próbowałam rzucić, ze względu na astmę (w sumie oficjalnie to już *rzuciłam*), ale trafiła w sedno, więc wzięłam jednego i zapaliłam go powoli, bardziej żeby dać sobie czas na opanowanie się niż dlatego, że naprawdę chciałam zapalić. *Rzeczywiście* byłam wkurzona, że dostała awans, bo uważałam, że mam od niej większe szanse. Wydawało mi się, że jestem pewniakiem na to miejsce; to, że przyznano je Janine, bolało jak cios w sam brzuch. Ale Val powiedziała wtedy, że były dwie kandydatki i tylko jedna praca. Nie mogła nic na to poradzić. Mimo wszystko to mnie zabolowało, zwłaszcza kiedy Janine zaczęła się rządzić i wydawać rozkazy tym swoim drażniącym, zawodzącym głosem.

– W każdym razie teraz nie ma to znaczenia – odparłam, ze słodkim uśmiechem oddałam jej zapalniczkę i wydmuchnęłam dym. – I tak wyjdzie mi to na dobre. – Uśmiechnęła się do mnie jakby z wyższością, więc nieco złośliwie dodałam: – Właściwie dużo lepsze.

– Co masz na myśli? – spytała. Zmrużyła oczy. – Mówimy o kwocie wyższej niż trzydzieści patyków?

Pokazałam dłonią w górę, a jej oczy zrobiły się większe.

– Czterdzieści? *Pięćdziesiąt kawałków?*

– *I z zakwaterowaniem* – dodałam zadowolona z siebie, a jej opadła szczęka. Pokręciła głową.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

– Nie robię. – Nagle papieros zrobił mi się już niepotrzebny. Zaciągnęłam się po raz ostatni i rzuciłam go pomiędzy inne niedopałki na podwórku oraz rozgniotłam obcasem. – Dzięki za fajkę. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę wykonać telefon i przyjąć posadę.

Zadzwoiłam do Sandry, słuchałam, jak telefon dzwoni, a potem przełącza się na pocztę głosową. Do pewnego stopnia poczułam ulgę, że nie muszę przed Janine gimnastykować się w sprawie daty rozpoczęcia pracy. Gdyby wiedziała, że to dla mnie być albo nie być, mogłaby powiedzieć Val, która potrafiłaby specjalnie utrudnić mi życie.

– O, cześć, Sandro – odezwałam się po usłyszeniu sygnału. – Bardzo ci dziękuję za wiadomość, jestem zachwycona i z przyjemnością przyjmę tę ofertę. Ze swojej strony muszę uporządkować kilka rzeczy, ale wyślę ci e-mail z informacją, kiedy mogę rozpocząć. Jestem pewna, że to nie będzie problem. I... no, chyba dziękuję! Będziemy w kontakcie. Daj znać, czy potrzebujesz jeszcze czegoś ode mnie dla dopełnienia formalności.

A potem się rozłączyłam.

Jeszcze tego samego dnia wręczyłam Val wypowiedzenie. Próbowła udawać, że cieszy się moim szczęściem, ale wyglądała na wkurzoną, zwłaszcza kiedy ją poinformowałam, że mam zaległy urlop, co oznacza, iż będę kończyć szesnastego czerwca, a nie pierwszego lipca, jak zakładała. Próbowła mi powiedzieć, że powinnam przepracować okres wypowiedzenia i odebrać wynagrodzenie za urlop, ale kiedy dałam jej do zrozumienia, że możemy o tym porozmawiać w sądzie, wycofała się.

Kolejne kilka dni to był wir zajęć i formalności. Sandra rozliczała całą swoją księgowość zdalnie poprzez firmę w Manchesterze i chciała, żebym skontaktowała się bezpośrednio z nimi w kwestii szczegółów płatności oraz danych osobowych zamiast wysyłać wszystkie dokumenty do Szkocji. Spodziewałam się, że to będzie spora przeszkoda, że może nawet będę musiała pojechać do Manchesteru na spotkanie na żywo, ale ostatecznie okazało się to zaskakująco, niemal niepokojąco, proste – przekazałam im e-mail od Sandry z numerem referencyjnym, a kiedy odpowiedzieli, załączyłam skan paszportu, rachunki za media oraz dane bankowe, o które poprosili. Poszło gładko. Jakby tak właśnie miało być.

„Duchom by się to nie spodobało”.

To zdanie tłuło mi się po głowie, wypowiedziane piskliwym głosem Maddie, którego dziecięce drżenie nadawało słowom upiorność, którą normalnie bym zlekceważyła.

Ale to były brednie. Kompletne brednie. Nie dojrzałam nawet cienia niczego ponadnaturalnego przez cały ten czas, który spędziłam w Carn Bridge. Bardziej prawdopodobne, że była to po prostu przykrywka zmyślona przez opiekunki tęskniące za domem,

ledwo dwudziestoletnie dziewczyny ze słabym angielskim, które nie potrafiły znieść izolacji oraz odległości tego miejsca. Widziałam ich już dość wiele w Londynie, by wiedzieć, jak się zachowują – raz nawet zgodziłam się wziąć takie zastępstwo na ostatnią chwilę, kiedy któraś zwiła nocą z powrotnym biletem, a rodzice musieli sami pozbierać wszystko do kupy. To nie było rzadkie.

Byłam od nich znacznie starsza i mądrzejsza, miałam też bardzo dobrą motywację. Żadne rzekome „nawiedzenie” nie mogło sprawić, bym odrzuciła tę szansę.

Patrzę teraz wstecz i mam ochotę potrząsnąć tą pewną siebie młodą kobietą, siedzącą w swoim londyńskim mieszkaniu i myślącą, że zna się na wszystkim, wszystko już widziała.

Chciałabym dać jej po twarzy i powiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym mówi.

Ponieważ się myliłam, Panie Wrexham. Bardzo, bardzo się myliłam.

Niecałe trzy tygodnie później stałam na peronie w Carn Bridge otoczona tyloma walizkami i pudłami, że wydawało się niemożliwe, by jedna osoba uniosła je wszystkie.

Kiedy Jack nadszedł peronem, kołysząc kluczykami w dłoni, dosłownie wybuchnął śmiechem.

– Chryste, jak ty to wszystko przeniosłaś w Londynie?

– Powoli – przyznałam szczerze. – I w bólach. Wzięłam taksówkę, ale to i tak był cholerny koszmar.

– No, dobrze, że dojechałaś – odparł i złapał moje dwie największe walizki. Odepchnął mnie po przyjacielsku, kiedy próbowałam mu zabrać mniejszą. – Nie, nie, ty weź resztę.

– *Proszę*, ostrożnie – powiedziałam zmartwiona. – Są naprawdę ciężkie. Nie chcę, żebyś sobie nadwreżył kręgosłup.

Uśmiechnął się, jakby ta możliwość była tak odległa, by można sobie z niej drwić.

– Chodź, samochód stoi tam.

Był to kolejny wspaniały dzień – gorący i słoneczny – i chociaż słońce zaczęło się chować za horyzontem, a cienie się wydłużały, kolcolist nadal głośno trzaskał, kiedy jechaliśmy cicho zadrzewionymi alejami i drogami przez wrzosowiska w kierunku Heatherbrae. Kiedy wjechaliśmy na podjazd, dom wydał mi się jeszcze piękniejszy, niż zapamiętałam, skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Drzwi były otwarte, a psy biegały wszędzie i ujadały jak szalone. Nagle z lekkim zaskoczeniem uświadomiłam sobie, że gdy Sandra i Bill wyjadą, prawdopodobnie będę się zajmować także nimi, nie tylko dziećmi. A może to też zadanie Jacka? Musiałam się dowiedzieć. Dwa starszaki i maluch mieściły się w mojej strefie komfortu. Nastolatka także, dam sobie radę.

A przynajmniej miałam taką nadzieję. Ale gdy dodać do tego dwa hałaśliwe psy, zaczynam czuć się trochę przytłoczona.

– Rowan! – Sandra z wyciągniętymi w moją stronę ramionami wybiegła przez drzwi wejściowe i jeszcze zanim zdążyłam do końca wysiąść z auta, objęła mnie matczynym uściskiem. Potem się odsunęła i pomachała dłonią na postać stojącą w cieniu ganku: wysokiego mężczyznę, lekko łysiejącego, z gładko przystrzyżonymi ciemnymi włosami.

– Rowan, poznaj mojego męża, to jest Bill. Bill, poznaj Rowan Caine.

A więc *to* był Bill Elincourt. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć, i po prostu tam stałam, niezręcznie świadoma obejmującego mnie ramienia Sandry, niepewna, czy powinnam się jej wyrwać i przywitać z nim, czy...

Nadal stałam bez ruchu, niezdecydowana, kiedy on rozwiązał ten problem, podchodząc do mnie. Wyciągnął dłoń i rzucił mi szybki, służbowy uśmiech.

– Rowan. Miło cię w końcu poznać. Sandra dużo mi o tobie opowiadała. Masz naprawdę imponujący życiorys.

To nie jest nawet połowa, Bill, pomyślałam, a on wyjął jedną z moich walizek z bagażnika i ruszył do domu. Wzięłam głęboki wdech i poszłam za nim, a wtedy moja dłoń nerwowo powędrowała do naszyjnika. Ale tym razem, zamiast śledzić jego znajome żłobienia, wsunęłam wisiołek za dekolot koszuli i pospieszyłam za Billem.

W kuchni wypiliśmy kawę. Siedziałam zdenerwowana na brzegu jednego z metalowych kuchennych stołków, podczas gdy Bill wypytywał o moje kwalifikacje. Denerwowałam się dużo bardziej niż podczas wcześniejszych rozmów z Sandrą. Chciałam... Sama nie wiem. Chyba chciałam zrobić na nim wrażenie. Ale w tym samym czasie, kiedy on głądził o swoim wyczerpującym grafiku oraz problemach związanych z zatrudnianiem ludzi w rejonie

Highlands, a także niedostosowaniu poprzednich niań, coraz bardziej miałam ochotę nim potrząsnąć.

Nie wiem, kogo sobie wcześniej wyobrażałam. Chyba człowieka sukcesu. Kogoś takiego spodziewałam się po zobaczeniu ogłoszenia i domu. Kogoś, kto ma szczęście – te piękne dzieci, spełnioną żonę i ciekawą pracę. Wszystko to wzięłam za pewnik. Ale on był taki... taki *wygodny*. Jakby wyściełany – centymetr po centymetrze. Nie chodzi mi o to, że był gruby, tylko zamortyzowany fizycznie, emocjonalnie, finansowo, w taki sposób, którego sobie najwyraźniej nie uświadamiał, i właśnie jego ignorancja tego faktu sprawiała, że było to jeszcze bardziej wkurzające.

„Czy ty wiesz, jak to jest?” – chciałam mu wykrzyknąć, kiedy narzekał na ogrodnika, który wyjechał, by objąć stanowisko nauczyciela w Edynburgu, oraz na pomoc domową, która zepsuła rozdrabniacz w zlewie wart osiemset funtów, a potem uciekła, bo nie umiała im się przyznać, co zrobiła. „Czy ty wiesz, jak to jest być człowiekiem, który nie ma twoich pieniędzy, twojego zabezpieczenia i twoich przywilejów?”

Gdy tak siedział, rozwodząc się nad tym wszystkim, jakby na świecie nie było nic ważniejszego od jego błahych problemów, a Sandra gapiała się z podziwem na jego twarz, z radością wysłuchując tego niekończącego się głędzenia, zrozumiałam coś z bólem. On był *samolubny*. Samolubny, skupiony na sobie facet, który nie zadał mi nawet jednego osobistego pytania – choćby o to, jak mi minęła podróż. Po prostu go to nie obchodziło.

Nie wiem, co spodziewałam się poczuć po spotkaniu z nim – ten mężczyzna nie zawracał sobie nawet głowy przeprowadzeniem rozmowy z osobą, z którą planował zostawić swoje dzieci na całe tygodnie – ale nie spodziewałam się, że poczuję tak dużą wrogość. Wiedziałam, że muszę się opanować, bo będzie to po mnie widać.

Być może Sandra dostrzegła moje zakłopotanie, bo zaśmiała się cicho i wtrąciła:

– Kochanie, Rowan nie chce słuchać o naszych kłopotach. Po prostu pamiętaj, żeby nie wkładać sztućców do rozdrabniacza, Rowan! Właśnie, teraz już poważnie, wszystkie instrukcje masz tutaj. – Poklepała grubo, czerwony segregator leżący koło jej łokcia.

– To fizyczna kopia dokumentu, który wysłałam ci w ubiegłym tygodniu, i jeśli nie miałaś jeszcze czasu, żeby usiąść i go przeczytać, znajdziesz tam wszystko, poczynając od obsługi pralki, poprzez pory snu dzieci, aż po rzeczy, które lubią i których nie lubią jeść. Jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości, tutaj znajdziesz wszystkie odpowiedzi, chociaż oczywiście zawsze możesz do mnie zadzwonić. Pobrałaś już Happy?

– Słucham?

– Happy, tę aplikację do zarządzania domem. Wysłałam ci kod autoryzacyjny?

– Och, przepraszam, aplikację, tak, pobrałam ją.

Wyglądała, jakby poczuła ulgę.

– Dobrze, to jest najważniejsze. Ustawiłam ci na Happy profil ze wszystkimi upoważnieniami, których będziesz potrzebować, poza tym działa to także jako elektroniczna niania, chociaż mamy też zwykłą w pokoju Petry. Wiesz, zabezpieczamy się podwójnie, ale ta aplikacja jest bardzo dobra. Co jeszcze...? Aha... jedzenie! Przygotowałam ci planer menu. – Wyjęła luźną kartkę z plastikowej kieszonki na początku segregatora. – Pełno w nim rzeczy, które powinny jeść; kupiłam składniki, więc masz wszystko na pierwszy tydzień. Poza tym są tam wszystkie hasła do internetowego sklepu Waitrose i tak dalej, a tutaj karta kredytowa na domowe wydatki. Wyciąg przychodzi bezpośrednio do mnie i do Billa, ale zachowaj, oczywiście, paragony... Wystarczy zdjęcie w telefonie, nie musisz zbierać papierów. Hm... co jeszcze? Pewnie masz mnóstwo pytań?

To ostatnie powiedziała trochę z nadzieją, chociaż nie byłam do końca pewna, czy liczy, że jej coś podpowiem, czy chciała, żebym zaprzeczyła.

– Przeczytałam twój e-mail – odparłam, choć szczerze mówiąc, ponieważ załącznik zawierał koło pięćdziesięciu gęsto zapisanych stron, tylko przeleciałam je wzrokiem. – Ale oczywiście wydruk będzie bardzo pomocny, zawsze łatwiej przekartkować fizyczną kopię. To było imponująco dobrze skompilowane. Myślę, że wszystko już znam: rytm dnia Petry, alergię Ellie, Maddie i jej... hm... – Przerwałam, niepewna, jak sformułować to, co Sandra nazwała „wybuchową osobowością” swojej córki. Wyglądało na to, że Maddie jest trudna, a przynajmniej może być.

Sandra zauważyła moje spojrzenia i dostrzegła zakłopotanie – posłała mi potwierdzający uśmiech.

– Och, Maddie! Rhiannon zostaje na ten weekend w szkole na uroczystości zakończenia roku. Wraca do domu w przyszłym tygodniu, załatwiłam jej podwózkę i wszystko, więc tym się nie musisz martwić. Co jeszcze... Co jeszcze?

– Wydaje mi się, że nie ustaliliśmy do końca, kiedy wyjeżdżacie – zauważyłam z wahaniem. – Na pewno napisałaś mi w e-mailu, że w przyszłym tygodniu macie targi. Kiedy dokładnie się zaczynają? W przyszłą sobotę?

– Ojej. – Sandra wyglądała na zaskoczoną. – Nie powiedziałam tego? Boże, to niezłe przeoczenie. To jest... hm, no to jest właściwie jedyny problem. W sobotę, ale nie przyszłą, tylko tę. Wyjeżdżamy jutro.

– Co takiego? – Przez chwilę wydawało mi się, że źle usłyszałam. – Mówisz, że wyjeżdżacie *jutro*?

– Taaaak... – odparła Sandra, nagle z niepewną miną. – Mamy pociąg o dwunastej trzydzieści, więc wyjedziemy tuż przed lunchem. Czy... Czy to problem? Jeśli nie czujesz się pewnie, zaczynając tak z biegu, mogę spróbować przełożyć moje wcześniejsze spotkania...

Zamilkła, a ja przełknęłam ślinę.

– Nie, w porządku – odparłam z pewnością, której tak do końca nie czułam. – To znaczy kiedyś i tak musiałabym się wziąć do

roboty. Nie wydaje mi się, żeby to zrobiło dużą różnicę, czy w ten weekend, czy w kolejny.

Jesteś szalona?! – krzyczał głos w mojej głowie. Odbiło ci? Prawie nie znasz tych dzieci.

Ale inny głos szeptał coś zupełnie odwrotnego: *Dobrze*. Ponieważ na swój sposób czyniło to dla mnie wszystko znacznie prostszym.

– Możemy reagować na bieżąco – ciągnęła Sandra. – Będę pod telefonem. Jeśli dzieciaki okażą się zbyt niespokojne, to może przylecę jakoś w środku tygodnia? Przez pierwszych kilka dni będziesz miała tylko maluchy, mam nadzieję, że dzięki temu to przejście okaże się prostsze...

Znowu przerwała, tym razem odrobinę zakłopotana, ale ja kiwałam głową. Naprawdę kiwałam głową, twarz miałam sztywną od wysiłku, z jakim ukrywałam swoje prawdziwe odczucia.

– No dobrze – odezwała się w końcu Sandra. Odstawiła swój kubek z kawą. – Nie chcę oddawać ci całkiem mojego ostatniego wieczoru z nimi, ale może zajmiemy się dziewczynkami razem, żebyś zapoznała się z ich zwyczajami?

Pokiwałam głową i poszłam za nią. Wyprowadziła mnie z tej katedry z przyciemnianego szkła w kierunku ukrytych drzwi do pokoju telewizyjnego.

W środku zaciągnięto zasłony; podłoga nadal wyściełana była rozrzuconymi klockami Duplo i poturbowanymi lalkami, a dwie małe dziewczynki siedziały skulone na kanapie, ubrane we flanelowe piżamy, ściskając miękkie, sfatygowane misie. Maddie ssała kciuk, chociaż kiedy jej matka weszła do pokoju, wyjęła go szybko z buzi, podskakując, jakby przyłapana. Postanowiłam sprawdzić to potem w segregatorze.

Przysiadłyśmy na podłokietnikach sofy, Sandra czule przeczeswała palcami jedwabiste loczki Ellie, a kiedy odcinek bajki się skończył, podniosła pilota i wyłączyła telewizor.

– Oj, maaaamooooo – rozbrzmiał natychmiast chór, choć mało entuzjastyczny, jakby nie spodziewały się zgody Sandry. – Jeszcze

tylko jedną!

– Nie, słonka – odparła Sandra. Podniosła Ellie, która oplótła ją nogami wokół pasa i ukryła twarz w jej ramionach. – Jest superpóźno. Chodźcie, idziemy na górę. Jeśli będziecie miały *dużo* szczęścia, to Rowan poczyta wam dziś wieczorem bajkę.

– Nie chcę Rowan – szepnęła Ellie w zagłębienie szyi matki. – Chcę ciebie.

– No... to zobaczymy na górze – odparła Sandra. Poprawiła sobie Ellie, żeby było jej wygodniej, i wyciągnęła dłoń do Maddie. – Chodź, kochanie. Na górę.

– Chcę *ciebie* – powtórzyła uparcie Ellie, kiedy Sandra zaczęła się wspinać po schodach, a ja podążyłam w ślad za nią. Sandra spojrzała na mnie, wywróciła oczami i uśmiechnęła się przez ramię.

– Wiesz co – szepnęła do Ellie, chociaż specjalnie na tyle głośno, żebym usłyszała. – Może jedna bajka ode mnie *i* jedna bajka od Rowan. Co ty na to?

Ellie nie odpowiedziała, wtuliła tylko mocniej twarz w ramię Sandry.

Na piętrze zasłony były zaciągnięte i widziałam blade, różowe światło nocnej lampki Petry sączące się na dywan. Sandra doglądała mycia zębów i toalety, a ja poszłam korytarzem wyłożonym miękką wykładziną do pokoju Maddie i Ellie.

I oto one – dwa małe łóżka, każde skapane w delikatnym blasku lampki nocnej, jedno różowe, drugie w kolorze ciemnej brzoskwini. Nad każdym wisiał zestaw oprawionych kartek – odcisk stópki niemowlaka, rysunek, który można było uznać za kota, motylek zrobiony z odcisków dwóch pulchnych dłoni – wokół ramek wisiały splecione ozdobne światełka, dając im lekki blask.

Było idealnie jak z obrazka – jak na zdjęciu z katalogu przedszkola.

Usiadłam ostrożnie w nogach jednego z małych łóżek i w końcu usłyszałam kroki oraz jęczące głosy, szybko uciszone przez Sandrę.

– Ciii, Maddie, obudzisz Petrę. Chodźcie, zdejmijcie szlafroki i do łóżek.

Ellie wskoczyła do swojego, ale Maddie stała przez chwilę nieporuszona, patrząc na mnie, i zrozumiałam, że siedzę właśnie na jej łóżku.

– Chcesz, żebym się przesunęła? – spytałam, ale nic nie odpowiedziała, założyła tylko ręce w buntowniczym geście, położyła się do łóżka i odwróciła głową do ściany, jakby udając, że mnie tam nie ma.

– Może usiądę na pufie? – zaproponowałam Sandrze, ale ona się zaśmiała i pokręciła głową.

– Nie trzeba. Zostań tam. Maddie często potrzebuje trochę czasu, żeby się zaprzyjaźnić z ludźmi, prawda, kochanie?

Maddie nic nie odpowiedziała, a ja raczej nie miałam jej za złe. To musi być bardzo nieprzyjemne, słuchać takich rozmów z nieznanymi o sobie.

Sandra zaczęła czytać bajkę o Kubusiu Puchatku niskim, usypiającym głosem, a kiedy skończyła wreszcie ostatnie zdanie, nachyliła się, żeby spojrzeć na twarz Ellie. Dziewczynka miała zamknięte oczy i bardzo cicho pochrapywała. Sandra pocałowała ją w policzek, wyłączyła lampkę, po czym wstała i podeszła do mnie.

– Maddie – odezwała się bardzo cicho. – Maddie, chcesz usłyszeć bajkę Rowan?

Maddie nic nie powiedziała, a Sandra się pochyliła i zerknęła na jej twarz, nadal zwróconą do ściany. Miała zamknięte oczy.

– Śpi jak kamień – szepnęła Sandra, w jej głosie dało się słyszeć triumfalną nutkę. – No cóż, twoje wykonanie będzie musiało poczekać do jutra. Przykro mi, że go nie usłyszałam.

Ucałowała również policzek Maddie, nakryła ją trochę mocniej kołdrą i wsunęła jej jakąś maskotkę pod brodę – nie widziałam, co dokładnie – a potem wyłączyła także jej lampkę, pozostawiając tylko blask nocnej. Potem rzuciła ostatnie spojrzenie na śpiące córki i ruszyła na korytarz, a ja za nią.

– Możesz zamknąć za sobą drzwi? – poprosiła, a ja się odwróciłam, żeby to zrobić, i zerknęłam na dwa białe łóżka oraz ich lokatorki, obie pogrążone w cieniu.

Lampka nocna była bardzo słaba i zamontowana zbyt blisko podłogi, by pokazywać więcej niż cienie wokół łóżek dziewczynek, chociaż przez chwilę, głęboko w ciemności, wydawało mi się, że widzę błysk pary wpatrzonych we mnie małych oczu.

Potem oczy zniknęły, a ja zamknęłam za sobą drzwi.

Nie mogłam tej nocy spać. Nie chodziło o łóżko, bo było tak samo przepysznie wygodne, jak poprzednio. Nie chodziło o ogrzewanie. Pokój był przytłaczająco gorący, kiedy tam weszłam po raz pierwszy, ale udało mi się przekonać system, żeby przestawił się w tryb chłodzenia, i teraz powietrze zrobiło się przyjemne. Nie chodziło nawet o to, że martwiłam się, jak sobie poradzę następnego dnia sama z dziećmi. Raczej odczuwałam ulgę, że pozbędę się Billa i Sandry. No... nie Sandry... szczerze mówiąc, przede wszystkim Billa.

Jeszcze raz przypomniało mi się niezręczne zakończenie tego wieczoru. Siedzieliśmy w kuchni, rozmawiając i plotkując, a potem w końcu Sandra się przeciągnęła, ziewnęła i obwieściła, że zamierza się wcześniej położyć.

Pocałowała Billa i poszła na górę, a ja właśnie myślałam o tym, żeby pójść w jej ślady, kiedy Bill bez pytania uzupełnił oba nasze kieliszki.

– Och – zaprotestowałam bez przekonania. – Ja... To znaczy nie powinnam...

– Daj spokój. – Przesunął kieliszek w moją stronę. – Tylko jeden. Przecież to moja jedyna szansa, żeby cię poznać, zanim powierzę swoje dzieci twojej opiece! O ile wiem, mogłabyś być kimkolwiek.

Uśmiechnął się, jego opalone policzki pokryły się zmarszczkami, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile ma lat. Między czterdzieści a sześćdziesiąt, trudno powiedzieć. Miał okulary bez oprawek, opaloną, trochę zniszczoną wiatrem twarz, a krótkie włosy nadawały mu niemal ponadczasowy wygląd, nieco w stylu Bruce'a Willisa.

Byłam bardzo zmęczona – długa podróż i nerwy związane z pakowaniem w końcu mnie przytłoczyły. Ale w jego uwadze było tyle prawdy, że westchnęłam w myślach i przysunęłam sobie kieliszek. Ostatecznie miał rację. To była nasza jedyna szansa, żeby się poznać przed jego wyjazdem. Gdybym odmówiła, wyglądałoby to dziwnie, jakbym go unikała.

Oparł brodę na jednej dłoni i przyglądał się, jak podnoszę kieliszek i przykładałam go do ust. Głowę miał przechyloną, a jego oczy śledziły cały ruch płynu i zatrzymały się na ustach.

– Więc kim jesteś, Rowan Caine? – spytał. Mówił trochę niewyraźnie i zastanawiałam się, ile wypił.

Coś, coś w jego tonie, oraz bezpośredniość tego pytania, niewygodna, intensywna bliskość jego spojrzenia sprawiły, że z nerwów przewróciło mi się w żołądku.

– A co byś chciał wiedzieć? – odparłam, siląc się na niefrasobliwość.

– Przypominasz mi kogoś... Ale nie wiem kogo. Może gwiazdę filmową. Nie masz chyba żadnych sławnych krewnych? Siostry w Hollywood?

Uśmiechnęłam się na tę dość wyświechtaną gadkę.

– Nie, zdecydowanie nie. Jestem jedynaczką, a poza tym moja rodzina jest najzwyczajniejsza na świecie.

– Może z pracy... Ktoś z twojej rodziny zajmuje się architekturą?

Pomyślałam o firmie ubezpieczeniowej mojego ojczyma i ledwo powstrzymałam się od wywrócenia oczami. Zamiast tego pewnie pokręciłam głową, a on spojrzał na mnie sponad swojego kieliszka, marszcząc brwi tak, że nad nosem pojawiła mu się głęboka bruzda.

– Może chodzi o... jak jej tam. Tę kobietę z *Diabeł ubiera się u Prady*.

– Kogo, Meryl Streep? – spytałam, tak zaskoczona własnym zdenerwowaniem, że się zaśmiałam. On niecierpliwie pokręcił głową.

– Nie, ta druga. Ta młoda. O, Anne Hathaway. Jesteś do niej podobna.

– Anne Hathaway? – Staralam się nie wyglądać na tak sceptyczną, jak się czułam. Może gdyby Anne Hathaway przytyła ze dwadzieścia albo trzydzieści kilogramów, miała blizny po trądziku i włosy obcięte przez stażystkę u fryzjera... – Szczerze mówiąc, Bill, jesteś bardzo uprzejmy, ale pierwszy raz w życiu słyszę takie porównanie.

– Ale to nie chodzi o to. – Wstał, obszedł kuchenną wyspę, usiadł na lśniącym, chromowanym stołku koło mnie z tak szeroko rozłożonymi nogami, że nie mogłabym się poruszyć, nie ocierając się o jego udo. – Nie o to chodzi. Zdecydowanie mam wrażenie, że już się spotkaliśmy. Mówiłaś, że u kogo wcześniej pracowałaś?

Ponownie wyrecytowałam mu listę, a on z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Nie znam nikogo. Może tylko coś sobie wyobraziłem. Wydaje mi się, że pamiętałbym twarz... twarz taką jak twoja.

Cholera. Coś mi się skręciło w żołądku. Bywałam w tej sytuacji zbyt często, żeby nie rozpoznać, do czego zmierza. Moja pierwsza praca po szkole, młodej kelnerki; szef kusił mnie podwyżką i komplementował mój biustonosz w kolorze fuksji. Niezliczeni zboczeńcy podczas wieczorów na mieście, wciskający się pomiędzy mnie a drzwi. Napaleni tatusiowie w żłobku, próbujący wzbudzić współczucie, bo niby żony po porodzie ich nie rozumiały...

Bill był jednym z *nich*.

Był moim pracodawcą. Był mężem mojej szefowej. A co najgorsze, był...

Jezu. Nie mogę tego z siebie wydusić.

Ręce zaczęły mi się trząść, więc mocniej zacisnęłam palce wokół nóżki kieliszka, usiłując to ukryć.

Odkasznęłam i spróbowałam odsunąć swoje krzesło, ale było zablokowane brzegiem wyspy kuchennej. Umięśnione, okryte

jeanssem uda Billa blokowały mi drogę, skutecznie uniemożliwiając mi zejście z krzesła.

– To ja może już pójde na górę. – Przez nerwy mój głos brzmiał na wyższy niż zwykle. – Jutro wczesna pobudka.

– Nie ma pośpiechu – odparł, wyciągnął rękę, wyjął mi kieliszek z palców, napełnił go, a potem przybliżył dłoń do mojej twarzy. – Po prostu... Masz tu trochę...

Jego gładki, lekko spocony kciuk musnął kącik mojej dolnej wargi i poczułam, że jedno kolano bardzo delikatnie ociera się o moje.

Na sekundę znieruchomiałam i zalała mnie, wręcz dławiąc, dygocząca fala panicznych mdłości. A potem straciłam panowanie nad sobą, gwałtownie ześlizgnęłam się ze stołka i odepchnęłam go tak gwałtownie, że wino się przechyliło i wylało na posadzkę.

– Przepraszam – wyjąkałam. – Strasznie przepraszam, zaraz przyniosę ścierkę...

– W porządku – odparł. Nie był w najmniejszym stopniu skonsternowany, tylko zaskoczony moją reakcją. Został na swoim miejscu, pół siedząc, pół opierając się wygodnie o krzesło barowe, a ja wzięłam ścierkę do naczyń i wytarłam podłogę między jego nogami.

Na sekundę podniosłam na niego oczy, a on spojrzał w dół, i przyszedł mi na myśl żart, który słyszałam tysiące razy, zawsze w towarzystwie rubasznego śmiechu: „Skoro już jesteś na dole, skarbie...”.

Wstałam z twarzą płonąca rumieńcem i wrzuciłam brudną od wina ścierkę do zlewu.

– Dobranoc, Bill – rzuciłam szorstko i obróciłam się na pięcie.

– Dobranoc, Rowan.

Po czym poszłam na drugie piętro, do łóżka, nie odwracając się za siebie.

Kiedy zatrzasnęłam za sobą drzwi mojego nowego pokoju, owładnęło mną poczucie ulgi. Rozpakowałam się już wcześniej

i mimo że nie czułam się jeszcze w tym pokoju jak w domu, miałam poczucie, że jest to mały kąt w tym budynku, który należy do mnie, mogę się tam wyciągnąć, przestać grać, przestać być Idealną Nianią Rowan i stać się po prostu... sobą.

Ściągnęłam gumkę ze swojego wesołego, ciasnego kucyka i poczułam, że grube, sztywne włosy zaczynają sterczeć na wszystkie strony, a grzeczny, uprzejmy uśmiech, który miałam przyklejony na twarzy od przyjazdu, rozluźnia się w znużoną, neutralną minę. Kiedy rozpinalam kardigan, ściągałam bluzkę oraz tweedową spódnicę, poczułam się, jakbym zrzucała z siebie kolejne warstwy pozorów i wracała do bycia dziewczyną, która skrywała się za całą tą fasadą – taką, która w weekendy do wieczora chodzi w piżamie, leży na kanapie, nie czytając żadnej kształcącej książki, tylko pochłaniając kolejne odcinki *Sędzi Judy*. Taką, która wyzwalały Billa od pieprzonych świń, zamiast po prostu stać sparaliżowana i uprzejma, a potem wytrzeć po sobie podłogę.

Zawiłości paneli kontrolnych przyjemnie odciągnęły mnie od myślenia o tych rzeczach, i zanim zdołałam zmniejszyć temperaturę na jakąś rozsądniejszą oraz przypomniałam sobie, jak działa prysznic, serce trochę przestało mi walić, zaczęłam też się przekonywać do zaakceptowania całej tej sytuacji.

Okej, Bill był skurwielem. To nie pierwszy, jaki mi się trafił. Dlaczego byłam taka rozczarowana, że spotkałam kolejnego akurat tutaj?

Oczywiście znałam odpowiedź. Ale nie chodziło wyłącznie o to, kim on był, tylko o wszystko, co sobą reprezentował – całą ciężką pracę i dokładne planowanie, które mnie tu zaprowadziły, wszystkie nadzieje i marzenia związane z decyzją, by się starać o tę posiadłość. To poczucie, że po raz pierwszy w moim życiu coś idzie *dobrze*, że wszystko się układa. Cała ta sytuacja wydawała się idealna – może zbyt idealna. Musiała się znaleźć jakaś łyżka dziegciu w tej beczce miodu, i może był nią właśnie Bill.

Nagle te ponadnaturalne opowieści przestały mi się wydawać tajemnicze. Nie było tu żadnego poltergeista. Tylko przeciętny facet po pięćdziesiątce, który nie potrafi utrzymać fiuta w gaciach. Znów ta sama stara, nudna, przygnębiająca historia.

Mimo wszystko to i tak był potężny cios.

Spojrzałam na sufit, dopiero kiedy skończyłam prysznic, umyłam zęby i położyłam się do łóżka. Zobaczyłam oświetlenie, mały, migający alarm przeciwpożarowy nad drzwiami i... coś jeszcze wisiało w rogu. Co to było? Czujnik przeciwwłamaniowy? Drugi czujnik dymu?

Czy to była...

Pomyślałam o tym, o czym wspomniała Sandra podczas rozmowy kwalifikacyjnej... „Cały dom jest podpięty”...

To *nie mogła* być kamera... prawda?

O nie. To by było naprawdę obrzydliwe. To byłby nielegalny monitoring. Byłam pracownikiem – i chyba miałam uzasadnione prawo do prywatności, czy jak to się nazywa w języku prawniczym.

Mimo wszystko wstałam, owinęłam się szlafrokiem i przeciągnęłam po dywanie krzesło tuż pod ten jajowaty element w rogu. Jedna z moich skarpetek leżała na podłodze tam, gdzie rzuciłam ją przed wejściem pod prysznic. Podniosłam ją, weszłam na krzesło i stanęłam na palcach, by przykryć nią czujnik. *Ledwo* dosięgnęłam. Pasowała idealnie, a pusty przód skarpetki zwisał, sflaczały i trochę niepokieszony.

Dopiero wtedy, pewniejsza, choć z pewnym poczuciem absurdu, wróciłam do łóżka i w końcu pozwoliłam sobie zasnąć.

Obudziłam się nagle w środku nocy z niejasnym poczuciem, że coś jest nie w porządku – ale nie potrafiłam określić co. Leżałam po prostu, serce mi waliło i zastanawiałam się, co takiego mogło mnie obudzić. Nie pamiętałam, żeby mi się coś śniło – po prostu nagle coś mnie wyrwało ze snu.

Trwało to chwilę, aż w końcu to coś pojawiło się znowu – hałas. Kroki. *Skrzyp... skrzyp... skrzyp...* wolne i miarowe, jakby ktoś spacerował po drewnianej podłodze, co nie miało w ogóle sensu, bo wszystkie podłogi w tym domu były wyłożone grubymi dywanami.

Skrzyp... skrzyp... skrzyyyyp... Dźwięk był pusty, ciężki, dźwięczny... Powolny chód, jakby męski, nie tupot dziecka. Brzmiał, jakby dochodził z góry, co było absurdalne, bo zamieszkałam na najwyższym piętrze.

Powoli usiadłam i poszukałam po omacku światła, ale kiedy wcisnęłam włącznik, nic się nie wydarzyło. Wcisnęłam go znowu, lecz wtedy przekłęłam w duchu i przypomniało mi się, że musiałam wyłączyć lampę poprzez główny panel. Nie czułam się na siłach, żeby walczyć z nim w środku nocy, ryzykując, że puszczę muzykę albo aktywuje się coś jeszcze innego, więc chwyciłam telefon, który leżał podłączony do ładowarki, i włączyłam latarkę.

Czułam ucisk w klatce piersiowej, a kiedy zaciągnęłam się inhalatorem, nagle zauważyłam, że w pokoju jest wyjątkowo zimno. Na pewno musiałam przesadzić, kiedy zmieniałam ustawienia temperatury. Teraz, po wyjściu z kokonu ciepłej pościeli, chłód stał się nieprzyjemny. Mój szlafrok leżał w nogach łóżka, więc narzuciłam go na siebie i stanęłam, próbując powstrzymać szcęknięcie zębów. Cienki snop światła latarki oświetlał wąski kawałek dywanu w kolorze pszenicy – i niewiele więcej.

Kroki ucichły, a ja odczekałam chwilę, wstrzymując oddech, nasłuchując, zastanawiając się, czy znowu rozbrzmia. Nic. Znowu zaciągnęłam się inhalatorem, czekając, rozmyślając. Nadal nic.

Łóżko było ciepłe i kusiło mnie, żeby zakopać się z powrotem pod kołdrę, udając, że nic nie słyszałam, ale wiedziałam, że nie zasnę, dopóki przynajmniej nie *spróbuję* sprawdzić źródła tych dźwięków. Zacisnęłam mocniej pasek szlafroka i uchyliłam odrobinę drzwi pokoju.

Na zewnątrz nikogo nie było, ale i tak zajrzałam do schowka na miotły. Oczywiście był pusty, nie licząc szczotek oraz mrugającego

światełka ładowarki odkurzacza. Niemożliwe, żeby schowało się tam coś większego od myszy.

Zamknęłam schowek, a potem, czując się trochę jak włamywacz, nacisnęłam klamkę drzwi pokoju Rhiannon, całkowicie ignorując nagryzmołone „WEJŚCIE GROZI ŚMIERCIA”. Myślałam, że może będą zamknięte, ale klamka ustąpiła bez oporu, a ciężkie drzwi otworzyły się szeroko, sunąc po grubym dywanie.

W środku było ciemno jak w studni, zaciemniające zasłony zostały ciasno zasunięte, ale dało się wyczuć, że pokój jest pusty. Mimo wszystko uniosłam telefon i przesunęłam wąskim snopem latarki od ściany do ściany. Nikogo tam nie było.

To tyle. Na tym piętrze nie było innych pokoi. A sufit nad moją głową wyglądał na gładki, nie miał nawet klapy prowadzącej na strych. Mimo że wspomnienie tych dźwięków szybko blaknęło, miałam wrażenie, że dochodziły z góry. Może coś na dachu? Jakiś ptak? W każdym razie nikt tu nie grasował, to na pewno.

Znów się trzęsąc, wróciłam do swojego pokoju, gdzie na chwilę stanęłam niezdecydowana na środku dywanu, nasłuchując i czekając, aż dźwięk się znowu pojawi. Tak się jednak nie stało.

Wyłączyłam latarkę, położyłam się do łóżka i przykryłam kołdrą. Ale minęło jeszcze wiele czasu, nim usnęłam.

– Mamusiu!

Tesla jechała podjazdem w stronę głównej drogi, a Ellie biegła za nią, łzy lały jej się po twarzy strumieniami, bo Jack prowadził z prędkością zbyt dużą dla jej krótkich nózek.

– Mamusiu, wracaj!

– Pa, kochane! – Sandra wychyliła głowę przez okno z tyłu, jej włosy w kolorze miodu furkotały na wietrze, gdy samochód przyspieszał. Na twarzy miała radosny uśmiech, ale widziałam smutek w jej oczach i wiedziałam, że robi dobrą minę ze względu na dzieci. Bill się nie obrócił. Siedział pochylony nad telefonem na tylnym siedzeniu koło niej.

– Mamusiu! – krzyczała Ellie głosem przepełnionym desperacją. – Mamusiu, proszę, nie wyjeżdżaj!

– Pa, skarby! Będziecie się świetnie bawić z Rowan, a ja już niedługo wrócę. Cześć! Kocham was wszystkie!

A wtedy auto zniknęło nam z oczu za drzewami za zakrętem.

Nóżki Ellie zwolniły i dziewczynka potknęła się, wydając z siebie żałosny ryk, a potem rzuciła się dramatycznie na ziemię.

– Oj, Ellie! – Podciągnęłam sobie Petrę wyżej na biodrze i pobiegłam podjazdem do miejsca, w którym dziewczynka leżała twarzą na żwirze. – Ellie, kochanie, wstań, chodź, pójdziemy zjeść lody.

Z wytycznych Sandry wiedziałam, że to wielka nagroda, coś, na co nie pozwalano codziennie, bo obie dziewczynki robiły się po lodach nadpobudliwe, ale Ellie tylko pokręciła głową i zawyła jeszcze głośniejsze.

– Chodź, skarbie. – Pochyliłam się z pewną trudnością, z Petrą pod pachą, i chwyciłam ją za nadgarstek, próbując podciągnąć, ale

ona tylko wydała z siebie wrzask i wyrwała swoją rękę z mojej dłoni, uderzając małą piąstką o żwir.

– Aua! – krzyknęła, szlochając jeszcze mocniej i patrząc na mnie wściekłymi, czerwonymi, pełnymi łez oczami. – Zrobiłaś mi *krzywdę!*

– Próbowałam tylko...

– *Idź sobie, zrobiłaś mi krzywdę, powiem wszystko mamusi!*

Stałam przez chwilę, niezdecydowana, niepewna, co zrobić z tą wściekłą, odwróconą twarzą do ziemi osobką.

– *Idź sobie!* – krzyknęła znowu.

W końcu westchnęłam i zaczęłam wracać podjazdem w stronę domu. Zdawało mi się niewłaściwe zostawiać ją tam, na środku tego, co było właściwie drogą, ale brama u stóp podjazdu była zamknięta, a Jack powinien wrócić nie wcześniej niż za pół godziny. Miałam nadzieję, że mała uspokoi się dużo szybciej i dam radę nakłonić ją do wejścia do domu.

Petra zaczęła marudzić i powstrzymałam westchnięcie. Tylko nie to, niech ona też się nie rozkleja. A gdzie, u licha, była Maddie? Zniknęła przed wyjazdem rodziców, zwiłała do lasu na wschód od domu, odmawiając pożegnania się z nimi.

– Och, daj jej spokój – powiedział Bill, kiedy Sandra panikowała, próbując ją znaleźć, żeby dać córce buziaka przed wyjazdem. – Wiesz, jaka ona jest, woli lizać rany w samotności.

Lizać rany. To tylko głupie powiedzenie, prawda? W tamtej chwili się nad tym nie rozwodziłam, ale teraz się zastanawiam. Czy Maddie miała rany? Jeśli tak, to skąd?

W domu posadziłam Petrę w jej wysokim krzeselku, zapięłam pasy i zajrzałam do czerwonego segregatora, żeby sprawdzić, czy są tam może instrukcje, co zrobić, jeśli dziecko zniknie z powierzchni ziemi. Cały ten tom miał prawie pięć centymetrów grubości, a kiedy przekartkowałam go po śniadaniu, dowiedziałam się, że zawierał informacje na każdy temat, poczynając od tego, kiedy i ile podać

paracetamolu, poprzez wieczorne rytuały usypiania, ulubione książki, co robić w przypadku odparzenia, jak wygląda harmonogram prac domowych, kończąc na tym, jakich kapsułek użyć do prania strojów dziewczynek na balet. Dosłownie każdy moment dnia został opisany, a notatki dotyczyły zarówno tego, jakie przekąski podać, jak i tego, które programy telewizyjne wybierać i jak długo wolno im je oglądać.

Brakowało tylko wskazówki, jak postępować w wypadku zupełnego zniknięcia – a przynajmniej jeśli była, to nie umiałam znaleźć strony, na której o tym wspomniano – ale za to kiedy przeleciałam wzrokiem skrupulatnie opisany „typowy dzień w weekend”, zobaczyłam, że Petra jest już po porze lunchu, co mogło wyjaśniać jej rozdrażnienie. Nie chciałam zaczynać przygotowywania jedzenia, póki nie namierzę Maddie i Ellie, ale mogłam przynajmniej dać Petrze jakąś przekąskę, żeby na trochę jej wystarczyło i żeby uciszyć jej marudzenie „6 rano” – zaczynała się strona.

Młodsze dziewczynki (zwłaszcza Ellie) mają tendencję do wczesnych pobudek. By temu zapobiec, zainstalowaliśmy w pokoju dziewczynek aplikację do treningu snu: zegar Króliczka Happy. To cyfrowy zegar wyświetlający obrazek śpiącego królika, który bezgłośnie przełącza się na obrazek obudzonego Króliczka Happy o 6 rano. Gdy Ellie obudzi się wcześniej, proszę, delikatnie (!) zachęć ją do tego, żeby sprawdziła zegar i wróciła do łóżka, jeśli króliczek nadal śpi. Oczywiście, oceniając sytuację, weź pod uwagę koszmary czy potrzebę pójścia do toalety.

Jezu. Czy w tym domu nie było niczego, czego nie kontrolowałyby jakaś pieprzona aplikacja? Przejrzałam stronę, pomijając sugerowane stroje i ubrania na deszczową pogodę oraz dopuszczalne menu śniadaniowe, i przeszłam do przedpołudnia.

10.30–11.15. Przekąska – np. jakieś owoce (banany, jagody, winogrona Petrze podaj, proszę, w **ĆWIARTKACH**), rodzynki (koniecznie niedużo – zęby!), paluszki, wafelki ryżowe albo ogórek w súpki. Nie podawaj truskawek (Ellie ma alergię) ani całych

orzechów (mogą być masła orzechowe, ale kupujemy tylko takie bez soli i cukru), a Petrze nie wolno jeść także przekąsek zawierających cukier rafinowany lub dużo soli (starszym dziewczynkom wolno jeść cukier w umiarkowanych ilościach). Może być to trudne do wyegzekwowania, kiedy wychodzicie, więc w takim przypadku sugeruję spakowanie pudełka z przekąskami.

Dobrze, aplikacja przynajmniej nie przygotowuje przekąsek. I tak nigdy jeszcze w żadnej pracy na stanowisku niani nie spotkałam się z taką liczbą szczegółów – podręcznik pracowników Little Nippers był cienką broszurą, która skupiała się głównie na tym, jak zgłaszać choroby kadry. Zasady, tak. Czas spędzany przed monitorem, kary, ograniczenia, alergie – to wszystko było normalne. Ale to? Czy ona naprawdę myślała, że od prawie dziesięciu lat zajmuję się dziećmi i nie wiem, że winogrona trzeba pokroić?

Zamknęłam czerwony segregator, odsunęłam go od siebie po stole i zaczęłam się zastanawiać. Czy to destabilizujące ich życie zmiany pracowniczek sprawiły, że Sandra jest taka drobiazgowa? Czy po prostu rozpaczliwie chciała troszczyć się o rodzinę, nawet jeśli fizycznie nie było jej w domu? Bill, to oczywiste, nie miał żadnych skrupułów, by zostawić swoje dzieci same z praktycznie obcą osobą, zwłaszcza dobrze wykwalifikowaną. Ale segregator Sandry zdradzał zupełnie inny typ rodzica – skonfliktowanego z sytuacją, w jakiej się znajdowała. To prosiło się o pytanie: dlaczego w takim wypadku tak uparcie chciała być z Billem, a nie w domu? Czy naprawdę chodziło tylko o zawodową dumę? Czy było w tym coś jeszcze?

Na środku betonowego stołu stała wielka marmurowa miska na owoce, świeżo wypełniona pomarańczami, jabłkami, mandarynkami i bananami, więc oderwałam jednego banana z kiści, obrałam go i położyłam kilka kawałków na tacce Petry. Potem poszłam do bawialni sprawdzić, czy Maddie wróciła. Nie było jej tam ani w salonie, ani – z tego, co widziałam – nigdzie w domu.

W końcu poszłam do pomieszczenia gospodarczego, tego, z którego uciekła, i zawołałam w stronę lasu.

– Maddie! Ellie! Jemy z Petrą lody! – Przerwałam, nasłuchując tupotu biegnących stóp, trzaskających gałęzi. Nic nie usłyszałam. – Z kolorową posypką. – Tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy w domu była jakaś posypka, ale w tym momencie nie przeszkadzała mi taka fałszywa reklama, chciałam tylko wiedzieć, gdzie są.

Dalej cisza, tylko świergot ptaków. Słońce zaszło, pozostawiając zaskakująco chłodne powietrze, i zadrzałam, czując gęsią skórę na nagich ramionach. Nagle zamiast lodów bardziej przydałaby się gorąca czekolada, mimo że był czerwiec.

– Okej! – krzyknęłam znowu, tym razem głośniej. – Więcej posypki dla mnie!

I wróciłam do domu, zostawiając lekko uchylone boczne drzwi.

W kuchni przetarłam oczy ze zdumienia.

Petra stała w swoim wysokim krzeselku na przeciwległym końcu wyspy kuchennej, triumfalnie wymachując do mnie kawałkiem banana.

– Kurwa!

Przez chwilę straciłam czucie i stałam jak skamieniała w miejscu, obserwując tę niebezpieczną sytuację, bezlitosny beton pod nią, jej małą, chwiejną stópkę na śliskim drewnie.

A potem odzyskałam panowanie nad sobą, podbiegłam, potykając się o porzuconego misia, zatoczyłam się wokół rogu wyspy i z sercem w gardle ją złapałam.

– Mój Boże, Petra, ty niegrzeczna dziewczyno. *Nie wolno* tak robić. Jezu. Jezu Chryste.

Mogła umrzeć – tak po prostu. Gdyby spadła i uderzyła głową o betonową podłogę, doznałaby wstrząśnienia mózgu, nim zdołałabym do niej podbiec.

Jak mogłam być taka głupia?

Zajmowałam się wcześniej już milionem małych dzieci – zrobiłam wszystko dobrze, odsunęłam krzeselko od blatu, żeby nie mogła się odepchnąć stopami, i wiedziałam, byłam *pewna*, że zapięłam te klamerki. Były zdecydowanie zbyt sztywne dla jej małych paluszków.

Jak się z nich wydostała?

Wywinęła się z nich?

Obejrzałam klamry. Jedna strona była wciąż zapięta. Druga odpięta. Cholera. Musiałam nie zacisnąć klamerki dość mocno, a Petra ją poluźniła i potem zdołała się wyplątać z drugiej części uprzęży.

Czyli ostatecznie była to moja wina. Na tę myśl ręce zrobiły mi się lodowate ze strachu, a policzki zapłonęły wstydem. Dzięki *Bogu*, nie stało się to przy Sandrze. Takie zasady bezpieczeństwa to właściwie podstawy w pracy opiekunki. Miałyby prawo zwolnić mnie na miejscu.

Chociaż oczywiście... nadal mogła, jeśli podglądała nas przez kamery. Mój wzrok mimo woli powędrował do sufitu, i oczywiście, w odległym kącie pomieszczenia wisiała jedna z tych małych, białych, jajowatych kopulek. Poczułam, że się rumienię, i szybko popatrzyłam w przeciwnym kierunku, wyobrażając sobie, że Sandra zobaczy mój wzrok winowajcy.

Kurwa. *Kurwa*.

Cóż, nie mogłam już nic zrobić, co najwyżej mieć nadzieję, że Sandra i Bill mają ciekawsze rzeczy do roboty niż ślęczenie nad materiałem z ich monitoringu o każdej porze dnia i nocy. Byłam prawie pewna, że Bill nie zerknął nawet na tę aplikację od wyjazdu, ale Sandra... Ten segregator wskazywał na taki poziom zaangażowania, jakiego się nie spodziewałam po jej wyluzowanym, pogodnym usposobieniu podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Jednak przy odrobinie szczęścia mogli być poza zasięgiem telefonów komórkowych, a może nawet lecieli samolotem. Czy materiał się nagrywał? Jak długo był przechowywany? Nie

wiedziałam tego i z jakiegoś powodu wątpiłam, by ta informacja znajdowała się w segregatorze.

Odkrycie było niepokojące. Mogłam być obserwowana dokładnie w tej chwili.

Z dziwnym uczuciem, że przed kimś występuję, przycisnęłam sobie Petrę mocno do piersi i pocałowałam ją drżącymi ustami w czubek głowy. Pod wargami poczułam delikatne ugięcie ciemniczka, delikatną dziecięcą czaszkę – prawie, ale jeszcze nie do końca zamkniętą.

– Nie rób tego więcej – powiedziałam jej stanowczo, czując, że wciąż pulsuje we mnie adrenalina, po czym, próbując z wysiłkiem wrócić do normalności, podniosłam ją i zaniiosłam nad zlew, gdzie wytarłam jej buzię. Potem zerknęłam na zegarek, próbując oddychać powoli i zwyczajnie oraz przypomnieć sobie, co robiłam, zanim Petra wystraszyła mnie na śmierć.

Właśnie minęła pierwsza. Według segregatora Petra jadła lunch między trzynastą a trzynastą trzydzieści i szła na drzemkę o czternastej. Ale mimo to marudziła i wściekle tarła oczy, więc zaczęłam w myślach dodawać godziny i zastanawiać się, jak to rozwiązać. W żłobku dzieci chodziły spać zaraz po lunchu, mniej więcej koło trzynastej.

Nie chciałam psuć jej rutyny o tak wcześnie porze dnia, ale z drugiej strony przetrzymywanie zmęczonego, marudnego dziecka do określonej godziny też nie było dobrym pomysłem i skończyłoby się pewnie pobudkami w nocy, jeśli należy do tych dzieci, które nakręcają się tym bardziej, im bardziej są zmęczone. Pełna wątpliwości przez chwilę patrzyłam na czubek jej głowy, próbując coś postanowić. Nagle perspektywa spokojnej godziny na ogarnięcie Maddie i Ellie wydała się bardzo zachęcająca. Na pewno będzie to łatwiejsze bez konieczności holowania za sobą marudnego malucha.

Petra poirytowana potarła oczy piąstką i zapłakała ze zmęczenia, więc podjęłam decyzję.

– Idziemy – powiedziałam na głos i zniosłam ją na górę, do jej pokoju.

W środku zaciemniające rolety były już opuszczone, więc włączyłam podświetlaną karuzelkę, jak radził segregator, i położyłam ją delikatnie na plecach. Przewróciła się na brzusek i zaczęła trzeć twarzą o materac, ale ja usiadłam cicho koło niej i jedną dłoń położyłam na ruchliwych pleckach, podczas gdy na suficie i ścianach tańczyły delikatne światełka. Petra marudziła pod nosem, ale odstępy między spazmami zaczęły się wydłużać i widziałam, że lada chwila odpłynie.

W końcu wyglądało na to, że mocno zasnęła, więc wstałam ostrożnie i delikatnie położyłam jej maskotkę królika przy jednej ręczce, żeby mogła ją łatwo znaleźć, gdyby się zbudziła. Zaczęła się kręcić, a ja znieruchomiałam, ale zacisnęła tylko paluszki na tkaninie i cichutko chrapnęła. Z westchnieniem ulgi podniosłam elektroniczną nianię zawieszoną w nogach łóżeczka, przypięłam ją sobie do paska i na palcach wyszłam z pokoju.

W domu panowała zupełna cisza. Stałam na szczycie schodów, nasłuchując dźwięku biegających stóp albo dziecięcego śmiechu.

Gdzie one, u licha, były?

Nie wchodziłam jeszcze do pokoju Sandry i Billa, ale wiedziałam, że ich okno musi wychodzić na podjazd, więc trochę wstrzymując oddech, nacisnęłam klamkę i otworzyłam drzwi.

Ten widok na sekundę zaparł mi dech w piersiach. Pokój był ogromny. Musieli połączyć przynajmniej dwie sypialnie, żeby to osiągnąć – może nawet trzy. Stało tam gigantyczne łóżko obłożone puszystymi poduszkami i z białą pościelą, a naprzeciwko znajdował się wielki, rzeźbiony, kamienny kominek. Trzy wysokie okna wychodziły na teren przed domem. Jedno z nich było uchylone na kilka centymetrów, a muślinowe zasłony lekko trzepotały na wietrze.

Kilka szuflad zostało wcześniej trochę uchylonych, a szafa otwarta na oścież, i kiedy szłam po srebrnoszarym dywanie

w stronę środkowego okna, tknęła mnie ciekawość, ale ją uciszyłam. Nie wiedziałam, czy Sandra i Bill właśnie mnie nie obserwują, a o ile miałam alibi dla wyjrzenia przez to okno nad podjazdem, na pewno brakowało mi wymówek dla myszkowania po ich szafach.

Podeszłam do okna, Ellie nie było nigdzie widać, zakręciłam podjazd, na którym wcześniej leżała, był pusty. Nie byłam pewna, czy to dobrze. Przynajmniej Jack jej nie rozjedzie, kiedy wróci teslą. Ale gdzie, u diabła, była? Sandra wydawała się wyjątkowo spokojna, jeśli chodzi o dzieci uciekające do lasu, ale mnie na tę myśl bolało wszystko w środku – w żłobku musiałyśmy oceniać zagrożenia w każdej sytuacji, poczynając od wycieczki do parku, kończąc na brudzącej zabawie płatkami owsianymi, a tutaj istniały miliony niebezpieczeństw, których kompletnie nie byłam w stanie przewidzieć. Co, jeśli na terenie jest jakiś staw? Albo strome urwisko? A jeśli wspięły się na drzewo i nie mogły zejść? Albo ogrodzenie nie było dobrze zabezpieczone i wyszły na drogę? Albo jakiś pies...

Przerwałam w myślach tę litanię najczarniejszych scenariuszy.

Psy. Zapomniałam zapytać Sandrę, czy zajmowanie się nimi należy do moich obowiązków, ale prawdopodobnie dodatkowy spacer im nie zaszkodzi i będą potrafiły odnaleźć dzieci. Jeśli nie, to przynajmniej ich obecność da mi pretekst do poszukiwań w lesie i nie będę wyglądać, jakby dziewczynki mnie przechytryły. Muszę od początku budować wizerunek osoby, która tu rządzi, bo inaczej mój autorytet rozsypie się w proch i nigdy go nie będę miała.

Odepchnęłam od siebie niepokój o to, co się stanie, jak wróci Rhiannon i do tego wszystkiego będę miała jeszcze pod opieką nastolatkę. Może chociaż Sandra będzie wtedy w domu, żeby mnie wesprzeć.

Psy leżały na dole, w swoich koszach w kuchni, ale oba z nadzieją podniosły głowy, kiedy weszłam z ich smyczami w dłoni.

– Spacer! – oznajmiłam radośnie, a one podbiegły. – Dobra suczka... yyy... Claude – dodałam, szukając odpowiedniego zaczepu na obroży, chociaż szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy to suczka, czy pies. Claude biegał wokół mnie przejęty, a ja szarpałam się z Hero, ale w końcu miałam je oba na smyczach, do kieszeni schowałam garść psich ciastek, na wypadek kłopotów, i ruszyłam wyjściem przez pomieszczenie gospodarcze, przez wysypane żwirem podwórko, minęłam zabudowania stajni i weszłam do lasu.

Był piękny dzień. Mimo mojego narastającego niepokoju o dzieci nie mogłam tego nie zauważyć, idąc wijącą się, słabo zaznaczoną ścieżką między drzewami, z psami ciągnącymi za smycze. Słońce przedzierało się przez korony nad moją głową, a nasze kroki wzbijały drobinki obracającego się i wirującego złotego pyłu z żyznej glinki pod nogami, słońce rozświetlało maleńkie drobinki pyłków oraz brodaczkę, unoszące się w nieruchomym powietrzu.

Psy najwyraźniej wiedziały, dokąd idą, i pozwoliłam im się prowadzić, świadoma faktu, że prawdopodobnie są zaskoczone trzymaniem ich na smyczy w ogrodzie. Jednak będą musiały to wytrzymać. Nie miałam pojęcia, czy przyjdą na zawołanie, a nie mogłam ryzykować, że je też zgubię.

Schodziliśmy w dół, na początek podjazdu, którego z tego miejsca jeszcze nie widziałam. Usłyszałam za sobą trzask gałęzi i obróciłam się gwałtownie, ale nikogo tam nie było. To musiało być jakieś zwierzę, może lis.

W końcu wyszliśmy spod osłony drzew na małą polanę i coś przewróciło mi się w żołądku, bo oto roztaczał się przede mną – czego najbardziej się obawiałam – staw. Nie bardzo głęboki, ale wystarczający, żeby utonęło w nim małe dziecko. Woda miała kolor torfu, a słonawy, oleisty kożuch z rozkładających się sosnowych szyszek unosił się na jego powierzchni. Trąciłam go podejrzliwie patykiem i taflę powoli zmarszczyły bąbelki uwięzionego powietrza, ale ku mojej uldze reszta stawu wyglądała na niezmaconą, woda była czysta, pomijając błotnisty wir, który zamieszałam patykiem.

Albo... prawie niezmacona. Idąc wzdłuż przeciwnego brzegu, zobaczyłam ślady małych bucików. Ślizgających się, jakby dwie dziewczynki bawiły się tuż przy skraju wody. Nie mogłam określić, kiedy zostały zrobione, ale wyglądały na dość świeże. Ślady prowadziły w dół brzegu, stawały się coraz głębsze i głębsze, bo błoto robiło się coraz bardziej grząskie, a potem zawracały i znowu się oddalały, z powrotem do lasu. Śledziłam je przez kilka metrów, aż ziemia stała się zbyt twarda, by utrwalić odcisk buta, jednak były to dwie pary obuwia. Dzięki temu uznałam, że dziewczynki były razem i prawie na pewno bezpieczne.

Psy skomlały i ciągnęły za smycze, chcąc koniecznie wejść do błotnistego stawu i się popluskać, ale w życiu bym na to nie pozwoliła. Nie zamierzałam jeszcze na domiar złego kąpać dwóch brudnych psów.

Nie było żadnej ścieżki przez las w kierunku, w którym prowadziły ślady, ale podążałam mniej więcej za nimi, gdy nagle powietrze przeciął trzeszczący krzyk. Zamarłam, po raz drugi tego dnia serce waliło mi nierówno w piersi, a psy szczekały histerycznie i skakały na końcach swoich smyczy.

Przez sekundę nie wiedziałam, co robić. Stałam, rozglądając się gorączkowo wokół. Krzyk rozbrzmiał tuż koło mnie, ale nikogo nie widziałam ani nie zdołałam usłyszeć żadnych kroków przez ten hałas, jaki robiły psy. Potem rozbrzmiał znowu, długi i nieznośnie wysoki, a wtedy, z szarpnięciem w żołądku, zrozumiałam.

Wyjęłam z kieszeni elektroniczną nianię i patrzyłam, jak światełka zapalają się i gasną wraz z długim, bulgoczącym piskiem czystego przerażenia.

Przez chwilę stałam sparaliżowana, trzymając nianię w dłoni, ze smyczami wokół mojego nadgarstka. Powinnam spróbować się połączyć z kamerami?

Drżącymi dłońmi wyjęłam telefon i nacisnęłam ikonę aplikacji zarządzającej domem.

„Witaj w Happy, Rowan” – oznajmił tragicznie powoli ekran. – „Dom jest tam, gdzie Happy!” – A potem, ku mojej rozpaczycy: „Aktualizacja danych użytkownika. Proszę o cierpliwość. Dom jest tam, gdzie Happy!”.

Przeklęłam, wpychając do kieszeni oba urządzenia, i zaczęłam biec.

Byłam daleko od budynku, u stóp wzgórza, a kiedy wyszłam spomiędzy drzew i zobaczyłam go przed sobą, ledwo mogłam złapać oddech. Psy wyrwały mi się już jakiś czas temu, ich smycze wysunęły się spomiędzy moich zdrętwiałych palców, zwierzęta skakały i hasały raz przede mną, raz za mną, radośnie szczekając, przekonane, że to wszystko jakaś zabawa.

Kiedy podeszłam do drzwi frontowych, były otwarte na oścież, chociaż wiedziałam, że zostawiłam je zamknięte – użyłam wyjścia prowadzącego z pomieszczenia gospodarczego i zostawiłam je otwarte dla Maddie i Ellie, na wypadek gdyby wróciły. Przez chwilę wydawało mi się, że zwymiotuję. Co ja robiłam? Co się stało biednej, małej Petrze?

Byłam niemal zbyt przerażona, by przejść ostatnie kilka kroków na górę, do pokoju dziecięcego, ale zmusiłam się, zostawiając psy w korytarzu zaplątane we własne smycze, i gdy w końcu znalazłam się przed drzwiami Petry, było mi niedobrze ze strachu na myśl o tym, co mogę zobaczyć.

Drzwi były zamknięte, tak jak je zostawiłam. Przełknęłam szloch i przekręciłam gałkę – ale to, co zobaczyłam, zatrzymało mnie natychmiast w wejściu, mrugałam tylko i próbowałam uciszyć swoje głośnie sapanie.

Petra spała w łóżeczku, rączki miała rozrzucone na boki, czarne jak smoła rzęsy muskały jej zaróżowione policzki. Króliczka ścisnęła w lewej dłoni i praktycznie nie zmieniła pozycji, odkąd położyłam ją spać.

Nic nie rozumiałam.

Wystarczyło mi samokontroli, by wycofać się z pokoju, cicho zamknąć za sobą drzwi, a potem na zewnątrz opadłam na podłogę w korytarzu, oparłam się plecami o gruzłowatą poręcz, ukryłam twarz w dłoniach i próbowałam się nie rozpłakać z szoku i ulgi. Sapałam; płuca ciężko pracowały, żeby przyjąć dość tlenu, aby uciszyć mój szalejący puls.

Drżącymi dłońmi wyjęłam z kieszeni inhalator i zaciągnęłam się, a potem zaczęłam próbować to wszystko zrozumieć. Co tu się stało?

Czy ten dźwięk *nie* wydobywał się z elektronicznej niani? Ale to było niemożliwe – miała światełka, które mrugały, kiedy dziecko płakało, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu ktoś wyciszył głośnik. *Widziałam* te światełka. A dźwięk dochodził z głośnika, byłam tego pewna.

Czy Petra miała jakiś koszmar i krzyknęła? Ale kiedy to przemyślałam, także nie miało to sensu. To nie był płacz dziecka. Ta część najbardziej mnie przeraziła. Dźwięk, który usłyszałam, nie był niespokojnym jękiem, jaki znałam dobrze ze żłobka, tylko długim, pulsującym, przerażonym wrzaskiem, wydanym przez dużo starsze dziecko, albo nawet przez dorosłego.

– Halo?

Głos rozbrzmiał z dołu, więc znowu podskoczyłam, tym razem konwulsyjnie, wstałam – puls mi wariował – i wychyliłam się przez poręcz.

– Halo? Kto to? – Mój głos nie zabrzmiał tak ostro i pewnie, jak zamierzałam, był drżący i piskliwy ze strachu. – Kto tam?

Tamten głos należał do dorosłego, kobiety, i teraz usłyszałam kroki w korytarzu, a potem zobaczyłam twarz patrzącą na mnie z dołu.

– Zgaduję, że pani jest tą nową nianią?

Była to kobieta może pięćdziesięcio- albo sześćdziesięcioletnia, z rumianą twarzą, moja perspektywa zniekształcała jej sylwetkę. Wyglądała pulchnie i matczyńie, ale miała coś takiego w głosie

i tonie, czego nie umiałam do końca nazwać. Na pewno nie była serdeczna. Coś w rodzaju... uszczypliwej dezaprobaty.

We włosach miałam liście, a schodząc po schodach na parter, zauważyłam, że zostawiłam ścieżkę rozchlapanego błota na grubym dywanie, kiedy biegłam na oślep do Petry.

Przy bluzce rozpięły mi się dwa guziki, więc zapięłam je i odkaszlnęłam, czując, że twarz mam nadal rozpaloną z wysiłku i ze strachu.

– Yyyy, dzień dobry. Tak. Tak, jestem Rowan. A pani musi być...

– Jean. Jean McKenzie. – Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, nie próbując nawet ukryć dezaprobaty, po czym pokręciła głową. – Robi panienka, jak uważa, ale ja nie akceptuję zamykania domu przed dziećmi i śmiem twierdzić, że pani Elincourt też by się to nie spodobało.

– Zamykania przed dziećmi? – Przez chwilę byłam zaskoczona. – O co pani chodzi?

– Kiedy przyszłam posprzątać, znalazłam dwa biedne dzieciaczki w letnich sukienkach trzęsące się pod drzwiami.

– Ale chwileczkę. – Wyciągnęłam rękę. – Chwileczkę. Ja przed nikim nie zamknęłam drzwi. To one uciekły ode *mnie*. Ja ich szukałam. Zostawiłam im otwarte tylne drzwi.

– Gdy przyjechałam, były zamknięte – oznajmiła chłodno Jean. Pokręciłam głową.

– Może wiatr je zatrzasnął, ale ja ich nie zamykałam na klucz. Nie zrobiłbym tego.

– Kiedy przyjechałam, były *zamknięte* – powiedziała tylko, tym razem z upartą nutą. Zagotowało się we mnie i wściekłość zastąpiła mój dotychczasowy strach o Petrę. Czy ona oskarżała mnie o kłamstwo?

– Cóż... może się zatrzasnęły – odparłam w końcu. – Czy dziewczynkom nic nie jest?

– Nic, jedzą ze mną w kuchni.

– Czy... – Przerwałam, zastanawiając się, jak to sformułować, żeby nie wypaść jeszcze gorzej w jej ocenie. Najwyraźniej z jakiegoś powodu nie spodobałam się tej kobiecie i nie powinnam jej dawać żadnych powodów, by zgłosiła to Sandrze. – Wróciłam, bo na elektronicznej niani usłyszałam jakiś dźwięk z pokoju Petry. Słyszała ją pani?

– Była cicho jak myszka – odpowiedziała stanowczo Jean. – Pilnowałam całej trójki... – Nie powiedziała tego na głos, ale w podtekście wybrzmiało: „W przeciwieństwie do pani”. – Usłyszałabym ją, gdyby pukała.

– Pukała?

– Płakała – poprawiła się niecierpliwie Jean.

– A Maddie? Albo Ellie? Może któraś z nich wchodziła na górę?

– Były ze mną na dole w kuchni, proszę pani – odpowiedziała Jean, teraz z nutą prawdziwej wściekłości w głosie. – A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę do nich wrócić. Są za małe, żeby je zostawiać same z kuchenką.

– Oczywiście – poczułam, że od tej ukrytej krytyki płoną mi policzki. – Ale proszę, to moja praca. Podam im lunch.

– Już im podałam. Biedne kruszynki umierały z głodu, musiały dostać coś ciepłego.

Poczułam, że moje opanowanie, nadwątlone już przez poranne stresy, zaczyna się chwiać.

– Chwileczkę, pani... – Zapomniałam nazwiska, ale szybko sobie przypomniałam. – ...McKenzie, wyjaśniłam już, że dziewczynki ode mnie uciekły, nie wygoniłam ich z domu. Może trochę zmarzły i się przestraszyły, czekając, aż ktoś je wpuści, ale przynajmniej następnym razem pomyślą dwa razy, zanim uciekną. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę wracać do pracy.

Minęłam ją i weszłam do kuchni, czując jej spojrzenie wwiercające mi się w plecy.

W kuchni Maddie i Ellie siedziały przy wyspie kuchennej, jedząc ciastka z czekoladą i pijąc sok, a na talerzu przy zlewie leżał talerz

z czymś, co wyglądało na resztki pizzy. Zacisnęłam zęby. Takie jedzenie pochodziło z listy Sandry „na specjalne okazje”. Planowałam posadzić je po południu z jakimiś ciastkami w pokoju telewizyjnym. A teraz nie wchodziły już w grę, pani McKenzie wyszła na tę lepszą, ja będę tą zołzowatą nianią, która zamknęła im drzwi przed nosem i musiała wcisnąć zdrową kolację.

Strzepnęłam z siebie irytację i zmusiłam się do miłego uśmiechu.

– Cześć, dziewczynki. Bawiłyście się w chowanego?

– Tak – odpowiedziała Ellie, chichocząc, ale zaraz potem przypomniała sobie naszą wcześniejszą kłótnię i się zmarszczyła. – Skaleczyłaś mi nadgarstek.

Wyciągnęła go w moją stronę i zobaczyłam, ku własnemu upokorzeniu, pierścień siniaków na bladej skórze jej kościstej ręki.

Poczułam rumieniec na policzkach.

Chciałam się z nią spierać, ale nie miałam ochoty robić problemów przy pani McKenzie, a poza tym wyglądało na to, że dość już tego dnia zrobiłam, by nastawić je obie przeciwko mnie. Lepiej było schować dumę do kieszeni.

– Strasznie cię przepraszam, Ellie. – Nachyliłam się koło niej przy kuchennej wyspie, tak by nasze głowy były na jednej wysokości; mówiłam cicho, żeby pani McKenzie nie usłyszała. – Naprawdę nie chciałam. Po prostu się martwiłam, że zrobisz sobie krzywdę na podjeździe, ale serio przepraszam, jeśli za mocno ścisnęłam ci rękę. To był wypadek, przysięgam, jest mi strasznie przykro. Możemy się pogodzić?

Przez chwilę wydawało mi się, że Ellie się waha, ale potem drgnęła i cicho chlipnęła.

Pod kuchenną wyspą zobaczyłam, że dłoń Maddie wraca szybko na jej udo.

– Maddie – odezwałam się cicho. – Co to było?

– Nic – odpowiedziała Maddie, niemal niesłyszalnie, mówiąc bardziej do talerza niż do mnie.

– Ellie?

– Ni-ic – odparła Ellie, ale pocierała rękę, a w jej jasnoniebieskich oczach dostrzegłam łzy.

– Nie wierzę ci. Pokaż mi rękę.

– Nic! – powtórzyła Ellie, już ostrzej. Zdjęła kardigan i popatrzyła na mnie wściekle, jakbym ją zdradziła. – Powiedziałam, że nic, idź sobie!

– Okej.

Wstałam. Jeżeli miałam jakieś szanse u Ellie, to na razie je zaprzepaściłam. A raczej zrobiła to Maddie.

Pani McKenzie stała przy blacie z rękoma skrzyżowanymi na piersi, obserwując nas. Potem złożyła ścierkę do naczyń i odwiesiła ją na drążek nad kuchenką.

– No, to ja już będę szła, dziewczynki – oznajmiła. Kiedy mówiła do dzieci, jej głos był delikatniejszy i przyjaźniejszy niż ten mrukliwy, surowy ton, którym zwracała się do mnie. Pochyliła się i pocałowała obie dziewczynki w czoła, najpierw blond loczki Ellie, potem rozwichrzone, ciemne fale Maddie. – Ucałujcie ode mnie swoją malutką siostrzyczkę, pamiętajcie.

– Dobrze, pani M – odparła posłusznie Ellie. Maddie się nie odezwała, ale uścisnęła panią McKenzie jedną ręką w pasie i wydawało mi się, że widzę w jej oczach tęskne spojrzenie, gdy odprowadzała kobietę wzrokiem do drzwi.

– Do widzenia, dziewczynki – rzuciła pani McKenzie i już jej nie było. Z dworu dobiegły dźwięki odpalanego samochodu, który zajechał podjazdem na półsprzęgle i wyjechał na drogę.

Sama w kuchni z dziewczynkami poczułam nagle wyczerpanie i zapadłam się w fotel w rogu pomieszczenia, miałam ochotę tylko ukryć twarz w dłoniach i zawyc. Na co ja się porwałam z tymi dwiema małymi, wrogo nastawionymi istotkami? A jednak nie mogłam ich za to winić. Nawet sobie nie wyobrażam, jak bym się czuła, gdyby ktoś mnie zostawił na tydzień z zupełnie obcą osobą.

Na pewno nie dałabym sobie rady, gdyby dzieci znowu przepadły na dworze, więc podczas gdy kończyły ciastka, wyszłam na

korytarz sprawdzić duże frontowe drzwi od środka. Nie miały klucza – ani nawet dziurki od klucza. Był przy nich za to biały panel, który miał czujnik na odcisk kciuka; Sandra wgrała rano przed wyjazdem mój odcisk do swojej aplikacji i pokazała, jak to obsłużyć.

W środku znajdował się bliźniaczy panel; ostrożnie go dotknęłam i zobaczyłam zestaw podświetlanych ikon. Jedną z nich był duży klucz, więc zgodnie z instrukcjami Sandry ostrożnie go dotknęłam i usłyszałam zgrzyt przesuwającego się na swoje miejsce zamka antywłamaniowego. W tym dźwięku było coś dramatycznego, wręcz złowrogiego, przypominał szcęk zamykanej więziennej celi. Ale przynajmniej drzwi zostały zabezpieczone. Nie było sposobu, by Maddie albo Ellie zdołały dosięgnąć panelu bez kilku schodków, a tym bardziej odblokować zamka, bo szczerze wątpiłam, by Sandra wczytała do systemu ich odciski.

Potem poszłam do pomieszczenia gospodarczego. Tutaj drzwi zamykały się na zwykły zamek z kluczem – jakby Sandrze i Billowi skończyły się fundusze albo jakby nie zawracali sobie głowy wejściem dla służby. A może był jakiś praktyczny powód, dla którego jedne drzwi musiały się otwierać w tradycyjny sposób. Może ma to jakiś związek z przerwami w dostawie prądu albo przepisami budowlanymi. W każdym razie była to spora ulga, mieć do czynienia z technologią zrozumiałą dla przeciętnej osoby, i z poczuciem satysfakcji stanowczo przekręciłam klucz w zamku, a potem ukryłam go na futrynie nad drzwiami, tak jak instruował segregator. „Wszystkie klucze do drzwi z tradycyjnymi zamkami trzymamy nad tymi drzwiami, żeby były pod ręką w nagłych wypadkach, ale poza zasięgiem dzieci” – brzmiał ten akapit. Było coś pokrzepiającego w tym, że leżał tam, wysoko, z dala od małych paluszków

Wypełniłam swoją misję i wróciłam do kuchni z moim najlepszym, najbardziej promiennym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Dobrze, dziewczynki. Co powiecie na to, żebyśmy poszły do pokoju z telewizorem i obejrzały sobie jakiś film? *Kraję Lodu*? *Vaianę*?

– Tak, *Kraję Lodu*! – zawołała Ellie, ale Maddie się wtrąciła:

– Nie cierpimy *Krainy Lodu*.

– Serio? – spytałam sceptycznym tonem. – *Serio*? Bo wiecie, ja kocham *Kraję Lodu*. W sumie znam karaoke *Krainy Lodu*, gdzie słowa wyświetlają się na ekranie, i jestem naprawdę dobra w śpiewaniu wszystkich piosenek.

Widziałam, że kryjąca się za Maddie Ellie wygląda na zrozpaczoną, ale zbyt się bała przeciwstawić siostrze.

– Nie cierpimy *Krainy Lodu* – powtórzyła uparcie Maddie. – Chodź, Ellie, pobawimy się w naszym pokoju.

Obserwowałam, jak schodzi ze swojego stołka i wychodzi na korytarz; po drodze psie oczy podążały za nią zdziwione. Przystanęła w drzwiach i znacząco kiwnęła głową do siostry. Ellie zadrżała dolna warga.

– I tak możemy pooglądać, Ellie – odezwałam się, starając się przemawiać jak najbardziej pogodnie. – Możemy pooglądać razem, tylko ty i ja. Może zrobię popcorn?

Przez sekundę wydawało mi się, że Ellie się waha. Ale po chwili rysy jej stężyły, pokręciła głową, ześlizgnęła się ze stołka i poszła za siostrą.

Kiedy dźwięk ich kroków ucichł na górze schodów, westchnęłam, a potem nastawiłam czajnik, żeby zaparzyć sobie herbatę. Przynajmniej będę miała pół godziny dla siebie, spróbuję przemyśleć całą tę sytuację.

Zanim jednak zdołałam napełnić czajnik, elektroniczna niania w mojej kieszeni zatrzeszczała, a potem rozbrzmiała rozżalonym, pokaszującym krzykiem, oznajmiając mi, że Petra się obudziła i muszę wracać na posterunek.

Czyli nie ma zmiłuj.

W co ja się wpakowałam?

Wiem, że przedłużam. I pewnie zastanawia się Pan, kiedy, do cholery, przejdę do rzeczy – do powodu, dla którego znalazłam się tutaj, w więziennej celi, oraz powodu, dla którego nie powinno mnie tu być.

I przysięgam Panu, dojdziemy do tego. Ale nie umiem – nie potrafię szybko wyjaśnić całej tej sytuacji. To właśnie mój problem z panem Gatesem. Nigdy nie pozwolił mi się dobrze wytłumaczyć – pokazać, jak to wszystko się nagromadzało, te wszystkie drobne rzeczy, wszystkie bezsenne noce, samotność i izolacja, szalony dom, kamery i wszystko inne. Aby to dobrze wyjaśnić, muszę opowiedzieć, jak do tego doszło. Dzień po dniu. Noc po nocy. Kawałek po kawałku.

Tylko że to wygląda, jakbym coś budowała – na przykład dom. Albo obrazek z puzzli. Kawałek po kawałku. A tymczasem jest zupełnie odwrotnie. Kawałek po kawałku się rozpadałam.

I pierwszy kawałek straciłam tamtej nocy.

Ten pierwszy wieczór... Cóż, on nie był najgorszy, ale dobry też był bardzo krótko.

Petra wstała z drzemki marudna i rozdrażniona, a Maddie i Ellie przez całe popołudnie odmawiały wyjścia z pokoju, nawet na kolację, niezależnie od tego, ile je błagałam lub jakie im stawiałam ultimatum. „Zero budyniu, jeśli nie zejdziecie na dół, nim policzę do pięciu; pięć... cztery... trzy... – żadnego dźwięku stóp na schodach – dwa... jeden i pół...”

Właśnie wtedy, kiedy powiedziałam: „jeden i pół”, wiedziałam, że przegrałam.

Nie schodziły.

Przez chwilę miałam pomysł, żeby je wyciągnąć. Ellie była na tyle mała, żebym mogła ją złapać w pasie i znieść siłą – byłam jednak jeszcze przy zdrowych zmysłach na tyle, żeby wiedzieć, że jeśli zacznę w ten sposób, to nie będę już w stanie tego złagodzić, a poza tym to nie Ellie była problemem, tylko Maddie, która miała osiem lat, solidną budowę i nie było sposobu, abym dała radę sama znieść kopiające, krzyczące, walczące dziecko tą długą, wijącą się klatką schodową, a co dopiero posadzić je i zmusić do zjedzenia czegoś, gdybym już zaciągnęła je do kuchni.

W końcu skapitulowałam, sprawdziłam sugerowane menu Sandry w segregatorze, zaniiosłam makaron z pesto do ich sypialni i z wciąż żywą goryczą na samą myśl o potulnych małych główkach pochylonych nad czekoladowymi ciasteczkami od Jean McKenzie zapukałam do drzwi. Usłyszałam tylko ostre: „Idź stąd!”, od Maddie.

– To ja – powiedziałam łagodnie. – Przyniosłam wam makaron. Zostawię go przed drzwiami. Ale będę jadła z Petrą na dole lody; jeśli macie ochotę, możecie zejść i dostać trochę budyniu.

A potem poszłam. To wszystko, co mogłam zrobić.

Na dole w kuchni próbowałam powstrzymać Petrę przed rzucaniem makaronu na podłogę i oglądałam Maddie oraz Ellie na iPadzie. Mój spersonalizowany profil dawał mi dostęp do kamer w pokoju dziecięcym, bawialni, kuchni i na zewnątrz oraz do kontroli świateł i muzyki w kilku innych pomieszczeniach, ale było tam też całe menu ustawień podświetlonych na szaro i niedostępnych. Przypuszczam, że do regulowania nimi potrzebowałabym uprawnień Sandry.

Chociaż szpiegowanie dzieci w ten sposób, z oddali, nadal wydawało mi się upiorne, zaczęłam doceniać, jakie to przydatne. Byłam w stanie zobaczyć ze swojego siedzenia przy kuchennej wyspie, jak Maddie podchodzi do drzwi sypialni, a potem wraca w pole kamer, ciągnąc po dywanie tacę z jedzeniem.

Na środku pokoju stał mały stolik; zobaczyłam, jak siostra wskazuje Ellie jedno miejsce, wyjmuje miseczki i sztucce, po czym siada naprzeciwko. Nie miałam włączonego dźwięku, ale po jej zachowaniu nietrudno było stwierdzić, że dyryguje Ellie i każe jej zjeść – sądząc po protestujących gestach Ellie, uznałam, że prawdopodobnie zmusza ją do spróbowania groszku, który wmieszałam do pesto. Serce mi się dziwnie ścisnęło z powodu wściekłego żalu połączonego z jakimś rodzajem czułości. Oj, Maddie, chciałam powiedzieć. To nie musi tak wyglądać. Nie musimy być wrogami.

Ale przynajmniej na ten moment wyglądało, że jesteśmy.

Po kolacji wykąpałam Petrę, jednym uchem nasłuchując dźwięków jakiegoś audiobooka dochodzących z pokoju Maddie i Ellie, a potem położyłam ją spać, a raczej usiłowałam położyć.

Zrobiłam dokładnie tak, jak radził segregator, stosując się do wszystkich zamieszczonych wskazówek, podobnie jak w porze lunchu, ale tym razem to nie zadziało. Petra jęczała i wierciła się, zerwała sobie pieluszkę, a gdy zdecydowanie założyłam ją jej z powrotem i zapięłam śpioszki na plecach, żeby nie mogła ich zdjąć, zaczęła wyć, głośno i wytrwale.

Przez ponad godzinę stosowałam się do instrukcji z segregatora: siedziałam tam z jedną dłonią cierpliwie spoczywającą na jej pleckach, słuchając kojąco powtarzalnej melodyjki karuzeli i oglądając światła tańczące na suficie, ale to nie pomagało. Petra była coraz bardziej nieszczęśliwa, a tony jej krzyków podnosiły się od poirytowanych do wściekłych, aż po graniczące z histerią.

Siedząc tam, głaszcząc ją i usiłując nie przekazać napięcia z mojego nadgarstka i dłoni Petrze, nerwowo zerkałam na kamerę umieszczoną w rogu pokoju. Może byłam właśnie obserwowana. Wyobrażałam sobie, jak Sandra bierze udział w jakimś firmowym wydarzeniu, nerwowo popijając szampana, i przegląda w telefonie nagrania z pokoju dziecięcego. Czy zadzwoni do mnie i spyta, co ja, do cholery, wyprawiam?

Segregator radził, by unikać wyjmowania Petry z łóżeczka po zgaszeniu światła, ale alternatywne rozwiązanie, trzymanie jej w środku, także nie działało. W końcu ją podniosłam i przytuliłam do ramienia, spacerując w tę i w tę po pokoju, lecz ze złości wyła mi na rękach, wyginając plecy, jakby próbowała się uwolnić z mojego uścisku. Włożyłam ją więc z powrotem do łóżeczka, a ona podciągnęła się i stanęła, wściekle szlochając, przyciskając swoją małą, czerwoną buzię do szczebelków.

Wyglądało na to, że nie jestem w stanie nic zdziałać, a moja obecność tylko jeszcze bardziej ją irytuje.

Wreszcie po raz ostatni zerknęłam z poczuciem winy na kamerę i poddałam się.

– Dobranoc, Petro – powiedziałam głośno, po czym wstałam i wyszłam z pokoju, zdecydowanie zamknęłam za sobą drzwi i słuchałam, jak dźwięki jej płaczu stają się coraz cichsze, gdy oddalałam się korytarzem.

Było już po dwudziestej pierwszej, a ja czułam się załamana, wykończona całym wieczorem walki z dziećmi. Pomyślałam, że zejść od razu na dół na kieliszek wina, ale przecież *musiałam* zajrzeć do Maddie i Ellie.

Nie słyszałam żadnych dźwięków dochodzących zza drzwi ich sypialni, a gdy zajrzałam przez dziurkę od klucza, wszystko w środku wydawało się pogrążone w ciemności. Pogasiły światła? Myślałam, żeby zapukać, ale zrezygnowałam. Gdyby zasypiały, to dźwięk pukania prawdopodobnie wytrąciłby je ze snu.

Zamiast tego bardzo cicho przekręciłam gałkę i pchnęłam drzwi. Otworzyły się odrobinę, ale potem napotkały opór.

Zaskoczona pchnęłam je mocniej i wtedy coś się zawaliło, jakby jakiś stos – nie byłam pewna czego – ustawiony po wewnętrznej stronie drzwi upadł z hukiem na podłogę. Wstrzymałam oddech, czekając na krzyki i płacz, ale nic takiego się nie rozległo – najwyraźniej dzieci to przespały.

Potem ostrożnie prześlizgnęłam się przez szparę, którą udało mi się uzyskać, i zapaliłam latarkę w telefonie, aby ocenić straty. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Ułożyły niemal wszystkie ruchome elementy wyposażenia – poduszki, misie, książki, krzesła, mały stolik ze środka pokoju – w barykadę po wewnętrznej stronie drzwi sypialni. Wyglądało to komicznie, a jednocześnie mocno żałośnie. Przed kim próbowały się ochronić? Przede mną?

Przesunęłam światłem latarki po pokoju i zobaczyłam jedną z lampek nocnych, które odłączyły i ułożyły na tym stosie rzeczy. Spadła na podłogę, kiedy konstrukcja się zachwiała, i jej osłonka się przekrzywiła, ale na szczęście żarówka się nie stłukła. Ostrożnie wyprostowałam osłonkę, a potem włączyłam z powrotem do kontaktu i postawiłam na nocnym stoliku Ellie. Kiedy pokój skąpał się w różowym blasku, zobaczyłam je, przytulone razem w łóżku Maddie; wyglądały zupełnie jak dwa małe cherubinki. Maddie pewnie obejmowała siostrę, prawie ją więziła, pomyślałam nawet, żeby poluznić ten uścisk, ale zrezygnowałam. Miałam już szczęście z tym wielkim hukiem, nie ma sensu drugi raz ryzykować.

W końcu udało mi się odsunąć od drzwi tyle rzeczy, by dało się wślizgnąć do pokoju i z powrotem, nie wywołując lawiny, a potem je zostawiłam. Włączyłam sobie odpowiednią funkcję Happy w telefonie, żeby słyszeć, jeśli się obudzą.

Petra nadal szlochała, kiedy przemykałam na palcach koło jej pokoju, ale już nie tak głośno, więc uciszyłam emocje i nie zajrzałam do środka. Powiedziałam sobie, że szybciej się uspokoi, jeśli ją zostawię. A poza tym nic nie jadłam ani nie piłam od południa – byłam zbyt zajęta próbami nakarmienia i wykąpania dziewczynek, żeby zrobić kolację dla siebie. Nagle dopadł mnie wilczy głód, zakręciło mi się w głowie. Potrzebowałam jedzenia – natychmiast.

Na dole, w kuchni, podeszłam do lodówki.

– Kończy się mleko – oznajmił mechaniczny głos, kiedy dotknęłam drzwi, przez co gwałtownie odskoczyłam. – Czy dodać do listy zakupów?

– Yyyy... tak – zebrałam się. Czy tracę rozum, skoro rozmawiam głośno z domowymi urządzeniami?

– Dodaję mleko do listy zakupów – odpowiedział radośnie i ekran znowu się rozświetlił, pokazując listę. – Jedz z Happy, Rowan!

Staralam się nie zastanawiać, jak system wpadł na to, że to ja stałam przed lodówką. Rozpoznawanie twarzy? Mój telefon w pobliżu? Tak czy inaczej, było to niezwykle niepokojące.

Na pierwszy rzut oka zawartość lodówki wyglądała przeraźliwie zdrowo – wielka szuflada pełna zielonych warzyw, miski ze świeżym makaronem, różne garnki z rzeczami w rodzaju kimchi i harissy oraz wielki słoik czegoś, co przypominało wodę ze stawu, ale pomyślałam, że to może być kombucza. Jednak z tyłu, za jakimiś organicznymi jogurtami, dojrzałam pizzę w pudełku, wydobyłam ją z pewną trudnością i otworzyłam. Już wsuwałam blaszkę do piekarnika, kiedy od szklanej ściany po drugiej stronie stołu kuchennego rozległo się głośnie stukanie.

Podskoczyłam i obróciłam się, omiatając wzrokiem pomieszczenie. Robiło się późno, deszcz uderzał o szyby i chociaż druga strona kuchni znajdowała się w cieniu, w niewielkim stopniu widziałam, co dzieje się na dworze, mimo lśniących kropeł spływających po gigantycznej tafli szkła. Już zaczęłam myśleć, że to sobie wyobraziłam albo że może jakiś ptak uderzył w szybę, kiedy w cieniu poruszył się jakiś ciemny kształt, czarny na szarym. Coś – *ktoś* – było na zewnątrz.

– Kto tam? – zawołałam odrobinę ostrzej, niż zamierzałam. Nie padła żadna odpowiedź, więc przeszłam za kuchenną wyspę, okrążyłam stół i podeszłam do szklanej ściany, spowitej ciemnością.

Nie było tam żadnego panelu – a przynajmniej żadnego nie widziałam – ale wtedy przypomniałam sobie o sterowaniu głosem.

– Zapal światło – rzuciłam krótko i ku mojemu zaskoczeniu to zadziało. Ogromny, brutalistyczny żyrandol nad moją głową rozświetlił się nagle płomieniem LED-owych żarówek. Ta nagła jasność wprawiła mnie w zdumienie i oślepiła. Ale gdy tylko moje oczy się przyzwyczyły, zrozumiałam swój błąd. Z zapalonym światłem nie widziałam dosłownie niczego na zewnątrz, z wyjątkiem własnego odbicia w szybie. Ktokolwiek tam był, mógł mnie obejrzeć bardzo wyraźnie.

– Zgaś światło – rzuciłam. Wszystkie światła w całym pomieszczeniu natychmiast zgasły, zalewając kuchnię atramentową ciemnością.

– Cholera – przeklełam pod nosem i zaczęłam po omacku iść przez kuchnię do panelu przy drzwiach, żeby spróbować przywrócić ustawienia do czegoś pomiędzy wypalającą źrenice jasnością a kompletną ciemnością. Moje oczy nadal były oślepione i bolały po tamtej powodzi światła z żyrandola, ale kiedy w końcu wymacałam palcami ekran kontrolny, spojrzałam z powrotem w stronę okna i wydawało mi się, chociaż nie miałam pewności, że widzę, jak coś umyka z boku domu.

Pozostały czas oczekiwania na pizzę zerkałam nerwowo przez ramię na mroczne cienie po drugiej stronie kuchni i obgryzałam paznokcie. Wyłączyłam elektroniczną nianię, żeby lepiej słyszeć dźwięki z zewnątrz, ale szłochy Petry nadal dobiegały mnie od strony schodów, co nie wpływało dobrze na mój poziom zdenerwowania.

Kusiło mnie, żeby włączyć muzykę, ale nie miałam odwagi zagłuszyć dźwięków potencjalnego intruza. Oczywiście nie widziałam ani nie słyszałam niczego na tyle konkretnego, żeby wezwać policję. Kształt w ciemności i stuk mogły być wszystkim, poczynając od szyszki, kończąc na przelatującym ptaku... Przecież to nie *Piątek trzynastego*.

Jakieś dziesięć albo piętnaście minut później – chociaż wydawało się, że dużo później – usłyszałam inny dźwięk, tym razem z boku domu. Pukanie, które sprowokowało do szczekania psy znajdujące się w koszykach w pomieszczeniu gospodarczym.

Podskoczyłam na ten hałas, chociaż było w nim coś domowego, zwyczajnego, w przeciwieństwie do wcześniejszego głuchego uderzenia, i kiedy wyszłam do pomieszczenia gospodarczego, dostrzegłam ciemny kształt rysujący się na zewnątrz za spryskaną deszczem szybą w drzwiach. Postać przemówiła, jej głos niemal ginął w szumie deszczu.

– To ja, Jack.

Zalała mnie fala ulgi.

– Jack! – Otworzyłam drzwi kluczem, i oto był, stał tuż przy wejściu, ukryty pod płaszczem przeciwdeszczowym, z rękoma w kieszeniach. Woda spływała mu po grzywce i kapiała z nosa.

– Jack, wcześniej to byłeś ty?

– Kiedy wcześniej? – spytał zaskoczony, a ja już otworzyłam usta, żeby wytłumaczyć, ale się rozmyśliłam.

– Nieważne, to bez znaczenia. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie będę ci zawracał głowy – odparł. – Chciałem tylko sprawdzić, jak się masz po pierwszym dniu, i tak dalej.

– Dzięki – odparłam niezręcznie, myśląc o koszmarnym popołudniu oraz o tym, że Petra pewnie nadal szłocha do elektronicznej niani. A potem spontanicznie dodałam: – Wejdiesz? To znaczy masz ochotę wejść? Dzieci są w łóżkach. Właśnie robiłam sobie kolację.

– Na pewno? – Zerknął na zegarek. – Jest dość późno.

– Na pewno – odparłam i odsunęłam się, żeby wpuścić go do pomieszczenia. Staął, woda z jego ubrania kapiała na wycieraczkę, a potem ostrożnie zsunął buty.

– Przepraszam, że tak późno – odezwał się, gdy wszedł za mną do kuchni. – Chciałem zajrzeć wcześniej, ale musiałem zabrać tę cholerną kosiarkę do Inverness, do serwisu.

– Nie dałeś rady jej naprawić?

– Ech, tak, uruchomiłem ją. Ale wczoraj znowu padła. Nie mogłem dojść przyczyny. Ale to nieważne. Nie przyszedłem cię zdręczać swoimi kłopotami. Jak było z dziećmi?

– Było... – Przerwałam, czując z przerażeniem, że moja dolna warga zdradziecko drży. Chciałam zachować twarz, bo co, jeśli on zgłosi wszystko Sandrze i Billowi? Ale nie byłam w stanie. A poza tym, gdyby przejrzel nagrania z kamer, szybko poznaliby prawdę. Na domiar złego Petra właśnie wydała z siebie przeciągły, bulgoczący jęk żałości na górze, który był na tyle głośny, że Jack odwrócił głowę w stronę schodów.

– Boże, kogo ja chcę nabrać – stwierdziłam żałośnie. – Było strasznie. Dziewczynki uciekły ode mnie po wyjeździe Billa i Sandry, a ja poszłam szukać ich w lesie, a wtedy ta kobieta... Jak ona się nazywa? Pani McKinty?

– Jean McKenzie – poprawił mnie Jack. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy i usiadł przy długim stole, a ja opadłam na krzesło naprzeciw niego. Miałam ochotę schować twarz w dłoniach i się rozplakać, ale zmusiłam się do niewyraźnego uśmiechu.

– No, w każdym razie przyszła posprzątać i zobaczyła dziewczynki siedzące na wycieraczce, a do tego twierdziły, że zamknęłam przed nimi dom, czego na pewno *nie zrobiłam*, specjalnie zostawiłam dla nich otwarte drzwi. One mnie nienawidzą, Jack, a Petra krzyczała przez jakąś godzinę i...

Zawodzenie się powtórzyło, ja zaś poczułam, że mój poziom zdenerwowania rośnie w miarę tego, jak ono robi się głośniejsze.

– Siedz – powiedział stanowczo Jack, bo chciałam wstać. Popchnął mnie z powrotem na krzesło. – Zobaczę, czy dam radę ją uspokoić. Pewnie po prostu nie jest do ciebie przyzwyczajona, jutro będzie lepiej.

Było to pogwałcenie każdej zasady bezpieczeństwa, jakiej kiedykolwiek mnie uczono, ale byłam zbyt zmęczona i zrozpaczona, by się tym przejmować – a poza tym, pomyślałam sobie, Sandra

i Bill nie trzymaliby go na terenie swojej posiadłości, gdyby uważali, że stanowi zagrożenie dla ich dzieci.

Kiedy dźwięki kroków oddaliły się na schodach, włączyłam elektroniczną nianię i słuchałam, jak delikatnie otwierają się drzwi pokoju Petry, a jej dławiące, duszące krzyki cichną po wyjęciu jej z łóżeczka.

– Już, już, malutka – usłyszałam niskie, poufałe nucenie, które przyprawiło mnie o rumieniec, jakbym ich podsłuchiwała, choć Jack na pewno wiedział, że elektroniczna niania jest podłączona. – Już, już, moja malutka dziewczynka. – Na górze, z dala ode mnie, miał jakby mocniejszy szkocki akcent. – Ciii... ciii... Już, Petra. Już, już. Po co te wszystkie krzyki?

Płacz Petry był teraz cichszy, bardziej czkała i burczała, niż rozpaczała, a ja usłyszałam skrzypienie desek, kiedy Jack chodził cicho tam i z powrotem, trzymając ją, uspokajając i z zaskakującą wprawą poskramiając to zrozpaczone dziecko.

W końcu zamilkła, a ja słuchałam, jak jego kroki cichły, a potem stukotu szczebelków łóżeczka, kiedy się pochylił i delikatnie opuścił ją na materac.

Nastąpiła długa przerwa, drzwi zaszurały o dywan i znów usłyszałam kroki Jacka na schodach.

– Sukces? – zapytałam, nie dowierzając, kiedy wszedł do kuchni, a on w odpowiedzi skinął głową i uśmiechnął się gorzko.

– Tak, bidulka była chyba wykończona, szukała tylko wymówki, żeby położyć głowę. Zasnęła niemal natychmiast, kiedy ją podniosłem.

– Boże, Jack, musisz myśleć, że jestem kompletną... – Przerwałam, niepewna, jak skończyć. – To znaczy, to ja jestem nianią. Powinnam być dobra w takich rzeczach.

– Nie żartuj. – Znowu usiadł przy stole naprzeciwko mnie. – Będzie dobrze, kiedy cię poznają. Jesteś dla nich obcą osobą, po prostu. Sprawdzają cię. Miały już tyle niań w ciągu ostatniego roku, że nic dziwnego, jeśli są trochę nieufne wobec nowej, która

wparowuje i nagle przejmuje stery. Wiesz, jakie są dzieci: kiedy już zobaczą, że zostajesz i nie zamierzasz ich porzucać, wszystko się poprawi.

– Jack... – To był temat, na który czekałam, a jednak kiedy już się pojawił, nie byłam pewna, jak sformułować pytanie. – Jack, co się *stało* z tymi poprzednimi nianiami? Sandra powiedziała, że odeszły, bo dom wydawał im się nawiedzony, ale ja nie mogę uwierzyć... Nie wiem, to mi się wydaje niedorzeczne. Czy ty coś widziałeś?

Kiedy to powiedziałam, pomyślałam o cieniu, który dostrzegłam wcześniej na zewnątrz, ale odepchnęłam ten obraz. To był pewnie lis albo drzewo kiwające się na wietrze.

– Cóż... – zaczął dość powoli Jack. Wyciągnął swoją wielką, zniszczoną pracą dłoń, z paznokciami wciąż odrobinę poszarzałymi od oleju, mimo prawdopodobnie wielokrotnego szorowania, podniósł elektroniczną nianię, którą położyłam na stole, i zapobiegliwie ją włączył. – Cóż... Nie powiedziałbym...

Ale cokolwiek miał zamiar powiedzieć, zostało przerwane przez głośny, dość apodyktyczny głos:

– Rowan?

Jack urwał, a ja podskoczyłam tak mocno, że przygryzłam sobie język. Obróciłam się, szukając nerwowo źródła tego głosu. Należał do dorosłej kobiety, nie dziecka, i był bardzo ludzki, mocno się różnił od automatycznego brzmienia aplikacji Happy. Czy ten ktoś był *w domu*?

– Rowan – powtórzył głos. – Jesteś tam?

– Słucham? – Zebrałam się w sobie.

– O, cześć, Rowan! Tu Sandra.

Zalała mnie mieszanka ulgi i wściekłości, gdy zrozumiałam, że ten głos dochodzi z głośników. Sandra w jakiś sposób zalogowała się do domowego systemu i mówiła do nas przez aplikację. Nie sposób opisać, jak bardzo było to niepokojące. Dlaczego, u diabła, nie mogła po prostu zadzwonić?

– Sandra. – Przełknęłam swoją złość, próbując przywrócić radosny, energiczny ton, który opanowałam do perfekcji w czasie rozmowy kwalifikacyjnej. – Cześć. Kurczę, jak się masz?

– Dobrze! – Jej głos niósł się echem po kuchni, a wzmocniony przez system głośników surround, odbijał się od wysokiego szklanego sufitu. – Jestem zmęczona! Ale do rzeczy, jak *ty* się masz? Co słysząc na froncie domowym?

Zerknęłam na siedzącego ze mną przy stole Jacka, myśląc o tym, że to on uśpił Petrę. Czy Sandra to widziała? Powinnam coś powiedzieć? Miałam nadzieję, że nie będzie mi przerywał, i nie zrobił tego.

– No... teraz spokojnie – powiedziałam w końcu. – Wszystkie w łóżkach i bezpiecznie śpią. Muszę przyznać, że z Petrą nie było łatwo. Po lunchu padła jak mucha, ale może pozwoliłam jej za długo pospać, nie wiem. Bardzo trudno było ją położyć wieczorem.

– Ale teraz śpi? Dobra robota.

– Tak, teraz śpi. A pozostałe dwie dziewczynki zasnęły cicho jak myszki.

Przestraszone, broniące się, wkurzone myszki – ale przynajmniej były cicho. I spały.

– Pozwoliłam im zjeść kolację w ich pokoju, bo wyglądały na zmęczone. Mam nadzieję, że to w porządku?

– Dobrze, dobrze – odparła Sandra, trochę zbywając to pytanie. – A przez resztę dnia zachowywały się dobrze?

– Były... – Zacisnęłam usta, zastanawiając się, na ile szczerości sobie pozwolić. – Były trochę smutne po waszym wyjeździe, szczerze mówiąc, zwłaszcza Ellie. Ale po południu się uspokoiły. Zaproponowałam im oglądanie *Krainy Lodu*, ale nie chciały. Ostatecznie bawiły się w swoim pokoju. – Cóż, to było wystarczająco prawdziwe. Tyle tylko, że nie *wyszły* z tego pokoju. – Słuchaj, Sandro, jakie są zasady co do podwórka?

– Co masz na myśli?

– Czy naprawdę wolno im się wszędzie szwendać, czy powinnam je mieć na oku? Wiem, że ty i Bill podchodzicie do tego na luzie, ale jest tu ten staw... Ja po prostu... Mnie to trochę niepokoi.

– A, ten staw – odparła Sandra. Zaśmiała się, a dźwięk rozniósł się echem w przestrzeni w taki sposób, że żałowałam, iż nie umiem zmienić głośności w głośnikach. – On ma ledwo piętnaście centymetrów głębokości. Szczerze mówiąc, dlatego właśnie kupiliśmy z Billem dom z dużym terenem wokół, żeby dać dzieciom tę wolność swobodnego biegania. Nie musisz ich pilnować w każdej sekundzie dnia. Wiedzą, że nie wolno im robić niczego głupiego.

– Ja... ja... – Przerwałam, nie wiedząc, jak ująć moje obawy tak, by nie wyglądały jak krytyka jej modelu wychowania. Byłam przeraźliwie świadoma tego, że naprzeciwko mnie Jack uprzejmie odwraca oczy i udaje, że nie słucha. – Oczywiście ty je znasz lepiej ode mnie, Sandro, i jeżeli uważasz, że tak jest w porządku, to wierzę ci na słowo, ale ja po prostu... jestem przyzwyczajona do większego poziomu kontroli, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Zwłaszcza wokół wody. Wiem, że nie jest wcale taka głęboka, ale błoto...

– No dobrze, słuchaj – przerwała mi Sandra. Zabrzmiała odrobinę defensywnie i przekląłam w myślach. Naprawdę próbowałam nie wygłaszać krytyki. – Słuchaj, musisz postępować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, oczywiście, że musisz. Jeśli widzisz, że robią coś głupiego, to się wtrąć. Nie ulega wątpliwości, że do twojej pracy należy kontrola nad nimi. Ale nie widzę sensu w trzymaniu dzieci całe popołudnie przed telewizorem, kiedy na zewnątrz jest wielki, piękny, nasłoneczniony ogród.

Zatkało mnie. Czy to był przytyk do tego, że próbowałam je przekupić filmem?

Zapadła długa, niezręczna cisza, podczas której zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Miałam ochotę ujawnić prawdę – że jedna osoba nie jest w stanie dobrze zaopiekować się pięciolatką, ośmiolatką oraz maluchem, który ledwo drepcze, kiedy dzieci

rozbiegają się po kilku akrach zalesionego terenu. Ale miałam przecucie, że zostałamby wtedy zwolniona. Wydawało się oczywiste, że Sandra nie chce dyskutować na temat zagrożeń związanych ze zgodą na puszczanie dziewczynek samopas.

– Dobrze – powiedziałam w końcu. – Stuprocentowo cię rozumiem, Sandro, i oczywiście sama chętnie skorzystam z zalet tego pięknego terenu. Będę... – Przerwałam, szukając właściwych słów. – Będę postępować w zgodzie z własnym rozsądkiem, jak sugerujesz. W każdym razie miałyśmy całkiem dobry dzień, jak na te okoliczności, a dziewczynki wydają się... Wydaje się, że się przyzwyczyły. Chcesz, żebym się jutro zameldowała?

– Cały dzień mam spotkania, ale zadzwonię, zanim pójdą spać – odparła Sandra, tym razem trochę łagodniejszym tonem. – Przepraszam, nie zdołałam porozmawiać z dziewczynkami przed snem, bo mieliśmy kolację z klientem. A poza tym to by je pewnie rozdrażniło. Wydaje mi się, że na początku lepiej przyjąć taktykę: co z oczu, to z serca.

– Tak – przytaknęłam. – Oczywiście, rozumiem to.

– No, to dobranoc, Rowan. Śpij dobrze. Pewnie już się kładziesz, bo obawiam się, że czeka cię jutro wczesna pobudka!

Zaśmiała się. Zmusiłam się, żeby też się zaśmiać, ale szczerze mówiąc, ani trochę się nie cieszyłam. Na myśl, że mam zacząć to wszystko od nowa o szóstej rano, robiło mi się niedobrze. *Jakim cudem* wydawało mi się, że temu podołam?

Pamiętaj, dlaczego tu jesteś – pomyślałam ponuro.

– Tak, na pewno – odparłam, próbując przelać uśmiech do swojego tonu. – Dobranoc, Sandro.

Odczekałam, ale nie usłyszałam żadnego kliknięcia ani innego sygnału, że się rozłączyła lub zamknęła aplikację.

– S-Sandra? – spytałam niepewnie, ale wyglądało na to, że zniknęła. Opadłam mocniej na stołek i przetarłam twarz dłonią. Czułam się wykończona.

– Powiniennem już iść – odezwał się Jack. Dziwne, najwyraźniej odebrał mój gest jako sugestię. Podniósł się, odsuwając siedzisko. – Jest późno, a ty pewnie jutro wcześnie wstajesz z dziewczynkami.

– Nie, zostań. – Popatrzyłam na niego. Nagle rozpaczliwie nie chciałam zostać sama w tym domu pełnym ukrytych oczu, uszu i głośników. Towarzystwo osoby, prawdziwiej osoby z krwi i kości, nie głosu pozbawionego ciała, było kuszące. – Wolałabym mieć z kim zjeść. – Z pieca dobiegła woń spalenizny i nagle przypomniałam sobie o pizzy. – Jadłeś już?

– Nie, ale nie będę ci zabierał kolacji.

– Och, przestań. Przed twoim przyjściem wstawiłam pizzę do piekarnika. Pewnie jest już spalona, ale za to wielka. Nie podołam jej sama. Proszę, pomóż mi, naprawdę będzie mi miło.

– No... – Zerknął na drzwi pomieszczenia gospodarczego w stronę garażu i, jak przypuszczałam, jego małe mieszkanko na górze z ciemnymi oknami. – No... skoro nalegasz.

– Nalegam. – Włożyłam grube rękawice i otworzyłam drzwiczki gorącego pieca. Pizza była upieczona. Właściwie przepieczona, ser zrobił się chrupiący i zwęglony na brzegach, ale byłam zbyt głodna, by się tym przejmować. – Przepraszam, jest trochę czarna. Zupełnie o niej zapomniałam. Przeszkadza ci to?

– Ani trochę. Jestem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami, a co dopiero odrobinę spaloną pizzę. – Uśmiechnął się, opalona skóra na jego policzkach się zmarszczyła.

– I nie wiem, jak ty – dodałam – ale ja potrzebuję kieliszka wina.

– Nie odmówię.

Obserwował, jak kroję pizzę na kawałki i szukam dwóch kieliszków w szafce.

– Nie będzie ci przeszkadzać, że zjemy z deski? – spytałam, a on obdarzył mnie znowu szerokim uśmiechem.

– Nie będzie mi ani trochę przeszkadzać. To ty podejmujesz ryzyko, że pożrę całą twoją kolację, jeśli nie będzie bezpiecznie odgradzona, ale jeśli ci to nie przeszkadza, to nie mój problem.

– Mnie też nie przeszkadza – odparłam i ku swojemu zaskoczeniu odwzajemniłam nieco nieśmiało jego uśmiech. Zrobiłam to szczerze, nie przypominał wymuszonego, niewyraźnego grymasu sprzed chwili.

Na kilka minut zapanowała cisza, bo każde z nas rozprawiało się z tłustym, pysznym kawałkiem pizzy, a potem kolejnym. W końcu Jack sięgnął po swój trzeci i odezwał się, obracając go w palcach pod takim kątem, żeby tłuszcz skapywał z powrotem na deskę.

– Więc... wracając do tego, o co pytałaś wcześniej.

– O... o te ponadnaturalne rzeczy?

– Tak. No więc, szczerze mówiąc, ja niczego nie widziałem, ale Jean, ona jest... no, nie do końca przesądna. Ale lubi dobre historie. Zawsze kładzie dzieciom do głowy bajki, wiesz, szkockie selkie i kelpie, tego typu sprawy. A ten dom jest bardzo stary, przynajmniej jego niektóre części. Na pewno w jego murach ludzie umierali i dochodziło tu do przemocy, ale nie częściej niż w innych miejscach, tak mi się wydaje.

– Więc... Myślisz, że Jean opowiada dziewczynkom takie rzeczy, a one je potem przekazują nianiom?

– Może. Nie mam jednak pewności. Ale wiesz, tamte nianie były bardzo młode, przynajmniej większość. Nie każdy może mieszkać w takim miejscu, całe kilometry od miasta, baru albo pubu. *Au pairs* nie chcą tu spędzać czasu, wolą mieszkać w Edynburgu czy Glasgow, gdzie są nocne kluby i inni ludzie mówiący w ich języku, znasz to?

– Tak. – Wyjrzałam przez okno. Było zbyt ciemno, by coś dostrzec, ale oczyma duszy zobaczyłam drogę wijącą się w ciemności, całe kilometry falujących wzgórz oraz góry w oddali. Pomijając deszcz, panowała tu cisza. Żadnego samochodu, przechodnia, nikogo. – Tak, potrafię to zrozumieć.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Nie wiem, co sobie myślał Jack, ale mnie przepełniała mieszanka dziwnych emocji – stresu, zmęczenia, trwogi przed dniami, które mnie czekają, oraz coś

jeszcze, nawet bardziej niepokojącego. Dotyczyło to Jacka, jego obecności oraz grupek piegów na szerokich kościach policzkowych i sposobu, w jaki jego mięśnie poruszały się pod skórą na przedramieniu, kiedy złożył ostatni kawałek pizzy w schludny pakiecik i wykończył go dwoma szybkimi kęsami.

– No, to ja już pójdę spać. – Wstał i przeciągnął się tak, aż usłyszałam chrupnięcie jego stawów. – Dzięki za kolację, miło było mieć z kim porozmawiać.

– Mnie też.

Wstałam, nagle zawstydzona, jakby czytał mi przed chwilą w myślach.

– Dasz sobie radę?

Skinęłam głową.

– No, ja mieszkam zaraz nad garażem, w dawnym budynku stajni, gdybyś czegoś potrzebowała. Drzwi są z boku, te pomalowane na zielono, z jaskółką na tabliczce. Gdyby coś się działo w nocy...

– Co by się miało stać? – przerwałam mu zaskoczona, a on się roześmiał.

– Źle to zabrzmiało. Chodziło mi tylko o to, że gdybyś mnie do czegoś potrzebowała, to wiesz, gdzie mnie szukać. Dostałaś numer mojej komórki od Sandry?

– Nie.

Zdjął ulotkę z lodówki i na marginesie napisał swój numer, po czym mi ją wręczył.

– Proszę bardzo. Na wszelki wypadek.

„Na wypadek czego?” – chciałam znowu spytać, ale wiedziałam, że zbędzie to tylko śmiechem.

Byłam pewna, że to miał być pokrzepiający gest. Ale z jakiegoś powodu podzielał na mnie zupełnie odwrotnie.

– Dzięki, Jack – powiedziałam, czując się trochę niezręcznie, a on znowu się uśmiechnął, narzucił swój płaszcz, a potem otworzył drzwi pomieszczenia gospodarczego i wyskoczył na deszcz.

Kiedy poszedł, ruszyłam jego śladem, żeby zamknąć drzwi. Bez niego dom wydawał się bardzo nieruchomy i cichy. Westchnęłam i sięgnęłam nad drzwi po klucz. Tam go jednak nie było.

Pomacałam całą długość futryny, dotykając palcami kurzu oraz małych, chrupiących grudek martwych owadów, ale nie było tam niczego.

Nie było go też na podłodze.

Może Sandra go przełożyła? Albo zrzuciła podczas sprzątanania?

Tylko że wyraźnie pamiętałam, że odkładałam klucz po wyjściu Jean, tak jak kazała Sandra, żeby był na wszelki wypadek pod ręką, ale poza zasięgiem dzieci. Może spadł? Ale jeśli tak, to co się z nim stało? Był wielki i mosiężny. Zbyt duży, żeby nie zauważyć go na podłodze albo żeby zmieścił się w rurze odkurzacza. Może został pod coś kopnięty?

Opadłam na dłonie i kolana, zaświeciłam latarką telefonu pod pralką oraz suszarką, ale tam też niczego nie zobaczyłam, tylko płaskie białe płytki i kilka kłębków kurzu, które zadrgały, kiedy je rozdmuchnęłam. Potem, mimo wątpliwości, poszłam do szafki, w której mieszkał parterowy hoover – ale pojemnik na brud został wcześniej opróżniony. Był to bezworkowy odkurzacz z przezroczystym plastikowym cylindrem, w którym widać wirujący kurz – pomijając już kwestię tego, czy ten klucz mógł się tam dostać, nie było szans, by ktoś wyrzucił duży mosiężny klucz i go nie zauważył.

Potem przeczesałam kuchnię i sprawdziłam nawet kosz na śmieci – ale niczego tam nie znalazłam.

W końcu otworzyłam drzwi pomieszczenia gospodarczego i wyjrzałam na deszcz w kierunku stajni, gdzie w oknie na górze zapaliło się światło. Powinnam zadzwonić do Jacka? Może on ma zapasowy klucz? Ale jeśli tak, to czy naprawdę chciałam, żeby miał mnie za na tyle niezorganizowaną i bezradną, że odczekałam zaledwie dziesięć minut, nim przyjął jego ofertę pomocy?

Kiedy się tak zastanawiałam, zgasło światło w jego oknie, więc pomyślałam, że pewnie poszedł spać.

Było za późno. Nie będę go wyciągać w pizamie.

Po raz ostatni rzuciłam okiem na podwórko tuż za drzwiami, na wypadek gdyby w jakiś sposób ktoś kopnął klucz na zewnątrz, i zatrzasnęłam drzwi.

Spytam Jacka rano.

W międzyczasie... o Boże, co ja zrobię? Muszę... muszę zabarykadować czymś drzwi. To było absurdalne – byliśmy oddaleni o całe kilometry od wszystkiego, za zamkniętą bramą, ale wiedziałam, że nie będę dobrze spać, jeśli nie zabezpieczę domu.

Klamka miała kształt gałki, więc nie można było pod nią podstawić krzesła, żeby nie dało się jej nacisnąć, ale w końcu, po długich poszukiwaniach, znalazłam w szafce klin do blokowania drzwi. Wetknęłam go mocno w szparę pod nimi, a potem przekręciłam gałkę, żeby sprawdzić.

Ku mojemu zdziwieniu, nie otwierały się. To nie powstrzymałoby upartego złodzieja – ale na takiego niewiele działa. Gdyby ktoś naprawdę chciał się włamać, mógłby po prostu stłuc okno. Ale przynajmniej dawało to wrażenie, że drzwi są zamknięte, i wiedziałam, że dzięki temu będę dobrze spała.

Gdy wróciłam do kuchni uprzątnąć pudełko po pizzy, zegar na kuchence pokazywał dwudziestą trzecią trzydzieści sześć, i nie udało mi się powstrzymać jęku. Dziewczynki wstaną o szóstej. Powinnam już dawno spać.

Cóż, było już za późno, żeby to zmienić. Po prostu odpuszczę prysznic i jak najszybciej się położę. Byłam taka zmęczona, że nie miałam wątpliwości: zaśnięcie nie stanowiło problemu.

– Zgaś światło – powiedziałam na głos.

Pomieszczenie natychmiast otuliła ciemność, tylko blady blask z korytarza oświetlał betonową podłogę. Stłumiłam ziewnięcie i poszłam na górę, do łóżka. Zasnęłam, ledwo się rozebrałam.

Obudziłam się przestraszona, w całkowitych ciemnościach i z poczuciem kompletnej dezorientacji. Gdzie byłam? Co mnie obudziło?

Chwilę mi zajęło, zanim sobie przypomniałam – dom Heatherbrae. Elincourtowie. Dzieci. Jack.

Telefon na mojej nocnej szafce pokazywał, że było szesnaście po trzeciej nad ranem, a ja jęknęłam i rzuciłam go ze stuknięciem z powrotem na drewniany blat. Nic dziwnego, że nadal było ciemno, to pieprzony środek nocy.

Głupi mózg.

Ale co, do diabła, mnie zbudziło? Petra? Może któraś z dziewczynek krzyknęła przez sen?

Przez chwilę leżałam, nasłuchując. Niczego nie usłyszałam, ale byłam piętro wyżej, a od dzieci dzieliły mnie dwie pary zamkniętych drzwi.

W końcu, powstrzymując westchnięcie, wstałam, owinęłam się szlafrokiem i wyszłam na korytarz.

Dom był pogrążony w ciszy. Ale coś sprawiało wrażenie... jakby nie w porządku, chociaż nie umiałam tego nazwać. Deszcz ustał, a ja niczego nie słyszałam, nawet dalekiego warkotu samochodów czy szumu wiatru w koronach drzew.

Wtedy zrozumiałam; chodziło o dwie rzeczy. Po pierwsze, cień na ścianie naprzeciwko mnie, rzucony przez więdnące peonie na stoliku na dole.

Ktoś zapalił światła na dole w korytarzu. Sama na pewno *nie* zostawiłam ich włączonych, kiedy szłam spać.

W momencie, gdy zaczęłam schodzić cicho po schodach, serce prawie przestało mi bić, a potem rozszalało się tak, jakby miało

wyskoczyć mi z piersi.

Powodem była druga rzecz: dźwięk kroków na drewnianej podłodze, powolnych i rozważnych, dokładnie takich jak poprzedniej nocy.

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Czułam się, jakby moją pierś oplatała żelazna opaska. Znieruchomiałam, popatrzyłam na światło piętro niżej, a potem znów w górę, skąd dochodził dźwięk. Jezu Chryste. Czy w tym domu był ktoś jeszcze?

Światło mogłabym zrozumieć. Może Maddie albo Ellie wstały do toalety i zostawiły je włączone – w ścianach w równych odstępach były podłączone słabe lampki nocne, mimo to dziewczynki pewnie włączyłyby główne światło w korytarzu.

Ale kroki...?

Pomyślałam o głosie Sandry, który bez ostrzeżenia popłynął z systemu nagłaśniającego w kuchni. Czy *to* była odpowiedź? Cholerna aplikacja Happy? Ale jak? I, co ważniejsze, *dlaczego*? To nie miało sensu. Jedynymi osobami z dostępem do aplikacji byli Sandra i Bill, a oni nie mieli żadnego sensownego powodu, by mnie w taki sposób straszyć. Raczej odwrotnie. Dopiero co podjęli ogromny wysiłek i ponieśli koszty, żeby mnie zatrudnić.

Poza tym to nie brzmiało tak, jakby dochodziło z głośników. Nie czułam, że ten dźwięk jest pozbawiony ciała, tak jak wcześniej głos Sandry w kuchni. Wtedy nie miałam w ogóle wrażenia, że ktoś stoi za mną i do mnie mówi. Brzmiało to dokładnie na to, czym było – na głos nadawany przez głośniki. A tu było inaczej. Słyszałam kroki po jednej stronie sufitu przesuwane się powoli, nieustępliwie na drugą. Potem ustały i zawróciły. Brzmiały tak... No... jakby ktoś chodził w tę i we w tę po pokoju tuż nad moją głową. Ale to też nie miało sensu. Bo nie *było* tam żadnego pokoju. Nie było tam nawet wjazdu na górę.

Nagle w mojej głowie pojawił się obraz – coś, o czym nie myślałam od dnia przyjazdu. Zamknięte drzwi w mojej sypialni. Dokąd

prowadziły? Czy tam *był* strych? Wydawało się nieprawdopodobne, żeby ktoś mógł wejść tam przez mój pokój, ale przecież *słyszałam* kroki z góry.

Drżąc, wróciłam na palcach do siebie i nacisnęłam przycisk lampki nocnej. Nie włączyła się.

Przeklełam, Panie Wrexham. Nie jestem z tego dumna. Przeklełam długo i głośno. Zgasiałam tę lampę włącznikiem, więc dlaczego, do cholery, nie mogłam jej tak z powrotem *włączyć*? Jaki w ogóle sens miał ten cały durny system oświetlenia?

Z wściekłością, nie troszcząc się o muzykę ani system ogrzewania, uderzyłam ręką o niepodświetlony panel na ścianie, klikając na oślepy wszystkie kwadraty i cyfry, które zapalały mi się pod dłonią. Lampy mrugały w szafach, włączył się wiatrak w łazience, pomieszczenie zalała krótka fala muzyki klasycznej; zamilkła, kiedy znowu uderzyłam w panel, a potem jakiś niewidoczny klimatyzator w suficie zaczął dmuchać zimnym powietrzem. Ale w końcu zapaliło się główne światło.

Opuściłam rękę wzdłuż ciała, ciężko dysząc, ale z triumfem. Potem zaczęłam otwierać zamknięte drzwi.

Najpierw wypróbowałam klucz do mojej sypialni, który pokazała mi Sandra, leżący na futrynie, tak jak pozostałe. Nie pasował.

Potem sięgnęłam po klucz do szafy po przeciwnej stronie. Nie pasował.

Na futrynie drzwi nie było niczego poza odrobiną kurzu.

W końcu uciekłam się do ukłęknięcia i zajrzenia przez dziurkę od klucza, serce waliło mi w piersi jak w bęben, tak mocno, że myślałam, że zwymiotuję.

Nic nie zobaczyłam – tylko nieskończoną czerń. Ale coś *poczułam*. Chłodny powiew, od którego zamrugałam. A potem odsunęłam się od dziurki z załzawionymi oczami.

To nie była zwykła szafa. Było tam coś więcej. Może strych. A przynajmniej przestrzeń na tyle duża, żeby wywołać przeciąg, z jakimś źródłem powietrza.

Kroki ustały, ale wiedziałam, że tej nocy już nie zasnę, i w końcu owinęłam się kołdrą, usiadłam z telefonem w dłoni, z silnym światłem nad głową, i obserwowałam zamknięte drzwi.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Że zobaczę, jak przekręca się gałka? Że ktoś – albo coś – się pojawi?

Cokolwiek to miało być, nie wydarzyło się. Po prostu tam siedziałam, niebo za oknem zaczęło jaśnieć, a cytrynowożółty snop świtu zakradał się po dywanie, mieszając się ze sztucznym światłem.

W końcu, kiedy usłyszałam ciche, marudne jęknięcie dochodzące z dołu, rozluźniłam dłoń zaciśniętą na telefonie, rozciągnęłam zeszywniałe palce i zobaczyłam na wyświetlaczu, że jest piąta pięćdziesiąt siedem.

Było rano. Dzieci się budziły.

Gdy wstawałam z łóżka, moja dłoń nieświadomie powędrowała do naszyjnika – ale tylko musnęłam palcami obojczyk i przypomniałam sobie, że zdjęłam go pierwszej nocy i zwinęłam na nocnym stoliku, tak samo jak przed rozmową kwalifikacyjną.

Teraz odwróciłam się, żeby po niego sięgnąć, ale nie znalazłam go tam. Zmarszczyłam brwi i zajrzałam za stolik. Nic. Może Jean McKenzie go schowała.

Jęk z dołu się powtórzył, tym razem głośniejszy, więc westchnęłam i porzuciłam śledztwo. Potem go poszukam.

Najpierw musiałam przetrwać kolejny dzień.

Ekspres do kawy – napełniany ziarnami i podłączony do sieci wodociągowej. Sterowany przez aplikację, wybierz z menu: „Urządzenia”, potem: „Baristo”, a następnie wybierz jeden z zaprogramowanych trybów lub skomponuj własny. Jeśli pokaże się ikona ziarna kawy, trzeba napełnić pojemnik. Jeśli pokaże się ikona „!”, prawdopodobnie wystąpił problem z Wi-Fi albo ciśnieniem wody. Możesz go zaprogramować tak, żeby działał o określonej porze każdego dnia, co świetnie się sprawdza rano, ale oczywiście wieczorem trzeba pamiętać o podstawieniu filiżanki! Zaprogramowane są następujące tryby...

Jezu. Od przyjazdu tutaj ograniczałam się głównie do herbaty, przede wszystkim dlatego, że ekspres do kawy strasznie mnie onieśmiała – ta chromowana bestia pokryta przyciskami, gałkami i tarczami. Sandra wyjaśniła mi po moim przyjeździe, że jest podłączony do Wi-Fi i sterowany przez aplikację – ale Happy okazywała się najmniej intuicyjną aplikacją, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia. Jednak po bezsennej nocy postanowiłam, że filiżanka kawy jest jedyną rzeczą, która może sprawić, iż poczuję się choć trochę normalnie, i kiedy Petra przeżuwała miseczkę małych wafelków ryżowych, postanowiłam spróbować go rozgryźć.

Nie zdążyłam go włączyć, kiedy za mną odezwał się jakiś głos:

– Puk, puk.

Podskoczyłam i obróciłam się; nadal pobrzmiwały we mnie ślady nocnego bladego strachu.

To był Jack. Stał w otwartych drzwiach pomieszczenia gospodarczego, w kurtce, ze smyczami psów w dłoni. Nie słyszałam, jak wchodził, i najwyraźniej zaskoczenie oraz sprzeczne uczucia odmalowały się na mojej twarzy.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Pukałem, ale nie słyszałaś, więc po prostu wszedłem. Przyszedłem zabrać psy na

spacer.

– Nie ma problemu – odparłam i odwróciłam się, żeby zabrać Petrze jej wafelki. Przestała jeść i teraz wcierała sobie jeden w ucho. Niespodziewana obecność Jacka przynajmniej odpowiadała na moje pytanie, czy byłam także odpowiedzialna za psy, dzięki czemu mogłam wykreślić z listy choć jedną rzecz. Claude i Hero brykały wkoło, przejęte wyjściem, a Jack ostro je uciszył. Natychmiast zamilkły, wyraźnie szybciej, niż kiedy słuchały Sandry, a on chwycił większego psa za obrozę i zaczął przypinać mu smycz.

– Dobrze spałaś? – spytał swobodnie, kiedy smycz znalazła się na miejscu.

Odwróciłam się, moja ręka zawisała w powietrzu podczas wycierania twarzy Petry. Czy *dobrze spałam*? O co mu chodzi? Czy on... czy on... wiedział?

Przez chwilę po prostu stałam, gapiąc się na niego, tymczasem Petra wykorzystała moją chwilową nieuwagę, chwyciła wyjątkowo mokry wafelek ryżowy i wsmarowała mi go w rękaw.

Wtedy się otrząsnęłam. Pytał po prostu tak, jak robią to czasem ludzie, z uprzejmości.

– Szczerze mówiąc, nie za dobrze – odpowiedziałam dość krótko, wytarłam rękaw ścierką i zabrałam Petrze wafelek. – Nie mogłam wieczorem znaleźć klucza do tylnych drzwi, więc nie byłam w stanie dobrze zamknąć domu. Może ty wiesz, gdzie się podział?

– Do tych drzwi? – Skinął głową w kierunku pomieszczenia gospodarczego, z jedną brwią uniesioną, a ja skinęłam.

– Nie mają też zasuwki. Ostatecznie zaklinowałam je kawałkiem drewna. – Chociaż nie na wiele się to zdało. Prawdopodobnie Jack po prostu przesunął klin, otwierając drzwi, i nawet go nie zauważył. – Wiem, że jesteśmy na środku pustkowia, ale to sprawiło, że nie miałam zbyt dobrej nocy.

To oraz dźwięki kroków, pomyślałam, ale nie umiałam się zebrać w sobie, żeby mu o nich powiedzieć. W chłodnym świetle dnia

brzmiało to jak szaleństwo, a do tego można je było wyjaśnić na wiele różnych sposobów. Poszerzające się rury od ogrzewania. Kurczące się belki stropowe, gdy dach chłodził się po gorącym dniu. Praca starego domu. W głębi serca wiedziałam, że żadna z tych rzeczy nie wyjaśnia w pełni słyszanych przeze mnie dźwięków. Ale nie miałam pojęcia, jak przekonać o tym Jacka. Jednak klucz to co innego. Coś oczywistego... i namacalnego.

Jack miał zmarszczone brwi.

– Sandra zwykle trzyma klucz nad drzwiami, na futrynie. Nie lubi, żeby wisiał w zamku, żeby dzieci się nim nie bawiły.

– Wiem o tym. – W moim głosie zabrzmiał cień zniecierpliwienia, które próbowałam ukryć. To nie wina Jacka, że tak się stało. – To znaczy mówiła mi o tym. To było w segregatorze. I odłożyłam go tam wczoraj, ale teraz go nie ma. Myślisz, że Jean mogła go zabrać?

– Jean? – Wyglądał na zaskoczonego, a potem zaśmiał się krótko i pokręcił głową. – Nie, nie wydaje mi się. Po co miałyby to robić? Ona ma swoje klucze.

– To może ktoś inny?

Ale pokręcił głową.

– Nikt tu nie przychodzi bez mojej wiedzy. Przede wszystkim nie przedostałby się przez bramę.

Nie przypominałam mu, że Jean zastała zamknięte drzwi, gdy już wróciłam z poszukiwań Maddie i Ellie. Ja ich nie zamknęłam. Więc kto to zrobił?

– Może gdzieś upadł – powiedział i wrócił do pomieszczenia gospodarczego. Psy poszły za nim jak wierne cienie, obwąchując wszystko, kiedy on odsuwał suszarkę i zaglądał pod pralkę.

– Szukałam już – oznajmiłam, starając się ukryć irytację w głosie. A potem, ponieważ się nie wyprostował ani nie porzucił poszukiwań, powtórzyłam: – Jack? Słyszałeś mnie? Szukałam wszędzie, nawet w koszu na śmieci.

Ale on przesuwiał pralkę, trochę stękając z wysiłku; kółka zaskrzypiały na płytkach.

– Jack? Słyszałeś mnie? Powiedziałam, że już...

Zignorował mnie, pochylił się nad blatem, wyciągnął swoją długą rękę z tyłu wzdłuż urządzenia.

– *Jack...* – Tym razem było słychać moją irytację, ale on mi przerwał.

– Mam go.

Wyprostował się triumfalnie, z zakurzonym mosiężnym kluczem w dłoni. Zamknęłam się.

Szukałam. Naprawdę *szukałam*. Wyraźnie pamiętałam, że zajrzałam pod tę pralkę i nie widziałam tam niczego prócz kurzu.

– Ale...

Podszedł do mnie i podał mi go.

– Ale ja go *szukałam*.

– Utknął za kółkiem. Mogłaś nie zauważyć. Pewnie wypadł, kiedy drzwi trzasnęły, i poturlał się tam. Ale, jak to mówią, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Zacisnęłam dłoń wokół klucza, czując, jak mosiężne wyłobienia wbijają mi się w dłoń. *Szukałam*. *Szukałam dokładnie*. Czy za kółkiem, czy nie, jak mogłam przegapić prawie ośmiocentymetrowy mosiężny klucz, kiedy to właśnie jego szukałam?

Nie było sposobu, żebym przegapiła ten klucz, jeśli się tam znajdował. Co oznaczało, że może... go tam *nie* było. Dopóki ktoś go tam nie wrzucił.

Podniosłam wzrok i spojrzałam w szczerze, orzechowe oczy Jacka, który się do mnie uśmiechnął. Ale to niemożliwe. Był taki *miły*.

Może... odrobinę zbyt miły?

„Od razu zajrzałeś pod pralkę” – chciałam powiedzieć. „Skąd wiedziałeś?”

Ale nie mogłam się zdobyć, żeby wyrazić tę wątpliwość na głos.

Zamiast tego powiedziałam: „Dziękuję”. Ale jak dla mnie brzmiała na przybitą.

Jack nie odpowiedział, otrzępywał już ręce i odwrócił się do drzwi, psy krążyły mu wokół stóp i skamlały.

– Do zobaczenia za... jakąś godzinę? – powiedział, ale tym razem, kiedy się uśmiechnął, serce już mi nie podskoczyło. Zamiast tego dostrzegłam ściegna na grzbietach jego dłoni oraz to, jak krótko trzymał psy, przyciągnięte do samej nogi, dominując nad nimi.

– Pewnie – odbąknęłam cicho.

– O, i prawie zapomniałem, dzisiaj Jean ma wolne. Nie przyjdzie, więc nie ma co zostawiać dla niej naczyń.

– Nie ma problemu.

Odwrócił się i poszedł na podwórko, z psami przy nodze, a ja przyglądałam mu się, przypominając sobie kolejność wydarzeń i próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Chociaż wspomniałam Jackowi o Jean, tak naprawdę nie wierzyłam, żeby to była jej wina. Pamiętam, że położyłam klucz na futrynie po tym, jak wyszła. Więc o ile nie wróciła – a nie wydawało się to prawdopodobne – to nie mogłam jej winić.

Co się stało potem... Jack wszedł tymi drzwiami, tak, ale czy to ja je otworzyłam kluczem? Nie... Byłam prawie pewna, że po prostu je otworzyłam – może Jack zrobił to swoim kompletem. A może to jednak ja? Trudno było mi to sobie przypomnieć.

W każdym razie było technicznie możliwe, że w jakimś momencie swojej wizyty tutaj schował klucz do kieszeni, a dopiero teraz go upuścił. Ale dlaczego? Żeby mnie przestraszyć? To wydawało się nieprawdopodobne. Co mógłby osiągnąć, aranżując odejście kolejnej niani?

Jean, w to bym już łatwiej uwierzyła. Ona po prostu mnie nie polubiła. Ale – pomijając już możliwość zakradnięcia się z powrotem do domu po opuszczeniu go, która zdawała się coraz bardziej niewiarygodna, im dłużej o tym myślałam – ona chyba naprawdę miała słabość do dzieci i nie mogłam uwierzyć, że świadomie zostawiłaby niezamknięty, niezabezpieczony dom na czas ich snu.

Została ostatnia, wytrącająca z równowagi możliwość. Że ktoś zabrał ten klucz, aby mieć w nocy dostęp do domu. Nie Jean ani Jack, którzy mieli własne komplety, tylko... ktoś inny.

Ale nie – to było szaleństwo, zaczęłam się wpędzać w histerię. Może on tam *był* cały czas. Schowany za kółkiem, jak powiedział Jack. Czy to możliwe, że nie szukałam dość dobrze?

Moje myśli nadal krążyły bez celu, kiedy w kuchni rozbrzmiał hałas zwiastujący zniecierpliwienie. Obróciłam się i zobaczyłam, jak Petra ze złością kopie w swoje wysokie krzeselko. Popędziłam z powrotem do pomieszczenia, odpięłam jej szelki i wsadziłam ją do kojca w rogu kuchni. Potem poprawiłam kucyk, przykleiłam do twarzy swój najlepszy uśmiech i zaczęłam szukać Maddie oraz Ellie.

Siedziały w bawialni, skuliły się w kącie i szeptały coś, ale obie obróciły głowy, kiedy klasnęłam.

– Dobrze, dziewczynki, szykujemy się na piknik. Możemy zjeść kanapki, chrupki, wafle ryżowe...

Spodziewałam się, że raczej odmówią, ale ku mojemu zaskoczeniu Maddie wstała i otrzepała legginsy.

– Dokąd idziemy?

– Tylko na podwórko. Oprorowadzicie mnie? Jack mi mówił, że macie sekretną bazę. – To było zupełne kłamstwo, nic takiego nie powiedział, ale jeszcze nie spotkałam dziecka, które nie miałoby jakiejś skrytki albo kryjówki.

– Nie możesz zobaczyć naszej bazy – odparła natychmiast Ellie. – Jest sekretna. To znaczy... – Przerwała, widząc przeszywające, wściekłe spojrzenie Maddie. – To znaczy żadnej nie mamy – zakończyła żałośnie.

– O, jaka szkoda – skwitowałam lekko. – No, to nie szkodzi, na pewno jest tu wiele interesujących miejsc. Włóżcie kalosze. Wpakuję Petrę do spacerówki, żeby nam nie zwiała, a potem wyruszamy. Możecie mi pokazać wszystkie najlepsze miejsca na piknik.

– Okej – zgodziła się Maddie. Miała spokojny, wyważony głos, może nawet trochę triumfujący, i przyłapałam się na tym, że zerkam na nią podejrzliwie.

Nawet przy współpracującej Maddie zaskakująco dużo czasu zabrało nam przyszykowanie pikniku i wyprowadzenie wszystkich z domu, ale w końcu się udało, wyszliśmy na tył budynku wyboistą żwirową ścieżką, która pięła się na niewielkie wzgórze, a potem schodziła na jego drugą stronę. Widok z tej strony podwórka był równie spektakularny, ale jeszcze bardziej ponury. Zamiast małych gospodarstw oraz wiosek rozrzuconych między nami a górami w oddali, tu ciągnął się tylko las. Gdzieś daleko jakiś drapieżny ptak krążył leniwie nad drzewami, wyglądając ofiary.

Wybrałyśmy ścieżkę przez dość zarośnięty ogródek warzywny, w którym Maddie pomocnie wskazała mi gąszcze malin oraz grządki ziół, potem minęłyśmy fontannę, pokrytą trochę torfowym kożuchem. Nie działała, a figura na jej szczycie była popękana i szara od porostów; kontrast między tym domem a mocno zdziczałym, niezadbany ogrodem był uderzający. Spodziewałabym się raczej miejsc do siedzenia na zewnątrz, tarasu oraz skomplikowanych układów roślin niż tego smutnego, kruszącego się zaniedbania. Może Sandra nie była takim typem, który lubi przebywać na dworze? A może tak długo pracowali nad domem, że nie mieli jeszcze czasu zadbać o tereny wokół?

Za niszczącą szklarnią znajdowały się huśtawki, Ellie i Maddie pobiegły na nie i zaczęły się ścigać, która buja się wyżej. Przez chwilę stałam i się im przyglądałam, a potem coś w mojej kieszeni wydało brzęczący dźwięk i zorientowałam się, że dzwoni mi telefon.

Wyjęłam go, a moje serce śmiesznie podskoczyło, kiedy zobaczyłam, kto dzwoni. To była ostatnia osoba, której się spodziewałam, i musiałam wziąć głęboki wdech, zanim przesunęłam palcem po ekranie, by odebrać połączenie.

– Halo?

– Heeeeeej! – pisnęła znajomym głosem tak głośno, że musiałam odsunąć telefon od ucha. – To ja, Rowan! Jak się masz? O mój Boże, tyle czasu nie gadałyśmy!

– U mnie dobrze! Gdzie jesteś? To musi cię kosztować fortunę.

– Prawda. Jestem w komunie w Indiach. Dziewczyno, tu jest wspaniale. I taaaaak tanio. Powinnaś koniecznie rzucić pracę i do mnie dołączyć.

– Rz-rzuciłam pracę – odparłam z trochę nienaturalnym śmiechem. – Nie mówiłam ci?

– CO?

Znowu odsunęłam aparat od ucha. Minęło tyle czasu od naszej ostatniej prawdziwej rozmowy telefonicznej, że zapomniałam, jaka potrafi być głośna.

– Tak – potwierdziłam, nadal trzymając telefon kilka centymetrów od ucha. – Złożyłam wypowiedzenie w Little Nippers. Odeszłam kilka dni temu. Mina Janine, kiedy oznajmiłam jej, gdzie może sobie wsadzić tę durną pracę, była prawie warta tych wszystkich spędzonych tam godzin.

– Domyślam się. Boże, ona była taką krową. Nadal nie wierzę, że Val nie dała ci tego stanowiska, kiedy odeszłam.

– Ja też. Słuchaj, miałam do ciebie zadzwonić, chciałam ci powiedzieć... wyprowadziłam się z naszego mieszkania.

– Co? – Linia trzeszczała, jej głos przebywał z Indii długą drogę. – Nie dosłyszałam. Myślałam, że powiedziałaś, że wyprowadziłaś się z naszego mieszkania.

– Tak. Przyjęłam nową pracę, z zakwaterowaniem. Ale słuchaj, nie martw się, dalej płacę czynsz, naprawdę dobrze zarabiam. Więc twoje rzeczy nadal tam są i będziesz miała dokąd wrócić, kiedy skończysz podróżę.

– Możesz sobie na to pozwolić? – Jej metaliczny, odległy głos zdradzał, że była pod wrażeniem. – Łał! Muszą ci naprawdę dobrze płacić. Jak ci się to udało?

Prześlizgnęłam się po tym temacie.

– Bardzo kogoś potrzebowali. – Przynajmniej to była prawda. – Ale dość o mnie, jak ty się masz? Planujesz kiedyś wrócić?

Próbowałam utrzymać swobodny ton, nie zdradzić, jak ważna jest dla mnie jej odpowiedź.

– Tak, oczywiście. – Jej śmiech rozbrzmiał echem. – Ale nie teraz. Bilet powrotny mam wykupiony na za siedem miesięcy. Ale, dziewczyno, jak dobrze usłyszeć twój głos. Tęsknię za tobą!

– Ja też za tobą tęsknię.

Ellie i Maddie zeszyły z huśtawki, oddalały się teraz ode mnie, szły wijącą się ceglana ścieżką pomiędzy zarośniętymi wrzosami. Przycisnęłam telefon ramieniem do ucha i zaczęłam pchać za nimi wózek po nierównej ziemi.

– Słuchaj, teraz w sumie pracuję, więc... więc pewnie powinnam...

– No jasne. A ja też powinnam spadać, zanim mnie to zrujnuje. Ale wszystko u ciebie w porządku, tak?

– Tak, w porządku.

Zapadła niezręczna cisza.

– No to cześć, Rowan.

– Cześć, Rach.

A potem się rozłączyła.

– Kto to był? – spytał cienki głos koło mojego łokcia, a ja podskoczyłam i spojrzałam w dół, gdzie zobaczyłam patrzącą na mnie gniewnie Maddie.

– Ach... To tylko koleżanka, z którą kiedyś pracowałam. Mieszkałyśmy razem w Londynie, ale ona potem wyjechała w podróż.

– Lubiłaś ją?

To było takie zabawne pytanie, że się zaśmiałam.

– Co? Tak, tak, oczywiście, że ją lubiłam.

– Brzmiałaś tak, jakbyś nie chciała z nią rozmawiać.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. – Szliśmy dalej, wózek podskakiwał na luźnych kamykach ścieżki, a ja zastanawiałam się

nad tą uwagą. Może było w niej ziarno prawdy? – Dzwoniła z zagranicy – powiedziałam w końcu. – To bardzo drogie. Po prostu nie chciałam, żeby za dużo zapłaciła.

Maddie popatrzyła na mnie przez chwilę i miałam przedziwne uczucie, że jej czarne jak węgielki oczy wwiercają się w moje, a potem odwróciła się i potruchtała za Ellie, krzycząc: „Goń mnie! Goń mnie!”.

Ścieżka prowadziła w dół i w dół, odchodziła od domu, z każdą chwilą robiła się coraz bardziej nierówna. Dawniej była zrobiona z kostki brukowej, ale teraz kostka popękała na mrozie i poluzowała się, niektórych kawałków brakowało. W oddali zobaczyłam mur z cegły, wysoki na prawie dwa metry, z metalową bramą z kutego żelaza, i wyglądało na to, że dziewczynki właśnie tam zmierzają.

– Czy to jest granica terenu?! – krzyknęłam za nimi. – Czekajcie, nie chcę, żebyście wychodziły na wrzosowiska.

Zatrzymały się i poczekały na mnie. Ellie oparła dłonie na biodrach i dyszała, jej mała buzia była zarumieniona.

– To jest ogród – wyjaśniła. – Ma wkoło ściany, tak jak pokój, tylko bez dachu.

– To brzmi ciekawie. Jak Tajemniczy Ogród. Czytałaś to kiedyś?

– Oczywiście, że nie czytała, jest jeszcze za mała, żeby czytać książki bez obrazków – przerwała Maddie. – Ale oglądałyśmy to w telewizji.

Doszłyśmy teraz do ściany i widziałam już, o co chodziło Ellie. Był to sypiący się mur z czerwonej cegły, trochę wyższy ode mnie, który najwyraźniej odgradzał jeden róg terenu, tworząc kwadratową przestrzeń oddzieloną od reszty. Tam mogłaby być zamkniętym warzywnikiem, delikatne zioła i drzewa owocowe kryłyby się tam przed mrozem – ale drzewa i zarośla wystające sponad wysokich murów w ogóle nie wyglądały na jadalne.

Nacisnęłam klamkę przy bramie.

– Jest zamknięty. – Przez wijące się zdobienia widziałam dzikie, pozarastane krzewy i pnącza, różne rodzaje figur częściowo przysłoniętych zielenią. – Szkoda, wygląda na to, że jest tam bardzo ciekawie.

– *Wygląda* na zamknięty – wyjaśniła z zapalem Ellie. – Ale my z Maddie znamy sekretny sposób, żeby się tam dostać.

– Nie jestem pewna... – zaczęłam, ale nim zdążyłam skończyć, przełożyła swoją małą rączkę przez misterne metalowe ozdoby w miejscu tak wąskim, że nie zmieściłaby się tam nawet drobnokoścista dłoń osoby dorosłej, i zrobiła coś, czego nie widziałam, po drugiej stronie zamka. Brama się otworzyła.

– Ła! – zawołałam, naprawdę pod wrażeniem. – Jak to zrobiłaś?

– To nie jest bardzo trudne. – Ellie zarumieniła się z dumy. – W środku jest zasuwka.

Delikatnie popchnęłam bramę, słuchając skrzypiących zawiasów, i wjechałam z Petrą do środka, rozsuwając na boki płożące się nad naszymi głowami liście jakichś pnączy. Otarły mi się o twarz, łaskocząc skórę niemal jak sieć pajęcza. Maddie schowała się za mną, starając się nie dotknąć twarzą zwisających liści, Ellie też weszła. Miała trochę przebiegłą minę i zastanawiałam się, dlaczego Bill i Sandra zostawili to miejsce zamknięte.

W środku ściany chroniły rośliny przed warunkami panującymi na otwartym terenie; kontrast między stonowanymi wrzosami, drzewami na zewnątrz oraz rozciągającymi się dalej roślinami był zaskakujący. Rosły tu bujne, wiecznie zielone krzewy usiane wszelkimi rodzajami jagód, przerośnięte, splątane pnącza oraz kilka kwiatów usiłujących przetrwać ich ataki. Kilka z nich rozpoznałam – ciemiernik i śnieguliczkę wyglądające spomiędzy ciemnych liści wawrzynu oraz coś nad naszymi głowami, co mogło być złotokapem. Skręciłyśmy i przeszłyśmy pod wyglądającym starożytnie cisem, tak starym, że jego gałęzie utworzyły tunel nad ścieżką, a dziwne, podłużne jagody chrzęściły nam pod nogami. Jego igły zatrwały ziemię i nic nie rosło tam, gdzie leżały.

Zobaczyłam, że znajdowało się tu więcej szklarni, chociaż były mniejsze, w ich popękanych ramach nadal pozostało dość szkła, żeby wytworzyć imponującą ilość pary. Szkło od wewnątrz pokrywały plamy zielonych porostów i pleśni, tak grube, że ledwo mogłam dostrzec pozostałości roślin w środku, chociaż niektóre pięły się w górę przez spękane szyby w dachu.

Ogród przecinały cztery ceglaste ścieżki, spotykały się w małym kółku pośrodku, gdzie stała rzeźba. Była tak przykryta bluszczem i pnączami, że trudno było ją dostrzec, ale kiedy podeszłam bliżej i odsunęłam trochę listowia, zobaczyłam kobietę, szczupłą, wręcz wychudzoną, i zgarbioną, w podartych ubraniach, z obliczem jak u kościotrupa. Puste, kamienne oczy wpatrywały się oskarżycielsko w moje. Policzki miała naznaczone czymś, co wyglądało na blizny, a kiedy przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam, że paznokcie na jej wychudzonych dłoniach są długie i spiczaste.

– Boże – powiedziałam zaskoczona. – Co za koszmarna figura. Kto w ogóle stawia coś takiego? – Ale nie uzyskałam odpowiedzi. Dwie małe dziewczynki zniknęły mi z oczu gdzieś w zielonych zaroślach. Przyglądając się dokładniej, zobaczyłam, że na postumencie, na którym przykucnęła postać, widniało imię. „Achlys”. Czy to był jakiś pomnik?

Nagle poczułam silne pragnienie, żeby wydostać się z tej płątaniny roślin rodem z koszmaru na otwartą przestrzeń gór i pól.

– Maddie! – zawołałam ostro. – Ellie, gdzie jesteście?

Nie dostałam żadnej odpowiedzi i spróbowałam powstrzymać natychmiastowy niepokój.

– Maddie! Idziemy teraz na lunch! Chodźcie, poszukamy dobrego miejsca.

Odczekały tak długo, że zaczęłam poważnie panikować, i dopiero wtedy wybuchły śmiechy, a obie dziewczynki mi się pokazały i ruszyły przede mną ścieżką w stronę bramy, na chłodne, czyste powietrze na zewnątrz ogrodu.

– Chodź! – krzyknęła Maddie przez ramię. – Pokażemy ci strumyk.

Pozostała część przedpołudnia minęła bez wypadków. Zjadłyśmy cichy – nawet przyjemny – lunch na brzegach zabarwionego torfem strumyka, który przecinał jeden róg terenu, a potem dziewczynki zdjęły buty oraz skarpetki i weszły do wody w kolorze herbaty, piszcząc z zimna i opryskując mnie oraz Petrę lodowato zimnymi kropelkami, na które ja się wzdrygałam, a Petra gaworzyła z radosnym przejęciem. Tylko dwie rzeczy zepsuły ogólne zadowolenie – po pierwsze, but Ellie wpadł do strumyka. Udało mi się go wydostać, ale była zrozpaczona i płakała, kiedy trzeba było wracać, a ona musiała włożyć przesiąknięty but.

Drugą było podrażnienie na moim czole w miejscu, gdzie musnęły mnie pnącza. Po początkowym łaskotaniu teraz porządnie piekło, jak oparzenie od pokrzywy, tylko bardziej boleśniej. Ochlapałam to zimną wodą ze strumyka, ale pieczenie nie ustępowało, trudno je było zignorować. Może to jakaś reakcja alergiczna? Nigdy jeszcze nie miałam alergii tego typu, ale może w Szkocji rośnie coś, z czym nigdy nie miałam kontaktu na południu. W każdym razie myśl, że może mi się pogorszyć, kiedy będę sama z dziećmi, nie była zbyt przyjemna – podobnie jak świadomość, że zostawiłam swój inhalator w domu.

Ostatecznie ucieszyłam się, kiedy niebo zakryły chmury i mogłam zasugerować, żebyśmy się spakowały i ruszyły do domu. Petra zasnęła w drodze powrotnej, zostawiłam ją w wózku w pomieszczeniu gospodarczym. Ku mojemu zaskoczeniu i Maddie, i Ellie przystały na moją propozycję obejrzenia filmu, więc umościłyśmy się w pokoju z telewizorem, a ja zaczęłam się czuć coraz pewniej, kiedy to rozległ się trzask i z głośników rozbrzmiał głos Sandry.

– Rowan? Czy do dobry moment na rozmowę?

– O, cześć, Sandro. – Za drugim razem mniej mnie to wytrąciło z równowagi, ale i tak było niepokojące. Przyłapałam się na tym, że zerkam w kamery, zastanawiając się, skąd wiedziała, w którym jestem pokoju. Obie dziewczynki były pochłonięte filmem i chyba nie odnotowały głosu mamy płynącego z głośników. – Chwileczkę, przejdę do kuchni, żeby nasza rozmowa nie przeszkadzała dziewczynkom.

– Możesz przekierować połączenie do telefonu, jeśli tak jest łatwiej. – Odcieleśniony głos Sandry podążał za mną, kiedy uwolniłam się spod Ellie i przeszłam do kuchni. – Po prostu otwórz aplikację Happy i kliknij ikonę telefonu, a potem strzałkę przekierowania.

Zrobiłam, jak mi poradziła, ignorując cholerne: „Dom jest tam, gdzie Happy”, wcisnęłam ikony zgodnie z instrukcją, a potem podniosłam telefon do ucha. Ku mojej uldze jej głos rozbrzmiał znowu, tym razem z głośnika telefonu.

– Już?

– Tak, włączyłam telefon. Dziękuję, że powiedziałaś mi, jak to zrobić. – Szkoda, że nie wspomniała o tym wczoraj wieczorem i musiałam odbyć tę krępującą rozmowę przy Jacku... Ale nieważne. Zapiekle mnie wysypka na czole, ale próbowałam ją ignorować, żeby się nie drapać.

– Nie ma za co – odparła lekko Sandra. – Happy jest wspaniała, kiedy się już do niej przyzwyczaić, choć muszę przyznać, że potrzeba chwili, by rozgryźć jej wszystkie zawiłości! Ale to swoją drogą. Jak wam dzisiaj idzie?

– Ach, naprawdę dobrze. – Przycupnęłam na brzegu stołka, powstrzymując chęć zerknięcia na kamerę w rogu. – Idzie świetnie, dzięki. Spędziłyśmy naprawdę przyjemny poranek, zwiedzając teren. Petra śpi, a dziewczynki... – Zawahałam się, bo pomyślałam o jej wczorajszej uwadze, ale potem dokończyłam. Nie ma sensu ciągle się nad tym zastanawiać, a poza tym i tak pewnie mogłaby

się dowiedzieć, co robią Ellie i Maddie, gdyby przed telefonem sprawdziła kamery. – Dziewczynki oglądają film. Pomyślałam, że nie miałybyś nic przeciwko, bo cały ranek spędziły na świeżym powietrzu. Chyba potrzebowały trochę spokoju.

– Przeciwno? – Sandra się cicho zaśmiała. – Broń Boże, nie. Nie należę do tych helikopterowych rodziców.

– Chcesz z nimi porozmawiać?

– Jak najbardziej, tak naprawdę dlatego dzwonię. No i oczywiście, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz. Podasz mi najpierw Ellie?

Wróciłam do pokoju i podałam telefon Ellie.

– To mamusia.

Sięgając po telefon, miała trochę niepewną minę, ale rozpromieniła się, kiedy tylko usłyszała głos matki, a ja wróciłam do kuchni, nie chcąc nad nią wisieć w zbyt oczywisty sposób. Mimo to jednym uchem nasłuchiwałam, co mówi Ellie. W pewnym momencie Sandra musiała poprosić, żeby podała Maddie, bo usłyszałam krótki jęk Ellie, pełen rozczarowania, potem usłyszałam głos Maddie, a Ellie przybiegła do mnie niepokieszona.

– Tęsknię za mamusią. – Drżała jej dolna warga.

– Oczywiście, że tęsknisz. – Przykucnęłam, nie ryzykując uścisku, który mógłby zostać odrzucony, ale czyniąc się dostępną na jej poziomie, gdyby chciała pocieszenia. – I ona też za tobą tęskni. Ale będziemy miały mnóstwo...

Jednak moja uwaga została przerwana przez Maddie, która weszła z telefonem w wyciągniętej ręce i z dziwnym wyrazem czarnych oczu. Nie byłam pewna, co to było – wyglądało jak mieszanka strachu i radości.

– Mamusia chce z tobą porozmawiać – oznajmiła. Wzięłam telefon.

– Rowan – mówiła Sandra urywanym, rozdrażnionym tonem – to prawda, że zabrałaś je do zamkniętego ogrodu?

– Ja... no cóż... – Zatkano mnie. Co, u diabła? Sandra nie powiedziała mi, że ogród jest zakazany. – No, to prawda, ale...

– Jak śmiesz włamywać się na część terenu, którą wyraźnie zamykamy ze względu na bezpieczeństwo dzieci? Nie mogę uwierzyć, jak nieodpowiedzialną...

– Chwileczkę. Bardzo przepraszam, jeśli popełniłam błąd, Sandro, ale nie miałam pojęcia, że ogrodzony teren jest zakazany. A poza tym nie włamałam się tam. Ellie i Maddie...

Ellie i Maddie najwyraźniej wiedzą, jak otworzyć tę bramę, zamierzałam powiedzieć, ale Sandra nie pozwoliła mi dokończyć. Przerwała mi za to wściekłym, rozdrażnionym westchnieniem, a ja zamilkłam, bo nie chciałam jej przekrzykiwać i jeszcze bardziej zirytować.

– Mówiłam ci, żebyś postępowała wedle zdrowego rozsądku, Rowan. Jeśli włamywanie się do trującego ogrodu mieści się w twoim wyobrażeniu zdrowego...

– Co? – wtrąciłam się, nie troszcząc się teraz o nieuprzejmość. – Co powiedziałaś?

– To jest *trujący* ogród – warknęła Sandra. – Wiedziałybyś to, gdybyś zechciała przeczytać segregator, który ci wręczyłam. A najwyraźniej tego nie zrobiłaś.

– Trujący... – Sięgnęłam po segregator i zaczęłam gorączkowo przerzucać strony. Zabolęła mnie ta niesprawiedliwość. *Przeczytałam* to cholerstwo, ale tam było dwieście pięćdziesiąt stron. Jeśli całość zawierała jakieś newralgiczne informacje, to Sandra powinna była je umieścić na początku, zamiast ukrywać po wielu stronach na temat dopuszczalnych rodzajów chrupek oraz odpowiedniego rodzaju obuwia na WF. – Chwileczkę, co to w ogóle jest?

– Poprzedni właściciel Heatherbrae był chemikiem analitycznym, specjalizował się w naturalnych toksynach i to było jego osobiste...

– Przerwała, wyraźnie zbyt wkurzona całą tą sytuacją, by dobrać słowa. – Chyba jego osobiste poletko doświadczałne. Każda roślina w tym ogrodzie jest w pewnym stopniu trująca, a niektóre z nich są

wręcz *wyjątkowo* trujące. Wielu z nich nie trzeba połykać, wystarczy się o nie otrzeć albo dotknąć ich liści.

Och. Moja dłoń powędrowała do piekającej wysypki na czole, której pochodzenie nagle się wyjaśniło.

– Szukamy jak najlepszego sposobu, żeby sobie z nim poradzić, ale to paskudztwo ma status zabytku czy coś takiego. Na razie stoi dokładnie zamknięty i nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś zabrać dzieci na przechadzkę...

To była moja kolej, żeby jej przerwać.

– Sandro. – Postarałam się brzmieć na bardziej opanowaną, spokojną i rozsądną, niż naprawdę byłam. – Ogromnie przepraszam, że nie poświęciłam dość uwagi tej stronie segregatora. To stuprocentowo moja wina i natychmiast to naprawię. Ale powinnaś wiedzieć, że to nie był mój pomysł, by tam pójść. Maddie i Ellie to zaproponowały, a poza tym wiedziały, jak otworzyć zamek bez klucza; można go jakoś przesunąć od środka i Ellie potrafi tam dosięgnąć. Na pewno były tam wcześniej.

To zamknęło Sandrze usta. Po drugiej stronie zapadła cisza, czekałam na jej odpowiedź. Słyszałam, jak oddycha, i przez minutę zastanawiałam się, czy to był duży, strategiczny błąd, że poruszyłam fakt, iż najwyraźniej nie miała pojęcia, gdzie biegały jej dzieci. Potem zakaszłała.

– No. Na razie nie będziemy więcej o tym rozmawiać. Czy możesz podać mi z powrotem Maddie?

I tyle. Żadnego: „dziękuję, że zwróciłaś mi na to uwagę”. Żadnego przyznania, że sama też nie zasłużyła na złoty medal z rodzicielstwa. Ale być może miałam za duże oczekiwania.

Podaliśmy telefon Maddie, która się do mnie uśmiechnęła; jej ciemne oczy były pełne złośliwości.

Zabrała go z powrotem do pokoju telewizyjnego. Ellie pobiegła za nią, z nadzieją na swoją drugą kolej, a gdy głos Maddie stał się mniej słyszalny, sięgnęłam po tablet leżący na kuchennym blacie i otworzyłam wyszukiwarkę Google. Wpisałam: „Achlys”.

Na górze ekranu wyskoczyły jakieś przerażające obrazy – białe kobiece twarze wychudzone jak u kościotrupów, w różnych stadiach rozkładu, niektóre blade i piękne, z pokiereszowanymi policzkami, inne gnijące i rozkładające się, z odorem śmierci wydobywającym się z ich ust zastygłych w uśmiechu.

Poniżej znajdowały się różne wyniki wyszukiwania, kliknęłam w jeden przypadkowy.

„Achlys (wymowa: Aklis) – grecka bogini śmierci, nieszczęścia i trucizny” – przeczytałam.

Zgasiłam ekran. Cóż, z segregatorem czy bez, nie da się powiedzieć, że nie zostałam ostrzeżona. Było to tam, napisane na cokole figury pośrodku ogrodu. Po prostu nie zrozumiałam przesłania.

– Skończyłam – dobiegł głos Maddie z pokoju telewizyjnego, więc wróciłam tam, tłumiąc rozdrażnienie. Dziewczynki skuliły się na sofie i po prostu na mnie czekały, trochę przestraszone. Nic nie powiedziałam, kiedy Maddie oddała mi telefon, po prostu puściłam dalej film i usiadłam na drugim końcu kanapy, żeby też oglądać, chociaż one cały czas na mnie zerkały, każda miała inne emocje wypisane na twarzy. Ellie była niespokojna... Czekwała, aż ją skrzyczę. Wiedziała wcześniej, że nie powinny wchodzić do tego ogrodu, a jednak dała się skusić – żeby pokazać, jaka jest sprytna przy otwieraniu tej bramy, że potrafi nas tam wpuścić. Maddie miała zupełnie inną minę, trudno ją było odczytać, ale wiedziałam, co oznacza. Triumf.

Chciała, żebym miała kłopoty, i udało jej się.

Było już dużo później, przy kolacji, gdy wytarłam sos pomidorowy z policzka Petry i przełknęłam swoją porcję makaronu w kształcie alfabetu, a potem jakby nigdy nic spytałam:

– Dziewczynki, wiedziałyście, że rośliny w tym ogrodzie są niebezpieczne?

Ellie zerknęła na Maddie, która wyglądała, jakby się wahała.

– W jakim ogrodzie? – spytała w końcu, chociaż w jej tonie nie usłyszałam znaku zapytania. Pomyślałam, że gra na czas. Uśmiechnęłam się do niej najśłodszym ze swoich uśmiechów i rzuciłam jej spojrzenie, które oznaczało: „nie pogrywaj sobie ze mną, mała”.

– Trujący ogród – powiedziałam. – Ten z figurą. Wasza mama powiedziała, że nie wolno wam tam wchodzić. Wiedziałyście o tym?

– Nie wolno nam tam chodzić bez dorosłego – odpowiedziała wymijająco Maddie.

– Ellie, a ty wiedziałaś? – Obróciłam się do niej, ale nie chciała spojrzeć mi w oczy, więc w końcu chwyciłam ją za brodę i zmusiłam, żeby na mnie popatrzyła.

– Aua!

– Ellie, spójrz na mnie. Czy wiedziałaś, że te rośliny są niebezpieczne?

Nic nie powiedziała, tylko próbowała się wykręcić.

– *Wiedziałaś o tym?*

– Tak – szepnęła w końcu. – Inna dziewczynka umarła.

Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewałam, przerwałam i z zaskoczenia puściłam jej brodę.

– Co takiego?

– Była taka inna mała dziewczynka – powtórzyła Ellie, nadal nie patrząc mi w oczy. – Umarła. Jean nam powiedziała.

– Jezu! – wymknęło mi się nieświadomie i po grymasie Maddie zrozumiałam, że to także zostanie zapamiętane i powtórzone Sandrze przy kolejnym telefonie.

– Co się stało? Kiedy?

– Dawno temu – odpowiedziała mi Maddie. Wyraźnie, inaczej niż Ellie, nie miała nic przeciwko rozmowie na ten temat. Wręcz przeciwnie, w jej tonie dało się wyczuć nawet jakiś rodzaj przyjemności. – Zanim się urodziłyśmy. To była mała dziewczynka od tego człowieka, który tu mieszkał przed nami. To dlatego dostał szmergla.

Przez chwilę nie rozumiałam tego ostatniego słowa, ale zaraz do mnie dotarło, że powtórzyła to po Jean McKenzie.

– Czyli dostał bzika? Chodzi ci o to, że oszalał?

– Tak, musieli go zamknąć. Nie od razu, ale po jakimś czasie. Mieszkania tutaj z jej duchem – wyjaśniła rzeczowo Maddie. – W środku nocy budził go jej płacz. Po tym, jak już jej nie było. Jean nam powiedziała. Więc po jakimś czasie przestał spać. Całymi nocami spacerował tam i z powrotem. A potem zwariował. Wiesz, ludzie wariują, kiedy długo nie pozwala im się spać. Wariują, a potem *umierają*.

Spacerował. To słowo mnie uderzyło i przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Potem przypomniałam sobie coś jeszcze.

– Maddie. – Przełknęłam, próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Maddie... Czy... czy o to ci właśnie chodziło? Wtedy? Kiedy powiedziałaś, że duchom by się to nie spodobało?

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Miała sztywną twarz bez wyrazu i odsunęła od siebie talerz.

– Kiedy mnie przytuliłaś, gdy przyjechałam tu pierwszy raz. Powiedziałaś: „Duchom by się to nie spodobało”.

– Nie, nie powiedziałam – zaprzeczyła lodowato. – Nie przytuliłam cię. Ja nie przytulam ludzi.

Ale z tym ostatnim stwierdzeniem przesadziła. Mogłabym uwierzyć, że nie powiedziała tego, co mi się wydawało, ale żadnym sposobem nie zapomniabym tego sztywnego, rozpaczliwego uścisku. *Przytuliła* mnie. A ta wiedza nagle upewniła mnie w tym, co usłyszałam. Pokręciłam głową.

– Wiesz, że duchy nie istnieją, prawda? Niezależnie od tego, co wam powiedziała Jean, to tylko bzdury, Maddie, ludzie po prostu są smutni z powodu śmierci innych i chcieliby ich znowu zobaczyć, więc wymyślają historie oraz wierzą, że ich widzą. Ale to wszystko głupoty.

– Nie wiem, o czym mówisz – stwierdziła Maddie i pokręciła głową tak, że jej proste, ciemne włosy obity jej się o policzki.

– *Nie ma* żadnych duchów, Maddie. Daję słowo. One są zmyślane. Nie mogą cię skrzywdzić, ani mnie, ani nikogo z nas.

– Mogę już iść? – spytała beznamiętnie, a ja westchnęłam.

– Nie masz ochoty na budyń?

– Nie jestem głodna.

– To idź. – Ześlizgnęła się z krzesła, a Ellie za nią, jak posłuszny mały cień.

Postawiłam jogurt przed Petrą, a potem poszłam posprzątać talerze po dziewczynkach. Ellie zostawiła zwyczajny bałagan z okruszków tostów i sosu spaghetti, a tyle ziaren groszku, ile zdołała, ukryła pod łyżką. Ale Maddie... Już miałam wrzucić to do kompostu, jednak zatrzymałam się i obróciłam talerz.

Zjadła większość swojej kolacji, zostawiła jednak kilkanaście literek, a teraz, kiedy miałam je wyrzucić, zobaczyłam, że litery układają się chyba w słowa. Zdanie przesunęło się skosem po talerzu, kiedy przechyliłam go w stronę kosza, ale nadal dało się je odczytać.

NIE NAWID

ZI

MY CIĘ

„Nienawidzimy cię”.

Z jakiegoś powodu zdanie napisane niewinnym makaronem w kształcie literek było czymś najsmutniejszym na świecie. Zdrapałam je z talerza z taką gwałtownością, że spaghetti odbiło się od wnętrza przykrywki kosza na kompost, a potem wrzuciłam naczynie do zlewu, gdzie uderzyło w szklankę, i obie rzeczy się potłukły, wyrzucając w powietrze kawałki szkła i rozpryskując sos pomidorowy.

Kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, *kurwa*.

„Też was nienawidzę” – chciałam krzyknąć za ich znikającymi plecami, kiedy przemykały się cicho do pokoju telewizyjnego, żeby odpalić Netfliksa. „Nienawidzę was, wy małe, wstrętne, upiorne gówniary!”

Ale to nie była prawda. Nie do końca.

Nienawidziłam ich – w tej chwili. Ale widziałam też siebie. Złośliwą, małą dziewczynkę, pełną uczuć zbyt wielkich na jej małą posturę, emocji, których nie potrafiła zrozumieć ani pomieścić.

Pamiętam, jak szlochałam w poduszkę „Nienawidzę cię”, kiedy mama wyrzuciła mi ulubionego misia, jej zdaniem zbyt starego, zbyt sponiewieranego, zbyt dziecięcego na taką dużą dziewczynkę jak ja. „Tak strasznie cię nienawidzę!”

Ale wtedy to też nie była prawda. Kochałam moją matkę. Kochałam ją tak bardzo, że ją to dusiło – a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Te wszystkie lata małych rączek wyplątywanych z rękawów i spódnic, zdejmowanych z szyi. „Już wystarczy, zniszczysz mi fryzurę” i „Na Boga, masz takie brudne ręce” oraz „Przestań się zachowywać jak małe dziecko, taka duża dziewczynka”. Te wszystkie lata bycia zbyt nachalną, zbyt zachłanną, zbyt dotykalską – prób stania się lepszą, porządniejszą i po prostu bardziej kochaną.

Nie chciała mnie. Albo po prostu takie miałam czasami odczucie.

Ale była wszystkim, co miałam.

Maddie miała dużo więcej ode mnie – ojca, trzy siostry, piękny dom, dwa psy – ale dostrzegłam jej smutek, złość i frustrację – była małym, wściekłym odmieńcem wśród jasnowłosych sióstr.

Nawet wyglądałyśmy podobnie.

Kiedy na mnie patrzyła, z tą nutą triumfu w ciemnych oczach, przypominających małe guziczki, rozpoznałam coś więcej – i teraz już wiem, co to było. Zobaczyłam w nich własne odbicie. Błysk moich ciemnobrązowych oczu, mój upór. Maddie była kobietą z wyraźnym planem, podobnie jak ja. Pytanie tylko, co to był za plan?

Byłam tak zmęczona po poprzedniej, prawie bezsennej nocy, że absurdalnie wcześnie wysłałam dziewczynki na górę do łóżek. Ku mojemu zaskoczeniu nie zaprotestowały i zaczęłam się zastanawiać, czy nie były czasem równie padnięte jak ja.

Petra zasnęła prawie bez protestów, a kiedy poszłam zajrzeć do Maddie i Ellie, obie były w piżamach – albo raczej prawie, w przypadku Ellie. Pokazałam jej, od której strony wkłada się koszulkę, a potem zagoniłam je do łazienki, gdzie posłusznie umyły zęby pod moim nadzorem.

– Chcecie bajkę? – spytałam, kiedy ułożyłam je w ich małych łóżkach i zobaczyłam, że Ellie zerka na Maddie, sprawdzając, czy może się odezwać. Ale Maddie pokręciła głową.

– Nie. Jesteśmy za duże na bajki.

– Wiem, że to nieprawda – odparłam ze śmiechem. – Każdy lubi bajki na dobranoc.

Każdej innej nocy usiadłabym, otworzyła książkę i czytała tak czy inaczej, niezależnie od odmowy Maddie. Ale byłam zmęczona. Byłam *taka* zmęczona. Cały dzień z dziewczynkami, od wschodu do zachodu słońca, był wyczerpujący w zupełnie inny sposób niż żłobek, nie spodziewałam się tego ani nie rozumiałam aż do teraz. Pomyślałam o tych wszystkich mamach, które zostawiały u nas dzieci i opowiadały, jakie są zmęczone, podczas gdy ja trochę nimi gardziłam, bo musiały sobie radzić z jednym albo najwyżej dwoma, ale dopiero teraz zaczęłam sobie zdawać sprawę, o czym mówiły. Nie była to taka fizyczna praca jak w żłobku, ani równie intensywna, chodziło o to, jak się ciągnęła w nieskończoność, jak potrzeby najmłodszych nigdy nie ustawały, jak nigdy nie było chwili, w której można było przekazać dziecko koleżance i uciec na szybką fajkę, żeby pobyć po prostu sobą.

Tutaj nigdy nie schodziłam z posterunku. A przynajmniej nie zapowiadało się na to w najbliższej przyszłości.

– Wiecie co? – odezwałam się w końcu, bo zobaczyłam, jak Ellie drży broda. – Może włączę wam audiobook?

Wyjęłam telefon, udało mi się uruchomić system Happy do obsługi mediów, potem weszłam do plików audio i przewinęłam listę tytułów. Układ był mylący – wyglądało na to, że nie ma tam żadnego rozróżnienia między typami plików i Mozart znajdował się pomiędzy *Marleyem i mną*, Theloniusem Monkiem oraz L.M. Montgomery, ale kiedy je przewijałam, poczułam małą, ciepłą główkę wpychającą mi się pod ramię i drobna rączka Ellie sięgnęła po telefon.

– Mogę ci pokazać – powiedziała i wcisnęła ikonkę, która wyglądała jak stylizowany miś panda, oraz drugą, która przypominała spłaszczony V, ale kiedy Ellie ją wybrała, zdałam sobie sprawę, że musi oznaczać książki.

Wyskoczyła lista audiobooków dla dzieci.

– Wiesz, jaką chcesz? – spytałam, ale pokręciła głową, więc przeleciałam wykaz wzrokiem i wybrałam *Babe, świnkę z klasą* Dicka Kinga-Smitha, która wydawała mi się idealna. Długa, uspokajająca, przyjemna i mądra. Włączyłam odtwarzanie, wybrałam „Sypialnię dziewczynek” z listy głośników i poczekałam na pierwsze dźwięki początkowej muzyczki. Potem przykryłam Ellie.

– Chcesz buziaka? – spytałam. Nie odpowiedziała, ale wydawało mi się, że dostrzegłam lekkie kiwnięcie głową, więc pochyliłam się i przelotnie pocałowałam jej dziecięcy, miękki policzek, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Potem podeszłam do Maddie. Leżała z mocno zaciśniętymi oczami, chociaż widziałam, jak źrenice poruszają się pod powiekami cienkimi jak papier, i po oddechu poznałam, że daleka jest od zaśnięcia.

– Chcesz buziaka na dobranoc, Maddie? – spytałam. Wiedziałam, jaka będzie odpowiedź, ale chciałam być sprawiedliwa.

Nie zareagowała. Stałam przez chwilę, słuchając, jak oddycha, a potem powiedziałam:

– Dobranoc, dziewczynki. Słodkich snów i wyśpijcie się przed jutrzejszą szkołą. – A potem wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi.

Na korytarzu wydałam z siebie drżące, wręcz pełne niedowierzania westchnienie ulgi.

Czy to możliwe? Naprawdę są wszystkie w łóżkach, umyte, z czystymi zębami, i nikt nie płacze? W porównaniu z poprzednią nocą wydawało się to podejrzanie łatwe.

Ale może... może właśnie przełamałyśmy lody. Może te pierwsze wściekłe protesty były wynikiem szoku z powodu rozstania z mamą i opieki zupełnie obcej osoby. Może wystarczył przyjemny wspólny dzień oraz telefon od Sandry.

Trochę zmiękło mi serce, kiedy sprawdziłam zamek w drzwiach pomieszczenia gospodarczego, stoczyłam walkę z panelem przy drzwiach frontowych i światłami w korytarzu, a potem weszłam dwa piętra po schodach do swojego pokoju ze zmęczeniem, z którym coraz trudniej było mi funkcjonować.

Mijałam właśnie pokój Billa i Sandry, kiedy wydało mi się, że coś usłyszałam. A może to zobaczyłam – trudno powiedzieć. Lekkie mignięcie jakiegoś ruchu w srebrzystej ciemności między drzwiami a futryną. Czy to tylko moja wyobraźnia? Byłam taka zmęczona. Może to mój mózg stroił sobie ze mnie żarty.

Bardzo, bardzo cicho, nie chcąc przeszkadzać dziewczynkom, popchnęłam drzwi dłonią, nasłuchując ich szelestu po grubym, srebrnym dywanie.

W środku było pusto i nieruchomo. Zastony wisiały rozsunięte i chociaż w Londynie robiłoby się ciemno, tu byliśmy tak daleko na północy, że słońce dopiero zniżało się za góry. Żywe kwadraty czerwonego światła padały po skosie na podłogę, zmieniając dywan jakby w ognistą szachownicę, chociaż rogi pokoju były pogrążone w głębokim, nieprzeniknionym cieniu. Przechodząc obok łóżka, przesunęłam dłonią po grubej, świeżej bawełnie pościeli i zerknęłam w cienie, czując, że puls mi przyspiesza z powodu śmiałości tego wtargnięcia. Co zobaczyłaby Sandra, gdyby

sprawdziła teraz monitoring? Kogoś grasującego po jej pokoju, obmacującego pościel. „Wydawało mi się, że usłyszałam jakiś hałas” – ćwiczyłam w głowie wymówkę, ale wiedziałam, że to już dawno nieprawda. Szukałam tej wymówki.

Na nocnym stoliku najbliżej drzwi leżały kolczyki. To musiała być strona łóżka Sandry. Czyli Bill spał...

Obeszłam łóżko, trzymając się jak najbardziej w cieniu. Widziałam wcześniej, jak wygląda monitoring z pokoju Maddie i Ellie i że po ciemku rozdzielczość obrazu jest dość kiepska. Trudno było dostrzec coś poza słabo rozlanym światłem lampki nocnej, a tutaj kontrast pomiędzy kwadratami światła słonecznego a głębokiego cienia reszty pokoju był jeszcze większy.

Bardzo, bardzo cicho wysunęłam szufladę w nocnej szafce Billa i obejrzałam bałagan jego osobistych drobiazgów. Zegarek z zepsutym paskiem. Dużo drobniaków. Kilka biletów, sprej na katar sienny, grzebień. Nie jestem pewna, na co liczyłam – ale jeśli chodziło mi o to, żeby lepiej poznać osobę, która tu mieszkała, spała, kładła głowę na tej świeżej białej poduszce, to się rozczarowałam. Wszystko było uderzająco mało osobiste.

Pomyślałam o tamtym spotkaniu w kuchni, o jego nodze w dzinsach wsuwającej się pomiędzy moje uda ze zdecydowaną natarczywością wynikającą z długiej praktyki, i zrobiło mi się niedobrze. *Kim ty jesteś?*

Nagle poczułam, że muszę wyjść, i przebiegłam po dywanie w kratę, nie troszcząc się już o to, by trzymać się cienia, ani o to, czy Sandra lub Bill mnie zobaczą. Niech patrzą. Oboje.

W swoim pokoju zamknęłam drzwi z takim poczuciem, jakbym się barykadowała przed resztą domu. Kiedy zasłony w oknie zaciągnęły się automatycznie, ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam ze świata zewnętrznego, były krwawe promienie zachodzącego słońca, blaknące za odległymi szczytami pasma Cairngorm, oraz światło w oknie Jacka, świecące nieruchomo przez ciemniejące podwórko.

Pomyślałam o nim, kiedy oparłam głowę na miękkiej poduszce z gęsiego pierza. Pomyślałam o jego dłoni dziś rano, o tym, z jaką łatwością okiełznał dwa przejęte psy, jak nad nimi zapanował i trzymał je przy nodze. I pomyślałam o tym kluczu, o tym, jak nieomylnie znalazł go w miejscu, w którym się ukrywał, a które ja już wcześniej sprawdziłam.

Ale potem przypomniały mi się inne rzeczy – jaki był miły, kiedy tego pierwszego wieczoru przyszedł sprawdzić, co u mnie. I jego głos przez elektroniczną nianię, gdy usypiał Petrę, przemawiając do niej z taką łagodnością, że żołądek mi się ścisnął w dziwny sposób, którego nie potrafiłam określić. Nie było w tym żadnego oszustwa. Żadnego udawania. Ta łagodność była prawdziwa, nie miałam co do tego wątpliwości.

I zastanawiałam się – czy gdyby to on był w kuchni tamtego wieczoru zamiast Billa, to rzuciłabym się do ucieczki z przerażeniem i obrzydzeniem? Czy zareagowałabym zupełnie inaczej? Może wpuściłabym jego nogę. Pochyliła się. Zarumieniła.

Jednak mimo że ta myśl mnie naszła i przyprawiła o rumieńce w ciemności, znowu sobie przypominałam, jak klęczałam na podłodze pomieszczenia gospodarczego i świeciłam pod pralką latarką telefonu. Tego klucza tam *nie* było. Kolejne godziny nie sprawiły, że zaczęłam w to bardziej wątpić – wręcz przeciwnie. Teraz byłam zupełnie pewna.

Co oznaczało...

Potałam twarz dłońmi, powstrzymując chęć podrapania się po wyciszającym się podrażnieniu pozostawionym przez pnącza. Gadam głupoty. Nie ma żadnego sensownego powodu, dla którego mógłby ukraść ten klucz i mnie przestraszyć. W końcu miał swój komplet i autoryzację, więc mógł otworzyć frontowe drzwi odciskiem kciuka. (Chociaż... Pewnie za każdym razem, kiedy ktoś używał tego zamka, było to odnotowywane, podszeptała mi podświadomość. A taka dokumentacja nie istnieje w przypadku staroświeckiego zamka i klucza).

Ale nie. *Nie*. To nie miało sensu. Po co miałyby sobie zawracać głowę i chować klucz na parę godzin? Co miałyby przez to osiągnąć? Nic poza tym, że zasiał we mnie niepokój. A do tego jeszcze mój naszyjnik – naszyjnik, którego nadal nie znalazłam, chociaż w sumie nie miałam czasu porządnie go poszukać. To na pewno nie mógł być Jack. To wszystko moja paranoja. Zawsze coś się gubi. Klucze upadają. Naszyjniki ktoś przypadkiem zgarnia do kieszeni i szuflad, a potem odnajdują się one wiele dni później. To wszystko da się zupełnie rozsądnie wyjaśnić – nie trzeba do tego teorii spiskowej.

Odsunęłam od siebie tę myśl, przewróciłam się na bok i sen okrył mnie niczym ciężki koc.

Na końcu pomyślałam, już w objęciach snu, nie o Jacku, nie o kluczu, ani nawet nie o Billu. Tylko o krokach na strychu.

I o starym mężczyźnie, który stracił córkę przez swój trujący ogród.

„Była inna mała dziewczynka”.

Moja dłoń na próżno powędrowała do szyi, by chwycić naszyjnik, którego tam nie było. A potem w końcu zasnęłam.

Obudziły mnie krzyki i zamieszanie tak głośnie, że w pierwszym odruchu chciałam zasłonić dłońmi uszy, a jednocześnie natychmiast usiadłam na łóżku, rozglądając się gorączkowo wokół i trzęsąc z zimna.

Światła były zapalone – wszystkie ustawione na najjaśniejszy, najbardziej wypalający oczy, maksymalny poziom. A pokój był lodowato zimny. Ale ten hałas – Jezu, ten *hałas*.

Była to muzyka – albo tak przynajmniej mi się wydawało. Ale tak głośna i zniekształcona, że nie dało się rozpoznać melodii, a wycie i piski dochodzące z sufitowych głośników zamieniały ją w bezsensowny hałas.

Przez minutę nie byłam w stanie wymyślić, co, do cholery, zrobić. Potem podbiegłam do panelu na ścianie i zaczęłam wciskać przyciski, słyszałam dudnienie mojego tętna w uszach, a w głowie pisk zniekształconej muzyki przypominał wycie. Nic się nie stało, poza tym, że światła w szafie dołączyły do reszty i też się zapaliły.

– Wyłącz muzykę! – krzyknęłam. – Wyłącz głośniki! Ciszej!

Nic, nic.

Usłyszałam wściekłe szczekanie z dołu i przestraszone piski przypominające gwizd lokomotywy, dochodzące z pokoju Petry, więc w końcu, porzucając próby przełączenia panelu, chwyciłam szlafrok i pobiegłam.

Muzyka hałasowała równie głośno obok pokoi dzieci – może nawet głośniej, bo wąskie ściany korytarza jakby ją wzmacniały. Na dole też były zapalone światła, przez uchylone drzwi zobaczyłam Petrę stojącą w łóżeczku, z potarganymi włosami, krzyczącą ze strachu.

Złapałam ją i pobiegłam do sypialni dziewczynek na drugim końcu korytarza, otworzyłam drzwi na oścież i zobaczyłam Maddie

zwiniętą w pozycji embrionalnej w jej łóżku, z dłońmi na uszach. Ellie nie było nigdzie na widoku.

– Gdzie jest Ellie? – ryknęłam, przekrzykując hałas muzyki oraz wyjąca jak syrena Petrę. Maddie spojrzała na mnie pustymi ze strachu oczami, nadal przyciskała dłonie do uszu, a ja chwyciłam ją za nadgarstek i postawiłam ją na nogi.

– *Gdzie jest Ellie?* – wrzasnęłam jej prosto twarz, a ona wyrwała mi się i zbiegła po schodach, ja za nią.

W korytarzu wejściowym było równie głośno, na środku perskiego dywanu u podnóża schodów leżała Ellie. Zwinięta w małą kulkę, z rękoma obejmującymi głowę. Wokół niej skakały przestraszone psy, uwolnione z legowiska w pomieszczeniu gospodarczym. Dokładały się do kakofonii oszalałym szczekaniem.

– Ellie! – krzyknęłam. – Co się stało? Nacisnęłaś coś?

Spojrzała na mnie bez zrozumienia, a ja pokręciłam głową i podbiegłam do tabletu leżącego na metalowej wyspie kuchennej. Otworzyłam aplikację do zarządzania domem, ale kiedy wpisałam swój kod dostępu, nic się nie wydarzyło. Źle go zapamiętałam? Wpisałam go znowu, miałam wrażenie, że wściekłe szczekanie psów uderza w moją czaszkę jak młot pneumatyczny. Nadal nic. „Urządzenie zablokowane” – zdążyłam odczytać, nim ekran na chwilę rozbłysnął, a potem pociemniał – na chwilę zaświeciło się czerwone ostrzeżenie baterii, ale zaraz zgasło. *Cholera.*

Uderzyłam dłonią w panel na ścianie i zapaliły się światła nad kuchenką, a ekran na lodówce zaczął odtwarzać coś z YouTube’a, ale muzyka nie ucichła. Czułam, że serce bije mi w piersi jak oszalałe. Narastała we mnie panika, bo zrozumiałam, że nie jestem w stanie tego wyłączyć. Co za cholernie durny pomysł – smart dom? To była najmniej „smart” rzecz, jaką byłam w stanie sobie wyobrazić.

Dzieci teraz się trzęsły, Petra nadal wydawała z siebie przewiercające uszy piski przerażenia tuż koło mojego ucha, psy robiły kółka wokół nas, a ja próbowałam włączyć tablet

przyciskiem, jeszcze bardziej bezradnie, nie spodziewając się, że zadziała. I nie zadziałał. Ekran był ciemny. Mój telefon leżał na górze – ale czy mogłam zostawić przerażone dzieci na tak długo, żeby po niego pójść?

Rozglądałam się, myśląc, co, u licha, zrobić, kiedy poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia. Podskoczyłam tak dziko, że prawie upuściłam Petrę, i obróciłam się z wyrzutem w oczach. Jack Grant stał tak blisko mnie, że po obrocie dotknęłam ramieniem jego nagiej klatki piersiowej. Oboje nieświadomie zrobiliśmy krok w tył, a ja prawie się potknęłam o stółek.

On był nagi od pasa w górę i najwyraźniej musiał spać, sądząc po rozczochranych włosach; ryczał coś, wskazując na drzwi, ale pokręciłam głową. Podeszedł bliżej i objął dłońmi moje ucho.

– Co się stało? Słyszałem ten hałas ze stajni.

– Nie mam pojęcia! – odkrzyknęłam. – Spałam, może któraś z dziewczynek czegoś dotknęła, nie mogę tego wyłączyć!

– Mogę spróbować?! – krzyknął, a ja miałam ochotę roześmiać mu się w twarz. Czy może? Pocałowałabym go, gdyby mu się udało. Rzuciłam w niego tabletem, niemal z agresją.

– Nie krępuj się!

Spróbował włączyć tablet i zauważył, podobnie jak ja wcześniej, że był rozładowany. Potem poszedł do pomieszczenia gospodarczego i otworzył tam szafkę, tę, w której stał router razem z licznikiem prądu. Nie jestem pewna, co tam zrobił, byłam zbyt zajęta pocieszaniem coraz bardziej zrozpaczonej Petry, ale nagle wszystko spowięła całkowita ciemność, a dźwięk ustał z dezorientującą gwałtownością. Okazało się, że pobrzmiwa mi dalej w uszach.

W ciszy dosłyszałam spanikowane, sapiące szlochanie Ellie oraz zobaczyłam kiwającą się w tył i przód Maddie.

Petra w moich ramionach przestała płakać i poczułam, że jej małe ciało sztywnieje z zaskoczenia. Potem roześmiała się bulgocząco.

– Dobranoc! – powiedziała.

Rozległo się kliknięcie i światła rozbłysły z powrotem – tym razem mniej oślepiająco i było ich mniej.

– Proszę – odezwał się Jack. Wrócił, ocierając czoło, psy dreptały przy nim, nagle znowu spokojne. – Wróciło do ustawień fabrycznych. Do jasnej cholery. Dobrze.

Mimo chłodnego powietrza na czole miał krople potu, a kiedy usiadł przy kuchennym blacie z tabletem w dłoniach, widziałam, że drżą mu ręce.

Posadziłam Petrę obok Maddie i zobaczyłam, że moje też.

Jack podłączył tablet do ładowarki i odłożył go, żeby poczekać, aż naładuje się na tyle, by go włączyć.

– Dzięk-dziękuję ci – powiedziałam słabo. Ellie nadal szlochała w korytarzu. – Ellie, nie ma już co płakać, kochanie. Wszystko już dobrze. Zobacz... yyy... – Przeszłam przez kuchnię i zaczęłam szperać po szafkach. – Zobacz... proszę, weź sobie ciastko. Ty też, Maddie.

– Myłyśmy już zęby – odparła bezmyślnie Maddie, a ja ledwo się opanowałam, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Miałam ochotę powiedzieć: „Pieprzyć zęby”, ale udało mi się to powstrzymać.

– Ten jeden raz nic się chyba nie stanie. Wszyscy przeżyliśmy niezły szok. Cukier pomaga na szok.

– Tak, to prawda – wtrącił dość poważnie Jack. – W dawnych czasach kazali pić ludziom słodką herbatę, a ponieważ ja nie lubię herbaty z cukrem, to też się skuszę na ciastko, dzięki, Rowan.

– Widzicie. – Podałam jedno Jackowi i ugryzłam drugie. – Nic się nie stanie – mówiłam, przeżuając okruszki. – Proszę, Maddie.

Wzięła je ostrożnie, a potem wepchnęła do buzi, jakbym miała je jej zabrać.

Ellie zjadła swoje wolniej.

– Moje – krzyknęła Petra, wyciągając rączki. W myślach wzruszyłam ramionami. Nie zasłużyłam raczej na nagrodę w dziedzinie żywienia dzieci, ale w tym momencie przestało mi na

tym zależeć. Przełamałam jedno ciastko na pół i dałam jej jedną część, a potem rzuciłam każdemu psu po kawałku, żeby było sprawiedliwie.

– Dobrze, to wszystko już działa – powiedział Jack, kiedy Petra zaczęła radośnie wpychać sobie ciastko do buzi. Przez chwilę nie wiedziałam, o co mu chodzi, a potem zobaczyłam, że trzyma tablet, a ekran oświetla mu twarz. – Otworzyłem aplikację. Spróbuj najpierw swojego PIN-u.

Wzięłam od niego tablet, wybrałam nazwę użytkownika z małego rozwijalnego menu i wpisałam numer PIN, który do aplikacji zarządzania domem udostępniła mi Sandra.

„Urządzenie zablokowane” – wyświetliło się na ekranie, a potem, kiedy dotknęłam małej literki „i” koło tego komunikatu: „Przepraszamy, wpisałeś niepoprawnie swój numer Happy zbyt wiele razy i teraz nie możesz jej uruchomić. Proszę, wpisz dane administratora, aby zmienić hasło, albo odczekaj cztery godziny”.

– Aha – powiedział żałośnie Jack. – Nietrudno się pomylić w takich okolicznościach.

– Ale czekaj – odparłam rozdrażniona. – Chwileczkę, to nie ma sensu. Wpisałam hasło tylko raz. Jak mogło mnie w takim wypadku zablokować?

– Nie mogło. Masz trzy próby i dostajesz ostrzeżenie. Ale przypuszczam, że w tym hałasie...

– Wpisałam je tylko raz – powtórzyłam, a potem, kiedy nie odpowiedział, dodałam bardziej stanowczo: – Raz!

– Dobrze, dobrze – zgodził się łagodnie Jack, ale zerkał na mnie spod swojej grzywki trochę oceniającym wzrokiem. – Daj mi spróbować. – Podałam mu tablet, czując nieracjonalną złość. Oczywiście, że mi nie wierzył. Więc co się w takim razie stało? Czy ktoś próbował się zalogować na moje konto?

Przyglądałam się, jak Jack przełącza użytkowników i wpisuje własny kod PIN. Ekran rozświetlił się jasno, a Jack uruchomił aplikację.

Zauważyłam, że jego ekran startowy różnił się układem od mojego. Miał kilka pozwoleń, których ja nie miałam – dostęp do kamer w garażu i na zewnątrz – ale za to nie do tych w pokojach dzieci i bawialni, jak ja. Ikonki tych pomieszczeń były szare i niedostępne. Za to kiedy kliknął na kuchnię, był w stanie przyciemnić światła za pomocą przycisków w aplikacji.

To odkrycie wprawiło mnie w lekkie zdumienie.

– Chwileczkę – wyrzuciłam z siebie, nim zdążyłam przemyśleć, jak to ująć. – Możesz kontrolować z aplikacji światła tutaj?

– Tylko kiedy tu jestem – odparł i przełączył się na inny ekran. – Jeśli jesteś głównym użytkownikiem, jak Sandra i Bill, możesz sterować zdalnie wszystkim, ale reszta może kontrolować tylko te pomieszczenia, w których się znajduje. To działa jakoś na zasadzie geolokalizacji. Jeśli jesteś dość blisko panelu w jakimś pomieszczeniu, masz dostęp do tego systemu.

To chyba miało sens. Jeśli jesteś na tyle blisko, by sięgnąć włącznika światła, to czemu nie mieć dostępu do pozostałych ustawień pomieszczenia? Ale z drugiej strony... Na ile blisko to było „blisko”? Byliśmy tuż pod pokojem Maddie i Ellie. Czy on mógł tutaj ze swojego telefonu sterować światłami u nich? A co, gdyby był na zewnątrz, na podwórku?

Ale powstrzymałam się. To bez znaczenia. Nie potrzebował dostępu do ustawień z podwórka. Miał swój komplet kluczy.

Chyba że... Nie ma lepszego sposobu, by ktoś uwierzył, że to nie ty... chociaż tak naprawdę to ty?

Pokręciłam głową. Muszę z tym skończyć. To mogła być Ellie, grzebała coś przy iPadzie w środku nocy. Może zeszła pograć w Candy Crush albo obejrzeć bajkę i przypadkiem nacisnęła coś, czego nie powinna. Albo to jakieś zaprogramowane ustawienie, które niechcący wcześniej włączyłam, w końcu telefon czasem też sam dzwoni do kogoś z kieszeni. To mogli być Bill albo Sandra, jeśli już tak daleko się zapuszczam. Jeżeli zamierzam popadać w paranoję, to czemu nie iść na całość? Dlaczego miałabym

poprzestawać na przypadkowym majstrze? Czemu nie rozciągnąć kręgu podejrzeń na wszystkich? Co z tego, że dopiero mnie zatrudnili i mieli najmniej powodów ze wszystkich, żeby mnie odstraszyć? A poza tym byli też inni użytkownicy. Kto wie, jakie uprawnienia mogła mieć Rhiannon?

Uświadomiłam sobie nagle, że Jack przygląda mi się z rękoma założonymi na swoim bardzo nagim torsie. Mignęło mi moje odbicie w szklanej ścianie kuchni – byłam bez stanika, w skąpej koszulce, na twarzy miałam linie od poduszki, a moje włosy wyglądały, jakby ktoś mnie przeciągnął przez krzaki – byłam tak daleka od schludnego, zapiętego pod szyję, profesjonalnego wyglądu, jaki starałam się zachować w ciągu dnia, że ten kontrast był aż śmieszny. Poczułam, jak zaczynają mi płonąć policzki.

– Boże, strasznie cię przepraszam, Jack. Nie musiałeś... – urwałam.

Teraz on spojrzał na siebie i najwyraźniej zdał sobie sprawę z własnego niepełnego odzienia, po czym zaśmiał się niezręcznie, a jego policzki oblał czerwony rumieniec.

– Mogłem coś na siebie włożyć. Myślałem, że ktoś was wszystkie morduje w łóżkach, więc nie zatrzymałem się, żeby się ubrać... Słuchaj, połóż dziewczynki spać, ja włożę koszulę, uspokoję psy, a potem zapuszczę jakieś oprogramowanie antywirusowe w aplikacji.

– Nie musisz tego robić dzisiaj w nocy – zaprotestowałam, ale on pokręcił głową.

– Nie, chcę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jej odwaliło, i nie zamierzam pozwolić, żebyście zrywały się z łóżek drugi raz tej samej nocy. Ale nie musisz na mnie czekać. Mogę zamknąć za sobą drzwi. Albo mogę się przespać tutaj, jeśli się martwisz – wskazał na kanapę. – Przyniósłbym sobie koc.

– Nie! – zabrzmiało to ostrzej i dobitniej, niż zaplanowałam, więc spróbowałam ukryć to, że zareagowałam za mocno. – Nie, to znaczy, nie musisz. Naprawdę. Ja...

Zamknij się, ty głupia dziewczyno.

Przełknęłam ślinę.

– Położę dziewczynki i wrócę na dół. To nie potrwa długo.

A przynajmniej taką miałam nadzieję. Petra wyglądała na niepokojąco rozbudzoną.

Minęła może godzina, położyłam dziewczynki do łóżek po raz drugi tej nocy, uspokoiliłam Petrę tak, że może jeszcze nie spała, ale przynajmniej była tego bliska, i zeszłam na dół, do kuchni. Spodziewałam się trochę, że Jack już się uwinął i zniknął, ale on na mnie czekał, tym razem w kraciastej flanelowej koszuli i z kubkiem herbaty w ręku.

– Też chcesz? – spytał. Przez chwilę nie byłam pewna, o czym mówi, a potem podniósł kubek, więc pokręciłam głową.

– Nie, dzięki. Nie będę mogła zasnąć, jeśli wypiję teraz coś z kofeiną.

– W porządku. Jak się masz?

Nie wiem, dlaczego przyczyniło się do tego to proste pytanie. Może z powodu prawdziwej troski w jego głosie albo ogromnej ulgi, że spędzam czas z innym dorosłym po tylu godzinach samej z dziećmi. Może to szok po tych wydarzeniach w końcu do mnie dotarł. Wybuchłam płaczem.

– Hej. – Wstał niezręcznie, schował ręce do kieszeni, a potem wyjął je z powrotem, jakby nie mógł się zdecydować, szybko podszedł i mnie objął.

Odwróciłam się – nie umiałam tego powstrzymać – i przytuliłam twarz do jego ramienia, czując, jak całym moim ciałem wstrząsają szlochy.

– Hej, hej, już... – powtórzył, ale tym razem jego głos dobiegł mnie przez jego klatkę piersiową, głębszy, delikatniejszy i jakby wolniejszy. Dłoń Jacka zawisała nad moim ramieniem, a potem opadła, bardzo delikatnie, na moje włosy. – Rowan, wszystko będzie dobrze.

To jedno słowo, „Rowan”, przywróciło mi zmysły, przypomniało, kim jestem i kim jest *on* oraz co tam właściwie robię. Wściekle przełknęłam ślinę i odsunęłam się o krok, ocierając oczy rękawem.

– O mój Boże, Jack, strasznie p-przepraszam.

Głos nadal mi drżał i był zachrypnięty od płaczu, a on wyciągnął do mnie dłoń. Przez chwilę wydawało mi się, że zamierza dotknąć mojego policzka, i nie byłam pewna, czy chcę się odsunąć, czy poddać tej czułości. A potem zdałam sobie sprawę, że podał mi chusteczkę. Wzięłam ją i wydmuchałam nos.

– Boże – zebrałam się w końcu, a potem podeszłam do kuchennej sofy i usiadłam, czując, że moje nogi zaraz się poddadzą. – Jack, musisz mnie mieć za kompletną idiotkę.

– Myślę, że jesteś kobietą, która bardzo się wystraszyła i zachowała twarz przed maluchami. Myślę także...

Przerwał i przygryzł sobie wargę. Zmarszczyłam brwi.

– Słucham?

– Nie, to nieważne.

– Ważne. – Nagle bardzo mocno chciałam, żeby to powiedział, cokolwiek zamierzał, chociaż całkiem poważnie się bałam, co to może być. – Powiedz mi – naciskałam, a on westchnął.

– Nie powinienem tego mówić. Nie wypowiadam się źle o moich pracodawcach.

Och. Czyli nie to, czego się trochę obawiałam. Teraz byłam po prostu ciekawa.

– Ale?

– Ale... – Przerwał, gryząc wargę, jakby próbował podjąć decyzję. – A, pieprzyć to. I tak już za dużo powiedziałem. Uważam, że Sandra i Bill nie powinni byli stawiać cię w takiej sytuacji. To nie w porządku wobec ciebie, a jeśli już przy tym jesteśmy, to także nie w porządku wobec dzieci.

Och.

Teraz ja poczułam się niezręcznie. Jak mogłam na to odpowiedzieć?

– Wiedziałam, na co się piszę – powiedziałam w końcu.

– Tak, ale czy na pewno? – usiadł koło mnie, aż poduszki na sofie zaszeleściły. – Założę się, że nie byli stuprocentowo szczerzy co do małej, co?

– Kogo, Maddie?

Pokiwał głową, a ja westchnęłam.

– Dobra, nie, masz rację, nie byli. A przynajmniej nie do końca. Ale ja zajmuję się opieką nad dziećmi, Jack. To nie jest coś, z czym się nigdy wcześniej nie spotkałam.

– Naprawdę?

– No dobra, może nie spotkałam nikogo podobnego do Maddie, ale to tylko mała dziewczynka, Jack. Poznajemy się, i tyle. Miałyśmy dzisiaj dobry dzień.

To nie była do końca prawda. Próbowала doprowadzić do tego, żeby jej rodzice mnie zwolnili: najpierw zawiodła mnie do tego przekłętą trującego ogrodu, a potem poskarżyła się matce w taki sposób, żebym wypadła w jej oczach jak najgorzej.

– Jack, czy to możliwe, żeby to mogła być... – przerwałam, żeby lepiej ująć to, co zamierzałam powiedzieć. – Żeby jedna z dziewczynek to wszystko uruchomiła? Wcześniej bawiły się tabletem, czy jest jakiś sposób, żeby mogły... nie wiem... przypadkiem to zaprogramować?

Albo specjalnie, pomyślałam, ale tego nie dodałam.

On jednak pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Byłoby to widać w historii logowania. A poza tym, z tego, co powiedziałaś, to przejęło wszystkie głośniki i światła w całym domu. Żaden z użytkowników tego tabletu nie ma takich uprawnień, żeby to zrobić. Do tego trzeba hasła administratora.

– Czyli... po prostu trzeba być Sandrą albo Billem? O to ci chodzi?

– Ta myśl była dziwna i musiałam mieć zwątpienie wypisane na twarzy. – Czy dzieci mogły jakoś dostać w swoje ręce ich PIN-y?

– Może, ale one nawet nie są wpisane jako użytkowniczki tego tabletu. Zobacz. – Kliknął w małe, rozwijalne menu na ekranie

startowym aplikacji do zarządzania domem, na której widnieli wszyscy możliwi użytkownicy tego urządzenia. Ja, on, Jean oraz ostatni zaznaczony jako „Gość”. I tyle.

– Czyli z tego, co mówisz, wynika... – ciągnęłam wolniej, próbując to przemyśleć. – Żeby uzyskać dostęp administratora, trzeba mieć nie tylko PIN Sandry, ale też jej telefon?

– Tak, na to wychodzi. – Wyjął swój telefon i pokazał mi swój ekran dostępu. – Widzisz? Jestem jedynym użytkownikiem ustawionym w moim telefonie. Tak to jest skonfigurowane.

– A żeby dodać nowego użytkownika urządzenia...

– Potrzeba specjalnego kodu. Sandra podała ci taki, kiedy przyjechałaś, prawda?

Pokiwałam głową.

– I niech zgadnę, taki kod może być wygenerowany tylko przez...

– Tylko przez administratora, tak. Tak to mniej więcej wygląda.

To nie miało sensu. Czy zrobili to jakoś Sandra albo Bill? Nie było to niemożliwe – czytałam o tej aplikacji, kiedy Sandra mi pierwszy raz o niej powiedziała, i jeśli dobrze zrozumiałam, systemem można było zarządzać z każdego miejsca z dostępem do internetu – sprawdzić monitoring podczas wczasów w Verbier, zapalić światła z góry, kiedy chce się zejść na dół, skręcić ogrzewanie, kiedy utknie się w korku w Inverness. Ale czy oni by to zrobili?

Przypomniało mi się, co powiedział Jack, kiedy szłam położyć dziewczynki do łóżek, i chociaż wiedziałam, że chwytam się już brzytwy, i tak musiałam go o to zapytać.

– A wirusy?

Pokręcił głową.

– Na tablecie na pewno nic nie ma. Jest czysty jak łąza.

– Cholera. – Przeczesałam ręką włosy. On położył mi dłoń na ramieniu, znów mnie lekko dotykając, a ja poczułam, że przebiegł między nami jakiś prąd, podniosły mi się włoski na ręce i lekko zadrżałam.

Jack zrobił smutną minę; źle zrozumiał moją reakcję.

– A ja tu gładzę i gładzę. Musisz być zmarznięta i zmęczona, lepiej już się położyć do łóżka.

To nie była prawda. Już nie. Nie było mi zimno i nagle przestałam też czuć zmęczenie. Miałam ochotę się napić, z nim – i najchętniej czegoś bardzo mocnego. Zwykle nie decydowałam się na wódkę, ale na końcu języka miałam propozycję sięgnięcia po butelkę szkockiej schowaną w kuchennej szafce. Wiedziałam jednak, że jeśli to zrobię, zacznę coś naprawdę głupiego, coś, czego nie będę umiała powstrzymać.

– Okej – odparłam w końcu. – To chyba dobra rada. Dziękuję ci, Jack.

Wstałam, on także, odstawił swoją herbatę, przeciągnął się, aż usłyszałam trzaśnięcie jego stawów, i wąski kawałek płaskiego brzucha ukazał się pomiędzy dołem jego koszuli a paskiem.

Wtedy zrobiłam coś, czym zaskoczyłam nawet siebie samą. Coś, czego nie planowałam aż do momentu, w którym zorientowałam się, że to robię.

Stałam na palcach, przyciągnęłam do siebie jego ramię i pocałowałam go w policzek. Poczułam jego cienką skórę, szorstkość jednodniowego zarostu pod swoimi ustami, jego ciepło. I poczułam, że coś w środku mnie zaciska się z pożądania.

Kiedy się odsunęłam, wyglądał na zupełnie zaskoczonego i przez chwilę wydawało mi się, że popełniłam kosztowny błąd, a motylki w moim brzuchu zaczęły trzepotać szybciej, tak że było mi niedobrze. Ale potem jego usta ułożyły się w szeroki uśmiech, pochylił się i odwzajemnił pocałunek, niezwykle delikatnie, jego ciepłe i bardzo delikatne usta dotknęły mojego policzka.

– Dobranoc, Rowan. Jesteś pewna, że dasz sobie teraz radę? Nie wolisz, żebym... został?

Przed tym ostatnim słowem zrobił małą pauzę.

– Jestem pewna.

Pokiwał głową. A potem odwrócił się i wyszedł przez pomieszczenie gospodarcze.

Zamknęłam za nim drzwi, klucz obrócił się z uspokajającym szcękaniem, a potem odłożyłam go z powrotem na miejsce i patrzyłam na sylwetkę Jacka na tle światła płynącego z okien stajni, kiedy wracał do swojego mieszkania. Kiedy wspiał się na schody przed swoimi drzwiami wejściowymi, podniósł dłoń na pożegnanie, i chociaż nie byłam pewna, czy widzi mnie w ciemności, w odpowiedzi uniosłam własną.

Potem zniknął, drzwi się za nim zamknęły, a światło na zewnątrz zgasło, pozostawiając po sobie zaskakującą, atramentową ciemność. A ja stałam tam, moja skóra drżała i walczyłam z chęcią, by dotknąć czubkami palców tego miejsca na policzku, które zetknęło się z jego ustami.

Nie wiedziałam, co miał na myśli, kiedy zaproponował, że zostanie. Na co miał nadzieję, czego się spodziewał.

Ale wiedziałam, czego *ja* chciałam. I wiedziałam, że byłam bardzo blisko tego, by powiedzieć: „tak”.

Wiem, co Pan sobie myśli, Panie Wrexham. Żadna z tych rzeczy nie pomaga mojej sprawie. I to samo pomyślał pan Gates.

Ponieważ wiemy, do czego to prowadzi, ja to wiem i Pan to wie, prawda?

Do tego, że wyslizgnęłam się z domu w deszczowy letni wieczór, z elektroniczną nianią w jednej dłoni, pobiegłam przez podwórko i w górę po schodach do jego mieszkania nad stajniami.

I do ciała dziecka, leżącego na ziemi – ale nie. Nie mogę o tym myśleć, bo znowu zacznę płakać. A jeśli człowiek się tu rozklei, to naprawdę przegrywa, teraz to wiem. Nigdy sobie nie uświadamiałam, że jest tyle sposobów radzenia sobie z bólem zbyt silnym do zniesienia, ale tutaj widziałam je wszystkie. Kobiety, które cięły sobie skórę, wyrywały włosy, smarowały ściany celi krwią, gównem i sikami. Takie, które wciągały, kłuły się i paliły, by pograć się w zapomnieniu. Takie, które spały, spały, spały i nigdy nie wstawały z łóżek, nawet na posiłki, dopóki nie zostały z nich tylko kości, poszarzała skóra i rozpacz.

Ale *muszę* być z Panem szczerą, tego właśnie pan Gates nie zrozumiał – nie potrafił zrozumieć. To właśnie odgrywanie roli sprawiło, że tu trafiłam. Idealna Niania Rowan, w zapiętych pod szyję kardiganach, z przyklejonym uśmiechem i idealnym CV – ona nigdy nie istniała i Pan to wie. Za tą porządną, radosną fasadą krył się ktoś zupełnie inny – kobieta, która paliła, piła i przeklinała, oraz którą na pewno więcej niż raz zaswędziała dłoń, żeby dać dziecku klapsa. Próbowałam ją ukryć – starannie składałam koszulki, mimo że moją naturą było rzucanie ich na podłogę, uśmiechałam się i potakująco kiwałam głową, kiedy miałam ochotę powiedzieć Elincourtom, żeby się odpieprzyli. A kiedy policja

zabrała mnie na przesłuchanie, pan Gates chciał, żebym dalej udawała, nadal ukrywała prawdziwą mnie. Ale dokąd zaprowadziła mnie ta gra pozorów? Tutaj.

Muszę powiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. A opuszczenie tych fragmentów oznaczałoby, że nie wyjawię całej prawdy. Gdybym opowiedziała Panu tylko te części, które oczyszczają mnie z zarzutów, z powrotem wpadłabym w tę starą, starą pułapkę. Bo to właśnie kłamstwa mnie tu zawiodły. A ja muszę wierzyć, że prawda mnie stąd uwolni.

Kiedy się obudziłam, nie pamiętałam, jaki jest dzień. Gdy zadzwonił budzik, nasłuchiwałam jak przez mgłę dźwięków dziecięcych głosów, a ponieważ powitała mnie tylko cisza, kliknęłam drzemkę i z powrotem zasnęłam. Dzwonek powtórzył się dziesięć minut później, ale tym razem wydawało mi się, że słyszę jakiś dźwięk dochodzący z dołu. Poleżałam jeszcze dziesięć minut, zbierając siły na nadchodzący dzień, a potem niepewnie zestawiałam nogi z łóżka, kręciło mi się w głowie z braku snu. Wreszcie zeszłam na dół, do kuchni, ale nie zobaczyłam tam Maddie i Ellie, tylko Jean McKenzie, która szorowała naczynia i spojrzała na mnie potępiająco.

– Maluszki jeszcze nie wstały? – spytała, gdy weszłam do pomieszczenia, przecierając oczy i pragnąc kawy. Pokręciłam głową.

– Nie, miałyśmy... – Co powinnam powiedzieć? Nagle nie mogłam się zebrać, żeby opowiadać całą historię. – Trochę niespokojną noc – dokończyłam w końcu. – Pomyślałam, że pozwolę im odespać.

– No, to by było bardzo fajne w weekend, ale teraz jest dwadzieścia pięć po siódmej, a one muszą się umyć i ubrać, żeby wsiąść do samochodu o ósmej piętnaście.

O ósmej piętnaście? Powtórzyłam to sobie w głowie i dopiero do mnie dotarło. Cholera.

– O Boże, jest poniedziałek.

– Tak, i będziesz musiała się streszczać, jeśli zamierzasz zdążyć na czas.

– Nie jadę. – Maddie leżała w swoim łóżku twarzą w dół, zakrywając dłońmi uszy. Ogarnęła mnie desperacja. Chodziło nie tyle o to, co powiem Sandrze, jeśli nie uda mi się zebrać dziewczynek do szkoły, po prostu *potrzebowałam* tej przerwy. Spałam w nocy ledwie trzy godziny. Mogłam sobie poradzić z marudnym maluchem. Ale nie zdołałabym upilnować do tego jeszcze dwójki dzieci w wieku wczesnoszkolnym, nie mówiąc już o kimś tak upartym i krnąbrnym jak Maddie.

– Jedziesz i koniec.

– Nie, i nie możesz mnie do tego zmusić.

Jak mogłam na to odpowiedzieć? To w końcu była prawda.

– Jeśli ubierzesz się teraz, zdążysz jeszcze zjeść czekoladowe płatki.

A więc do tego doszło. Po prostu przekupywałam ją jedzeniem z zakazanej listy Sandry przy każdej przeciwności. Ale zadziałało to w przypadku Ellie, która była już, jak przypuszczałam, na dole, mniej więcej ubrana (choć nie umyta ani uczesana) i jadła płatki z Jean.

– Nie chcę czekoladowych płatków. Nie *lubię* czekoladowych płatków. One są dla małych dzieci.

– A więc są idealnym wyborem, skoro zachowujesz się jak małe dziecko – odwarknęłam, a potem pożałowałam, kiedy usłyszałam jej śmiech.

Nie reaguj, pomyślałam. Nie dawaj jej tej przewagi. Musisz być spokojna, bo inaczej będzie wiedziała, że potrafi cię wyprowadzić z równowagi.

Zastanawiałam się, czy nie policzyć do dziesięciu, ale potem przypomniałam sobie to nieprzyjemne „jeden i pół” sprzed dwóch wieczorów i szybko zmieniłam plany.

– Maddie, bardzo mnie to nudzi. Jeśli nie chcesz, żebym cię zabrała do szkoły w piżamie, to proponuję, żebyś włożyła swój mundurek.

Nic nie powiedziała, a ja w końcu westchnęłam.

– No dobrze, skoro chcesz się zachowywać jak małe dziecko, to będę cię musiała stosownie traktować i ubiorę cię tak, jak ubieram Petrę.

Wybrałam rzeczy i powoli podeszłam do łóżka z nadzieją, że takie ostrzeżenie skłoni ją, by się podnieść i ubrać, ale ona po prostu leżała, starając się być jak najbardziej bezwładna i ciężka, aż moje plecy zaprotestowały, kiedy zaczęłam ją ubierać siłą. Opadała jak szmaciana lalka, a do tego była sto razy cięższa, więc ciężko dyszałam, kiedy w końcu ją zostawiłam. Miała przekrzywioną spódniczkę i poczochrane włosy po tym, jak wciągnęłam jej koszulkę przez głowę, ale można powiedzieć, że była mniej więcej gotowa.

W końcu pomyślałam, że równie dobrze mogę wykorzystać jej pasywność, i wciągnęłam jej po skarpetce na każdą stopę oraz wcisnęłam szkolne buty.

– Proszę – oznajmiłam, starając się nie zabrzmieć triumfalnie. – Jesteś ubrana. Dobra robota, Maddie. A teraz zejść na dół, zjem sobie czekoladowe płatki z Ellie. Możesz do nas dołączyć, jeśli masz ochotę. W przeciwnym wypadku zobaczymy się za kwadrans w samochodzie.

– Nie umyłam zębów – rzuciła bez wyrazu; nic jej się nie ruszało poza ustami. Zaśmiałam się.

– Mam to w... – przerwałam w porę, a potem się poprawiłam: – W poważaniu. Ale jeśli ci to przeszkadza...

Poszłam do łazienki na korytarzu, nałożyłam trochę pasty na końcówkę szczoteczki, zamierzając pozostawić jej decyzję, czy zamierza umyć zęby, ale kiedy wróciłam ze szczoteczką z w ręką, siedziała na łóżku.

– Poszczotkujesz za mnie? – spytała prawie normalnym głosem w porównaniu z dąsami i złośliwościami sprzed chwili. Zmarszczyłam brwi. Czy ośmiolatka nie jest trochę za duża, żeby myć jej zęby? Co mówił na ten temat segregator? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– Yyyy... Dobra – odparłam w końcu.

Otworzyła usta niczym posłuszny mały ptaszek, a ja włożyłam szczoteczkę, ale nie minęło więcej niż kilka sekund mycia, kiedy odwróciła głowę, a potem splunęła mi w twarz. Porcja miętowo-białej flegmy spłynęła mi po policzku i ustach na bluzkę.

Przez minutę nie byłam w stanie się odezwać, nie umiałam nic powiedzieć, a potem, nim zdążyłam pomyśleć, co robię, moja dłoń wystrzeliła, żeby uderzyć ją w twarz.

Maddie się wzdrygnęła, a ja z wysiłkiem, który zdawał mi się nadludzki, powstrzymałam się, moja dłoń zawisła kilka centymetrów przed jej twarzą, czułam swój szybki, nierówny oddech w piersi.

Spojrzała mi w oczy i zaczęła się śmiać, zupełnie bez uciechy, takim pozbawionym radości rechotem, który sprawił, że miałam ochotę nią potrząsnąć.

Całe moje ciało drżało od adrenaliny i wiedziałam, jak jestem bliska utraty kontroli – prawie obijałam jej tę uśmiechniętą, przemądrzałą małą buzię. Gdyby była moim dzieckiem, bez wątplenia bym to zrobiła. Zalała mnie biała, gorąca fala absolutnej wściekłości.

Ale powstrzymałam się. *Powstrzymałam się.*

Tylko czy tak by to wyglądało na ekranie, gdyby Sandra nas oglądała?

Bałam się odezwać. Zamiast tego wstałam, zostawiłam Maddie zanoszącą się tym pozbawionym radości, charczącym śmiechem na łóżku i na drżących nogach poszłam do łazienki, nadal trzymając w ręku szczoteczkę. Drżącymi dłońmi starłam sobie pastę z twarzy i piersi oraz zmyłam plamy śliny z ust.

Potem stanęłam nad zlewem, zostawiłam odkręcony kran, obie ręce oparłam na przeciwnych krańcach ceramicznego brzegu i poczułam, że całe moje ciało trzęsie się od powstrzymywanych szlochów.

– Rowan? – Dobiegło mnie wołanie z dołu, stłumione przez lecącą wodę oraz moje łkające sapanie. To była Jean McKenzie. – Jack Grant czeka na zewnątrz w aucie.

– Już... Już idę – zdołałam odpowiedzieć z nadzieją, że mój głos nie zdradza łez. Potem ochlapałam twarz wodą, wytarłam oczy i wróciłam do sypialni, w której czekała Maddie.

– Dobrze, Maddie – odezwałam się, starając się mówić jak najspokojniej. – Pora do szkoły. Jack siedzi już w aucie, nie pozwólmy mu na siebie czekać.

I ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu spokojnie wstała, sięgnęła po swój plecak i ruszyła w stronę schodów.

– Mogę zjeść banana w samochodzie? – spytała przez ramię, a ja pokiwałam głową, zupełnie jakby nic się nie stało.

– Tak – usłyszałam w uszach własny głos, płaski i pozbawiony emocji. Potem pomyślałam, że muszę coś powiedzieć, nie mogę odpuścić. – Maddie, wracając do tego, co się stało przed chwilą... Nie wolno pluć na ludzi w taki sposób, to obrzydliwe.

– Słucham? – Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, wyglądała jak zranione niewiniątko. – Słucham? Ja kichnęłam. Nie mogłam tego powstrzymać.

A potem zbiegła na sam dół po schodach i do czekającego samochodu, jakby ta gorzka walka rozgrywająca się przez ostatnie dwadzieścia minut była wyłącznie figłem mojej wyobraźni.

Zaczęłam się zastanawiać, kto wygrał ten pojedynek, kiedy sprawdziłam fotelik Petry i zapięłam się na przednim siedzeniu obok Jacka. A potem mnie uderzyło, jaki to był naprawdę popieprzony układ – relacja z tą małą, skrzywdzoną dziewczynką nie polegała na trosce i opiece, ale na wygrywaniu, dominacji i wojnie.

Nie. Niezależnie od wyniku tej sytuacji, ja nie wygrałam. Przegrałam w momencie, kiedy pozwoliłam Maddie zmienić to w wojnę.

Ale nie uderzyłam jej. Co znaczyło przynajmniej tyle, że wygrałam ze swoimi najgorszymi instynktami.

Nie pozwoliłam wygrać demonom. Nie tym razem.

Kiedy szkolna brama zamknęła się z brzękiem, poczułam, że ogarnęła mnie lekka ulga, prawie zatopiłam się w chodniku, oparłam plecami o żelazne pręty, twarz ukryłam w dłoniach.

Zrobiłam to. *Zrobiłam* to. A teraz w nagrodę dostałam pięć godzin stanu bliskiego relaksowi. Oczywiście nadal miałam Petrę, ale pięć godzin z nią to było nic w porównaniu ze stawianiem czoła nieutulonej w rozpaczce Ellie oraz Maddie prowadzącej gorzką kampanię zemsty.

Jakoś udało mi się wyprostować i wróciłam za róg na tę stronę drogi, gdzie Jack czekał w aucie z Petrą.

– Sukces? – zapytał, kiedy otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się obok niego. Poczułam, że twarz przecina mi szeroki uśmiech, nie byłam w stanie ukryć własnej ulgi.

– Tak. W każdym razie kilka kolejnych godzin spędzą za kratami.

– Widzisz? Świetnie ci idzie – powiedział pocieszająco, wcisnął gaz i ześlizgnęliśmy się z krawężnika z wytrącającym z równowagi cichym mruzeniem, jakiego już się spodziewałam po tym samochodzie.

– Nie byłabym tego taka pewna – odrzekłam trochę gorzko. – Szczerze mówiąc, o mały włos poległabym w wyprowadzeniu Maddie do samochodu. Ale przeżyłam kolejny poranek, a to prawdopodobnie najważniejsze.

– To co chcesz teraz robić? – spytał praktycznie Jack, kiedy jechaliśmy w kierunku centrum małego miasteczka, w którym mieściła się podstawówka dziewczynek. – Możemy wrócić prosto do domu, jeśli musisz się czymś zająć, albo jeśli masz ochotę, możemy się zatrzymać na kawę i pokażę ci kawałeczek Carn Bridge.

– Mała wycieczka brzmi świetnie. Tak naprawdę nie miałam jeszcze okazji zobaczyć niczego poza Heatherbrae, a Carn Bridge wyglądało naprawdę ładnie, kiedy przez nie przejeżdżaliśmy.

– No, to jest śliczna mała miejscowość. I ma też dobrą kawiarnię, Parritch Pot. To na drugim końcu miasteczka, ale tam nie ma za bardzo gdzie zaparkować, więc stanę pod kościołem, przejdziemy się główną ulicą i pokażę ci, co tam jest do zobaczenia.

Dziesięć minut później wsadziłam Petrę do spacerówki i ruszyliśmy główną ulicą Carn Bridge, a Jack pokazywał sklepy i puby oraz kiwał głową niektórym przechodniom. Była to osobliwa maleńka miejscowość, jakby zbudowana w mniejszej skali, niż można by się spodziewać z daleka, a granitowe budynki okazały się porządniejsze i węższe, niż wydawały się z pewnej odległości. Zobaczyłam, że niektóre sklepy są puste – jeden należał kiedyś do rzeźnika, a inny wyglądał, jakby mieściła się w nim kiedyś księgarnia albo papierniczy. Jack pokiwał głową, kiedy je wskazałam.

– Wkoło jest sporo dużych domów, ale małym sklepom nadal trudno się utrzymać. Te dla turystów mają się dobrze, małe biznesy nie są jednak w stanie konkurować z supermarketami, jeśli chodzi o ceny.

Parritch Pot była schludną, małą, wiktoriańską herbaciarnią na samym początku głównej ulicy. Wisiał w niej mosiężny dzwonek, który zadzwonił, kiedy Jack otworzył mi drzwi i przytrzymał je, żebym mogła wjechać z Petrą do środka.

W środku zza lady wyszła nam na powitanie kobieta o matczynym wyglądzie.

– Jackie Grant! No, trochę już minęło, odkąd ostatni raz wpadłeś do nas na ciasto. Jak się masz, mój drogi?

– Dobrze, pani Andrews, dziękuję. A pani?

– No cóż, nie mam na co narzekać. A kim jest twoja przyjaciółka?

Rzuciła mi spojrzenie, którego nie umiałam rozszyfrować. Było w nim coś... cóż, „filuterne” to najlepsze słowo, jakie znalazłam,

żeby je opisać, jakby mogła powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymała. Być może to była po prostu stara, dobra ciekawość. Miałam ochotę przewrócić oczami. Nie żyliśmy już w latach pięćdziesiątych. Mężczyźni i kobiety mogą przecież wypić razem filiżankę herbaty, nie trafiając od razu na języki, nawet w takiej małej miejscowości jak Carn Bridge.

– A, to Rowan – odparł swobodnie Jack. – Jack, to pani Andrews, właścicielka herbaciarni. Rowan jest nową nianią w Heatherbrae, pani Andrews.

– Ach, więc to ty, moja droga – odpowiedziała pani Andrews. Czoło jej się wygładziło i uśmiechnęła się. – Jean McKenzie mi mówiła, ale zupełnie mi to wyleciało z głowy. Bardzo miło cię poznać. Miejmy nadzieję, że dasz radę zabawić dłużej niż pozostałe dziewczuszki.

– Słyszałam, że nie wytrzymały zbyt długo – podsunęłam. Pani Andrews zaśmiała się i pokręciła głową.

– Rzeczywiście, nie. Ale ty nie wyglądasz na taką, którą łatwo wystraszyć.

Zastanawiałam się nad jej słowami, kiedy wyjmowałam Petrę ze spacerówki i sadzałam w wysokim krzeselku, które Jack przyniósł z zaplecza herbaciarni. Czy to prawda? Powiedziałabym tak jeszcze kilka dni temu. Ale teraz, kiedy przypominałam sobie, jak leżałam nieruchoma i drżąca w łóżku, nasłuchując *skrzyyp... skrzyyp* kroków nade mną, nie byłam tego taka pewna.

– Jack – odezwałam się w końcu po tym, jak złożyliśmy zamówienie i czekaliśmy na podanie napojów. – Wiesz może, co jest nad moją sypialnią?

– Nad twoją sypialnią? – Wyglądał na zaskoczonego. – Nie, nie wiedziałem, że tam jest jeszcze jeden poziom. Czy to jakiś schowek, czy prawdziwy strych?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłam. Ale w moim pokoju są drzwi zamknięte na klucz i one, jak przypuszczam, tam prowadzą, a poza

tym... – Przełknęłam ślinę, niepewna, jak to ująć. – Wydawało mi się... że dwie noce temu słyszałam stamtąd jakieś dziwne dźwięki.

– Szczury? – spytał, unosząc jedną brew, a ja wzruszyłam ramionami, bo zbyt się wstydziłam, żeby powiedzieć prawdę.

– Nie wiem. Może. Chociaż raczej nie. To brzmiało... – Znowu przełknęłam, próbując nie powiedzieć tego słowa, które miałam na końcu języka: „ludzko”. – Na coś większego.

– Szczury strasznie hałasują w nocy, a przynajmniej potrafią to robić. Gdzieś mam pęk różnych kluczy. Chcesz, żebym dzisiaj po południu je wypróbował?

– Dzięki. – Dziękując się moim lękiem, nawet jeśli ostrożnie, doznałam nieco pocieszenia, chociaż kiedy wypowiedziałam już te słowa, czułam się trochę jak głupek. W końcu co mogę tam znaleźć poza kurzem i starymi meblami? Ale nie mogło to w niczym zaszkodzić, a może istniało jakieś proste wyjaśnienie: otwarte okno, stary fotel bujający się w przeciagu, lampa kołysząca się na wietrze. – To bardzo miłe.

– Proszę bardzo – odezwał się głos za nami. Odwróciłam się i zobaczyłam panią Andrews niosącą dwie kawy: porządne cappuccino przygotowane przez istotę ludzką, a nie pieprzoną aplikację. Przystawiłam swoją do ust i wzięłam duży, gorący łyk. Poczułam, jak parzy mi środek gardła, rozgrzewa mnie od wewnątrz, i po raz pierwszy od kilku dni miałam wrażenie, że moja pewność siebie wraca.

– Świetna, dziękuję – zwróciłam się do pani Andrews, a ona uśmiechnęła się serdecznie.

– Ach, nie ma za co. Pewnie nie umywa się do wypasionej maszyny państwa Elincourtów w Heatherbrae, ale się staramy.

– Absolutnie nie – odparłam z uśmiechem i pomyślałam z jakąś ulgą, że rozmawiam wreszcie z prawdziwym człowiekiem. – Szczerze mówiąc, ich ekspres jest dla mnie *zbyt* wypasiony, nie bardzo sobie z nim radzę.

– Z tego, co mówi Jean McKenzie, chyba cały dom jest taki, co? Powtarza, że próbując zapalić światło, człowiek naraża się na śmierć.

Uśmiechnęłam się, wymieniłam przelotne spojrzenia z Jackiem, ale nie odpowiedziałam.

– Cóż, to może nie w moim guście, co z nim zrobili, ale przynajmniej miło, że wzięli to miejsce – stwierdziła w końcu pani Andrews. Wytarła dłonie o fartuch. – Nie ma tu zbyt wielu, którzy by chcieli w nim zamieszkać po takiej historii.

– Jakiej historii? – spojrzałam na nią zaskoczona, a ona uciszyła mnie gestem.

– Oj, nie słuchaj mnie. Jestem tylko starą plotkarą. Ale wiesz, ten dom coś w sobie ma. Zabrał więcej niż jedno dziecko. Córeczka doktora na pewno nie była pierwsza.

– Co ma pani na myśli? – Wzięłam kolejny łyk kawy, starając się stłumić narastający niepokój.

– Dawniej, kiedy był to dom Struanów... – odparła pani Andrews. Ściszyła głos. – Struanowie byli bardzo starą rodziną i niezbyt... – Mocno zacisnęła usta. – No, na koniec mieli nierówno pod sufitem. Jeden z nich zabił swoją żonę i dziecko, utopił oboje w kąpielni, a drugi wrócił z wojny i zastrzelił się własną strzelbą.

Jezu. Nagle zobaczyłam luksusowo urządzonej rodzinnej łazienkę w Heatherbrae, z ogromną wanną i marokańskimi kafelkami. To nie mogła być ta sama wanna, ale być może to samo pomieszczenie.

– Słyszałam, że miało tam miejsce... zatrucie – powiedziałam niepewnie, a ona pokiwała głową.

– Tak, to był ten doktor, doktor Grant. Sprowadził się tam w latach pięćdziesiątych, kiedy ostatni Struan sprzedał dom i wyniósł się za granicę. Otruł swoją małą córeczkę, a przynajmniej tak mówią. Niektórzy powiedzą, że to był wypadek, inni...

Ale przerwała. Weszła kolejna klientka i rozdzwonił się dzwonek nad drzwiami, a pani Andrews wygładziła sobie fartuch i odwróciła

się z uśmiechem.

– Ale się rozgadałam. To tylko głupie plotki i przesady. Nie powinnaś zwracać na nie uwagi. Dzień dobry, Caroline. Na co masz ochotę dziś rano?

Kiedy odeszła, żeby obsłużyć drugą klientkę, patrzyłam za nią, zastanawiając się, co miała na myśli. Ale potem się otrząsnęłam. Miała rację. To *były* tylko przesady. Wszystkie domy powyżej pewnego wieku były świadkami śmierci i tragedii, a fakt, że w Heatherbrae zmarło dziecko, nic nie oznaczał.

Mimo wszystko jednak dzwoniły mi w głowie słowa Ellie, kiedy zawiązałam Petrze mocniej śliniak pod brodą i wyjęłam pojemnik ryżowych wafelków.

„Była inna mała dziewczynka”.

Wróciliśmy do domu Heatherbrae okrężną drogą, powoli mijając zabarwione torfem strumienie oraz cętkowane słonecznymi promieniami sosnowe lasy. Petra przysnęła z tyłu, a Jack pokazywał lokalne punkty orientacyjne – ruiny zamku, opuszczony fort, stary wiktoriański dworzec zlikwidowany w ramach projektu Beeching Axe. W oddali wyłaniały się góry, a ja próbowałam zapamiętać szczyty nazywane przez Jacka.

– Lubisz chodzić po górach? – spytał, kiedy czekaliśmy na skrzyżowaniu z główną drogą, aż przejedzie ciężarówka, i zdałam sobie sprawę, że nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– Ja... cóż, nie jestem pewna. Nigdy tego nie robiłam. Raczej lubię chodzić. Dlaczego pytasz?

– No... cóż... – W jego głosie nagle brzmiało wahanie, a kiedy spojrzałam w bok, zobaczyłam czerwone rumieńce na jego policzkach. – Po prostu pomyślałam... wiesz... że kiedy Sandra i Bill wrócą, a ty odzyskasz weekendy, to może moglibyśmy... Mógłbym cię zabrać na któryś ze szczytów. Jeśli spodoba ci się ten pomysł.

– Podoba mi się. – Tym razem to ja się zarumieniałam. – Podoba mi się ten pomysł. To znaczy, jeśli ci nie przeszkadza, że będę szła powoli... Pewnie musiałabym mieć odpowiednie buty i inne rzeczy.

– Potrzebowałabyś dobrych butów. I odzieży wodoodpornej. W górach pogoda bardzo szybko się zmienia. Ale...

Jego telefon zaczął dzwonić, Jack zerknął na niego, a potem zmarszczył brwi i podał mi aparat.

– Przepraszam, Rowan, to od Billa. Możesz mi powiedzieć, co napisał? Nie chcę odczytywać podczas jazdy, ale on zwykle nie pisze SMS-ów, chyba że to coś pilnego.

Nacisnęłam wiadomość na ekranie głównym i pojawił się podgląd, nie mogłam zobaczyć więcej, nie odblokowując telefonu, ale tyle wystarczyło.

– „Jack, pilnie potrzebuję do wieczora wydruków dokumentów Pemberton. Proszę, rzuć wszystko i je przywieź”, i tutaj się urywa.

– Cholera – rzucił Jack, a potem z poczuciem winy zerknął we wsteczne lustro, na śpiącą Petrę. – Przepraszam, nie chciałem przeklinać, ale właśnie straciłem popołudnie i wieczór, a do tego większość jutrzejszego dnia. Miałem plany.

Nie pytałam jakie. Poczułam tylko nagły przyptyw... nie do końca straty... nie do końca też strachu... ale jakiegoś niepokoju z powodu tego, że on wyjedzie, a ja zostanę całkiem sama z dziećmi na przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, nim Jack pojedzie, odpocznie i wróci.

Kiedy wyjechaliśmy z ciemnego tunelu sosen na czerwcowe słoneczne światło, uświadomiłam sobie, że to oznacza coś jeszcze: brak możliwości sprawdzenia drzwi na strych aż do jego powrotu.

Jack wyjechał niemal natychmiast po naszym powrocie i chociaż z wdzięcznością przyjął jego propozycję, że zabierze ze sobą psy i uwolni mnie od odpowiedzialności za karmienie ich i wyprowadzanie na spacer, bez nich w domu panowała dziwna, cicha atmosfera. Nakarmiłam Petrę i położyłam ją na drzemkę,

a potem usiadłam na chwilę w ogromnej kuchni, bębniąc palcami o betonowy blat i oglądając przez wysokie okna zmieniające się niebo. Był to naprawdę niesamowity widok i w takim dziennym świetle zrozumiałam, dlaczego Sandra i Bill odcięli połowę domu w taki sposób, poświęcając wiktoriańską architekturę dla tej obejmującej wszystko panoramy wzgórz i wrzosowisk.

Mimo wszystko jednak wprawiało to w dziwne poczucie bezradności – to, jak solidny przód domu wyglądał na porządnym i nietkniętym, podczas gdy z tyłu był rozdarty i odsłaniał całe wnętrze domu. Niczym pacjent, który nieźle wyglądał w ubraniu, ale kiedy podniósł koszulę, ukazywały się niezaszyte, krwawiące rany. Do tego było to dziwne uczucie podwójnej tożsamości – jak gdyby dom bardzo się starał być jednym, podczas gdy Sandra i Bill niestrudzenie ciągnęli go w innym kierunku, odcinając mu kończyny, przeprowadzając operację na otwartym sercu jego dostojnego, starego wnętrza, próbując zmienić go w coś wbrew jego woli – w coś, czym nigdy nie miał być, coś nowoczesnego, stylowego i atrakcyjnego, podczas gdy on wolał być solidny i skromny.

„Duchom by się to nie spodobało...” – usłyszałam znowu piskliwy głosik Maddie i pokręciłam głową. Duchom. Co za absurd. To tylko bajki i plotki oraz smutny stary człowiek, który mieszkał tutaj po śmierci swojego dziecka.

Z chęci zajęcia się czymkolwiek otworzyłam przeglądarkę w telefonie i wpisałam: „Dom Heatherbrae, śmierć dziecka, trujący ogród”.

Większość wyników z góry listy była bez znaczenia, ale przewijałam w dół i w dół, aż w końcu trafiłam na lokalny blog pisany przez jakiegoś historyka amatora.

STRUAN – Dom Struan (teraz pod nazwą Heatherbrae), obok Carn Bridge, w Szkocji, to kolejna ciekawostka dla historyków ogrodów, ponieważ mieści się tam jeden z kilku ocalałych trujących ogrodów w Wielkiej Brytanii (inny słynny przykład to zamek Alnwick w hrabstwie Northumberland). Założył go w latach 50. chemik analityczny Kenwick Grant i uważa się, że znajdują się w nim pewne najrzadsze i najbardziej

trujące rośliny hodowlane, ze szczególnym uwzględnieniem odmian charakterystycznych dla Szkocji. Niestety ogród popadł w ruinę po śmierci małej córki Granta, Elspeth, która zmarła w 1973 roku w wieku 11 lat po tym, jak (według okolicznych legend) przypadkowo połknęła jedną z roślin z ogrodu. Mimo że dawniej okazjonalnie otwierano go dla badaczy i publiczności, doktor Grant całkowicie zamknął ogród po śmierci córki, a po jego własnej śmierci w 2009 roku dom sprzedano prywatnemu kupcowi. Po tej sprzedaży Struan został przemianowany na Heatherbrae i podobno poddany kompleksowej przebudowie. Nie wiadomo, co pozostało z trującego ogrodu, ale można mieć nadzieję, że obecni właściciele doceniają historyczną oraz botaniczną wartość tego kawałka szkockiej ziemi i traktują spuściznę doktora Granta z szacunkiem, na jaki zasługuje.

Nie było tam żadnych zdjęć, ale wróciłam do wyszukiwarki Google i wpisałam „dr Kenwick Grant”. Było to nietypowe połączenie, pojawiło się kilka wyników, ale większość wyświetlonych obrazów musiała przedstawiać tego samego człowieka. Na pierwszym, czarno-białym, widniał mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, ze starannie wypielegnowaną kozią bródką oraz małymi okularami w drucianej oprawie, stojący przed czymś, co wyglądało na bramę z kutego żelaza prowadzącą do ogrodzonego ogrodu, do którego weszliśmy poprzedniego dnia z Maddie i Ellie. Nie uśmiechał się, wyglądał na takiego, co nie uśmiecha się zbyt często, jego twarz była naturalnie poważna, ale w jego postawie znać było dumę.

Kolejne zdjęcie smutno kontrastowało z poprzednim. Było to inne czarno-białe ujęcie, dało się na nim rozpoznać tego samego człowieka, ale tym razem dr Grant był po pięćdziesiątce. Miał zupełnie inny wyraz twarzy, przypominała ona zdeformowaną maskę przedstawiającą uczucie, które mogło być żalem, strachem albo złością, albo też połączeniem wszystkich trzech. Wyglądał, jakby biegł w stronę niewidzialnego fotografa z wyciągniętą ręką, by odepchnąć aparat albo zasłonić twarz, nie było to do końca jasne. Nad kozią bródką jego usta wykrzywiły się w grymasie, który sprawił, że się wzdrygnęłam, mimo że oglądałam go na małym ekranie i dzieliły nas całe dekady.

Ostatnia fotografia była kolorowa i to ujęcie musiało być zrobione przez kraty bramy. Uwieczniono na nim starszego człowieka, zgarbionego i pochylonego, ubranego w płowóżółty kombinezon oraz kapelusz z szerokim rondem, który zaciemniał mu twarz. Był straszliwie chudy, wręcz wycieńczony, opierał się na lasce, a jego okulary były grube i zamglone, mimo to z zacięciem patrzył na osobę robiącą zdjęcie; wolną rękę miał uniesioną i zaciśniętą w kościstą pięść, jakby groził temu, kto na niego patrzy. Kliknęłam ten obraz, próbując znaleźć kontekst ujęcia, ale żadnego tam nie było. Trafiłam po prostu na stronę Pinteresta bez żadnej informacji o źródle. Podpis brzmiał: „dr Kenwick Grant, 2002”.

Zamknęłam telefon i ogarnęło mnie uczucie smutnej rozpacz – z powodu doktora Granta, jego córki oraz tego domu, w którym to wszystko się stało.

Nie byłam już dłużej w stanie siedzieć po cichu z własnymi myślami, więc wstałam, schowałam elektroniczną nianię do kieszeni, z szuflady przy kuchence wyjęłam kłębek sznurka i wyszłam z domu przez pomieszczenie gospodarcze, szukając ścieżki, którą dziewczynki pokazały mi dzień wcześniej.

Poranne słońce zaszło i zdążyłam zmarznąć, nim doszłam do brukowanej ścieżki prowadzącej do trującego ogrodu. Trudno było uwierzyć, że jest czerwiec – w Londynie pociłabym się już w krótkich spódniczkach i koszulkach bez rękawów oraz przeklinała gównianą klimatyzację w Little Nippers. Tutaj, niemal w pół drogi do koła podbiegunowego, zaczęłam żałować, że nie zabrałam płaszcza. Elektroniczna niania milczała w mojej kieszeni, kiedy dotarłam do bramy i wsunęłam dłoń przez zdobienia, próbując unieść haczyk tak, jak Ellie.

Okazało się to trudniejsze, niż na to wyglądało. Nie tylko dlatego, że szpara w kutym żelazie była zbyt wąska, aby moja dłoń wygodnie się tam zmieściła, ale też ze względu na kąt. Nawet po

tym, jak siłą precyzyjnie przycisnęłam rękę, przeklinając, bo rdza otarła mi skórę na knykciach, nie mogłam dosięgnąć palcami haczyka.

Zmieniłam pozycję, uklęknęłam na wilgotnym bruku, czując, jak chłód przebija się przez cienki materiał moich delikatnych rajstop, i w końcu zdołałam sięgnąć koniuszkiem palca zasuwki w zatrzasku. Nacisnęłam, nacisnęłam mocniej... i wtedy brama otworzyła się ze szczękiem, a ja prawie upadłam na zniszczone cegły.

Trudno było uwierzyć, że w ogóle wzięłam to miejsce za zwykły ogród. Teraz, kiedy już znałam jego historię, wszędzie widziałam sygnały ostrzegawcze. Tłuste, czarne bobkowe jagody, cienkie igły cisu, rozłazące się grupki samosiejek naparstnicy, kępki pokrzyw, które przy pierwszym wejściu do ogrodu wzięłam za chwasty, ale teraz zobaczyłam, że ktoś oznaczył je zardzewiałą metalową plakietką wbity głęboko w ziemię: „*Urtica dioica*”. Oraz pozostałe, których nie rozpoznawałam – roślina z okazałymi fiołkowymi kwiatami, inna, która otarła się o moją nogę niczym maleńkie igły. Grządka czegoś, co przypominało szałwię, ale musiało być czymś zupełnie innym. Do tego, kiedy otworzyłam drzwi zapadniętej szopy, ujrzałam mnóstwo grzybów i muchomorów, nadal dzielnie rosnących w ciemnościach.

Nie zdołałam powstrzymać wzdrygnięcia, kiedy cicho pociągnęłam i zamknęłam drzwi, czując, jak mokre drewno ociera się o kamienne płyty. Tyle trujących roślin – niektóre kuszące, inne zdecydowanie nie. Niektóre znajome, pozostałych na pewno nigdy nie widziałam. Niektóre tak piękne, że miałam ochotę oderwać im gałąź i postawić ją w wazonie w kuchni – ale się nie odważyłam. Nawet znajome rośliny w tym otoczeniu wyglądały dziwnie i złowieszczo – uprawiane nie dla pięknych kwiatów i kolorów, tylko ze względu na śmiertcionośną moc.

Idąc, objęłam się ramionami, częściowo dla własnej ochrony, ale ogród był tak zarośnięty, że nie dało się całkowicie uniknąć ocierania się o rośliny. Dotyk liści drażnił moją skórę i nie byłam

już w stanie stwierdzić, które okazy trują po dotknięciu ich. Ani czy to w wyniku własnej paranoi czułam swędzenie i łaskotanie na skórze za każdym razem, kiedy coś mnie musnęło.

Już miałam wychodzić, kiedy zauważyłam coś jeszcze – parę nożyc leżącą na niskim, ceglanym murku odgradzającym jeden z klombów. Nożyce były nowe i jasne, niepokryte w ogóle rdzą, a kiedy zerknęłam w górę, zobaczyłam, że krzew nad moją głową został przycięty – nie mocno, ale wystarczająco, by odsłonił ścieżkę. A dalej zobaczyłam, że kawałek ogrodowego sznurka został użyty do powstrzymania pnącza.

Szczerze mówiąc, im dłużej się przyglądałam, tym więcej miałam pewności – ten ogród nie był tak zaniedbany, na jaki wyglądał. Ktoś go doglądał – i to nie Maddie czy Ellie. Żadne dziecko nie pomyślałoby o starannym przycięciu tej wiszącej gałęzi – oberwałoby ją albo po prostu się pod nią schyliło, gdyby w ogóle było dość wysokie, by ją zauważyć.

Więc kto? Nie Sandra. Tego byłam pewna. Jean McKenzie? Jack Grant?

Jego nazwisko zaczęło mi gdzieś dzwonić. Jack... Grant.

Nie było to mało popularne nazwisko, zwłaszcza tutaj, ale mimo wszystko. Dr Kenwick Grant. Czy to naprawdę mógł być przypadek?

Kiedy tak stałam, rozmyślając, elektroniczna niania w mojej kieszeni wydała cichy, marudny pisk, przywołując mnie do rzeczywistości i przypominając mi, po co tu przyszłam.

Podniosłam nożyce i pospieszyłam z powrotem do bramy, po czym mocno ją za sobą zatrzasnęłam. Szczęk jej zamka zerwał w powietrze stado ptaków siedzących na sosnach na wzgórzu i zdawał się powrócić echem ze wzgórz naprzeciwko, ale zbyt się spieszyłam, by się tym przejmować.

Wyjęłam sznurek z kieszeni, odciąłem długi kawałek, a potem stanęłam na palcach i zaczęłam go owijać wokół szczytu bramy, ponad wysokością mojej głowy, gdzie żadne dziecko nie było

w stanie dosięgnąć. Przekładałam go przez ozdobne okucia i wokół murowanego nadproża, dopóki nie zużyłam w końcu całego sznurka, a brama była w pełni zabezpieczona. Potem związałam go babskim węzłem, owinęłam końcówki wokół palców i zacisnęłam go tak mocno, aż pobiełały mi opuszki.

Elektroniczna niania w mojej kieszeni znowu jęknęła, tym razem bardziej zdecydowanie, ale ja miałam teraz pewność, że brama jest bezpieczna i że nic poza drabiną nie pozwoli już Maddie ani Ellie włamać się do środka. Schowałam nożyczki do kieszeni, wyjęłam telefon i przycisnęłam ikonkę głośnika w aplikacji Happy.

– Już idę, Petra, kochanie, nie płacz, już idę.

I pobiegłam brukowaną ścieżką do domu.

Kolejne kilka godzin zajęła mi Petra, a potem rozgryzanie, jak prowadzi się tesłę – musiałam odebrać dziewczynki ze szkoły. Jack pojechał na spotkanie z Billem drugim samochodem Elincourtów, land roverem, a przed wyjazdem zrobił mi błyskawiczny kurs jazdy tesłą, ale to auto prowadziło się zupełnie inaczej i potrzebowałam paru kilometrów, żeby się do niego przyzwyczaić – brak sprzęgła, brak przekładni biegów oraz dziwne zwalnianie za każdym razem, kiedy zdjęło się nogę z gazu.

Obie dziewczynki były zmęczone po dniu spędzonym w szkole. Nie odzywały się w drodze do domu, a popołudnie i wieczór minęły bez nagłych wypadków. Zjadły kolację, pograły na zmianę na tablecie, a potem przebrały się w piżamy niemal bez szemrania. Kiedy o ósmej poszłam na górę zgasić światła i położyć je do łóżek, usłyszałam dorosły głos dochodzący z głośników.

Przez chwilę wydawało mi się, że słuchają audiobooka, ale potem usłyszałam, że Maddie coś mówi, jej cichy głosik był niesłyszalny przez drzwi, i że odpowiada jej wzmocniony głos z głośników.

– Ach, kochanie, świetna robota! Dziesięć na dziesięć! Jestem z ciebie bardzo dumna. A ty, Ellie? Też ćwiczyłaś ortografię?

To była Sandra. Zadzwoiła do pokoju dziecięcego i rozmawiała z nimi przed snem.

Przez chwilę stałam pod drzwiami, z ręką na klamce słuchałam ich rozmowy, trochę z nadzieją – a trochę ze strachem – że usłyszę coś o sobie.

Ale zamiast tego usłyszałam, jak Sandra mówi dziewczynkom, żeby się umościły; światła były przyciemnione, a ona zaczęła śpiewać kołysankę.

Ta prosta czynność była tak pełna miłości, tak osobista, głos Sandry drżał na wysokich tonach i potykał się na dziwnych słowach, aż w końcu poczułam się jak podsłuchiwaniec. Najbardziej na świecie chciałam otworzyć te drzwi, wejść na palcach do środka, przytulić Maddie i Ellie, ucałować je w gorące małe czółka i powiedzieć im, ile mają szczęścia, że ich matka przynajmniej *chce* z nimi być, nawet jeśli nie może.

Ale wiedziałam, że to zniszczy iluzję prawdziwej obecności ich matki, więc się wycofałam. Jeśli Sandra chciała ze mną porozmawiać, na pewno przełączy się do kuchni, kiedy skończy.

Jadłam i sprzątałam, czekając, trochę nerwowo, na dźwięk jej głosu trzeszczącego w interkomie, ale się nie doczekałam. O dwudziestej pierwszej dom pogrążył się w ciszy, pozamykałam drzwi i poszłam do łóżka, niepewnie stąpając na palcach.

Kiedy umyłam zęby i pogasiłam światła, położyłam się, czując, że ze zmęczenia bolą mnie kończyny. Telefon trzymałam w dłoni, ale zamiast go podłączyć do ładowarki i iść spać, zaczęłam znowu wyszukiwać informacji o doktorze Grancie.

Przez długi czas patrzyłam na jego zdjęcie, myśląc o słowach pani Andrews w kawiarni. W kontraście między tym pierwszym zdjęciem a ostatnim było coś niemal szokującego, coś, co mówiło o długich nocach pełnych żalu i bólu – być może nawet spędzanych dokładnie w tym pokoju. Jakie to musiało być uczucie, mieszkać tutaj przez te wszystkie lata, z krążącymi wokół lokalnymi plotkami oraz tak wyraźnymi i bolesnymi wspomnieniami córki?

Wróciłam do ekranu wyszukiwarki, wpisałam: „śmierć Elspeth Grant w Carn Bridge”, i poczekałam na wyniki.

Nie było żadnego zdjęcia – a przynajmniej żadnego nie mogłam znaleźć. Nie miała też zbyt wielu nekrologów, tylko akapit w gazecie „Carn Bridge Observer” (teraz nieistniejącej) zawierający informację, że Elspeth Grant, ukochana córka doktora Kenwicka Granta oraz nieżyjącej Alisy Grant, zmarła w szpitalu St Vincent’s Cottage 21 października 1973 roku, w wieku jedenastu lat.

Inny krótki artykuł, kilka tygodni starszy, tym razem w „Inverness Gazette”, podawał wyniki sekcji zwłok oraz dochodzenia w sprawie śmierci Elspeth. Wyglądało na to, że zmarła po zjedzeniu *Prunus laurocerasus*, czyli owoców laurowiśni, z których przypadkowo zrobiono dżem. Podobno niedoświadczony zbieracz łatwo mógł je pomylić z wiśniami lub owocami bzu i podejrzewano, że dziecko zebrało je samo, po czym przyniosło gospodyni, która ich nie sprawdziła, tylko po prostu wrzuciła je do garnka. Doktor Grant sam nigdy nie jadł dżemu, wolał owsiankę na słono, gospodyni nie mieszkała na miejscu i spożywała posiłki we własnym domu w wiosce, niania Elspeth zrezygnowała zaś ze stanowiska prawie dwa miesiące przed wypadkiem, więc dziewczynka była jedyną osobą, która zjadła truciznę. Zachorowała niemal od razu i zmarła w wyniku uszkodzenia wielu organów, mimo niestrudzonych wysiłków, żeby ją uratować.

Uznano, że był to nieszczęśliwy wypadek, i nikogo o tę śmierć nie oskarżono.

A zatem Elspeth była jedyną osobą, która w ogóle mogła zjeść ten dżem. Zrozumiałam, skąd się wzięły plotki – chociaż to niejasne, dlaczego obarczano w nich winą doktora Granta, a nie bezimienną gospodynię. A co z nianią? Odeszła „niecałe dwa miesiące wcześniej”, jak twierdził autor notki, starając się ująć to proste stwierdzenie w taki sposób, by brzmiało zarówno niewinnie, jak i sugestywnie, ale prawdopodobnie nie miała nic wspólnego z wypadkiem, inaczej zostałyby to poruszone w dochodzeniu. Jej

nieobecność odnotowano wyłącznie w związku z faktem, że Elspeth nikt nie pilnował, kiedy zbierała owoce, a więc wywnioskowano, że łatwiej było jej się pomylić w identyfikacji roślin.

Jednak im bardziej się nad tym zastanawiałam, tym więcej dostrzegałam dziur w tezie, że Elspeth zebrała owoce przez przypadek. Byłam dzieckiem z przedmieść w latach dziewięćdziesiątych, nigdy nie zbierałam owoców, ale nawet ja wiedziałam, czym się różni liść bobkowy od bzu. Czy córka specjalisty od trucizn, z ogrodem poświęconym wyłącznie zabójczym roślinom, popełniłaby taką pomyłkę?

Czytając raz jeszcze, poczułam nagły przyływ współczucia dla niani, brakującego ogniwa w tej sprawie. Nie przesłuchano jej. Nie napisano, co się z nią później stało. Ale przynajmniej przegapiła, o zaledwie kilka tygodni, możliwość zamieszania w skandal. W końcu jaka przyszłość czeka nianię, pod której opieką zmarło dziecko? Z pewnością niewesoła.

Nie jestem pewna, kiedy w końcu odpłynęłam, nadal z telefonem w dłoni – wiem jednak, że było już bardzo późno – kiedy wyrwał mnie ze snu nagły dźwięk. Coś zadzwoniło, jak dzwonek u drzwi, nie jak jedno z moich typowych powiadomień. Usiadłam, mrugając i przecierając oczy, a potem zdałam sobie sprawę, że hałas dochodzi z mojego telefonu. Popatrzyłam na ekran. Migąca aplikacja Happy. „Dzwoni dzwonek u drzwi” – przeczytałam na ekranie. Rozległ się znowu, niskie *ding-dong*, które najwyraźniej działało mimo wszystkich moich ustawień „nie przeszkadzać”. Kiedy nacisnęłam ikonę, wyświetliła się wiadomość. „Otworzyć drzwi? Potwierdź/Odrzuć”.

Pośpiesznie wcisnęłam „odrzucić” i kliknęłam ikonkę kamery. Ekran pokazał mi widok spod drzwi frontowych, ale światło na zewnątrz było wyłączone, a pod osłoną ganku nie widziałam niczego poza ziarnistą, rozpikselowaną ciemnością. Czy Jack już wrócił? Zapomniał swoich kluczy? Tak czy inaczej, kiedy dzwonek

rozbrzmiał po raz trzeci, dosłyszałam dzwonienie dochodzące zarówno z klatki schodowej, jak i mojego telefonu, i wiedziałam już, że muszę to sprawdzić, nim hałas obudzi dziewczynki.

Pokój był nienaturalnie zimny, więc włożyłam szlafrok, a potem po cichu zeszłam po schodach, moje stopy stąpały miękko po grubym, dywanowym chodniku. Poruszałam się po omacku, ale nie chciałam zapalać światła, żeby nie ryzykować obudzenia dzieci. W korytarzu chwilę zмагаłam się z panelem dotykowym, a potem drzwi cicho się otworzyły i zobaczyłam za nimi... nic.

Było dość ciemno. Miejsce parkingowe land rovera nadal stało puste, a żaden z podwórkowych reflektorów aktywowanych ruchem się nie włączył, chociaż światło na ganku rozbłysło, gdy tylko przekroczyłam próg. Osłoniłam oczy przed jego nieprzyjemnym blaskiem, wyjrzałam na podwórko i w dół podjazdu, drżąc lekko w chłodnym, nocnym powietrzu. Nic. W mieszkaniu Jacka też nic się nie świeciło. Czy coś uruchomiło to przez przypadek?

Zamknęłam drzwi, powoli wspięłam się po schodach z powrotem do swojej sypialni, ale ledwo doszłam do połowy drugiego piętra, gdy dzwonek rozbrzmiał znowu.

Cholera.

Z westchnieniem ciaśniej związałam pasek szlafroka i wróciłam na dół, teraz już się spiesząc.

Ale kiedy otworzyłam drzwi, znowu nikogo tam nie było.

Tym razem zamknęłam je głośniej, niż zamierzałam, bo zmęczenie na sekundę spotęgowało moją frustrację, i stanęłam w ciemnym korytarzu, wstrzymując oddech oraz nasłuchując dźwięków z góry, na przykład narastającej syreny wycia Petry. Ale nic takiego się nie stało.

Mimo wszystko, zamiast jak wcześniej ruszyć schodami prosto do swojego pokoju, zatrzymałam się i zajrzałam do Petry, która spokojnie spała, a potem do sypialni Maddie i Ellie. W delikatnym blasku ich nocnej lampki widziałam, że obie mocno śpią, spocone włosy mają rozrzucone na poduszkach, ich usteczka jak

u cherubinków są otwarte, a w ciszy ledwo słyhać było ich cichutkie pochrapywanie. We śnie wydawały się takie malutkie i bezbronne, obie, a moje serce ścisnęło się na wspomnienie tej złości na Maddie dziś rano. Postanowiłam sobie, że nazajutrz bardziej się postaram – że będę pamiętać, jaka jest młoda, jakie to musi być wytrącające z równowagi, że zostawiono ją z kobietą, której prawie nie znała. W każdym razie na pewno żadna z nich nie bawiła się dzwonkiem, więc delikatnie zamknęłam drzwi i wróciłam na górę, do swojego pokoju.

Nadal było bardzo zimno i kiedy zamknęłam za sobą drzwi, zasłony się zakotłosały, a ja zauważyłam dlaczego. Okno było otwarte.

Podeszłam do niego ze zmarszczonymi brwiami.

Było otwarte, i to nie delikatnie, jakby ktoś chciał przewietrzyć pokój, tylko całkowicie, dolne skrzydło zostało podciągnięte tak wysoko, jak tylko się dało. Zupełnie – ta myśl pojawiła się nieproszona – jakby ktoś się wychylał, pałac papierosa, chociaż to było absurdalne.

Nic dziwnego, że w pokoju było zimno. Cóż, ten problem przynajmniej łatwo rozwiązać – zdecydowanie prościej, niż walcząc z panelem sterowania. W tym miejscu zasłony, drzwi, światła, bramy i nawet ekspres do kawy może były zautomatyzowane, ale okna pozostały oryginalnie wiktoriańskie, na szczęście obsługiwane ręcznie. Dzięki Bogu.

Opuściłam skrzydło, założyłam mosiężny haczyk, a potem podreptałam z powrotem do nadal ciepłego azylu kołdry z pierza, drżąc z przyjemności, gdy znów zanurzyłam się w jej fałdach.

Właśnie zasypiałam, kiedy usłyszałam... tym razem nie dzwonek, ale pojedyncze, samotne *skrzyyyyyyp*.

Usiadłam na łóżku z telefonem przyciśniętym do piersi. Cholera. Cholera. Cholera, *cholera*.

Ale nie pojawił się kolejny dźwięk. Czy się przesłyszałam? Może to nie kroki obudziły mnie poprzedniej nocy, ale coś innego? Może

gałąź na wietrze albo pęczniejące deski podłogowe?

Nie słyszałam niczego poza szumem mojej krwi w uszach i w końcu powoli położyłam się z powrotem, wciąż ściskając telefon w dłoni, i zacisnęłam oczy w ciemnościach.

Jednak moje zmysły pozostały w pełnej gotowości i wydawało mi się, że nie dam rady zasnąć. Leżałam tak przez ponad czterdzieści minut, czując, jak wali mi serce, a myśli galopują, pełne paranoi i szaleńczych przesądów.

A potem, jak częściowo się obawiałam, a częściowo spodziewałam, pojawił się znowu.

Skrzyyyyp...

A następnie, po króciutkiej przerwie: *skrzyp... skrzyp... skrzyp...*

Tym razem nie miałam wątpliwości – to były powolne kroki.

Serce podskoczyło mi do gardła z takim szarpnięciem, jakby mnie zemdliło, a puls na chwilę strasznie przyspieszył. Wydawało mi się, że zemdleję, ale potem wygrała złość. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do zamkniętych drzwi w rogu pokoju, uklęknęłam tam i zajrzałam przez dziurkę od klucza, podczas gdy serce bębniło mi w piersi.

Czułam się absurdalnie bezbronna, kiedy tak klęczałam w pizamie z jednym okiem szeroko otwartym i przyciśniętym do ciemnej dziury, a przez chwilę przyszła mi do głowy chora, wstrząsająca myśl, że ktoś wepchnie coś w tę dziurę, na przykład wykałaczkę albo zaostrzony ołówek, i brutalnie przebije mi rogówkę, więc odskoczyłam, mrugając, a oko mi łzawiło od zakurzonego powietrza.

Ale nic tam nie było. Żadnej wykałaczki, która mogłaby mnie okrutnie oślepić. Ani nic do zobaczenia. Tylko niekończąca się ciemność oraz chłodny, przesycony kurzem powiew stęchłego powietrza strychu. Nawet gdyby był tam jakiś zakręt na schodach albo zamknięte drzwi na samej górze, ze światłem na samym strychu, *jakieś* światło zdołałoby uciec i wlać się do atramentowej ciemności na schodach. Ale nic tam nie było. Choćby

najmniejszego błysku. Jeśli ktoś się tam znajdował, cokolwiek robił, robił to w ciemności.

Skrzyp... skrzyp... skrzyp... rozbrzmiało znowu, regularność tego dźwięku była nieznośna. Potem pauza i znowu: *skrzyp... skrzyp... skrzyp...*

– Słyszę cię! – krzyknęłam w końcu, bo nie byłam już w stanie dłużej siedzieć i nasłuchiwać w milczeniu i strachu. Przyłożyłam usta do dziurki od klucza, głos mi drżał z wściekłości i przerażenia. – Słyszę cię! Co ty tam odpierdalasz, świrusie? Jak śmiesz? Zaraz zadzwonię na policję, więc lepiej stamtąd wypierdalaj!

Ale kroki nawet się nie zatrzymały. Mój głos ucichł, jakbym krzyczała w próżnię. *Skrzyp... skrzyp... skrzyp...*, a potem, podobnie jak wcześniej, krótka pauza, i znowu to samo, dokładnie w tym samym rytmie. *Skrzyp... skrzyp... skrzyp...* A ja oczywiście wiedziałam, że tak naprawdę nie zadzwonię na policję. Co miałabym im, do diabła, powiedzieć? „Och, proszę, panie posterunkowy, na moim strychu coś skrzypi”? Nie było tu żadnego komisariatu bliżej niż w Inverness, a oni raczej nie przyjmują zwyczajnych zgłoszeń w środku nocy. Mogłam tylko zadzwonić na numer alarmowy, ale nawet rozedrgana ze strachu domyślałam się, co by powiedział dyspozytor, gdyby histeryzująca kobieta zadzwoniła w środku nocy, twierdząc, że z jej strychu dochodzą jakieś upiorne dźwięki.

Szkoda, że nie ma tu Jacka, szkoda że nie ma tu *nikogo* prócz trzech małych dziewczynek – a płaci mi się za opiekę nad nimi, nie za straszenie ich jeszcze bardziej.

O Boże. Nagle nie byłam w stanie już tego znieść i zrozumiałam, jakie mroczne przerażenie wypłoszyło stąd cztery poprzednie nianie. Leżały tutaj każdej nocy, nasłuchując, wyczekując, gapiąc się w ciemności na zamknięte drzwi, na tę pustą dziurkę od klucza ziejącą czernią...

Nie mogłam nic zrobić. Mogłam pójść spać do salonu, ale gdyby hałas dotarł też tam, to – jak uznałam – mogłabym już do końca

zwariować, a w samej myśli, że te dźwięki miałyby nadal rozbrzmiewać na strychu, podczas gdy ja nieświadomie spałabym na dole, było coś jeszcze gorszego. Przynajmniej tu byłam, obserwowałam, nasłuchiwałam; cokolwiek tam było, nie mogło...

Przełknęłam w ciemności ślinę, miałam wysuszone gardło.

Dłonie mi się pociły i nie byłam w stanie dokończyć tej myśli.

W tym momencie zyskałam pewność, że już nie zasnę.

Zamiast tego owinęłam się kołdrą i mocno drżąc, zapaliłam światło, a potem usiadłam z telefonem w dłoni i słuchałam równomiernego, rytmicznego dźwięku stóp spacerujących nad moją głową. Pomyślałam o doktorze Grancie, starym mężczyźnie, który tu wcześniej mieszkał, o człowieku, którego Sandra i Bill starali się za wszelką cenę pozbyć, przemalowując, szorując i przebudowując dom, aż w końcu nie pozostał po nim prawie żaden ślad, poza tym koszmarnym trującym ogrodem za zamkniętą na klucz bramą.

Oraz, być może, tego, co spacerowało nocami po strychu.

Znowu usłyszałam te słowa, wypowiedziane chłodnym, rzeczowym tonem Maddie, jak gdyby stała koło mnie, szepcząc mi do ucha. „Po jakimś czasie przestał spać. Całymi nocami spacerował tam i z powrotem. A potem zwariował. Wiesz, ludzie wariują, kiedy długo nie pozwala im się spać...”.

Czy *ja* oszaleję? Czy tak to właśnie wygląda?

Jezu. To niedorzeczne. Ludzie nie dostają bzika po dwóch nieprzespanych nocach. Zachowywałam się już zupełnie melodramatycznie.

A jednak, kiedy kroki znowu przeszły nade mną, powolne i niestrudzone, poczułam, jak ogarnia mnie narastająca panika, i nie byłam w stanie powstrzymać swojego wzroku wędrującego w stronę zamkniętych drzwi. Wyobrażałam sobie, jak się otwierają, powolny krok, krok starych stóp na schodach za nimi, a potem wynędzniałą, pustą twarz wynurzającą się przede mną w ciemności, wyciągnięte w moją stronę kościste ramię.

„Elspeth...”

Ten dźwięk nie doszedł mnie z góry, lecz z moich myśli – rzeźący krzyk ojca złamanego żalem po utraconym dziecku.

„Elspeth...”

Ale drzwi się nie otworzyły. Nikt nie przyszedł. Mimo to nade mną, godzina po godzinie, kroki nie ustawały. *Skrzyp... skrzyp... skrzyp...* Niekończące się chodzenie w tę i we w tę kogoś, kto nie może spocząć.

Nie umiałam się zdobyć na to, żeby zgasić światło. Nie tym razem. Nie przy tych nieustających, niestrudzonych krokach nade mną.

Po prostu tam leżałam na boku, przodem do zamkniętych drzwi, z telefonem w dłoni, obserwując, wyczekując, aż w końcu podłoga przy oknie naprzeciwko mojego łóżka zaczęła się rozjaśniać nadchodzącym świtem. I w końcu wstałam, cała zdrętwiała i z mdłościami ze zmęczenia, a następnie poszłam do ciepłej kuchni, żeby zaparzyć sobie najmocniejszą kawę, jaką dam radę wypić, i spróbować zmierzyć się z tym dniem.

Po pustym parterze niosło się echo; było upiornie cicho bez dyszących i sapiących psów. Zdziwiłam się, że jakaś część mnie tęskni za ich rozpraszającymi węszącymi nosami i ciągłym proszeniem o przysmaki.

Po drodze przez korytarz do kuchni przyłapałam się na tym, że zbieram rozrzucone przez dziewczynki oznaczenia ścieżki prowadzącej do skarbu – kilka kredek na chodniku, kucyk My Little Pony przy kuchennej wyspie oraz – co dziwne – pojedynczy fioletowy kwiat więdnący na środku podłogi w kuchni. Pochyliłam się nad nim, zaskoczona, zastanawiając się, skąd się wziął. Był tylko jeden, wyglądał, jakby wypadł z bukietu albo opadł z jakiejś doniczkowej rośliny, tylko że w tym pomieszczeniu nie było kwiatów. Może któraś z dziewczynek go zerwała? Ale jeśli tak, to kiedy?

Szkoda było dać mu umrzeć, więc nalałam wody do kubka i zanurzyłam w nim łyżkę, a potem odstawiłam go na kuchenny stół. Może odżyje.

Po cichu delektowałam się drugą filiżanką kawy i patrzyłam, jak słońce wstaje nad wzgórzami po wschodniej stronie domu, kiedy rozległ się jakiś głos, jakby znikąd.

– Rowan...

Był piskliwy i drżący, ledwo słyszalny, a jednak na tyle głośny, że poniósł się echem po cichej kuchni. Tak podskoczyłam, aż wrząca kawa pociekła mi na nadgarstek i rękaw szlafroka.

– Cholera! – Zaczęłam ją wycierać, a jednocześnie odwróciłam się, żeby odnaleźć źródło dźwięku. Nikogo tam nie było, a przynajmniej nikogo nie widziałam.

– Kto tam? – zawołałam, i tym razem usłyszałam skrzypnięcie od strony schodów, pojedyncze skrzypnięcie, tak dziwnie przypominające to z poprzedniej nocy, że aż serce mi na chwilę stanęło. – Kto to?! – zawołałam znowu, bardziej agresywnie, niż zamierzałam, i ze złością ruszyłam na korytarz.

Nade mną mała postać zawahała się u szczytu schodów. Ellie. Jej twarz wyrażała zmartwienie, a usta drżały.

– Och, kochanie. – Natychmiast poczułam skruchę. – Przepraszam, przestraszyłaś mnie. Nie chciałam na ciebie nakrzyczeć. Chodź na dół.

– Nie wolno mi – odparła. W dłoniach trzymała koc i obracała w palcach jedwabną lamówkę, a z wydętą dolną wargą, która niebezpiecznie drżała, jakby zbliżały się łyzy, Ellie wyglądała wówczas na dużo młodszą niż jej pięć lat.

– Oczywiście, że możesz. Kto ci powiedział, że nie wolno?

– Mamusia. Nie wolno nam wychodzić z pokoi, dopóki króliczek na zegarze nie podniesie uszu.

Och. Nagle przypomniałam sobie ten akapit w segregatorze, który mówił o wczesnym wstawaniu Ellie oraz zasadzie dotyczącej zegara Króliczka Happy, który zmieniał się w rozbudzonego króliczka o szóstej rano. Zerknęłam przez łuk na kuchenny zegar. Za trzynaście szósta.

Cóż, nie mogłam za bardzo przeciwstawić się zasadzie Sandry... ale już tam stałyśmy, a coś we mnie z ulgą przyjęło fakt, że zobaczyłam inną istotę ludzką. Jakimś sposobem przy Ellie wcześniejsze nocne duchy zmieniły się w coś absurdalnego.

– No... – zaczęłam powoli, usiłując wypracować rozwiązanie, które jednocześnie pokazałoby mój szacunek do zasady wyznaczonej przez pracodawczynię i współczucie dla małego dziecka, balansującego na granicy płaczu. – No ale już i tak wstałaś. Myślę, że ten jeden raz możemy udać, iż króliczek wstał wcześniej.

– Ale co na to powie mamusia?

– Jeśli ty nikomu o tym nie powiesz, to ja też nie – odpowiedziałam, a potem przygryzłam wargę. To jedna z żelaznych zasad opieki nad dziećmi: nie wolno prosić dziecka, żeby utrzymywało tajemnice przed rodzicem. Ta ścieżka prowadzi do mnóstwa ryzykowanych zachowań i nieporozumień. Ale już to powiedziałam i miałam nadzieję, że Ellie potraktuje to jako mało ważne stwierdzenie, a nie zaproszenie do konspiracji przeciwko jej matce. Nie zdołałam powstrzymać zerknięcia w kamerę w rogu... Ale Sandra na pewno nie wstałaby o szóstej rano, gdyby nie musiała. – Chodź na dół, wypijemy gorącą czekoladę, a kiedy króliczek się obudzi, będziesz mogła pójść na górę się ubrać.

W kuchni Ellie usiadła na jednym z wysokich stołków; uderzała piętami w nogi krzesła, a ja podgrzałam mleko na płycie indukcyjnej i wmieszałam do niego czekoladowy proszek. Ellie piła, ja sączyłam swoją stygnącą już kawę i rozmawiałyśmy o szkole, o jej najlepszej przyjaciółce Carrie, o tęsknocie za psami, aż w końcu zaryzykowałam pytanie, czy tęskni za mamą i tatą. Mina jej trochę zrzędła.

– Możemy dzisiaj wieczorem znowu zadzwonić do mamusi?

– Tak, oczywiście. W każdym razie możemy spróbować. Wiesz, że jest bardzo zajęta.

Ellie pokiwała głową. A potem wyjrzała przez okno i dodała:

– Jego nie ma, prawda?

– Kogo? – Nie zrozumiałam. Mówiła o ojcu czy o Jacku? A może... może o kimś innym? – Kogo nie ma?

Nie odpowiedziała, tylko kopnęła nogami w stołek.

– Wolę, jak go nie ma. On im każe robić takie rzeczy, których nie chcę.

Nie wiedziałam dlaczego, ale jej słowa nagle przywołały mi przed oczy coś, o czym prawie nie myślałam od mojej pierwszej nocy tutaj – tym pogniecionym, niedokończonym liściku od Katii. Jej słowa rozbrzmiały mi w głowie, jakby ktoś nagłąco wyszeptał mi je do ucha. „Chciałam ci napisać, żebyś była”...

Nagle dużo bardziej niż do tej pory poczułam, że to ostrzeżenie.

– Kto? – powtórzyłam, tym razem bardziej nagląco. – O kim ty mówisz, Ellie?

Ale ona źle zrozumiała moje pytanie, albo może specjalnie postanowiła je błędnie zinterpretować.

– O dziewczynkach – stwierdziła niewzruszona. A potem odstawiła swoją gorącą czekoladę i ześlizgnęła się ze stołka. – Mogę iść pooglądać telewizję?

– Ellie, zaczekaj – powiedziałam. Ja też wstałam, czując, jak serce nagle wali mi w piersi. – O kim ty mówisz? Kogo nie ma? Kto każe dziewczynkom robić rzeczy?

Ale byłam zbyt natrętna i kiedy moja dłoń chwyciła ją za nadgarstek, Ellie wyrwała się, nagle przestraszona moją gwałtownością.

– Nic. Nie pamiętam. Zmyśliłam to. Maddie kazała mi tak powiedzieć. Zresztą wcale tego nie powiedziałam. – Wymówki posypały się jedna po drugiej, każda głupsza od poprzedniej, a ona wykręciła swoją małą rączkę z mojego uścisku. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Chciałam iść za nią, kiedy się ulotniła i po chwili z bawialni dobiegł dźwięk piosenki ze *Świnki Peppy*, ale wiedziałam, że to nie zadziała. Przestraszyłam ją i straciłam szansę. Mogłam spytać swobodniej. Teraz zamknęła się w sobie w taki sposób, w jaki zamykają się małe dzieci, kiedy rozumieją, że powiedziały coś dużo poważniejszego, niż zamierzały. Taką samą panikę widziałam u maluchów, które powtórzyły brzydkie słowo, nie zdawszy sobie sprawy, jaką wywołają reakcję – przestraszoną próbę wycofania się z odpowiedzi, a potem zupełne zamknięcie się i zaprzeczanie temu, że w ogóle tak powiedziały. Gdybym teraz naciskała na Ellie, strzeliłabym sobie w stopę i powstrzymała wszelkie późniejsze zwierzenia.

„Dziewczynki... Każe im robić takie rzeczy, których nie chcą...”

Przewróciło mi się w żołądku. To było coś, przed czym ostrzega każde szkolenie dotyczące bezpieczeństwa – koszmarny scenariusz,

co do którego każdy ma nadzieję, że mu się nie przytrafi. Ale... Czy rzeczywiście? O jakich dziewczynkach mówiła Ellie? O sobie i Maddie? Czy o kimś zupełnie innym? I kim był ów „on”? Czy to Bill? Jack? A może ktoś jeszcze inny – nauczyciel albo...?

Ale nie. Odsunęłam od siebie obraz dzikiej, złamanej bólem twarzy patrzącej na mnie z ekranu telefonu. To była czysta fantazja. Gdybym poszła do Sandry z czymś takim, miałyby prawo roześmiać mi się w twarz.

Ale czy *mogłam* iść do Sandry z czymś takim? Ellie na pewno zaprzeczy, że to powiedziała, a skoro może to nie być nic ważnego... W końcu nie miałam się czego uczyć, nie mogłam stwierdzić: „To na pewno niepokojące”.

Nadal patrzyłam za Ellie, gryząc paznokiec, kiedy przestraszył mnie jakiś odgłos z korytarza. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak drzwi się otwierają, a na wycieracze stoi Jean McKenzie, zdejmując płaszcz.

– Pani McKenzie – odezwałam się. Była schludnie ubrana, w wełnianą spódnicę oraz białą bawełnianą bluzkę, a ja nagle sobie uświadomiłam, jaka jestem niechlujna, w szlafroku z prawie niczym pod spodem.

– Wcześniej panienka wstała – powiedziała tylko, a ja poczułam ukłucie krytyki. Może to z winy braku snu albo niepokoju pozostałego po słowach Ellie, ale nagle odezwał się mój gorący temperament.

– Dlaczego mnie pani nie lubi? – rzuciłam.

Wieszała płaszcz w szafie w korytarzu i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

– Słucham?

– Dobrze mnie pani słyszała. Jest pani dla mnie niemiła od samego mojego przyjazdu. Dlaczego?

– Myślę, że panienka to sobie wyobraziła.

– Dobrze pani wie, że to nieprawda. Jeśli chodzi o tę sprawę z pierwszego dnia, to nie zatrzasnęłam tych cholernych drzwi ani

nie zamknęłam domu przed dziećmi. Dlaczego miałabym to zrobić?

– Co mądrymu po rozumie – odparła tajemniczo Jean McKenzie i odwróciła się, kierując do pomieszczenia gospodarczego, więc chwyciłam ją za ramię.

– Co to w ogóle, u diabła, znaczy?

Wyrwała mi się z uścisku i nagle jej wzrok zapłonął czymś, co mogłam określić wyłącznie mianem nienawiści.

– Będę wdzięczna, jeśli nie będzie mnie panienka dotykać, a także przestanie przeklinać przy maluchach.

– Zadałam pani całkowicie rozsądne pytanie – odparowałam, ale ona mnie zignorowała i udała się do pomieszczenia gospodarczego, pocierając sobie rękę z przesadną troską, jakbym jej otarła skórę. – I proszę przestać nazywać mnie „panienką” – krzyknęłam za nią. – Nie jesteśmy w jakimś pieprzonym Downtown Abbey.

– To jak byś wolała, żeby się do ciebie zwracać? – warknęła przez ramię.

Już odwróciłam się na pięcie, by iść obudzić Maddie, ale jej słowa zatrzymały mnie w pół kroku i znów się obróciłam. Gdy jednak to zrobiłam, zobaczyłam tylko jej pozbawione wyrazu plecy, zgięte nad zlewem w pomieszczeniu gospodarczym.

– C-co pani powiedziała?

Nie odpowiedziała, odkręciła tylko krany, zagłuszając mój głos strumieniem wody.

– Do widzenia, dziewczynki! – zawołałam, patrząc, jak przechodzą przez szkolną bramę, a one powlokły się do swoich klas. Maddie nie zareagowała, tylko powoli szła dalej ze zwieszonymi ramionami, ignorując świergotanie innych małych dziewczynek. Ale Ellie oderwała się od rozmowy z małą rudą dziewczynką i mi pomachała. Miała uroczy, radosny uśmiech i poczułam, że go odwzajemniam, a potem obdarzyłam takim samym Petrę, wiercącą się i gulgoczącą na moim biodrze. Świeciło słońce, śpiewały ptaki, a ciepło pięknego czerwcowego dnia spływało pomiędzy liśćmi na

drzewach. Lęki i wyobrażenia z ostatniej nocy – wspomnienie tej wykrzywionej, udręczonej żalem twarzy wyglądającej z ekranu mojego telefonu – w świetle dnia wszystko to nagle wydało się niedorzeczne.

Zapinałam właśnie Petrę w foteliku samochodowym, kiedy piknął mi telefon. Zerknęłam na ekran, zastanawiając się, czy to coś ważnego. To był e-mail. Od Sandry.

O kurczę.

W głowie zaczęły mi wirować paranoiczne myśli – czy zobaczyła na nagraniu to, jak prawie uderzyłam Maddie, lub niekończący się ciąg smakołyków, którymi przekupywałam dziewczynki? A może chodziło o coś innego? Coś, co powiedziała Jean McKenzie?

Kliknęłam w niego z motylkami w brzuchu, ale nagłówek z tematem był bardzo zwyczajny: „Aktualizacja”. Cokolwiek to znaczyło.

Cześć Rowan,

przepraszam, że piszę e-mail, ale jestem na spotkaniu i nie mogę rozmawiać, a chciałam Ci wysłać szybką wiadomość na temat tego, jak się mają sprawy tutaj. Targi idą nam świetnie, ale Bill został wezwany do Dubaju, żeby rozwiązać tam parę problemów, co oznacza, że będę musiała przejąć projekt Kensington – nie jest to idealna sytuacja, bo nie będzie mnie nieco dłużej, niż zamierzałam, ale nie mogę tego zmienić. Powinnam wrócić w przyszły wtorek (czyli za tydzień od dziś). Dobrze sobie radzisz? Czy to jest do zrobienia?

Jeśli chodzi o dzieci, to Rhiannon dzisiaj kończy szkołę. Mama Elise zaproponowała, że odbierze obie dziewczynki (oni mieszkają dalej, koło Pitlochry, więc i tak mają po drodze), a Rhi będzie w Heatherbrae jakoś po dwunastej. Wysłałam jej SMS, więc wie, co się dzieje, i cieszy się na spotkanie z Tobą.

Jack rozmawiał wczoraj z Billem i wspomniał, że dobrze się dogadujesz z dziewczynkami, a ja bardzo się cieszę, że jest

w porządku. Daj znać, jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości – postaram się zadzwonić dziś wieczorem, zanim dziewczynki pójdą spać.

Sandra x

Zamknęłam wiadomość, niepewna, czy czuję przede wszystkim ulgę, czy przerażenie. Na pewno *była* w tym ulga – powodowana przynajmniej tym, że najwidoczniej Jack dobrze o mnie mówił. Ale kolejny tydzień... Dopóki nie przeczytałam słów Sandry, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo liczyłam na jej powrót w piątek, skreślając w głowie mijające doby jak przy odsiadaniu wyroku.

A teraz... do tego czasu doszły cztery dni. I to nie tylko z maluchami, ale także z Rhiannon. Jak się z tym czułam?

Nie sposób zaprzeczyć temu, że cieszyła mnie myśl, iż w domu będzie ktoś jeszcze. *Było* coś absurdalnego we wspomnieniu tych powolnych, miarowych kroków, ale nawet w świetle dnia czułam, że włosy stają mi dęba na rękach, kiedy przypominałam sobie, jak leżałam i nasłuchiwałam, czy spacerują w tę i we w tę. Kiedy ktoś, nawet upierdliwa czternastolatka, pojawi się w sypialni obok, to na pewno będzie mi raźniej.

Ale gdy odpaliłam tesłę, w mojej głowie pojawił się zupełnie inny obraz – te czerwone gryzmoły na drzwiach sypialni: „SPIEPRZAJ, WEJŚCIE GROZI ŚMIERCIA”. Coś w sobie miały. Coś bardzo podobnego do wściekłej, milczącej złości Maddie.

Być może, cokolwiek to było, uda mi się to rozgryźć z Rhiannon.

Powrót ze szkoły do Heatherbrae zajął więcej czasu niż poprzedniego poranka, bo przede mną jechała furgonetka. Sunęłam za nią powoli od Carn Bridge. Ostrożnie naciskałam gaz na każdym skrzyżowaniu, do którego się zbliżyliśmy, pewna, że skreśli, ale z niewytłumaczalnych powodów zdawała się jechać tą samą drogą, nawet kiedy szosa się zwęziła i zmieniła w bardziej wiejską. Z pewną ulgą zauważyłam, że jesteśmy już prawie na zjeździe do Heatherbrae, i już miałam włączyć lewy kierunkowskaz, kiedy furgonetka zrobiła to samo i zjechała na podjazd, zmuszając mnie do wciśnięcia hamulców.

Kiedy czekałam, a tesla pracowała bezgłośnie na jałowym biegu, drzwi po stronie pasażera furgonetki otworzyły się i wyskoczyła z niej dziewczyna z plecakiem na ramieniu. Powiedziała coś kierowcy, a wtedy otworzyły się także tylne drzwi. Wyciągnęła ogromną walizkę, rzuciła ją beztrudnie na żwir, a potem zatrzasknęła drzwi i odsunęła się, kierowca zaś wycofał z krawężnika. Już miałam się wychylić i spytać dziewczynę, kim jest oraz co robi na środku pustkowia, kiedy wyjęła z kieszeni telefon i zbliżyła go do czujnika bramy, a ta się otworzyła.

To na pewno nie mogła być Rhiannon – miała wrócić dopiero po południu, a ta podejrzana furgonetka na pewno nie wyglądała, jakby mogła należeć do czyjejś matki. Może ona tu pracuje? Ale w takim razie po co jej wielka walizka?

Odczekałam kilka minut, aż odsunie się do bramy, a następnie wcisnęłam gaz. Tesla łagodnie wjechała na podjazd za dziewczyną, która obróciła się, zaskoczona. Jednak zamiast się odsunąć, zagroziła mi drogę i dłonie oparła na biodrach, a ogromna walizka

leżała u jej stóp. Znowu zahamowałam, słysząc, jak żwir zgrzyta pod kołami, po czym opuściłam szybę.

– W czym mogę pomóc?

– Ja powinnam o to spytać – odparła dziewczyna. Miała długie blond włosy i mówiła z ekskluzywnym akcentem, skracając sylaby, bez cienia szkockich naleciałości. – Kim ty, u diabła, jesteś i co robisz w samochodzie moich rodziców?

A więc to *była* Rhiannon.

– O, dzień dobry, a więc to ty jesteś Rhiannon. Przepraszam, nie spodziewałam się ciebie jeszcze przez kilka godzin. Jestem Rowan.

Dziewczyna nadal patrzyła na mnie bez zrozumienia, więc dodałam, czując już lekkie zniecierpliwienie:

– Nowa niania? Myślałam, że mama ci powiedziała.

Prowadzenie tej rozmowy przez okno auta wydało mi się głupie, więc wrzuciłam tryb parkingowy, wysiadłam i wyciągnęłam dłoń.

– Miło cię poznać. Przepraszam, że na ciebie nie czekałam, twoja mama powiedziała, że nie będzie cię przed dwunastą.

– Rowan? Ale ty jesteś... – zaczęła. Między jej wąskimi brwiami pojawiła się bruzda, a potem coś się wygładziło i pokręciła głową. Na twarzy miała uśmiech, i to niezbyt przyjemny. – Nieważne.

– Jaka jestem? – Opuściłam dłoń.

– Powiedziałaś, że nieważne. I nie zwracaj uwagi na to, co ci opowiadała moja mama, ona nie ma o niczym pieprzonego pojęcia. Jak już może zdążyłaś zauważyć. – Zmierzyła mnie z góry na dół. – No, to na co czekasz?

– Słucham?

– Pomóż mi z walizką.

Robiłam się coraz bardziej poirytowana, ale nie było sensu źle zaczynać, więc przełknęłam złość i poturlałam walizkę na tył tesli. Była jeszcze cięższa, niż na to wyglądała. Rhiannon nie poczekała, aż ją spakuję, tylko usiadła na tylnym siedzeniu, obok Petry.

– Cześć, bachorze – powiedziała, chociaż w jej głosie dało się słyszeć czułość, której wyraźnie brakowało, kiedy rozmawiała ze

mną. A potem, gdy usiadłam na siedzeniu kierowcy, rzuciła mi: – No, nie będziemy chyba tu cały dzień siedzieć, żeby podziwiać widoki.

Zacisnęłam zęby, przełknęłam dumę i tak mocno wcisnęłam gaz, że żwir posypał się spod kół. Ruszyliśmy podjazdem w stronę domu Heatherbrae.

W domu Rhiannon poszła do kuchni i zostawiła mnie z wypakowywaniem Petry oraz wielkiej, ciężkiej walizki. Kiedy w końcu weszłam do środka, holując Petrę, zobaczyłam, że Rhiannon usadowiła się już przy metalowej kuchennej wyspie i jadła ogromną kanapkę, którą wyraźnie dopiero co sobie przygotowała.

– Więęęęęęęę – wycedziła. – Jesteś Rowan, tak? Muszę przyznać, że w ogóle nie wyglądasz tak, jak się spodziewałam.

Zmarszczyłam brwi. W jej głosie było coś odrobinę złośliwego i zastanawiałam się, o co jej właściwie chodzi.

– Czego się spodziewałaś?

– Ach... nie wiem. Po prostu kogoś... innego. Nie wyglądasz mi jakoś na Rowan. – Wyszczrzyła zęby i nim zdążyłam zareagować, wzięła kolejny kęs kanapki i dodała niewyraźnie, z pełnymi ustami: – Musisz dodać majonez do listy lodówki. O, do diabła, i gdzie są psy?

Mrugnęłam. Miałam poczucie, że to ja powinnam pytać, przesłuchiwać ją. Dlaczego najwyraźniej zawsze znajdowałam się po niewłaściwej stronie walki o pozycję? Ale to było całkowicie uzasadnione pytanie, więc starałam się nie unosić głosu, kiedy jej odpowiadałam.

– Jack musiał zawieźć jakieś dokumenty twojemu ojcu. Zabrał ze sobą psy; pomyślał, że spodoba im się wycieczka.

Wcale tak nie powiedział, ale z jakiegoś powodu nie chciałam się przyznawać tej napuszonej nastolatce, że nie czułam się na siłach,

by podjąć się szarpania z trójką małych dzieci i dwoma labradorami.

– Kiedy wróci?

– Jack? Nie wiem. Wydaje mi się, że dzisiaj.

Rhiannon pokiwała głową, z namysłem żując kanapkę, a potem dodała z ustami pełnymi jedzenia:

– A właśnie, Elise ma dzisiaj urodziny i jej mama zaprosiła mnie na noc. Czy to jest okej?

W jej tonie było coś, co wyraźnie wskazywało, że to pytanie jest tylko formalnością, ale skinęłam głową.

– Lepiej napiszę do twojej mamy i się upewnię, ale oczywiście ja nie mam nic przeciwko. Gdzie ona mieszka?

– W Pitlochry. To koło godziny drogi stąd, ale brat Elise mnie podrzuci.

Pokiwałam głową, wyjęłam telefon i napisałam szybką wiadomość do Sandry: „Rhiannon bezpiecznie w domu – chce pojechać dziś wieczorem na noc do Elise. Zakładam, że to ok, ale proszę, potwierdź”.

Niemal od razu zapiknęła mi odpowiedź: „Nie ma problemu. Zadzwoń o 18. Pozdrów Rhi”.

– Twoja mama cię pozdrawia i mówi, że w porządku – przekazałam Rhiannon, która przewróciła oczami, jakby mówiła: „no raczej”. – O której po ciebie przyjadą?

– Po lunchu. – Rhiannon przerzuciła nogi nad stołkiem i przesunęła po blacie brudny talerz. – Na razie.

Patrzyłam za nią, jak szła po schodach, długie nogi w szkolnym mundurku wspinały się po zgrabnym zaokrągleniu schodów, a potem zniknęły za zakretem.

Nie zeszła na lunch. Nie byłam tym mocno zaskoczona, biorąc pod uwagę kanapkę, którą zjadła parę godzin wcześniej, ale ponieważ przygotowywałam jedzenie dla siebie i Petry, czułam się w obowiązku przynajmniej spytać, czy chce do nas dołączyć.

Próbowałam się do niej odezwać przez interkom, ale coś mnie blokowało. Zamiast tego w aplikacji wyświetliła mi się wiadomość: „NIE JESTEM GŁODNA”. Ha. Nawet nie wiedziałam, że tak się da.

„OK” – odpisałam. A kiedy odkładałam telefon, przyszła mi do głowy inna myśl; wyjęłam go z kieszeni i jeszcze raz otworzyłam aplikację Happy. Z pewnym niepokojem kliknęłam w menu wyświetlające listę kamer, do których miałam dostęp. Przewinęłam ją w dół, do litery „R”, obiecując sobie, że i tak nie zajrzę, ale przynajmniej dzięki temu będę wiedziała... Jednak kiedy zjechałam do „pokoju Rhiannon”, był zaznaczony na szaro i niedostępny, co przyjęłam niemal z ulgą. Możliwość podglądania przez kamerę sypialni czternastoletniej dziewczynki wydawała mi się niemożliwie niestosowna.

Właśnie kierowałam łyżeczkę z jogurtem do otwartej buzi Petry, odpychając jej „pomagające” paluszki, bo próbowała chwycić łyżkę, kiedy usłyszałam kroki na schodach. Wyjrzałam na korytarz i zobaczyłam Rhiannon z małą torbą w jednej dłoni i telefonem w drugiej.

– Jest już brat Elise – rzuciła.

– Pod drzwiami? – zaskoczona, odruchowo zerknęłam w telefon. – Nie słyszałam dzwonka.

– Pfff, przy bramie.

– Okej. – Powstrzymałam chęć, żeby odgryźć się za jej sarkastyczny ton. – Wpuszczę go.

Mój telefon leżał na blacie, ale ledwo zdążyłam otworzyć aplikację, a co dopiero przejrzeć menu różnych bram, wejść i garaży, do których miałam dostęp, gdy Rhiannon była już w połowie drogi do drzwi.

– Nie trzeba. – Przyłożyła kciuk do panelu i otworzyła drzwi wejściowe. – Czeka na mnie przy drodze.

– Moment. – Zabrałam jogurt sprzed ust Petry i rzuciłam się szybko za Rhiannon. – Sekunda, potrzebuję numeru do mamy Elise.

– Yyyy... niby dlaczego? – Głos Rhiannon był przepętniony sarkazmem, ale ja pokręciłam głową, usiłując sforsować jej opór.

– Bo masz czternaście lat, a ja nigdy nie spotkałam tej kobiety i po prostu muszę go mieć. Masz go? Jeśli nie, to poproszę twoją mamę.

– Tak, mam go. – Wywróciła oczami, ale wyjęła telefon i zaczęła szukać kawałka papieru. Na schodach leżał jeden z rysunków Maddie, więc podniosła go i na odwrocie nagryzmoła numer. – Jest. Zadowolona?

– Tak – odpowiedziałam, chociaż to nie była do końca prawda. Rhiannon zatrzasnęła za sobą drzwi, a ja patrzyłam przez okno, jak zniką za zakrętem podjazdu, po czym zerknęłam na kartkę. W jednym rogu widniał numer razem z imieniem: Cass. Przepisałam go do telefonu i wysłałam SMS:

„Cześć, Cass, tu Rowan, jestem nową nianią Elincourtów. Chciałam tylko podziękować za dzisiejsze zaproszenie Rhiannon. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, dzwoń lub pisz na ten numer. Będę wdzięczna za wiadomość, o której jutro odwiezicie ją do domu. Dziękuję. Rowan”.

Odpowiedź przyszła uspokajająco szybko, kiedy dawałam Petrze ostatnią łyżeczkę jogurtu.

„Dzień dobry! Miło cię *poznać*. Nie ma za co, zawsze chętnie gościmy Rhi. Myślę, że odwieziemy ją jutro przed lunchem, ale jesteśmy w kontakcie. Cass”.

Zerknęłam na obrazek Maddie dopiero wtedy, kiedy odkładałam go na schody. Przypomniłam mi o tamtym, który znalazłam pierwszej nocy – z domem i małą, bladą twarzą wyglądającą przez okno. Ale w tym było coś wyraźnie bardziej mrocznego i niepokojącego.

Na środku strony widniała niedokładnie narysowana postać – mała dziewczynka z kręconymi włosami i odstającą spódniczką – która wyglądała na zamkniętą w jakiejś więziennej celi. Ale kiedy przyjrzałam się jej bliżej, pomyślałam, że to musi być odzwierciedlenie trującego ogrodu. Grube, czarne kraty żelaznej

bramy krzyżowały się na postaci, a ona ścisnęła je jedną dłonią i trzymała coś w drugiej – pomyślałam, że to gałąź pokryta zielonymi liśćmi i czerwonymi jagodami. Po twarzy dziewczynki lały się łzy, usta miała otwarte, jakby krzyczała z przerażenia, a na twarzy i sukience miała narysowaną czerwoną krew. Cały obrazek został otoczony grubymi, czarnymi, spiralnymi liniami, jakbym spoglądała ze złej strony teleskopu w jakiś koszmarny tunel do przeszłości.

Z jednej strony był to tylko obrazek małej dziewczynki, nie różnił się wiele od czasem brutalnych gryzmołów, które oglądałam w żłobku – superbohaterów strzelających do złych, policjantów walczących ze złodziejami. Ale z drugiej... nie wiem. Trudno powiedzieć, co mnie odrzuciło, ale było w tym coś tak nieopisanie nieprzyjemnego, tak mrozącego krew w żyłach oraz pełnego satysfakcji i radości z podjętego makabrycznego tematu, że upuściłam kartkę na podłogę, jakby parzyła mi palce.

Stałam, ignorując narastające zniecierpliwione krzyki Petry za sobą: „Dół! Dół! Peta dół już!”, i gapiłam się na obrazek. Chciałam go pognieść i wyrzucić, ale wiedziałam, co doradziłaby polityka bezpieczeństwa w Little Nippers. Schowaj obrazek do teczek. Zgłoś swoje obawy stróżowi bezpieczeństwa w żłobku. Omów kwestie poruszone na rysunku z rodzicami/opiekunami, jeśli uznasz to za stosowne.

Cóż, nie było tu żadnego stróża bezpieczeństwa poza mną. Ale gdybym była Sandrą, na pewno chciałabym wiedzieć o czymś takim. Skąd Maddie brała takie rzeczy, nie byłam pewna, ale trzeba było to powstrzymać.

Bardziej poruszona, niż chciałam przyznać, podniosłam rysunek i wsunęłam go ostrożnie do jednej z szuflad w biurze. Potem wróciłam do kuchni i zaczęłam sprzątać po Petrze, żeby położyć ją na drzemkę.

Nie zamierzałam zasypiać w pokoju Petry, ale obudziłam się tam przestraszona, kraciasta narzuta na fotelu pod moim policzkiem była mokra od śliny, a serce mi waliło z bliżej nieokreślonego powodu. Petra nadal drzemała w łóżeczku, kiedy udało mi się wyprostować i zaczęłam się zastanawiać, co się stało i co mnie tak gwałtownie obudziło.

Musiałam odpłynąć, kiedy czekałam, aż zaśnie. Czy – cholera, ta myśl uderzyła mnie jak nagły cios w splot słoneczny – przespałam porę odebrania dziewczynek ze szkoły? Ale nie. Sprawdziłam telefon i była dopiero trzynasta trzydzieści.

Potem rozległ się znowu – ten dźwięk, który mnie obudził. Dzwonek u drzwi. „Dzwoni dzwonek u drzwi” – wyświetliło mi się w telefonie. A potem: „Otworzyć drzwi? Potwierdź/Odrzuć”.

Początkowo obleciał mnie strach i przez chwilę siedziałam jak sparaliżowana, trochę się bojąc, a trochę się spodziewając, że *skrzyp... skrzyp...* ruszy tak jak w nocy, ale tak się nie stało, a ja w końcu zmusiłam się do ruchu. Postawiłam stopy na podłodze i wstałam, czekając, aż tętno wróci do normy i przestanę słyszeć szybkie bicie swojego serca.

Kiedy to zrobiłam, otarłam kącik ust i spojrzałam na siebie. Minęło tylko kilka dni od mojego przyjazdu – w perfekcyjnym wcieleniu Idealnej Niani Rowan w jej tweedowej spódnicy i starannie zapiętym kardiganie. Teraz byłam daleka od ideału. Miałam na sobie wymięte jeansy, a na bluzie widać było plamy po śniadaniu Petry. Dużo bardziej przypominałam prawdziwą siebie, jak gdyby prawdziwa ja wyciekała przez pęknięcia fasady, powoli przejmując kontrolę.

Cóż, teraz już było za późno, żeby to zmienić. Po prostu zostawiłam Petrę śpiącą spokojnie w łóżeczku i zeszłam po schodach na korytarz, gdzie przyłożyłam kciuk do panelu i obserwowałam, jak drzwi się powoli otwierają.

Przez sekundę wydawało mi się, że to powtórka z nocy – nikogo tam nie było. Ale potem zauważyłam land rovera zaparkowanego w poprzek podjazdu, usłyszałam oddalające się skrzypienie żwiru, a kiedy wyjrzałam za róg domu, dojrzałam wysoką, barczystą postać znikającą za stajniami, z dwoma psami przy nodze.

– Jack? – zawołałam ochrypniętym od snu głosem. Odchrząknęłam i spróbowałam znowu: – Hej, Jack, to ty?

– Rowan! – Odwrócił się na dźwięk mojego głosu i z szerokim uśmiechem ruszył do mnie przez podwórko. – Tak, dzwoniłem do drzwi, chciałem spytać, czy nie masz ochoty na filiżankę herbaty. Ale założyłem, że musiałaś wyjść.

– Nie, ja... – Przerwałam, niepewna, co powiedzieć, a potem, w związku z moją twarzą z widocznymi odcisnięciami materiału i rozciągniętymi ubraniami, zdecydowałam, że prawda może będzie najlepsza. – Właściwie zasnęłam. Położyłam Petrę i musiałam odpłynąć. No... cóż, nie wyspałam się za dobrze w nocy.

– Och... Dziewczynki dokazywały?

– Nie, to nie ich wina. To... – Przerwałam znowu, a potem zebrałam się na odwagę. – To te dźwięki, o których mówiłam. Ze strychu. Znowu się obudziłam. Jack, wiesz, wspominałeś o tych kluczach...

Pokiwał głową.

– Pewnie, nie ma problemu. Chcesz spróbować teraz?

Dlaczego nie? Dziewczynki były w szkole, Petra prawdopodobnie pośpi jeszcze z godzinę. Czas był dobry jak każdy inny.

– Tak, poproszę.

– Muszę ich poszukać, daj mi dziesięć minut i przyjdę.

– Okej. – Od razu lepiej się poczułam. Była szansa, że istnieje proste wyjaśnienie tego hałasu, a my je odkryjemy. – Nastawię

czajnik. Do zobaczenia za dziesięć minut.

Ostatecznie wrócił wcześniej niż w ciągu dziesięciu minut, z pękiem zardzewiałych kluczy w jednej dłoni i skrzynką z narzędziami w drugiej, na wierzchu leżała duża butelka WD40. Psy przyszły za nim, dysząc z przejęciem, i zorientowałam się, że się uśmiecham, patrząc, jak dokładnie obwąchują kuchnię i wciągają wszystkie resztki rozrzucone przez dzieci. Potem uwały się na swoich legowiskach w pomieszczeniu gospodarczym, jak gdyby cała ta wycieczka strasznie je wykończyła.

Woda się zagotowała, więc zalałam dwa kubki i podałam jeden Jackowi. Wsunął klucze do tylnej kieszeni, chwycił naczynie i uśmiechnął się.

– Tego właśnie potrzebowałem. Chcesz dokończyć herbatę tutaj czy zabieramy ją na górę?

– Petra jeszcze śpi, więc może lepiej się pospieszyć, zanim wstanie.

– Mnie to odpowiada. Cały rano siedziałem w samochodzie. Chętnie wypiję po drodze.

Ostrożnie zanieśliśmy wszystko na górę i przeszliśmy na palcach obok pokoju Petry, chociaż kiedy tam zajrzałam, wyglądała, jakby została znokautowana – leżała rozciągnięta, jak zrzucona z dużej wysokości na miękki materac.

W mojej sypialni zasłony nadal były zaciągnięte, łóżko niezastane, a zużyte ciuchy rozrzucone po miękkim dywanie w kolorze pszenicy. Poczułam, że rumienią mi się policzki, odstawiłam kubek i pospiesznie zabrałam stanik oraz majtki z poprzedniego wieczoru razem z bluzką i wrzuciłam je do kosza na pranie w łazience, a dopiero potem rozsunęłam zasłony.

– Przepraszam. Zwykle nie jestem taką fleją.

Ale to było kompletne kłamstwo. W mieszkaniu w Londynie większość mojej bielizny mieszkała na stosie w rogu pokoju, a prałam ją tylko wtedy, kiedy w szufladzie skończyły mi się czyste

majtki. Ale tutaj bardzo starałam się zachować wizerunek starannej i schludnej. Najwyraźniej mi to nie wychodziło.

Jack jednak chyba się nie przejął i już sprawdzał drzwi w rogu pokoju.

– To te, prawda?

– Tak, te.

– I wypróbowałaś już wszystkie klucze do innych szaf?

– Tak, wszystkie, które znalazłam.

– No cóż, zobaczymy, czy któreś z tych będą pasować.

Trzymał kółko, na którym było może ze dwadzieścia lub trzydzieści kluczy w różnych rozmiarach, poczynając od wielkiego, czarnego, z żelaza, który, jak przypuszczałam, musiał być oryginalnym kluczem do bramy, zanim jeszcze zainstalowano elektryczny zamek, kończąc na małych mosiężnych, wyglądających, jakby mogły pasować do biurek lub sejfów.

Jack wypróbował jeden średni, który zmieścił się w dziurce, ale latał luźno w środku, był po prostu za mały do zamka; potem nieco większy, który pasował, ale nie przekręcał się do końca.

Prysnął do dziurki odrobinę smaru i spróbował jeszcze raz, ale klucz nadal obracał się tylko o jedną czwartą, a potem zatrzymywał.

– Hmm... może się zaciął, ale jeśli to zły klucz, to nie chcę ryzykować złamania go wewnątrz zamka. Wypróbuję kilka innych.

Przyglądałam się, jak wybiera jeszcze cztery klucze czy pięć w tym samym rozmiarze, ale albo były gorsze, albo w ogóle nie pasowały, albo utykały, zanim w ogóle zdążył je przekręcić choćby o jedną czwartą. Ostatecznie chyba podjął decyzję i wrócił do drugiego testowanego klucza.

– To jedyny, który chociaż trochę się obraca, więc spróbuję jeszcze raz z trochę większą siłą, a jeśli się złamie, to... no cóż, będziemy musieli wezwać ślusarza. Życz mi szczęścia.

– Powodzenia – odparłam, a on zaczął się siłować z kluczem.

Zauważyłam, że krzywię się na zapas, patrząc, jak zwiększa nacisk, najpierw delikatnie, potem trochę mocniej, aż w końcu tak mocno, że widziałam, jak trzon klucza lekko się wygina, a zaokrąglony łuk na jego końcu obraca się, obraca...

– Przestań! – zawołałam dokładnie w momencie, kiedy Jack wydał z siebie okrzyk zadowolenia, rozległ się głośny zgrzyt i kliknięcie, a klucz zakończył pełny obrót.

– Mamy to! – Wstał, otarł dłonie ze smaru, a potem odwrócił się do mnie z żartobliwym dworskim ukłonem. – Czy życzy sobie pani czynić honory?

– Nie! – To słowo wymknęło mi się, zanim zdążyłam pomyśleć, a potem zmusiłam się do śmiechu. – To znaczy... Nie mam nic przeciwko. Jak wolisz. Ale ostrzegam cię, że jeśli tam są szczury, będę krzyczeć.

To było kłamstwo. Nie boję się szczurów. Zwykle boję się bardzo niewielu rzeczy. I czułam się jak najbardziej beznadziejna stereotypowa kobieta chowająca się za dużym, silnym mężczyzną. Ale to nie Jack leżał tu każdej nocy, nasłuchując tego powolnego, tajemniczego *skrzyp... skrzyp...* nad głową.

– W takim razie ja się poświęcę – odparł i lekko mrugnął. A potem przekreślił gałkę i drzwi się otworzyły.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Schodów znikających w ciemności. Korytarza obwieszzonego pajęczynami. Zorientowałam się, że po otwarciu drzwi wstrzymałam oddech, i zajrzałam Jackowi ponad ramieniem.

Czegokolwiek się spodziewałam, tego tam nie było. Za drzwiami znajdowało się po prostu wnętrze kolejnej szafy. Bardzo zakurzona i źle wykończona, z widocznymi lukami w gipsie, a także znacznie mniejsza i płytsza od tej, w której chowałam ciuchy, ale tak czy inaczej była to szafa. Pusty drążek wisiał, lekko przekrzywiony, jakieś piętnaście centymetrów pod sufitem, jakby czekał na wieszaki i ubrania.

– Ha – odezwał się Jack. Rzucił klucze na łóżko, wyglądał na zamyślonego. – No, to jest dziwne.

– Dziwne? Chodzi ci o to, że bez sensu zamykać szafę, której można by używać?

– No chyba tak, ale tak naprawdę chodziło mi o przeciąg.

– Przeciąg? – powtórzyłam głupio, a on skinął głową.

– Spójrz na podłogę.

Popatrzyłam tam, gdzie wskazał palcem. Na deskach widniały smugi w miejscach, gdzie wiatr najwyraźniej zmusił kurz do przecięnięcia się przez wąskie szpary, a kiedy przyjrzałam się bliżej, na poplamionym i zakurzonym tynku dojrzałam to samo. Gdy przyłożyłam dłoń do szpary, poczułam delikatny chłodny powiew oraz ten sam stęchły zapach, który poprzedniej nocy dochodził z dziurki od klucza, kiedy zaglądałam w ciemność.

– Czyli...

– Tam coś *jest*. Ale ktoś to zabudował.

Przeszedł koło mnie i zaczął grzebać w swojej skrzynce z narzędziami, a ja nagle straciłam pewność, że chcę to zrobić.

– Jack, nie wydaje mi się... to znaczy, Sandra mogłaby...

– Oj, nie będzie miała nic przeciwko. Jeśli będzie trzeba, to zabuduję to porządniej i będzie miała dobrą szafę zamiast zamkniętych drzwi.

Wyjął mały łom. Otworzyłam usta, żeby coś jeszcze powiedzieć – coś o tym, że to moja sypialnia, coś o bałaganie...

Ale było już za późno. Rozległo się chrupnięcie i kawałek płyty gipsowo-kartonowej odpadł na podłogę tak szybko, że Jack ledwo zdążył się odsunąć. Podniósł płytę, ostrożnie unikając zardzewiałych gwoździ wystających z jej brzegów, po czym oparł ją o bok szafy i usłyszałam jego głos oraz echo, kiedy wydał z siebie długie, zadowolone: „Aha”.

– Co: aha? – spytałam z niepokojem, próbując zajrzeć zza niego, ale jego duża sylwetka zasłaniała wejście i widziałam tylko ciemność.

– Zobacz – odparł i odsunął się o krok. – Sama zobacz. Miałaś rację.

I oto były. Tak, jak sobie wyobrażałam. Drewniane schody. Zwisające pajęczyny. Klatka schodowa wijąca się w ciemności.

Poczułam, że mam suche usta, aż kliknęło mi w gardle, kiedy przełknęłam ślinę.

– Masz latarkę? – spytał Jack, a ja pokręciłam głową, nagle czując, że nie mogę mówić. Wzruszył ramionami.

– Ja też nie, będą nam musiały wystarczyć telefony. Uważaj na te gwoździe pod stopami. – A potem ruszył w ciemność.

Na chwilę całkowicie zamarłam i patrzyłam, jak znika na wąskich schodach, snop światła jego telefonu słabo lśnił w czerni, kroki odbijały się echem: *skrzyp... skrzyp...*

Ten dźwięk był bardzo podobny do hałasu z ostatniej nocy, a jednak było w nim też coś innego. Był bardziej... solidny. Prawdziwszy, szybszy i zmieszany z chrupaniem gipsu.

– O cholera – usłyszałam z góry, a potem: – Rowan, chodź tutaj, musisz coś zobaczyć.

Miałam gulę w gardle, jakbym zaraz miała się rozplakać, chociaż wiedziałam, że tego nie zrobię; utkwił mi tam czysty strach, uciszył mnie, sprawił, że nie byłam w stanie spytać Jacka, co tam jest, co znalazł, że tak pilnie musiałam to zobaczyć.

Zamiast tego drżącymi palcami włączyłam latarkę w telefonie i ruszyłam za nim w ciemność.

Jack stał na środku strychu i rozglądał się wokół z otwartymi ustami. Zgasił latarkę w telefonie, ale skądś dochodziło światło, słabe, szare światło, którego źródła nie zdołałam od razu zlokalizować. Gdzieś musiało być okno, ja go jednak nie widziałam. Widziałam za to ściany, meble, *pióra*.

Były wszędzie.

Rozsypane na połamanym bujanym fotelu w rogu, w zakurzonej, pokrytej pajęczynami kołysce, na rozklekotanym domku dla lalek i zakurzonej tablicy do pisania kredą, na stosie potłuczonych porcelanowych lalek leżących przy ścianie. Pióra, pióra, i to nie takie z rozdartej poduszki. Były grube i czarne – pomyślałam, że to lotki wrony albo kruka. Czuć też było stęchły zapach śmierci.

Ale to nie wszystko. To nie było nawet najgorsze.

Najdziwniejsze były ściany – a raczej to, co na nich napisano.

Wszystkie mury pokrywały – złożone z dziecięcych liter pisanych kredką, czasem małych, czasem wielkich i powykrzywianych – słowa. Zajęło mi minutę lub dwie, żeby je odczytać, bo litery były zniekształcone, a wyrazy miały błędy. Jednak jeden napis widniał tuż przede mną, naprzeciwko mojej twarzy, nad małym kominkiem pośrodku pokoju; tego nie dało się z niczym pomylić. „NIENAWIDZIMY CIĘ”.

Było to dokładnie to samo, co Maddie napisała swoim makaronem w kształcie liter, a widząc to tutaj, w zamkniętym, zabitym deskami pokoju, do którego na pewno nie mogła wejść, poczułam, że przewraca mi się w żołądku, jakby ktoś mnie uderzył. Z przerażeniem uniosłam latarkę telefonu i zbliżyłam ją do innych napisów.

„Duchy cie nie lubiom”.

„Nienawidzą cie”.
„Nie chcemy cie tuta”.
„Duchy są zły”.
„Nienawidzom cie”.
„Wynoś się”.
„Nie nawidzą cie”.
„Nie nawidzimy cię”.
„Nie nawidzim cie”.
„WYNOŚ SIĘ”.
„Nienawidzimy cię”.

I tak w kółko, małe i wielkie, od maleńkich liter naszkicowanych ze skoncentrowaną nienawiścią w rogu przy drzwiach po ogromne, rozwlekłe napisy nad kominkiem, które zobaczyłam jako pierwsze po wejściu.

„Nienawidzimy cię”. Te słowa były dość okropne, kiedy przesuwały się w obślizgłym pomarańczowym sosie na talerzu. Ale tutaj, nagryzmolone opętaną dłonią na każdym skrawku tynku, wydawały się złowrogie. A w głowie znowu usłyszałam szlochający, cichy głos Maddie, jakby szeptała mi do ucha: „Duchom by się to nie spodobało”.

To było zbyt podobne, żebym mogła to uznać za przypadek. A jednocześnie zupełnie niemożliwe. Ten pokój był nie tylko zamknięty na klucz, ale też zabity płytą, a jedyne wejście do niego prowadziło przez moją sypialnię. Jednak bez wątpienia *ktoś* tam był – i to nie Maddie. Słyszałam te niestrudzone, miarowe kroki zaledwie kilka chwil po tym, jak patrzyłam na nią pogrążoną we śnie.

Maddie nie napisała tych słów. Ale mi je powtórzyła. A to oznaczało... czy ona powtarzała je po kimś, kto wyszeptał je *jej*?

– Rowan. – Głos zdawał się dochodzić z daleka, trudno było go dosłyszeć wśród wysokiego brzęczenia dochodzącego z wnętrza mojej czaszki. Mimo dzwonienia poczułam dłoń na swoim

ramieniu. – Rowan. *Rowan*, nic ci nie jest? Wyglądasz trochę dziwnie.

– Ja... wszystko w porządku – zebrałam się, chociaż mój głos brzmiał dziwnie. – Nic mi nie jest. Tylko po prostu... O, Boże, kto to *napisał*?

– Chyba jakieś dzieciaki się wygłupiały? No i proszę, oto twoje wyjaśnienie tego hałasu.

Wskazał nogą coś w rogu, a ja popatrzyłam tam i zobaczyłam stos gnijących piór i kości, trzymających się razem głównie dzięki kurzowi.

– Biedak musiał wlecieć przez to okno i nie mógł się wydostać, więc poturbował się na śmierć, próbując uciec.

Wskazał przeciwległą ścianę, na małe okno, niewiele tylko większe od kartki papieru. Było szare z brudu i na wpół otwarte. Jack puścił moje ramię, podszedł do niego i je zatrzęsął.

– Och... O mój Boże. – Nie mogłam złapać tchu. Dzwonienie w uszach się nasiliło. Czy miałam jakiś atak paniki? Chwyciłam się czegoś, żeby się przytrzymać, a pod moimi palcami zachrzęściły martwe owady i wydałam z siebie zduszony szloch.

– Słuchaj – odezwał się rozsądnie Jack. Najwyraźniej już coś postanowił. – Zabierzmy cię stąd, napijesz się czegoś. Ja potem tu wrócę, zabiorę tego ptaka.

Wziął mnie za rękę i pewnie poprowadził na schody. Dotyk jego dużej, ciepłej dłoni bez wątpienia był uspokajający i przez chwilę dałam się ciągnąć w stronę drzwi oraz schodów, z powrotem do głównej części domu. Ale potem coś się we mnie zbuntowało. Niezależnie od tego, co się działo na tym strychu, Jack nie był moim rycerzem na białym koniu. A ja nie byłam jakimś przerażonym dzieckiem które potrzebowało ochrony przed rzeczywistością kryjącą się za tymi zamkniętymi na klucz drzwiami.

Kiedy Jack obrócił się bokiem, żeby ominąć stos chwiejących się krzesel i pudełek z wyschniętymi farbami, skorzystałam z okazji,

żeby wyszarpnąć mu swoją dłoń.

Czułam się trochę, jakbym była niewdzięczna. On w końcu tylko próbował mi dodać otuchy. Ale z drugiej strony wiedziałam, że jeśli wejdę w tę rolę, mogę już z niej nigdy nie wyjść, a *nie* mogłam sobie pozwolić na to, żeby Jack postrzegał mnie w ten sposób – jako kolejną histeryczną, przesadną kobietę, która dostaje hiperwentylacji na widok kupki piór i jakichś dziecięcych gryzmołów.

A zatem, kiedy Jack zniknął na schodach prowadzących na niższe piętro, zmusiłam się, by przystanąć i się obrócić. Jeszcze raz dobrze się przyjrzałam temu spowitemu kurzem pokojowi pełnemu potłuczonych lalek i zabawek, połamanych mebli oraz resztek utraconego dzieciństwa.

– Rowan? – Głos Jacka dobiegł z dołu i odbijał się echem w wąskim korytarzu. – Idziesz?

– Tak! – zawołałam. Głos mi się łamał, zakaszlałam i poczułam ucisk w klatce piersiowej. – Idę!

Ruszyłam szybko za nim, bo nagle ogarnął mnie strach, że drzwi się zatrzasną i zostanę tu uwięziona razem z kurzem, lalkami i stęchłym zapachem śmierci. Ale musiałam zahaczyć o coś stopą, bo kiedy doszłam do szczytu schodów, usłyszałam łoskot. Stos lalek zachwiał się i zawalił, porcelana obijała się o siebie ze złowrogim brzękiem, a kurz wznosił się znad wyświechtanych, zjedzonych przez mole sukienek.

– Cholera – powiedziałam, patrząc z przerażeniem, jak ta mała lawina się osuwa.

W końcu zapadła cisza, tylko jedna odłupana porcelanowa głowa turlała się powoli w kierunku środka pokoju. Tak zaginały się wypaczone deski, wiedziałam o tym, ale przez jedną szaloną sekundę wydawało mi się, że mnie ściga i ruszy za mną po schodach, a jej uśmiech cherubina i puste oczy będą mnie śledzić.

Ale to była tylko iluzja, a parę sekund później głowa zachybotła się i zatrzymała przodem do drzwi.

Jedno oko miała wybite, na jednym różowym policzku widniało pęknięcie, które nadawało jej intrygująco ironiczny wygląd.

„Nienawidzimy cię” – usłyszałam w myślach, jakby ktoś wyszeptał mi to do ucha.

A potem znowu dotarł do mnie głos Jacka; wołał mnie z dołu, odwróciłam się więc i zesłam za nim po drewnianych schodach.

Wyjście do ciepłej i oświetlonej części domu przypominało powrót z innego świata – jakby po wycieczce do wyjątkowo ciemnej i koszmarnej Narnii. Jack się odsunął, żeby mnie wpuścić, a potem zatrzasnął za nami drzwi. Klucz zazgrzytał w proteście, a potem oboje się odwróciliśmy i poszliśmy na dół do jasnej, przytulnej, wygodnej kuchni.

Kiedy próbowałam opłukać filiżanki i nastawić wodę w czajniku, zauważyłam, że trzęsą mi się ręce, a po kilku minutach obserwowania mnie Jack wstał i do mnie podszedł.

– Usiądź, teraz dla odmiany ja zaparzę ci herbatę. Czy wolałabyś coś troszkę mocniejszego? Jakiś kieliszeczek?

– Masz na myśli whisky? – spytałam, trochę zaskoczona, a on się uśmiechnął i pokiwał głową. Zaśmiałam się nerwowo. – Kurczę, Jack. To ledwo pora lunchu.

– No dobrze, w takim razie tylko herbata. Ale ty posiedź, a ja przygotuję. Ciągłe biegasz za tymi dziećmiakami. Usiądź sobie dla odmiany.

Ale ja z uporem pokręciłam głową. Nie będę tą kobietą. Nie będę jedną z tych pozostałych czterech niań...

– Nie, ja zrobię herbatę. Ale byłoby super, gdybyś mógł... – Przerwałam, próbując wymyślić mu jakieś zadanie, żeby złagodzić odmowę. – Mógłbyś poszukać jakichś herbatników?

Pamiętałam, że niedawno dałam ciastka Maddie i Ellie po szoku wywołanym głośnikami, które włączyły się w środku nocy. „Cukier jest dobry na szok” – usłyszałam własny głos, jak gdybym była

przestraszonym dzieckiem, które znowu będzie radosne po zakazanej przekąsce.

„Zwykle się tak nie zachowuję” – chciałam powiedzieć, i to była prawda. Nie byłam przesadna, nie byłam nerwowa, nie byłam osobą, która na każdym rogu widzi sygnały i znaki oraz robi znak krzyża, kiedy zobaczy czarnego kota w piątek trzynastego. To *nie byłam* ja.

Ale od trzech nocy z rzędu nie spałam i niezależnie od tego, do czego próbowałam się przekonać, *styszałam* te hałasy, głośno i wyraźnie, i to nie był żaden ptak, nieważne, że Jack miał inne zdanie. Bezsensowne, przerażone obijanie się uwięzionego ptaka o deski było już dość straszne, ale to nic w porównaniu z powolnym, miarowym *skrzyp... skrzyp...*, które każdej nocy nie pozwalało mi zasnąć. A poza tym ten ptak był martwy – martwy od dawna. Nie było szans, żeby hałasował poprzedniej albo którejkolwiek z ostatnich nocy. Szczerze mówiąc, wnosząc po zapachu i stanie rozkładu, można było uznać, że prawdopodobnie leżał tam już od kilku tygodni.

Ten zapach...

Został ze mną, stęchły i zatykający nozdrza. Kiedy niosłam herbatę w stronę kanapy, zorientowałam się, że nadal go czuję, chociaż umyłam ręce. Przywarł do moich ubrań i włosów, a kiedy zerknęłam w dół, dostrzegłam długie, siwe pasmo na rękawie swojego swetra.

Słońce już się schowało i mimo ogrzewania podłogowego pomieszczenie nie było zbyt ciepłe, ale *ściągnęłam* sweter i odłożyłam go na bok. Czułam, że wolałabym zamarznąć niż włożyć go z powrotem.

– Proszę bardzo. – Jack usiadł koło mnie, sprawiając, że sprężyny w kanapie zaskrzypiały, i podał mi herbatnika. Odruchowo zamoczyłam go w naparze, potem ugryzłam i przeszedł mnie dreszcz. Nie zdołałam go powstrzymać. – Zimno ci?

– Trochę. Nie bardzo. To znaczy, mam sweter, tylko że nie... nie mogłam...

Przełknęłam, a potem, czując się jak ostatni głupek, wskazałam głową na pasmo kurzu ze strychu, które zauważyłam na ramieniu.

– Nie mogę się pozbyć zapachu tamtego miejsca. Pomyślałam, że może został na moim swetrze.

– Rozumiem – odparł cicho, a potem, jakby czytając mi w myślach, zdjął swoją kurtkę, pokrytą pajęczynami, i odłożył ją na bok. Pod spodem miał tylko koszulkę, ale w przeciwieństwie do mnie miał ciepłe ramiona, tak ciepłe, że czułam gorąco jego skóry, kiedy siedzieliśmy, nie dotykając się, ale jednak niezręcznie blisko, na małej, dwuosobowej kanapie.

– Masz gęsią skórę – zauważył, a potem powoli, jakby dając mi czas, żebym się odsunęła, wyciągnął dłoń i delikatnie potarł skórę na moim ramieniu. Znowu zadrżałam, ale tym razem nie z zimna, i przez dłuższy czas miałam ogromną ochotę zamknąć oczy i się do niego przytulić.

– Jack – odezwałam się dokładnie w tej samej chwili, kiedy on odchrząknął, a z elektronicznej niani na blacie dobiegł trzeszczący jęk.

Petra.

– Pójdę po nią. – Wstałam, odstawiłam herbatę na blat, a potem zatoczyłam się, bo zakręciło mi się w głowie; za szybko wstałam.

– Hej. – Jack też się podniósł, położył dłoń na moim ramieniu i mnie podparł. – Hej, nic ci nie jest?

– W porządku. – Nie kłamałam, już nie było mi słabo. – To nic takiego. Czasem mam niskie ciśnienie. A poza tym jestem... nie spałam w nocy zbyt dobrze.

Ech. Już mu to mówiłam. Pomyśli, że się rozsypuję, a do listy moich ułomności doda amnezję. Stać mnie na więcej. Jestem silniejsza. Muszę być.

Miałam wielką ochotę na papierosa, ale według CV, które wręczyłam Sandrze, nie paliłam i nie mogłam tak ryzykować.

Mogłoby się okazać, że wtedy wszystko runie.

Przyłapałam się na tym, że zerkam w zawsze czuwające oko w kształcie jajka podwieszane w rogu pomieszczenia.

– Jack, co powiemy Sandrze? – spytałam, a wtedy elektroniczna niania znowu ożyła, tym razem bardziej zdecydowanym krzykiem, który dochodził zarówno przez głośnik, jak i od strony schodów. – Wrócimy do tego – rzuciłam i pospiesznie pobiegłam po stopniach.

Dziesięć minut później wróciłam na dół ze świeżo przebraną Petrą. Marudziła i mrugała, a wyglądała na dokładnie taką wymiętą i zagubioną, jak ja się czułam. Kiedy weszłam z nią do kuchni, popatrzyła na Jacka spode łba i wpiła się swoimi drobnymi rączkami w moją bluzkę niczym mały torbacz, ale kiedy on połaskotał ją pod brodą, z oporami obdarzyła go bladym uśmiechem, aż w końcu, kiedy zrobił śmieszoną minę, uśmiechnęła się naprawdę, zaczęła chichotać, po czym spróbowała udąć powagę w ten zabawny sposób, w jaki robią to dzieci, gdy wiedzą, że czaruje się je, aby mimo wszystko miały dobry humor.

Dała się posadzić w wysokim krzeselku z kilkoma kawałkami mandarynki i wtedy odwróciłam się do Jacka.

– Zaczęłam mówić o Sandrze i Billu. Musimy im powiedzieć o tym strychu, prawda? Czy myślisz, że wiedzą?

– Nie jestem pewien – odparł z namysłem Jack. Podrapał się po brodzie, skrobał palcami po ciemnokasztanowym zaroście. – Oni są takimi perfekcjonistami, że ta zabita w środku szafa nie wygląda na ich robotę. I nie mogę uwierzyć, że zostawiliby tam cały ten syf. Przepraszam, panienka wybacz – dodał oficjalnie i ukłonił się żartobliwie Petrze. – Chodziło mi o te wszystkie śmieci. Z tego, co zrozumiałem, kiedy się wprowadzili, opróżnili dom. Zaczęłam tu pracować kilka lat po tym, jak go kupili, więc nie widziałem tej renowacji, ale Bill potrafi zagadać człowieka na śmierć, jeśli tylko da mu się okazję, żeby opowiedział o tamtych pracach. Nie wyobrażam sobie, żeby mieli zignorować coś takiego. Nie, założę

się, że nigdy nie otworzyli tej szafy i nie wiedzieli, że tam był strychn. Klucz bardzo ciężko chodził, można by pomyśleć, że nie pasuje. Udało mi się tylko dlatego, że jestem upartym draniem.

– Ale... trujący ogród – powiedziałam powoli. – Tego nie zignorowali tak po prostu, prawda?

– Trujący ogród? – Spojrzał na mnie zaskoczony. – Skąd o nim wiesz?

– Dziewczynki mnie tam zabrały – odparłam krótko. – Wtedy nie wiedziałam, co to jest. Ale chodzi mi o to, że w tym przypadku zrobili chyba to samo. Zatrzasnęli drzwi, zapomnieli o tym...?

– Cóż... – zaczął powoli Jack. – No... wydaje mi się, że to trochę inna sprawa. Oni nigdy nie zarządzali ogrodem. Ale tutaj nie ma niczego niebezpiecznego.

– A te napisy?

– No tak, to trochę dziwne, przyznaję. – Upił duży łyk herbaty i zmarszczył brwi. – Wyglądały na dziecięce, nie? Ale Jean twierdzi, że przed wprowadzeniem się Elincourtów w tym domu przez ponad czterdzieści lat nie było żadnych dzieci.

– Wyglądały na dziecięce. – Moje myśli powędrowały do Maddie, następnie Elspeth, a potem do ciężkich, męskich kroków, które słyszałam każdej nocy. One nie należały do dziecka. – Albo... kogoś, kto udaje dziecko – dodałam powoli, a on pokiwał głową.

– Może jacyś wandale, tak myślę, próbowali wystraszyć ludzi. To prawda, że dom stał pusty przez długi czas. Ale wtedy... nie, to nie ma sensu. Wandale nie zastawiliby za sobą ściany. To musieli zrobić poprzedni właściciele.

– Doktor Grant... – Przerwałam, zastanawiając się, jak sformułować pytanie, które chodziło mi po głowie, odkąd przeczytałam tamten artykuł w gazecie. – Czy ty byłeś... to znaczy, czy jesteś...?

– Spokrewniony? – odpowiedział Jack. Zaśmiał się i pokręcił głową. – Na Boga, nie. Grantów jest tutaj jak psów. To znaczy w dawnych czasach wszyscy należeliśmy do jednego klanu, ale

współcześnie między naszymi rodzinami nie ma żadnych powiązań. Nigdy nie słyszałem o tym człowieku, dopóki nie zacząłem tu pracować. Biedny gość zabił swoją córkę, to ta historia?

– Nie wiem. – Zerknęłam w dół na Petrę, na miękkie, wrażliwe zagłębienie jej czaszki pod puchem włosów. – Nie wiem, co jej się stało. Według wyników śledztwa zjadła trujące owoce.

– Ja słyszałem, że nakarmił ją jakimś własnoręcznie wykonanym eksperymentem. Tak przynajmniej powiedzieliby ci ludzie w Carn Bridge.

– Jezu. – Pokręciłam głową, chociaż nie byłam pewna, czy przecząco, czy z obrzydzeniem. Ta sugestia, wypowiedziana pogodnym, rzeczowym tonem Jacka, była niewyraźalnie smutna i nie wiedziałam, co bardziej mi przeszkadzało: myśl, że doktor Grant mógł zabić własne dziecko i uszło mu to na sucho, czy to, że lokalni plotkarze najwyraźniej go osądzili i skazali za morderstwo mimo braku jakichkolwiek wiarygodnych dowodów.

Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek otruił własne dziecko, i w ogóle nie pasowało to do dzikiej, naznaczonej żalem twarzy, którą widziałam w sieci. Wyglądał na człowieka zniszczonego własnym bólem i rozpaczą, a ja nagle poczułam ostry zapach do tego, by stanąć w jego obronie.

– Czytałam artykuł, w którym napisano, że Elspeth niechcący zerwała owoce laurowiśni, myśląc, że to czarny bez lub coś podobnego, a kucharka użyła ich do dżemu, nie zdając sobie sprawy, czym naprawdę są. Nie rozumiem, w jaki sposób to nie miałoby być wypadek.

– Wiesz, ludzie tutaj przekonywaliby cię, że on był... – Przerwał, popatrzył na Petrę i nie powiedział tego, co pierwotnie zamierzał, mimo że była za mała, by cokolwiek z tego zrozumieć. Wiem, jak się czuł. To było trochę nieprzyzwoite, rozmawiać przy niej o takich strasznych rzeczach. – No, nieważne. Tak czy inaczej, nieprzyjemna historia. – Osuszył swój kubek i odstawił go porządnie do zmywarki, a potem uśmiechnął się gorzko, zupełnie inaczej niż

zwykle, nie swoim ciepłym, szerokim, zarażającym uśmiechem. – Nie bez powodu ten dom stał pusty przez dziesięć lat, zanim Sandra i Bill go kupili. Mało kto stąd zamieszkałby w Struan, nawet gdyby miał pieniądze na jego renowację.

Struan. Nazwa z artykułu wywołała u mnie ciarki. Było to przypomnienie, że choćby Sandra i Bill zrobili wszystko, by ją usunąć, ten dom miał swoją historię, a ludzie z Carn Bridge ją pamiętali. Ale Jack nieporuszony mówił dalej.

– To co chcesz, żebym z tym zrobił?

– Ja? – spytałam zaskoczona. – Dlaczego ja mam decydować?

– No cóż, to jest wyjście z twojej sypialni. Nie jestem przesądnym człowiekiem, ale sam bym nie chciał spać obok takiego miejsca.

Zadrżałam, nie mogłam się powstrzymać.

– No, ja też. Więc... jakie mam możliwości?

– Cóż, przypuszczam, że mogę to zabudować i zostawić decyzję Sandrze oraz Billowi, kiedy wrócą. Albo mogę spróbować... trochę posprzątać ten strych.

– Posprzątać?

– Zamalować trochę te napisy. Ale to będzie oznaczało, że pozostanie otwarty. To znaczy mogę zamknąć drzwi, ale nie będzie sensu znowu przybijać płyty, jeśli zamierzamy tam wrócić. Nie wiem, co o tym myślisz.

Pokiwałam głową i przygryzłam wargę. Szczerze mówiąc, nie chciałam już spać w tym pokoju i naprawdę nie wiedziałam, czy byłabym w stanie. Myśl o leżeniu w łóżku, nasłuchiwaniu *skrzyp... skrzyp...* desek, z tymi opętanymi napisami zaledwie parę metrów ode mnie, bez żadnej porządnej bariery poza zamkniętymi drzwiami do szafy... Cóż, to mnie przerażało. Ale pomysł zabudowania tego pokoju z powrotem też nie wydawał się dużo lepszy.

– Myślę, że powinniśmy go pomalować – powiedziałam w końcu. – Oczywiście jeśli Sandra i Bill się zgodzą. Nie możemy... nie możemy tego tak po prostu zostawić. To zbyt okropne.

Jack pokiwał głową. Potem wyjął pęk kluczy z tylnej kieszeni, w której go wcześniej schował, i zaczął odpinać z pęku długi, czarny klucz na strych.

– Co ty robisz? – spytałam, kiedy z cichym kliknięciem stało się to oczywiste. Podał mi go.

– Weź go.

– Ja? Ale ja nie chcę... – Przełknęłam, starając się nie pokazać po sobie, jak wielkie czułam obrzydzenie. – Ja nie chcę tam *wchodzić*.

– Wiem o tym. Ale gdyby to dotyczyło mojego pokoju, wolałbym wiedzieć, że mam ten klucz pod ręką.

Zacisnęłam usta, a potem wzięłam od niego klucz. Był ciężki i bardzo zimny, ale ku mojemu zaskoczeniu... Jack miał rację. Było w tym coś... może nie do końca potężnego, ale przynajmniej trzymając klucz we własnych dłoniach, miałam iluzję kontroli. Te drzwi były zamknięte na klucz. I tylko ja mogłam je otworzyć.

Wsunęłam go do kieszeni dzinsów. Właśnie zastanawiałam się, co powiedzieć, kiedy Jack znowu skinął głową, tym razem w stronę swojego zegarka.

– Widziałaś, która godzina?

Zerknęłam na telefon.

– Cholera! – Już byłam spóźniona, żeby odebrać dziewczynki. – Będę lecieć, ale... ale dziękuję ci, Jack.

– Ale za co? – Wyglądał na szczerze zaskoczonego. – Za klucz?

– Nie tylko. Po prostu... nie wiem. Za to, że potraktowałeś mnie poważnie. Nie sprawiłeś, że poczułam się jak idiotka przez to, że się boję.

– Słuchaj. – Jego twarz złagodniała. – Te napisy też mnie przestraszyły, poza tym pamiętaj: zawsze jestem po drugiej stronie podwórka. Ale to już koniec, jasne? Żadnych tajemniczych dźwięków, żadnych napisów, żadnego zastanawiania się, co jest za tymi drzwiami. Teraz wiemy, jest to upiorne i trochę smutne, ale to koniec, okej?

- Okej - odpowiedziałam i kiwnęłam głową. Powinnam była wiedzieć, że to byłoby zbyt piękne, by było prawdziwe.

Wiele razy bałam się w więzieniu, Panie Wrexham. Pierwszej nocy, kiedy leżałam, nasłuchując śmiechów, krzyków i pisków innych kobiet, próbując się przyzwyczaić do tych otaczających mnie wąskich, betonowych ścian, oraz jeszcze wiele, wiele następnych nocy. A później, po tym, jak jedna z dziewczyn pobiła mnie w stołówce i przeniesiono mnie do innego skrzydła dla własnego bezpieczeństwa, leżałam, trzęsąc się w obcej celi, wspominając nienawiść wypisaną na jej twarzy oraz to, jak strażnicy odczekali akurat chwilę zbyt długo, nim zareagowali, i odliczałam godziny do kolejnego dnia, kiedy będę musiała się z nimi wszystkimi znowu spotkać. A także w te noce, kiedy nadchodzą sny i znowu widzę jej twarz i budzę się z fetorem krwi w nozdrzach, trzęsąc się i trzęsąc.

Boże drogi, bałam się nie raz.

Ale nigdy aż tak bardzo, jak tamtej nocy w domu Heatherbrae.

Dziewczynki, na szczęście, szybko padły i spały już o wpół do dziewiątej.

A więc za kwadrans dziewiąta wspięłam się po schodach do sypialni – nie umiałam już o niej myśleć jako o *mojej* sypialni – na drugim piętrze.

Zauważyłam, że dotykam klamki, wstrzymując oddech. Nie mogłam się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie, że wyleci zza nich i zaatakuje mnie coś strasznego – jakiś ptak rzuci mi się z pazurami na twarz, albo może napisy rozpełzną się niczym rak zza zamkniętych drzwi na ściany sypialni. Ale kiedy w końcu zmusiłam się, żeby przekręcić gałkę i pchnęłam drzwi z taką siłą, że uderzyły o ścianę, niczego tam nie było. Wejście na górę pozostawało zamknięte, a pokój wyglądał tak samo jak pierwszego wieczoru, kiedy go zobaczyłam, pomijając kilka drobinek kurzu,

które nanieśliśmy z Jackiem na dywan, gdy w pośpiechu opuszczaliśmy strych.

Mimo wszystko jednak wiedziałam, że nie dam rady tam spać, więc wsunęłam dłoń pod poduszkę i chwyciłam swoją koszulkę nocną – szybko, jakbym spodziewała się, że czeka tam na mnie coś obrzydliwego. Przebrałam się w łazience, umyłam zęby, a potem zwinęłam kołdrę i zniosłam ją do pokoju telewizyjnego.

Wiedziałam, że jeśli się tylko położę i będę czekać, aż nadejdzie sen, to zajmie to dużo czasu, może całą noc, podczas gdy będą mnie nawiedzać obrazy ze strychu oraz napisy na ścianach, słowa szeptane bez przerwy prosto do ucha. Lepszym pomysłem wydawało się odpłynięcie w zapomnienie z pomocą dobrze znanej komedii. Przynajmniej z głośnymi nagraniami śmiechu dzwoniącymi w uszach nie będę się podrywać na trzask każdej wypaczonej deski w podłodze i westchnięcie psów. Nie byłam pewna, czy zdołam leżeć tu w ciszy, czekając, aż znowu zacznie się *skrzyp... skrzyp...*

Uznałam, że *Przyjaciele* będą świetnym wyborem, więc włączyłam serial na wielkim, szerokokątnym telewizorze, podciągnęłam kołdrę pod brodę... i zasnęłam.

Obudziłam się z poczuciem kompletnej dezorientacji. Telewizor przełączył się w nocy w tryb czuwania, a przez zaciemniające zasłony w pokoju wpadały strumienie dziennego światła.

Na moich nogach leżał jakiś gorący ciężar... nie... *dwa* wielkie ciężary, a w klatce piersiowej czułam ucisk; sapałam. Podciągnęłam się do pozycji siedzącej, odgarnęłam włosy z oczu i spojrzałam w dół, spodziewając się, że zobaczę dwa psy, ale tylko jeden czarny, futrzany potwór wyciągnął się w nogach sofy. Drugim gorącym ciałkiem była Ellie.

– Ellie? – spytałam chrapliwie, a potem pomacałam się po kieszeni szlafroka. Był tam mój inhalator, jak zawsze, ale kiedy go wyjęłam, stuknął o coś nieznanego, i nagle przypomniałam sobie

o kluczu oraz o szalonych wydarzeniach wczorajszego dnia. Potem wytarłam ustnik inhalatora szlafrokiem, przyłożyłam go do ust i zaciągnęłam się długo, ze świstem. Ulga przyszła natychmiast, wzięłam głębszy wdech, poczułam, jak rozluźnia mi się klatka piersiowa, a potem powiedziałam jeszcze raz, głośniej: – Ellie. Skarbie, co ty tutaj robisz?

Obudziła się, zamrugnęła rozkojarzona, a potem przypomniała sobie, gdzie jest, i uśmiechnęła się do mnie.

– Dzień dobry, Rowan.

– Dzień dobry... ale co ty tutaj robisz?

– Nie mogłam spać. Miałam koszmar.

– No dobrze, ale...

Ale... co? Nie byłam pewna, co powiedzieć. Jej obecność mną wstrząsnęła. Jak długo chodziła po domu sama w nocy, gdy ja niczego nie zarejestrowałam? Najwyraźniej potrafiła wstać i zejść tu po schodach oraz położyć się koło mnie w taki sposób, że nic nie usłyszałam.

Jednak w tej chwili nie miałam zbyt wiele do powiedzenia, więc po prostu przetarłam zaspane oczy, a potem wyciągnęłam swoje nogi spod psa i się podniosłam.

W tym momencie coś wypadło z fałdów kołdry i uderzyło o podłogę z tępym brzękiem, przypominającym łupnięcie czegoś ceramicznego.

Na ten dźwięk podskoczyłam. Może przewróciłam jakiś zapomniany kubek po kawie lub coś podobnego? Wczoraj wieczorem wypiałam ciepłe mleko, ale mogłabym przysiąc, że odstawiłam kubek bezpiecznie na stolik kawowy. I rzeczywiście, tak, nadal stał na swojej podkładce. Więc skąd ten dźwięk?

Zobaczyłam to dopiero, kiedy podniosłam roletę i złożyłam kołdrę. Poturlało się pod sofę, a potem zatrzymało przodem do mnie. Nawiedzone małe oczka i pęknięty uśmiech zdawały się ze mnie naśmiewać.

To była tamta głowa lalki ze strychu.

Poczułam się, jakby ktoś wylał mi wiadro lodowatej wody na głowę i ramiona – był to rześisty, paraliżujący potop czystego strachu, który sprawił, że nie mogłam nic zrobić, tylko stałam tam, trzęsłam się, dyszałam i drżałam.

Usłyszałam, jakby z bardzo daleka, piskliwy głosik Ellie:

– Rowan, dobrze się czujesz? Nic ci nie jest, Rowan? Wyglądasz dziwnie.

Był to dla mnie ogromny wysiłek, żeby zabrać się ze skrajnej paniki i zrozumieć, że ona mówi do mnie, a ja muszę odpowiedzieć.

– Rowan! – Teraz wydała z siebie przepełniony strachem jęk i pociągnęła za moją nocną koszulkę, poczułam zimno jej małych paluszków na swojej skórze w talii. – *Rowan!*

– N-nic mi nie jest, skarbie – zdołałam wydusić. Mój głos wydał mi się dziwny i chrapliwy, chciałam wymacać sobie drogę do kanapy i usiąść, ale nie mogłam się zdobyć na to, żeby przebywać obok tej... tej *rzeczy* z ironicznym uśmiechem.

Ale musiałam. Nie mogłam jej tam zostawić, niczym nieprzyzwoitego małego granatu, który tylko czekał, by wybuchnąć.

Jak? Jak się tam dostała? Jack zamknął drzwi na klucz, *widziałam*, jak to robił. I zszedł pierwszy po schodach. A ja miałam klucz w kieszeni, czułam go na udzie, był nagrzwany od ciepła mojego ciała. Czy *ja*... Czy ja mogłam...?

Ale nie. To było absurdalne. Niemożliwe.

A jednak – oto była.

Stałam tak, próbując się pozbierać, a Ellie przyklękała, żeby sprawdzić, na co patrzyłam, po czym cicho pisnęła.

– Laleczka!

Kucnęła, wypinając pupę w powietrzu jak maluch, którym nadal trochę była, i sięgnęła po nią, a ja usłyszałam nagły wrzask; mój własny głos krzyczał:

– Ellie, na Boga, nie dotykaj tego! – I poczułam, że ją chwytam, jeszcze zanim zdałam sobie sprawę, co zamierzam zrobić.

Zapadł długi moment ciszy, Ellie wisiała bezwładnie i ciężko w moich ramionach, mój własny oddech dyszał mi w uszach, a potem jej ciało zeszywniało, wydała z siebie oburzony, zszokowany jęk. Zaczęła płakać, z całym tym smutnym zaskoczeniem dziecka, które bezwiednie wywołało awanturę.

– Ellie – zaczęłam, ona jednak wyrywała mi się z objęć, twarz miała czerwoną i wykrzywioną smutkiem oraz złością. – Ellie, poczekaj, nie chciałam...

– Puszczaj mnie! – zawyła. Instynktownie zacisnęłam ramiona wokół niej, ale rzucała się jak kot, wbijając mi paznokcie w ręce.

– Ellie... Ellie, *uspokój* się, to boli.

– Nie obchodzi mnie to! Puszczaj mnie!

Kłęcząc, obolała, i starając się trzymać twarz z daleka od jej fruujących rąk, zsunęłam ją na podłogę, a ona poturlała się na dywanik, wyjąc.

– Jesteś wredna! Krzyczałaś na mnie!

– Ellie, nie chciałam cię przestraszyć, ale ta lalka...

– Idź stąd! – zawyła. – Nienawidzę cię!

Potem zerwała się na nogi i wybiegła z pokoju, a ja zostałam, żałośnie masując sobie zadrapania na rękach. Słyszałam jej kroki na schodach, po czym trzaśnięcie drzwi jej pokoju.

Westchnęłam, przeszłam do kuchni i stuknęłam w tablet. Kiedy przełączyłam się na kamerę, zobaczyłam Ellie z twarzą wtuloną w pościel, po prostu wrzeszczącą. Maddie sennie przecierała oczy z zaskoczenia, że obudziła się w taki sposób.

Cholera. Przyszła do mnie w nocy po pocieszenie – i przez chwilę wydawało mi się, że to będzie przełom. A teraz to schrzaniłam. Znowu.

I to wszystko z powodu tej ohydnej głowy laleczki.

Musiałam się jej pozbyć, ale z jakiegoś powodu nie mogłam się zmusić do dotknięcia jej; w końcu poszłam do pomieszczenia gospodarczego i wzięłam worek do kosza na śmieci. Wsunęłam go

sobie na rękę, na lewą stronę, niczym prowizoryczną rękawicę, a potem uklękłam i sięgnęłam pod sofę.

Zauważyłam, że – co absurdalne – wstrzymuję oddech, sięgając w ciemną, odrobinę zakurzoną przestrzeń i szukając palcami małej, twardej główki. Najpierw dotknęłam włosów, kilku wyłazających pasmami, bo mała porcelanowa czaszka była prawie łyśa, i wykorzystałam je, żeby przyciągnąć główkę bliżej siebie, a potem jednym, zdecydowanym ruchem zacisnęłam dłoń, jakbym chwyciła zdechłego szczura albo jakiegoś owada, którego można się bać, że użądli nawet martwy.

Ścisnęłam ją mocno – jak gdyby siła mojego uścisku mogła ją powstrzymać od eksplodowania lub ucieczki z mojej ręki. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Ale kiedy ostrożnie wstałam, poczułam, że coś mnie kłuje w palec wskazujący, jakiś odłamek szkła, tak twardy, że ledwo poczułam, jak wchodzi pod skórę. Przebił się przez worek i trafił mnie w palec, powodując krwawienie; krew teraz skapywała miarowo na drewnianą podłogę. Zdałam sobie sprawę, że laleczka nie jest zrobiona z porcelany, tylko z malowanego szkła.

Nad zlewem wyjęłam sobie szkło z palca, a potem owinęłam dłoń kawałkiem ręcznika papierowego, następnie zawinęłam główkę w ścierkę i w kolejny worek na śmieci. Zawiązałam go u góry i wepchnęłam głęboko, na samo dno kosza, czując się, jakbym grzebała jakieś ciało. Palec mi pulsował, kiedy go docisnęłam, aż mną wstrząsnęło.

– Co się stało Ellie?

Na ten głos podskoczyłam, jakbym została przyłapana na ukrywaniu dowodów jakiegoś przewinienia, odwróciłam się szybko i zobaczyłam w drzwiach Maddie. Miała odrobinę mniej zaczepną minę niż zwykle, a z włosami sterczącymi z jednej strony wyglądała na małą dziewczynkę, jaką była – która obudziła się zbyt wcześnie i wstała z włosami komicznie wygniecionymi o poduszkę.

– Oj... to moja wina – przyznałam z żalem. – Niestety na nią nakrzyczałam. Chciała dotknąć kawałka stłuczonego szkła i wystraszyłam ją, próbując powstrzymać. Chyba pomyślała, że jestem zła... a ja po prostu nie chciałam, żeby się skaleczyła.

– Powiedziała, że znalazła lalkę, a ty nie pozwoliłaś jej się pobawić?

– Tylko głowę. – Nie chciałam się zagłębiać w szczegóły z Maddie.

– Ale była zrobiona ze szkła i ostra w tym miejscu, gdzie pękła. Sama się skaleczyłam, kiedy sprzątałam.

– Okej. Mogę zjeść na śniadanie czekoladowe płatki?

– Może. Ale, Maddie... – Przerwałam, niepewna, jak sformułować to, o co chciałam spytać. Nasze pojednanie wydawało się bardzo kruche i bałam się je narazić, ale zbyt wiele pytań tłukło mi się po głowie, żeby całkowicie porzucić temat. – Maddie, czy ty kiedyś... Wiesz, skąd była ta lalka?

– Co masz na myśli? – Wyglądała na szczerze zaskoczoną. – Mamy dużo lalek.

– Wiem, ale ta była wyjątkowa, taka starodawna lalka.

Nie mogłam się zdobyć na to, żeby wyłović koszmarną potłuczoną głowę z kosza, więc zamiast tego wyjęłam telefon i wyszukałam „wiktoriańską lalkę” w obrazach Google, a następnie przewijałam wyniki tak długo, aż znalazłam odrobinę mniej złowrogą wersję tej ze strychu. Maddie przyjrzała jej się ze zmarszczonymi brwiami.

– Widziałam kiedyś taką w telewizji. To było w programie o sprzedaży ankytów.

– Ankytów? – Mrugnęłam.

– Tak, takich starych rzeczy wartych dużo pieniędzy. Pani chciała sprzedać starą lalkę, ale osoba, która prowadziła program, powiedziała jej, że ona nie jest nic warta.

– Aaaa... antyków. Wiem, o który program ci chodzi. Ale nie widziałaś nigdy takiej na żywo?

– Nie wydaje mi się. – Maddie się odwróciła, a ja próbowałam zinterpretować jej reakcję. Czy nie była *zbyt* zdawkowa? Czy

normalne dziecko nie zadałoby więcej pytań? Ale potem się otrząsnęłam. To podważanie wszystkiego zaczęło graniczyć z paranoją. Dzieci są skupione na sobie. Dobrze to przecież znałam ze żłobka. Kurczę, przecież jest wielu *dorośli* na tyle mało ciekawskich, że nie zapytaliby o coś takiego.

Właśnie próbowałam wymyślić, jak zacząć rozmowę na temat napisów na ścianie oraz makaronowych literek Maddie, kiedy nagle wróciła do początkowego pytania, z typową dla małych dzieci determinacją.

– No więc? *Mogę* zjeść czekoladowe płatki na śniadanie?

– Cóż... – Przygryzłam wargę. Dzieci każdego dnia coraz częściej dostawały jedzenie z listy Sandry „na specjalną okazję”. Ale z drugiej strony nie powinna mieć go w domu, jeśli nie chciała, żeby dzieci po nie sięgały, prawda? – Tak, chyba tak, ale tylko dzisiaj. To będzie ostatni raz w tym tygodniu, jasne? Jutro wracamy do owsianki. Idź na górę i przebierz się w mundurek, a ja wszystko przygotuję, zanim zejdziesz. Aha, i czy powiesz Ellie, że na nią też czeka miseczka, jeśli ma ochotę?

Skinęła głową, a kiedy zniknęła na schodach, sięgnęłam po czajnik.

Właśnie podawałam Petrze łyżeczkę owsianki do buzi, kiedy mała twarz pojawiła się w drzwiach kuchni, a potem równie szybko zniknęła, zostawiając na podłodze porzuconą kartkę.

– Ellie?! – zawołałam, ale nie padła żadna odpowiedź, usłyszałam tylko tupot oddalających się stóp. Westchnęłam, upewniłam się, że Petra jest dobrze zapięta, i poszłam podnieść kartkę.

Ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyłam wydrukowany list, sformatowany jak e-mail, ale bez tematu i z pustym okienkiem „do”. Pod nagłówkiem Gmaila widniała ciągła linia tekstu bez interpunkcji.

Dorota Owen bardzo przepraszam za drapanie i uciekanie ci i powiedzenie że cię nienawidzę proszę nie złość się i nie odchodź jak inne przepraszam całusy Ellie ps. ubrałam się sama

Dorota Owen? Na widok tych słów zmarszczyłam brwi, ale cel reszty wiadomości był jasny, więc wypięłam Petrę, włożyłam ją do kojca w rogu i znowu podniosłam list.

– Ellie?

Cisza.

– Ellie, dostałam twój list, bardzo przepraszam, że krzyczałam. Czy ja też mogę cię przeprosić?

Nastąpiła długa cisza, a potem odezwał się cichy głosik:

– Jestem tutaj.

Przeszłam przez pokój telewizyjny do salonu. Na pierwszy rzut oka wydawał się pusty, ale po chwili zauważyłam jakiś ruch i powoli podeszłam na odległy koniec pomieszczenia, ukryty w cieniu, bo nie dotarło tam jeszcze poranne słońce. Wcisnęła się pomiędzy koniec kanapy a ścianę, prawie niewidoczna, pomijając wystające włosy i czubki butów.

– Ellie. – Kucnęłam i wyciągnęłam do niej list. – Ty to napisałaś?

Pokiwała głową.

– Jest naprawdę dobry. Skąd wiedziałaś, jak to zrobić? Maddie ci pomogła?

– Sama napisałam. Tylko... żołędź mi pomógł.

– Żołędź? – Nie zrozumiałam, a ona pokiwała głową.

– Wciskasz żołędź i mówisz mu, co chcesz napisać, a on pisze to za ciebie.

– Jaki żołędź? – Teraz osłupiałam. – Możesz mi pokazać?

Ellie zarumieniła się, bo sprawiło jej to nieśmiałą przyjemność, że może zademonstrować swój spryt, i wygramoliła się z ciasnego rogu. Miała kurz na szkolnej spódnicy, prawy but na lewej stopie i odwrotnie, ale zignorowałam jedno i drugie, poszłam za nią do kuchni, gdzie sięgnęła po tablet, otworzyła Gmail i nacisnęła

symbol mikrofonu nad klawiaturą. Zrozumiałam. Wyglądał trochę jak stylizowany żołądź – zwłaszcza jeśli nie miało się pojęcia, jak wyglądały dawne mikrofony.

A teraz zaczęła mówić do tabletu.

– Droga Rowan, piszę ten list, żeby ci powiedzieć, że bardzo przepraszam, buziaki, Ellie.

„Dorota Owen” – rozwinęły się litery na ekranie, jakby za sprawą magii. – „Piszę ten list żeby ci powiedzieć że bardzo rozpraszam...” – Nastąpiła króciutka przerwa i aplikacja się poprawiła – „bardzo przepraszam buziaki Ellie”.

– A potem wciskasz kropki tutaj i drukuje się na drukarce w biurze tatusia – oświadczyła z dumą.

– Rozumiem. – Nie byłam pewna, czy śmiać się, czy płakać. Ostatecznie kucnęłam i ją przytuliłam. – No, jesteś bardzo mądra, a to jest uroczy list. I ja też bardzo przepraszam. Nie powinnam była krzyczeć i obiecuję, że nigdzie się nie wybieram.

Przywarła do mnie, ciężko oddychając mi w szyję, jej ciepły, pulchny policzek przytulił się do mojego.

– Ellie – zaczęłam delikatnie, niepewna, czy nie zepsuję naszego z trudem wypracowanego porozumienia, ale nie umiałam nie spróbować. – Ellie, czy mogę cię o coś zapytać?

Nic nie powiedziała, ale poczułam, jak kiwnęła głową, jej mała spiczasta broda wbiła mi się w ścięgno biegnące od obojczyka do ramienia.

– Czy ty... Czy położyłaś tę głowę laleczki na moich kolanach?

– Nie! – Odsunęła się, przyglądając mi się trochę zasmucona, ale nie tak bardzo, jak się bałam. Żarliwie pokręciła głową, jej fruujące włosy przypominały oset. Miała szeroko otwarte oczy i widziałam w niej jakąś desperację, żebym jej uwierzyła. Ale dlaczego? Bo mówiła prawdę? Czy dlatego, że kłamała?

– Jesteś pewna? Obiecuję, że nie będę się gniewać. Ja po prostu... Zastanawiałam się, jak się tam znalazła, tylko tyle.

– To nie *ja* – oznajmiła i tupnęła nóżką.

– W porządku, w porządku. – Wycofałam się trochę, nie chcąc tracić zdobytego pola. – Wierzę ci. Więc... – Ostrożnie badałam teren, ale bardzo istotne było, by nie naciskać zbyt mocno. – Czy wiesz... wiesz, kto to zrobił?

Odwróciła wzrok, żeby nie spojrzeć mi w oczy.

– Ellie?

– To była inna mała dziewczynka – odparła. I jakoś wiedziałam, że więcej z niej już nie wyciągnę.

– Maddie, Ellie, chodźcie! – Stałam w korytarzu z kluczami w dłoni, a Maddie zbiegła po schodach w płaszczu i w butach. – O, świetnie skarbie. Sama zawiązałaś buty! – Prześlizgnęła się obok mnie, unikając moich wyciągniętych ramion, ale Ellie, która wychodziła z toalety na dole, nie była taka szybka i złapałam ją, rycząc jak niedźwiedź, ucałowałam jej mały, miękki brzusek, a potem odstawiłam piszczącą i rozchichotaną z powrotem na podłogę. Patrzyłam, jak wybiega przez drzwi wejściowe za swoją siostrą, żeby wgramolić się do auta.

Odwróciłam się, żeby zabrać ich plecaki, a wtedy niemal zderzyłam się z panią McKenzie, która stała z założonymi rękoma pod łukiem w wejściu do kuchni.

– Cholera! – wymknęło mi się nieświadomie i zarumieniłam się, wściekła na siebie, że daję jej więcej powodów, by mnie nie lubiła. – To znaczy, rany, nie słyszałam, jak pani wchodzi, pani McKenzie. Przepraszam, wystraszyła mnie pani.

– Weszłam tyłem, miałam upaprane buty – powiedziała tylko, ale w jej spojrzeniu było coś odrobinę łagodniejszego niż zwykle, powiodła spojrzeniem za dziewczynkami, do samochodu. – Jest pani... – Przerwała i pokręciła głową. – Nieważne.

– Nie, nie, słucham? – odparłam rozdrażniona. – Proszę, jeśli ma pani coś do powiedzenia...

Zacisnęła usta, a ja założyłam ręce na piersi i czekałam. Potem dość niespodziewanie się uśmiechnęła, a jej ponura twarz się zmieniła, wyglądała dużo młodziej.

– Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo dobrze sobie pani radzi z dziewczynkami. A teraz już lepiej ruszajcie, żeby się nie spóźnić.

Kiedy wracałam z podstawówki w Carn Bridge, z Petrą zapiętą w foteliku za mną, pokazującą coś za oknem i mamroczącą coś w swoim języku, nieco bez sensu, przypominałam sobie tę pierwszą drogę powrotną z dworca z Jackiem – jak zachód słońca przesunął się po wzgórzach, ciche buczenie tesli, kiedy krążyliśmy przez wykoszone łąki, pełne pasących się owiec i szkockich krów, oraz kamienne mostki. Tego dnia było szaro i mżyło, a krajobraz wydawał się zupełnie inny – pusty, surowy i niemal nie przypominał letniego. Nawet krowy wyglądały na przygnębione, miały spuszczone głowy, a deszcz skapywał z końców ich rogów.

Kiedy brama otworzyła się do środka i zaczęliśmy wjeżdżać krętym podjazdem pod dom, miałam wyraźne *déjà vu* z tego pierwszego wieczoru – jak siedziałam tu obok Jacka, ledwo oddychając, z nadzieją i oczekiwaniem.

Minęliśmy ostatni zakręt podjazdu i pojawiła się przysadzista, szara fasada budynku, a mnie przypominała się gorączka emocji doświadczonych, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy – złoty, ciepły i pełen możliwości.

Tego dnia wyglądał zupełnie inaczej. Nie był wcale pełen potencjału nowego życia, nowych możliwości, ale szary i budzący grozę niczym wiktoriańskie więzienie – tylko że wiedziałam, iż to także jest kłamstwo, a wiktoriańska fasada naprzeciw podjazdu była tylko połową prawdy, bo gdybym poszła na tyły, zobaczyłabym dom przecięty na pół i sklejoną za pomocą szkła i stali.

Na końcu mój wzrok powędrował na dach, mokre i śliskie od deszczu kamienne dachówki. Okno zamknięte przez Jacka nie było stąd widoczne, wychodziło na wewnętrzny spód tego dachu, ale wiedziałam, że tam było, i ta myśl przyprawiała mnie o dreszcze.

Na podjeździe nie zobaczyłam samochodu Jean McKenzie – musiała już skończyć pracę na dziś – nie widziałam też nigdzie Jacka ani psów i z jakiegoś powodu, po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie czułam się na siłach, żeby wejść samej do domu. Doszło już do czegoś takiego, pomyślałam, kiedy zaparkowałam

auto i wypięłam Petrę z fotelika, że nawet odganianie psów próbujących wetknąć mi nosy pod spódnicę byłoby przyjemną odmianą od niemej czujności tego domu ze szklanymi oczami w kształcie jajek obserwującymi mnie z każdego rogu.

Na zewnątrz mogłam przynajmniej myśleć, czuć i mówić, nie pilnując każdego swojego słowa, każdej miny, każdego nastroju.

Mogłam być *sobą*, bez strachu, że coś mi się wymysknie.

– Chodź – powiedziałam do Petry. Jej spacerówka była w bagażniku auta, otworzyłam go i wsunęłam ją do wózka, po czym przypięłam przeciwdeszczową ochronę. – Pójdziemy na spacer.

– Ja idę! – krzyknęła Petra, uderzając rączkami w folię, ale pokręciłam głową.

– Nie, kochanie, jest za mokro, a ty nie masz nic przeciwdeszczowego. Posiedź, tu ci będzie przytulnie i sucho.

– Łuzia! – powiedziała Petra, pokazując rączką przez folię. Skakać boto łuzia! – Zajął mi chwilę, żeby zrozumieć, o co jej chodzi, ale podążyłam za jej spojrzeniem i zobaczyłam wielką kałużę, która zebrała się na żwirze na podwórzu starej stajni, i załapałam.

Błotne kałuże. Chciała skakać po błotnych kałużach.

– Ach! Mówisz, że lubisz Świnę Peppę? – Ochoczo pokiwała głową. – Nie masz kaloszy, ale zobacz...

Zaczęłam iść szybciej, a potem pobiegłam i z wielkim pluskiem przebiegłam przez kałużę z wózkiem i ze wszystkim innym, czując, jak woda rozpryskuje się wokół nas i chlapie na moją kurtkę oraz przeciwdeszczowe okrycie wózka.

Petra wybuchła śmiechem.

– Jesce łaz! Więcej łuzia!

Dalej z boku domu była kolejna kałuża, więc usłużnie przebiegłam też przez nią, a potem przez inną na brukowanej ścieżce prowadzącej do zarośli.

Kiedy doszliśmy do warzywnika, byłam przemoczona, śmiałam się, ale też zrobiło mi się zaskakująco zimno, a dom zaczynał się wydawać nieco bardziej zachęcający. Był co prawda pełen kamer

i źle działającej technologii, ale przynajmniej było tam ciepło i sucho, a tutaj moje lęki z poprzedniej nocy wydawały się nie tylko głupie, ale wręcz po prostu śmieszne.

– Łuzia! – krzyknęła Petra, podskakując w szelkach. – Więcej luzia!

Ale pokręciłam głową, też się śmiejąc.

– Nie, wystarczy, skarbie, jestem cała mokra! Zobacz! – Podeszłam, żeby stanąć przed nią, pokazałam jej przemoczone dzinsy, a ona zaśmiała się znowu, małą buzię miała pomiętą i zniekształconą pod pozaginaną folią.

– Ło!an mokła!

Ło!an. Po raz pierwszy spróbowała wymówić moje imię i poczułam, że serce napętnia mi się miłością oraz pewnym rodzajem smutku – z powodu tego wszystkiego, czego nie mogłam jej powiedzieć.

– Tak – odparłam z gulą w gardle, ale z prawdziwym uśmiechem.

– Tak, Rowan jest mokra.

Już obracałam wózek, żeby zacząć się wspinać z powrotem do domu, kiedy zdałam sobie sprawę, jak daleko zaszliśmy – prawie na koniec ścieżki prowadzącej do trującego ogrodu. Zerknęłam na niego przez ramię, gdy zaczęłam wpychać wózek po stromej ceglanej ścieżce – a potem stanęłam.

Bo od mojej ostatniej wizyty coś się zmieniło.

Czegoś brakowało.

Zajęło mi chwilę, żeby to wskazać – i wreszcie do mnie dotarło. Brakowało sznurka, którym obwijałam bramę.

– Chwileczkę, Petro – odezwałam się i ignorując jej protesty o „więcej luzia”, wcisnęłam hamulec w wózku i zbiegłam w dół ścieżki do żelaznej bramy, tej samej, przy której sfotografowano doktora Granta stojącego dumnie przed własnym badawczym placem zabaw tyle lat temu, bramy, którą bezpiecznie obwijałam węzłem umieszczonym zbyt wysoko, by dosięgły go małe rączki.

Gruby, biały sznurek zniknął. Nie został tylko rozwiązany albo rozerwany i odrzucony na bok; w ogóle go nie było.

Ktoś usunął moje staranne zabezpieczenia.

Ale kto? I dlaczego?

Ta myśl nie dawała mi spokoju, kiedy wracałam powoli pod górę do siedzącej tam nadal Petry, która robiła się coraz bardziej rozdrażniona. Nadal mnie męczyła, kiedy z wysiłkiem pchałam spacerówkę w górę, gdzie czekał dom.

Gdy już dotarłam do drzwi wejściowych, Petra była wściekła i marudziła, a ja zerknęłam na zegarek i zauważyłam, że dawno już minął czas jej przekąski, a nawet zbliża się pora lunchu. Kółka wózka były oblepione błotem, ale ponieważ zostawiłam klucz do pomieszczenia gospodarczego, musiałam wejść frontowymi drzwiami. Wyjęłam ją w końcu z wózka, złożyłam go niewygodnie jedną ręką, trzymając Petrę na biodrze, drugą ręką uniemożliwiając jej ucieczkę w poszukiwaniu kolejnych kałuż, i zostawiłam go na ganku. Potem przyłożyłam kciuk do białego świecącego panelu i odsunęłam się, kiedy drzwi cicho się otworzyły.

Natychmiast uderzył mnie zapach smażonego bekonu.

– Halo?

Ostrożnie odstawiłam Petrę na dolny schodek, zamknęłam drzwi i zrzuciłam swoje ubłocone buty.

– Halo? Jest tam kto?

– Ach, to ty. – Głos należał do Rhiannon, a kiedy podniosłam Petrę i zaczęłam iść w stronę kuchni, stanęła w drzwiach z kanapką z bekonem, z której spływał sos, w jednej dłoni. Wyglądała okropnie, była chorobliwie blada, miała ciemne worki pod oczami, jakby spała jeszcze mniej ode mnie.

– O, jesteś już – zauważyłam niepotrzebnie, a ona przewróciła oczami, minęła mnie i poszła na górę, biorąc po drodze wielki gryz kanapki.

– Hej! – zawołałam za nią, kiedy kropla brązowego sosu skapnęła z płaskiem na podłogę. – Hej! Może wzięłabyś talerz?

Ale już jej nie było, zakręcała na schodach do swojego pokoju.

Jednak kiedy mnie mijała, doleciał mnie zapach czegoś innego – słaby i zamaskowany aromatem bekonu, ale taki dziwny i nie na miejscu, a jednocześnie taki znajomy, że dał mi do myślenia.

Był to słodki, lekko zepsuty zapach, który szybko przeniósł mnie do własnych nastoletnich lat, chociaż i tak potrzebowałam chwili, by go nazwać. Kiedy jednak w końcu wszystkie skojarzenia się połączyły, byłam już pewna – był to wiśniowy odór taniego alkoholu wydzielający się poprzez skórę w poranek po jego spożyciu.

Cholera.

Cholera.

Z jednej strony miałam ochotę przebąknąć, że to nie moja sprawa – że byłam nianią i zatrudniono mnie, bo znałam się na młodszych dzieciach, że nie miałam doświadczenia z nastolatkami i nie miałam pojęcia, co Sandra i Bill uważali za stosowne. Czy czternastolatki teraz piją? Czy to jest okej?

Ale z drugiej strony wiedziałam, że pełniłam tu obowiązki rodzica. Niezależnie od tego, czy Sandra by się przejęła, ja widziałam już dość, żeby mnie to zmartwiło. A poza tym w zachowaniu Rhiannon było wiele sygnałów ostrzegawczych. Pytanie tylko, co powinnam z tym zrobić? Co *mogłam* z tym zrobić?

Te pytania męczyły mnie, kiedy robiłam sobie i Petrze kanapkę, a potem położyłam małą spać. Mogłabym pójść i zapytać Rhiannon – ale byłam prawie pewna, że miała już gotową wymówkę, o ile w ogóle zechciałaby ze mną rozmawiać.

Potem sobie coś przypomniałam. Cass. Przynajmniej będzie mogła wyjaśnić mi dokładną kolejność wydarzeń z wieczoru i może pomoże mi zdecydować, czy przypisuję temu więcej, niż powinnam. Kilka czternastoletnich dziewczynek na przyjęciu urodzinowym... Nie było to niemożliwe, by Cass sama przyniosła trochę lekkich alkoholi, a Rhiannon po prostu wypła za dużo.

Odpowiedź od Cass nadal znajdowała się w wiadomościach przychodzących, więc znalazłam i wybrałam numer. Potem poczekałam na sygnał.

– No? – Ten głos był bardzo zachrypnięty, szkocki i bardzo męski.

Zamrugałam, zerkając na telefon, by sprawdzić, że wybrałam dobry numer, a potem przyłożyłam go z powrotem do ucha.

– Halo? – odezwałam się ostrożnie. – Kto mówi?

– Craig – odparł głos. Nie brzmiał na dziecięcy, musiał należeć do kogoś przynajmniej dwudziestoletniego, może starszego. I z całą pewnością nie brzmiał jak czyjaś mama lub tata. – Ale, kurwa, do brzegu, kim ty, kurwa, jesteś?

Byłam w zbyt dużym szoku, by zareagować. Przez sekundę po prostu siedziałam z otwartymi ustami, próbując wymyślić, co powiedzieć.

– Halo? – powtórzył zirytowany Craig. – Halooo? – A potem, już szeptem: – Głupie dziwki i ich pierdolone pomyłki.

A potem się rozłączył.

Zamknęłam usta i powoli przeszłam do kuchni, nadal próbując zrozumieć, co się właśnie stało.

Po prostu, do kogokolwiek należał ten numer, na pewno nie była to mama Elise. Co oznaczało... Cóż, to mogło oznaczać, że Rhiannon źle go spisała, tylko że ja wysłałam na ten numer SMS i otrzymałam informację zwrotną niby od „Cass”.

Co oznaczało, że Rhiannon mnie okłamała.

Co oznaczało również, że bardzo możliwe, iż nie była wcale u Elise. Zamiast tego prawdopodobnie spędzała czas z Craigiem.

Kurwa.

Tablet leżał na kuchennej wyspie, podniosłam go i spróbowałam ułożyć e-mail do Sandry oraz Billa.

Problem w tym, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Miałam zbyt wiele do powiedzenia. Czy powinnam zacząć od Rhiannon? A może od zachowania Maddie? Albo od obaw związanych ze strychem?

Hałasów, tego, jak włamaliśmy się tam z Jackiem, oraz szalonych napisów?

Chciałam im opowiedzieć o wszystkim – poczynając od zgniłego zapachu śmierci, który wciąż czułam w nozdrzach, poprzez pokruszone odłamki głowy lalki w koszu na śmieci u stóp podjazdu, kończąc na więziennym rysunku Maddie oraz mojej rozmowie z Craigiem.

„Coś jest nie w porządku” – chciałam napisać. „Nie, wróć, *wszystko* jest nie w porządku”. Ale... Jak mogłam powiedzieć im o Rhiannon i Maddie, nie sprawiając wrażenia, jakbym krytykowała ich metody wychowawcze? Jak miałam powiedzieć, co widziałam i słyszałam w tym domu, żeby nie wyjść na kolejną przesadną nianię? Jak mogłam oczekiwać, że przekonam kogoś, kto nawet nie widział wnętrza tego upiornego, nawiedzonego pokoju?

Więc najpierw temat. Wszystko, co przychodziło mi do głowy, wydawało się albo beznadziejnie nieadekwatne, albo idiotycznie dramatyczne, aż w końcu porzestałam na: Aktualizacja z Heatherbrae.

Dobrze, dobrze. Spokojnie i rzeczowo. To było dobre. A teraz treść e-maila.

Drodzy Sandro i Billu – napisałam, a potem oparłam się i zaczęłam ogryzać wystrzępiony brzeg plastra na palcu, próbując wymyślić, co dalej.

Po pierwsze, muszę poinformować, że Rhiannon wróciła rano cała i zdrowa, ale mam kilka wątpliwości dotyczących jej relacji z odwiedzin u Elise.

Okej, to było dobre. Jasne, rzeczowe i bez oskarżycielskiego tonu. Ale jak przejść niepostrzeżenie od tego do:

„Głupie dziwki i ich pierdolone pomyłki”?

Nie mówiąc już o:

„Nienawidzimy cię”;

„Duchy są zły”;

„WYNOŚ SIĘ”;

„Nie nawidzim cie”?

A przede wszystkim, jak wyjaśnić, że nie będę – nie mogę – spać już więcej w tym pokoju, nasłuchiwać spacerujących nade mną kroków, oddychać tym samym powietrzem, w którym rozkładały się tamte zakurzone pióra?

Ostatecznie po prostu siedziałam, gapiąc się w ekran i wspominając powolne *skrzyp... skrzyp...* desek nade mną, a wtedy usłyszałam marudny jęk Petry przez interkom, zerknęłam na zegar i zorientowałam się, że pora odebrać Maddie i Ellie ze szkoły.

„Pojechałam po dziewczynki” – napisałam na ekranie wiadomości do Rhiannon. „Musimy porozmawiać, jak wrócę”. A potem zostawiłam niewysłany e-mail na tablecie i pobiegłam na górę przebrać Petrę i załadować ją do auta.

Nie myślałam o tym e-mailu prawie do dwudziestej drugiej. Popołudnie poszło dobrze. Maddie i Ellie cieszyły się powrotem Rhiannon, a ona była dla nich wzruszająco miła – zupełnie nie przypominała tej krzykliwej, uprzywilejowanej gówniary z prywatnej szkoły, jaką odgrywała przede mną. Wyraźnie miała kaca, ale spędziła z nimi kilka godzin w salonie, bawiąc się lalkami Barbie, zjadła trochę pizzy, a potem zniknęła na górze, podczas gdy ja walczyłam z kąpielami i kładzeniem innych do łóżek, po czym ułożyłam oraz ucałowałam dziewczynki i pogasiłam światła.

Kiedy zeszłam na dół, zbierałam się do obiecanej rozmowy, próbując sobie wyobrazić, co zrobiłaby Idealna Niania Rowan. Zdecydowanie, ale jasno. Nie zaczynaj od kar i oskarżeń, pozwól jej mówić.

Ale Rhiannon czekała już w kuchni, bębniąc paznokciami w blat, a ja nie mogłam uwierzyć, w co się ubrała. Pełen makijaż, obcasy,

minispódniczka i odsłaniająca brzuch koszulka, spod której wystawał pępek z kolczykiem.

O cholera.

– Hm – zaczęłam, ale Rhiannon mnie uprzedziła.

– Wychodzę.

Przez sekundę nie miałam pomysłu, jak na to odpowiedzieć. W końcu się pozbierałam.

– Nie wydaje mi się.

– Owszem, wychodzę.

Uśmiechnęłam się. Mogłam sobie pozwolić na uśmiech. Robiło się ciemno. Kluczyki do tesli miałam w kieszeni, a najbliższy dworzec był dobre piętnaście kilometrów stąd.

– Zamierzasz iść pieszo w tych obcasach? – spytałam. Ale Rhiannon nie odwzajemniła uśmiechu.

– Nie, ktoś po mnie przyjdzie.

Cholera, cholera.

– Dobra, słuchaj, Rhiannon, to bardzo zabawne i w ogóle, ale wiesz, że nie ma takiej opcji, żebym ci na to pozwoliła? Będę musiała zadzwonić do twoich rodziców. Będę musiała im powiedzieć... – Och, pieprzyć to, pieprzyć „oskarżenia”, musiałam jakoś dać jej do zrozumienia, że została nakryta. – Będę musiała im powiedzieć, że wracasz do domu i wali od ciebie alkoholem.

Spodziewałam się, że te słowa będą dla niej gwałtownym ciosem, ale prawie nie zareagowała.

– Wydaje mi się, że nie powinnaś tego robić – powiedziała tylko.

Ale ja już sięgnęłam po telefon.

Ostatni raz zaglądałam do niego przed kolacją i ku mojemu zaskoczeniu migąła w nim ikonka e-maila. Była to wiadomość od Sandry.

Nacisnęłam ją, na wypadek gdyby było to coś, o czym powinnam wiedzieć, zanim z nią porozmawiam, a potem zamrugałam z zaskoczenia, gdy wyświetlił się jej temat.

Re: Aktualizacja z Heatherbrae

Co? Czy wysłałam ten e-mail niechcący? Zalogowałam się na prywatną skrzynkę na tablecie dzieci, tym, którego używały do gier, i miałam straszne przeczucie, że zapomniałam się wylogować. Czy Petra albo jedna z dziewczynek niechcący wcisnęła „Wyślij”?

W panice otworzyłam odpowiedź Sandry, spodziewając się czegoś w rodzaju „??? Co się dzieje?”, ale ona była zupełnie inna.

Dzięki za wiadomość Rowan, brzmi dobrze. Cieszę się, że Rhiannon dobrze się bawiła u Elise. Bill leci dziś wieczorem do Dubaju, a ja mam kolację z klientem, ale napisz do mnie SMS, jeśli zdarzy się coś pilnego, a ja spróbuje porozmawiać z dziewczynkami na FaceTime jutro. X

To nie miało sensu. A przynajmniej dopóki nie przewinęłam jeszcze trochę w dół i nie zobaczyłam e-maila, którego niby wysłałam o czternastej dwadzieścia osiem, dobre dwadzieścia minut po tym, jak wyjechałam po Maddie i Ellie.

Drodzy Sandro i Billu,

daję tylko znać, co u nas. Wszystko dobrze, Rhiannon wróciła cała i zdrowa od Elise, wygląda na to, że dobrze się bawiła.

Spędziłyśmy bardzo przyjemne popołudnie, świetnie ją wychowaliście.

Maddie i Ellie przesyłają pozdrowienia.

Rowan

Panowała zupełna cisza. Odwróciłam się do Rhiannon.

– Ty mała gówniario.

– Uroczo – wycedziła. – To takiego języka wymagają w Little Nippers?

– Little... co? – Skąd ona wiedziała, gdzie pracowałam? Ale zaraz zebrałam się w sobie, nie dałam się zbić z tropu. – Słuchaj, nie próbuj zmieniać tematu. To całkowicie nieakceptowalne, a do tego głupie. Po pierwsze, wiem o Craigu. – Na tę wieść na twarzy Rhiannon zobaczyłam przez chwilę zaskoczenie. Szybko się pozbierała, niemal natychmiast wróciła do miny wyrażającej znudzoną obojętność. Ja jednak już to zobaczyłam i nie mogłam powstrzymać szerokiego, triumfalnego uśmiechu. – Och, tak, nie powiedział ci? Zadzwoiłam do „Cass”. Oczywiście w pierwszej kolejności zadzwonię do twojej mamy i wyjaśnię, że to ty wysłałaś ten e-mail, a zaraz potem opowiem jej o tym Craigu i wyjaśnię, że zamierzasz wyjść z tym gościem, którego nigdy nie poznałam, w koszulce ledwo sięgającej pępka, i zobaczymy, co będzie miała do powiedzenia na ten temat.

Nie wiem, czego się spodziewałam – może wybuchu złości, a może nawet tego, że Rhiannon zacznie płakać i błagać mnie, żebym jej odpuściła.

Ale jej reakcja nie przypominała żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego uśmiechnęła się dość uroczo, w strasznie irytujący sposób, i oznajmiła:

- Oj, nie wydaje mi się, żebyś to zrobiła.
- Daj mi jeden powód, który mi w tym przeszkodzi!
- Będę lepsza. Dam ci dwa. Rachel. Gerhardt.

O kurwa.

W kuchni zapadła absolutna cisza.

Przez sekundę myślałam, że kolana mi się ugną, wymacałam dłonią stołek barowy i opadłam na niego, czując, jak oddech zamiera mi w krtani.

Zostałam zagoniona w kozi róg. Teraz to rozumiałam. Nie wiedziałam tylko, że ten róg będzie taki ciasny.

Ponieważ w tym momencie wszystko robi się dla mnie bardzo, bardzo niekorzystne, prawda, Panie Wrexham?

W tym momencie przestałam być dla policji osobą, która znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu, a stałam się osobą z motywem.

Bo ona miała rację. Nie mogłam zadzwonić do Sandry i Billa.
Nie mogłam tego zrobić, ponieważ Rhiannon znała prawdę.

Nie powinno być to dla Pana zaskoczeniem, Panie Wrexham, nie, jeśli czytał Pan artykuły prasowe.

Ponieważ od początku wie Pan, że niania aresztowana w związku ze sprawą Elincourtów nie nazywała się Rowan Caine, tylko Rachel Gerhardt.

Ale dla policji to była bomba. Nie, nie bomba. Bardziej coś w rodzaju takiej eksplodującej piniaty, która zasypuje człowieka prezentami.

Bo podałam im rozwiązanie na talerzu.

Potem bardzo skupili się na tym, jak udało mi się to przeprowadzić, jakbym była jakimś przestępczym geniuszem, który zaplanował wszystko w najmniejszym szczególe. Ale nie mogli zrozumieć, jakie to było kusząco, śmiesznie proste. Nie było tu żadnego fałszerstwa, żadnej skomplikowanej kradzieży tożsamości ani podrabianych dokumentów. „Jak zdobyłaś podróbki dokumentów tożsamości, Rachel?” – pytali, ale szczerze mówiąc, nie było żadnych podróbek dokumentów. Ja tylko zabrałam dokumenty mojej przyjaciółki Rowan, też niani, z jej sypialni w naszym wspólnym mieszkaniu i pokazałam je Sandrze. Zaświadczenie o niekaralności, rejestracja w Ofsted, certyfikat pierwszej pomocy, CV, żaden z tych dokumentów nie zawierał zdjęć. Nie było absolutnie żadnej potrzeby, żebym coś podrabiała, oraz żadnego sposobu, by Sandra się domyśliła, że osoba stojąca przed nią nie jest tą samą osobą, którą wymieniono na okazanych zaświadczeniach.

A poza tym, jak próbowałam sobie wmówić, nie było to duże oszustwo. W końcu sama miałam te wszystkie zaświadczenia – w każdym razie większość z nich. Nie byłam karana i ukończyłam

kurs pierwszej pomocy. Podobnie jak Rowan pracowałam z maluchami w Little Nippers, chociaż nie tak długo jak ona i nie jako przełożona. Do tego pracowałam wcześniej jako niania, chociaż znów: nie tak długo i nie byłam pewna, czy moje referencje zrobiłyby takie wrażenie. Ale podstawy się zgadzały. A kwestia nazwiska to była... sprawa techniczna. Miałam nawet prawo jazdy bez punktów karnych, tak jak powiedziałam Sandrze. Jedyny problem w tym, że nie mogłam go pokazać ze względu na dane. Ale wszystko, co jej powiedziałam, wszelkie kwalifikacje, na które się powoływałam – to wszystko się zgadzało.

Wszystko oprócz mojego nazwiska.

Oczywiście miałam też szczęście. Szczęśliwie Sandra przystała na moją prośbę i nie skontaktowała się z Little Nippers, żeby sprawdzić referencje. Gdyby to zrobiła, dowiedziałaby się, że Rowan Caine odeszła kilka miesięcy wcześniej. Szczęśliwie nie naciskała na mnie też w kwestii tego prawa jazdy.

Równie szczęśliwie korzystała ze zdalnej księgowości, więc nie musiałam nigdy przedstawić osobiście dowodu Rowan i mogłam po prostu przesłać skan, który zostawiła na pulpicie swojego komputera razem z naszymi wspólnymi rachunkami.

Ale największym przejawem szczęścia było to, że banki, co odrobinę nieprawdopodobne, najwyraźniej nie przejmują się tym, czyje nazwisko widnieje na transakcji BACS, dopóki zgadzają się numer konta i numer rozliczeniowy. Tego się w ogóle nie spodziewałam. Nie mogłam spać po nocach, zastanawiając się, jak rozwiązać tę kwestię. Udawać, że moje konto jest założone na inne nazwisko? Poprosić o gotówkę albo czek na nazwisko R. Gerhardt i trzymać kciuki, żeby Sandra nie spytała dlaczego? Zaśmiałam się w głos, kiedy odkryłam, że żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia i że jeżeli płaci się przelewem, to można w okienku odbiorcy umieścić „Kaczora Donalda”, a on i tak dojdzie. To się wydawało niewiarygodnie niedbałe.

Ale szczerze mówiąc, na początku nie sięgałam myślą poza pierwszy etap. Skupiłam się tylko na tym, żeby dostać się na rozmowę, stanąć w Domu Heatherbrae, spojrzeć w oczy Sandrze i Billowi. Tylko tego chciałam. To był jedyny powód, dla którego odpowiedziałam na ogłoszenie. A jednak jakimś sposobem zaczęły się przede mną pojawiać nowe okazje, niczym kusząco zapakowane prezenty podane na talerzu, błagające mnie, żebym je podniosła i sobie przywłaszczyła.

Nie powinnam była tego robić, teraz o tym wiem, Panie Wrexham. Ale czy nie rozumie Pan... czy nie rozumie Pan, co to musiało być za uczucie?

Wówczas, stojąc w kuchni przed śmiejącą mi się w twarz Rhiannon, poczułam, że zalewa mnie wielka fala paniki, a za nią jakieś inne, dziwne uczucie – niemal ulga, jak gdybym wiedziała, że ta chwila nadejdzie, więc odetchnęłam, że mam to już za sobą.

Przez chwilę pomyślałam, żeby blefować, zapytać, o co jej chodzi, udawać, że nigdy w życiu nie słyszałam nazwiska Rachel Gerhardt. Ale tylko przez chwilę. Skoro udało jej się odkryć moje prawdziwe nazwisko, dziewczyna nie da się zbić z tropu pełnym oburzenia zaprzeczeniem.

– Jak to odkryłaś? – spytałam zamiast tego.

– Cóż, inaczej niż moim kochanym rodzicom, chce mi się trochę poszperać, kiedy nowa dziewczyna pojawia się znikąd. Zdziwiłabys się, co można znaleźć online. Wiesz, teraz uczą tego w szkole, zarządzania swoim śladem cyfrowym. Przypuszczam, że za twoich czasów tego nie robili?

Był to ewidentny docinek, ale nie zawracałam sobie głowy odpowiedzią. To się wydawało najmniej ważne. Liczyło się to, jak daleko się dokopała i dlaczego – oraz co dokładnie znalazła.

– Nie zajęło mi długo, żeby namierzyć Rowan Caine – ciągnęła Rhiannon. – Jest strasznie nudna, co? Niewiele haczyków.

Haczyki. Czyli o to jej chodziło. Rhiannon szperała w sieci w poszukiwaniu występków, które mogłaby wykorzystać na swoją

korzyść. Tylko że natrafiła na coś dużo, dużo większego.

– Nie mogłam tego zrozumieć – przyznała, a w kąciku jej ust błąkał się nikły uśmiech. – Wszystko pasowało: nazwisko, data urodzenia, czas spędzony w tym żłobku z głupią, cukierkową nazwą *Little Nippers* – ciągnęła prześmiewczo. – Fuj. Ale nagle te wszystkie zdjęcia z Tajlandii i Wietnamu. A kiedy cię zobaczyłam na podjeździe, zaczęłam myśleć, że może jednak coś schrzaniłam, może rzeczywiście *znalazłam* niewłaściwą osobę. Zajęło mi kilka godzin, żeby namierzyć prawdziwą ciebie. Chyba wychodzę z wprawy. Szkoda, że jej lista znajomych nie jest prywatna. Albo że ty nie pomyślałaś, żeby usunąć swój profil na Facebooku.

Kurwa. Czyli to było takie proste. Tak proste jak przewinięcie listy znajomych Rowan na Facebooku i znalezienie twarzy, którą tak chętnie pokazałam całemu światu. Jak mogłam być taka głupia? Ale szczerze mówiąc, nie przyszło mi w ogóle do głowy, że ktoś mógłby tak skrupulatnie pokojarzyć fakty. Bo nie zrobiłam tego, żeby kogoś oszukać. To właśnie próbowałam wyjaśnić policji. Gdybym rzeczywiście chciała zacząć fałszywe drugie życie, to czy nie pozacierałabym śladów?

Bo to *nie było* fałszerstwo, nie do końca. Nie w taki sposób, w jaki interpretowała to policja. To był... to był po prostu wypadek, naprawdę. Coś jak pożyczenie samochodu przyjaciela pod jego nieobecność. Nigdy nie planowałam, że to wszystko się wydarzy.

Problem w tym, że nie mogłam powiedzieć policji, *dlaczego* przyjechałam do Heatherbrae pod cudzym nazwiskiem. Pytali mnie o to i pytali, drażyli i drażyli, a ja brnęłam, próbując wymyślać powody – takie jak to, że Rowan miała lepsze referencje ode mnie (co było prawdą) i więcej doświadczenia (też prawda). Wydaje mi się, że początkowo pomyśleli, iż muszę mieć jakąś mroczną zawodową tajemnicę – cofnięte pozwolenie na pracę, wyrok za przestępstwo seksualne albo coś takiego. I oczywiście nic z tego nie było prawdą, mimo że usilnie próbowali coś znaleźć. Z moimi prawdziwymi dokumentami było wszystko w porządku.

Zapowiadało się to dla mnie bardzo, bardzo źle, wiedziałam to nawet wtedy. Ale powtarzałam sobie, że jeśli Rhiannon nie odkryła, dlaczego tam przyjechałam, to może policji też się nie uda.

Ale to oczywiście było głupie. To w końcu policja. Taką mają pracę, żeby szukać.

Zajęło im to trochę. Dni, może nawet tygodnie, nie pamiętam dokładnie. Przesłuchania po jakimś czasie zaczęły się zlewać, dni łączyć się w jeden ciąg, kiedy tak się czepiali, czepiali, przesłuchiwali i sondowali. Ale w końcu weszli do pokoju z jakąś kartką w ręku, uśmiechając się jak kot z Cheshire, a jednocześnie próbując wyglądać poważnie i profesjonalnie.

I już wiedziałam. Wiedziałam, że wiedzą.

I wiedziałam, że już po mnie.

Ale to było później. A ja zaczynam wyprzedzać fakty.

Muszę opowiedzieć inną część. Tę najtrudniejszą. Część, w którą nadal sama nie mogę uwierzyć.

Oraz część, której nie potrafię do końca wyjaśnić, nawet sobie.

Muszę Panu opowiedzieć o tamtej nocy.

Po wyjściu Rhiannon stałam dłuższy czas w korytarzu, patrząc, jak światła furgonetki znikają na podjeździe i próbując wymyślić, co powinnam zrobić. Czy zadzwonić do Sandry? I co powiedzieć? Wyznać prawdę? Zachowywać się jak gdyby nigdy nic?

Zerknęłam na zegarek. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Przypomniała mi się linijka z e-maila Sandry: „Bill leci dziś wieczorem do Dubaju, a ja mam kolację z klientem, ale napisz do mnie SMS, jeśli zdarzy się coś pilnego”.

Nie było mowy, żebym zarzuciła ją tymi wszystkimi wiadomościami w środku kolacji z klientem, a już zwłaszcza SMS-em.

„Och, cześć Sandro, mam nadzieję, że wszystko w porządku. Przy okazji: Rhiannon wyszła z dziwnym gościem, a ja zgłosiłam się do tej pracy pod fałszywym nazwiskiem. Do usłyszenia!”

Byłoby to zabawne, gdyby cała ta sytuacja nie była taka poważna. Cholera. *Cholera*. Może napiszę jej e-mail i odpowiednio wszystko wyjaśnię? Może. Chociaż, jeśli już, to trzeba było to zrobić wcześniej, zanim Rhiannon wysłała tę oszukaną wiadomość. Teraz byłoby mi jeszcze trudniej się wytłumaczyć.

Ale kiedy przyciągnęłam do siebie tablet, zrozumiałam, że tak naprawdę nie mogę napisać e-maila. To byłoby tchórzostwo. Byłam jej winna chociaż telefon – żeby się wytłumaczyć, jeśli nie twarzą w twarz, to przynajmniej osobiście. Ale co, do cholery, miałabym powiedzieć?

Cholera.

Na stole stała butelka wina, niczym zaproszenie, więc nalałam sobie kieliszek, próbując uspokoić nerwy, a potem drugi, tym razem zerkając na kamerę czającą się w rogu. Ale już mi nie

zależało. I tak będę miała przesrane i to, jakie Sandra i Bill mają nagrania ze mną, okaże się moim najmniejszym problemem.

Był to świadomy sabotaż, tak naprawdę wiedziałam to w głębi duszy, kiedy po raz trzeci napełniłam kieliszek. Kiedy w butelce zostało wina już tylko na jeden więcej, zrozumiałam – byłam zbyt pijana, by dzwonić teraz do Sandry, zbyt pijana, żeby zrobić cokolwiek sensownego poza pójściem spać.

Na ostatnim piętrze stałam długo z dłonią na zaokrąglonej gałce klamki do mojego pokoju, zbierając się na odwagę, żeby tam wejść. Ale nie byłam w stanie tego zrobić. Na dole drzwi widniała ciemna szpara i nagle przyszedł mi do głowy niepokojący obraz czegoś obrzydliwego i ciemnego wyslizgującego się spod nich, goniącego mnie w dół po schodach, obejmującego w ciemności...

Zorientowałam się, że opuściłam rękę, a potem się wycofałam, jakby to ciemne coś naprawdę miało za mną ruszyć, gdybym odwróciła się plecami. Potem, u szczytu schodów, gwałtownie się odwróciłam i zbiegłam do ciepłej kuchni, wstydząc się za siebie, za swoje tchórzostwo, za wszystko.

Kuchnia była przytulna i jasna, ale kiedy zamknęłam oczy, nadal czułam zapach chłodnego powietrza ze strychu, wdzierającego się pod drzwiami do sypialni – i kiedy tak stałam, niezdecydowana, zastanawiając się, czy pościelić sobie na kanapie, czy spróbować nie zasypiać do powrotu Rhiannon, poczułam pulsowanie palca w miejscu, gdzie rozciąłam go tą wstrętną, pokruszoną głową lalki. Zakleiliśmy to wcześniej plastrem, ale skóra pod spodem wydawała się pogrubiona i spuchnięta, jakby wdawało się jakieś zakażenie.

Podeszłam do zlewu, zdjęłam opatrunek, a potem gwałtownie podskoczyłam, bo rozległo się walenie do tylnych drzwi.

– K-kto tam?! – zawołałam, starając się, żeby głos mi nie drżał.

– To ja, Jack – zabrzmiał głos z zewnątrz, przytłumiony wiatrem. – Przeprowadziłem psy.

– Wejdz, ja właśnie...

Drzwi się otworzyły, wpuszczając poryw zimnego powietrza, i usłyszałam jego kroki w pomieszczeniu gospodarczym oraz łupnięcie jego butów, kiedy je zdjął i upuścił na wycieraczkę, a także szczekanie psów, które brykały wokół niego, podczas gdy on próbował je uciszyć. W końcu położyły się w swoich koszykach, a Jack wszedł do kuchni.

– Zwykle nie wyprowadzam ich tak późno, ale przedłużyło mi się. Dziwne, że jeszcze nie śpisz. Miałaś dobry dzień?

– Niezbyt. – Kręciło mi się w głowie i na nowo zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem pijana. Czy Jack to zauważy?

– Nie? – Uniósł brew. – Co się stało?

– Miałam... – Jezu, od czego zacząć. – Miałam małą sprzeczkę z Rhiannon.

– Jakiego rodzaju sprzeczkę?

– Wróciła i... – Przerwałam, niepewna, jak to ubrać w słowa. Wydawało mi się bardzo niewłaściwe opowiadać wszystko Jackowi, zanim wyznam prawdę Sandrze, i byłam całkiem pewna, że złamię wszelkie rodzaje zasad poufności, jeśli omówię problemy Rhiannon z kimś, kto nie był jej rodzicem. Ale z drugiej strony czułam, że być może oszaleję, jeśli nie zwierzę się z przynajmniej czegoś innemu dorosłemu. A może była tu jakaś historia, bo coraz jaśniejsze stawało się to, że nie wszystko zostało zamieszczone w tym dużym czerwonym segregatorze. – Pokłóciliśmy się – oznajmiłam w końcu. – Zagroziłam, że zadzwonię do Sandry, a ona... ona po prostu... – Ale nie byłam w stanie dokończyć.

– Co się stało? – Jack wysunął krzesło i opadł na nie, a ja poczułam, jak znowu zalewa mnie fala rozpacz.

– Wyszła. Wyszła sama, z jakimś okropnym, nieodpowiednim kolegą. Powiedziałam jej, żeby tego nie robiła, ale wyszła i tak, a ja nie wiem, jak postąpić, co powiedzieć Sandrze.

– Słuchaj, nie przejmuj się Rhiannon. To obrotna dziewczynka, dość niezależna, i wątpię, żeby miała sobie zrobić jakąś krzywdę. Co najwyżej Sandra i Bill mogą być niezadowoleni.

– A jeśli coś jej się stanie? Jeśli coś jej się stanie, i to na mojej warcie?

– Jesteś nianią, nie strażniczką więzienną. Co miałaś zrobić, przykuć ją do łóżka?

– Masz rację – powiedziałam w końcu. – Wiem, że masz rację, po prostu... O Boże. – Te słowa same ze mnie wyleciały. – Jestem taka zmęczona, Jack. Nie mogę myśleć, a do tego nie pomaga fakt, że cholernie boli mnie ręka za każdym razem, kiedy czegoś dotykam.

– Co ci się stało?

Spojrzałam na dłoń ułożoną na kolanach i poczułam, jak pulsuje wraz z moim tętnem.

– Zacięłam się. – Nie chciałam teraz wchodzić w szczegóły, ale na myśl o tej szczerzącej się, złej twarzycze odruchowo się wzdrygnęłam.

Jack zmarszczył brwi.

– Mogę zerknąć?

Nie odpowiedziałam, tylko skinęłam głową i wyciągnęłam rękę, a on wziął ją bardzo delikatnie i skierował do światła. Bardzo lekko nacisnął spuchniętą skórę po obu stronach rany, a ja się skrzywiłam.

– To nie wygląda za dobrze, jeśli mogę się wypowiedzieć. Użyłaś czegoś po skaleczeniu?

– Wyłącznie plastra.

– Nie o to mi chodziło, tylko o odkażacz. Coś w tym stylu?

– Myślisz, że naprawdę powinnam była to zdezynfekować?

Pokiwał głową.

– Rana jest głęboka i nie podoba mi się, że palec tak puchnie, wygląda, jakby wdawała się jakaś infekcja. Poczekaj, zobaczę, co ma Sandra.

Wstał, odsunął ze zgrzytem swój stołek i poszedł do pomieszczenia gospodarczego, gdzie na ścianie wisiała mała apteczka. Wcześniej znalazłam tam plastry i nie zauważyłam niczego w rodzaju odkażacza TCP czy spirytusu salicylowego, tylko

garść plastrów ze Świnką Peppą i buteleczki paracetamolu w syropie dla dzieci.

– Nic – oznajmił Jack, wracając do kuchni. – A przynajmniej nic poza sześcioma różnymi smakami paracetamolu. Chodź do mnie. Mam w mieszkaniu porządną apteczkę.

– Ja... ja nie mogę. – Wyprostowałam się, zabrałam rękę i schowałam skaleczony palec, zaciskając pięść; czułam, jak pulsuje z bólu. – Nie mogę zostawić dzieci.

– Nikogo nie zostawiasz – odparł cierpliwie Jack. – Będziesz po drugiej stronie podwórka, możesz zabrać elektroniczną nianię. Latem Sandra i Bill ciągle siedzą w ogrodzie. To żadna różnica. Jeśli usłyszysz jakiś dźwięk, wrócisz tutaj, zanim w ogóle się obudzą.

– No... – powiedziałam powoli.

Z tyłu głowy tłukły mi się różne myśli, miękkie i przymglone przez wypite wcześniej wino. Przecież mogłam go poprosić, żeby przyniósł coś z apteczki tutaj, prawda? Ale byłam trochę – okej, nie, byłam mocno – ciekawa. Chciałam pójść z Jackiem. Chciałam zobaczyć wewnątrz jego mieszkania.

A jeśli mam być zupełnie szczerą, Panie Wrexham, to chciałam opuścić ten dom.

„Jeśli naprawdę uważałaś, że istnieje jakieś zagrożenie, to jak mogłaś wyjść i zostawić z nim dzieci?” – spytała mnie pani policjantka, słabo usiłując ukryć swoje obrzydzenie.

A ja próbowałam to wyjaśnić. Próbowałam jej powiedzieć, że dzieci niczego nie widziały ani nie słyszały. Że każdy przejaw wrogości wydawał się wycelowany wyłącznie *we mnie*. To *ja* słyszałam kroki. To *ja* przeczytałam te napisy. To *ja* nie spałam noc po nocy przez hałasy i dzwonki do drzwi, i zimno.

Nikt inny, nawet Jack, nie widział ani nie słyszał tego co ja.

Jeśli coś było w tym domu – a nawet teraz tylko w połowie wierzę, że coś mogło być, mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło – o ile

tam było, to zamierzało dorwać mnie. Mnie i cztery pozostałe nianie, które zdążyły się spakować i uciec w pośpiechu.

A ja chciałam tylko pięciu minut bez poczucia presji. Tylko pięciu minut z elektroniczną nianią w kieszeni oraz tabletem z nagraniami z kamer pod pachą. Czy prosiłam o zbyt wiele?

Wyglądało na to, że policjantka tego nie kupuje. Wstała, pokręciła z niedowierzaniem głową, wykrzywiła usta z pogardą wobec głupiej, egoistycznej, beztroskiej suki siedzącej naprzeciw niej.

Ale czy *Pan* to kupuje, Panie Wrexham? Czy rozumie Pan, jakie to było trudne: być tam zamkniętym przez te wszystkie noce z niczym poza dźwiękiem spacerujących kroków? Czy rozumie Pan, dlaczego te kilka metrów podwórka wydawało mi się jednocześnie wszystkim i niczym?

Nie wiem. Nie jestem pewna, czy udało mi się Pana przekonać, wyjaśnić, jakie to uczucie, jak się *naprawdę* czułam.

Mogę tylko Panu powiedzieć, że wzięłam elektroniczną nianię i tablet, po czym poszłam za Jackiem przez kuchnię, a on przytrzymał mi tylne drzwi i zatrzęsnał je za nami obojgiem. Czułam ciepło jego skóry, kiedy prowadził mnie przez ciemne, pokryte nierównym brukiem podwórko na schody do swojego mieszkania. I wspierałam się za nim po schodach, patrząc, jak jego mięśnie napinają się i przesuwają pod koszulką, kiedy szedł w górę.

Na górze wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go w zamku i odsunął się, żeby mnie wpuścić do środka.

Spodziewałam się, że Jack będzie szukał w środku panelu albo wyjmie telefon, ale zamiast tego wyciągnął rękę, kliknął coś, a światła się włączyły i zobaczyłam zupełnie zwykły, biały, plastikowy włącznik światła. Poczułam taką absurdalną i wielką ulgę, że prawie się zaśmiałam.

– Nie masz panelu kontrolnego?

– Dzięki Bogu, nie. To zostało zaprojektowane jako mieszkanie dla obsługi. Bez sensu marnować technologię na takich jak my.

– Tak, tak myślę.

Zapalił kolejne światło i zobaczyłam mały, jasny salon, umeblowany porządnymi podstawowymi meblami, i wyblakłą bawełnianą kanapę. Resztki palącego się drewna tliły się w małym piecu w rogu, a na odległym końcu dostrzegłam aneks kuchenny. Za nim były kolejne drzwi, jak przypuszczałam, do jego sypialni, ale uznałam, że niegrzecznie byłoby o to pytać.

– Usiądź tutaj. – Wskazał mi sofę. – A ja zaraz wrócę z porządnym opatrunkiem na to rozcięcie.

Pokiwałam głową, z wdzięcznością przyjąłam uczucie, że ktoś się mną opiekuje, ale przede wszystkim byłam po prostu zadowolona, że tam siedzę, czując ciepło ognia na twarzy oraz uspokajająco tanie i radosne poduszki z Ikei pod plecami, podczas gdy Jack szperał w szafkach kuchennych za mną. Dokładnie taką samą kanapę miałyśmy z Rowan w naszym mieszkaniu w Londynie. Nazywała się Ektorp, czy jakoś tak. Wcześniej należała do mamy Rowan, a potem nam ją przekazała. Z dziesięcioletnią gwarancją i bawełnianym pokrowcem, który można prać – ten Jacka kiedyś był czerwony, ale wyblakł do ciemnego różu z niewielkimi smugami od słońca i wielokrotnego prania.

Siedząc tam, czułam się, jakbym wróciła do domu.

Po luksusowym rozdwojeniu osobowości Heatherbrae to miejsce było nie tylko odświeżające, ale też przyjemne. Solidnie zbudowane, całe w jednym kawałku – bez nagłych dezorientujących przejść od wiktoriańskiego przepychu do lśniącej futurystycznej technologii. Wszystko tu było krzepiąco domowe, poczynając od płam od kubka na stoliku kawowym po mieszaninę zdjęć ustawionych nad kominkiem – przyjaciele i ich dzieci, a może siostrzeńcy i bratankowie. Jeden mały chłopiec pojawiał się częściej niż raz, po rodzinnym podobieństwie można było określić, że to krewny.

Poczułam, że oczy mi się zamykają, dopadły mnie dwie bezsenne noce... a potem usłyszałam kaszel i Jack stał przede mną z opatrunkiem oraz jakimś środkiem dezynfekującym w jednej dłoni i dwoma kieliszkami w drugiej.

– Napijesz się? – spytał, a ja spojrzałam na niego zdziwiona.

– Alkoholu? Nie, dziękuję.

– Jesteś pewna? Możesz potrzebować jakiegoś znieczulenia, kiedy tego użyję. Będzie szczypało. I wydaje mi się, że tam nadal jest jakiś kawałeczek szkła lub czegoś takiego.

Pokręciłam głową, ale miał rację. Cholernie piekło – zarówno gdy przemył to TCP, jak i później, kiedy wcisnął mi pęsetę głęboko w ranę, a ja poczułam otarcie metalu o szkło. Aż zrobiło mi się niedobrze, kiedy zapomniany odłamek wbił mi się głębiej w palec.

– Kurwa – wyrwało mi się jęknięcie, chociaż nie chciałam tego powiedzieć na głos. Ale Jack już się uśmiechał, trzymając coś zakrwawionego na końcu pęsety.

– Udało się. Świetnie ci poszło. To musiało cholernie boleć.

Ręką mi się trzęsła, kiedy usiadł koło mnie.

– Wiesz, wytrzymałaś dłużej niż kilka ostatnich.

– Co masz na myśli?

– Kilka ostatnich niań. Chociaż kłamię, Katia dała radę chyba trzy tygodnie. Ale od czasu Holly pojawiają się i znikają jak motyle.

– Kim była Holly?

– Ona była pierwsza, pracowała tu najdłużej. Opiekowała się Madie i Ellie, kiedy były malutkie, i została prawie trzy lata, aż... – Przerwał, jakby się rozmyślił. – No, nieważne. A druga, Lauren, została prawie osiem miesięcy. Ale ta po niej nie wytrzymała tygodnia. I jedna przed Katią, to była Maja, ona uciekła pierwszej nocy.

– Pierwszej nocy? Co się stało?

– Zadzwoiła po taksówkę, wyszła w środku nocy. Zostawiła też połowę rzeczy, Sandra musiała je odsyłać.

– Nie o to mi chodzi, tylko... co się stało, że wyjechała?

– No cóż... Nie bardzo wiem. Zawsze myślałem... – Zarumienił się, jego kark nabrał czerwonego koloru, zerknął w dół na swój pusty kieliszek.

– No? – zachęcałam go, ale on pokręcił głową, jakby zły na siebie.

– Pieprzyć to, powiedziałem, że nie będę tego robił.

– Czego?

– Nie mówię źle o moich pracodawcach, Rowan, powiedziałem ci to pierwszego dnia.

To imię sprawiło, że wstrząsnęło mną poczucie winy, przypomniało mi o wszystkim, co przed nim ukrywałam, ale odgoniłam tę myśl, zbyt ciekawa, co on zamierzał powiedzieć, żeby przejmować się własnymi tajemnicami. Nagle musiałam się dowiedzieć, co je odstraszyło, te inne dziewczyny, moje poprzedniczki. Co je skłoniło do ucieczki?

– Jack, słuchaj – powiedziałam, a potem położyłam mu dłoń na ramieniu. – To nie jest niełojalne. Pamiętaj, że ja też jestem ich pracowniczką. Jesteśmy kolegami z pracy. Nie miałisz ozorem przed nikim z zewnątrz. Można rozmawiać o pracy ze współpracownikami. Dzięki temu łatwiej nie zwariować.

– Tak? – Uniósł wzrok znad szklanki whisky i uśmiechnął się do mnie drwiąco, raczej cierpko. – Tak mówisz? Cóż... I tak już powiedziałem ci połowę, więc równie dobrze mogę dokończyć. Zresztą może masz prawo wiedzieć. Zawsze myślałem, że odstraszał

je... – Nabrał powietrza, jakby zbierał się do czegoś nieprzyjemnego.

– Pomyślałem, że to może... Bill.

– *Bill?* – Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewałam. – W... w jaki sposób?

Ale jeszcze nie zdążyłam wymówić tego na głos, a już wiedziałam. Przypomniałam sobie jego zachowanie mojego pierwszego wieczoru tutaj, rozłożone nogi, uporcezywe proponowanie wina, jego kolano narzucające się, niechciane, pomiędzy moimi...

– Cholera – powiedziałam. – Nie musisz mówić. Wyobrażam sobie.

– Maja... Ona była z tych młodszych – wyjaśnił z oporami Jack. – I bardzo ładna. I przyszło mi do głowy, że może on... cóż... przystawiał się do niej, a ona nie wiedziała, co zrobić. Zastanawiałem się wcześniej... Bill miał raz podbite oko, kiedy była tu Lauren, i pomyślałem, że może ona... no wiesz...

– Przyłożyła mu?

– Tak. A skoro to zrobiła, musiał zasłużyć, bo inaczej by ją zwolnili, prawda?

– Chyba tak. Jezu. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Trochę trudno powiedzieć: „A, no tak, przy okazji, mój szef jest trochę zboczeńcem”, wiesz? Niełatwo zacząć tak pierwszy dzień.

– Domyślam się. Cholera. – Czułam, że moje policzki są tak rumiane jak te Jacka, chociaż w moim przypadku w dużej mierze odpowiadało za to wino. – Boże. O *fuj*.

Wiedziałam, że to poczucie zdrady jest wyolbrzymione. Nie żebym nie wiedziała. W końcu ze mną też próbował. Ale z jakiegoś powodu ta myśl, że regularnie polował na opiekunki swoich córek, jedna po drugiej, nie dbając oto, że przez niego rezygnują... Nagle poczułam desperacką potrzebę umycia się, zeskrobania wszystkich jego śladów ze swojej skóry, mimo że nie widziałam go od kilku dni, a i wtedy prawie mnie nie dotykał.

Rozbrzmiał mi w głowie głos Ellie, jej wysoki sopranik. „Wolę, jak go nie ma. On im każe robić takie rzeczy, których nie chcą”.

Czy to możliwe, że mówiła o swoim ojcu napastującym młode kobiety i dziewczyny, które jego żona wybrała do opieki nad ich dziećmi?

– Jezu. – Ukryłam twarz w dłoniach. – Pieprzony dupek.

– Słuchaj. – Jack brzmiał, jakby poczuł się niezręcznie. – Mogę się mylić, nie mam na to żadnych dowodów, tylko po prostu...

– Nie potrzebujesz dowodów – odparłam żałośnie. – Próbował tego ze mną pierwszego wieczoru.

– Co?

– No. Nic... – Przełknęłam i zazgrzytałam zębami. – Nic, z czym zasłabym daleko w sądzie pracy. Tylko niejasne uwagi i „przypadkowe” zablokowanie mi drogi. Ale wiem, kiedy ktoś mnie molestuje.

– Jezus Maria, Rowan, tak bardzo... Strasznie przepraszam... Ja po prostu...

– To nie twoja wina, nie przepraszaj.

– Mogłam coś, do cholery, powiedzieć! Nic dziwnego, że byłaś kłębkim nerwów, słyszałaś jakichś zakradających się gości na...

– Nie – odparłam zdecydowanie. – To nie ma z tym nic wspólnego, Jack, jestem dorosłą kobietą, zdarzyło mi się już, że ktoś się do mnie przystawiał, i potrafię sobie z tym poradzić. Te rzeczy na strychu są zupełnie niezwiązane. To jest... to coś innego.

– To jest po prostu cholernie obrzydliwie. – Miał zarumienione policzki. Wstał, jakby nie potrafił opanować złości, siedząc nieruchomo. Podeszedł do okna, potem zawrócił z zaciśniętymi pięściami. – Chciałbym...

– Jack, przestań – przerwałam mu szybko. Też wstałam i położyłam mu dłoń na ramieniu, przyciągnęłam go do siebie przodem, a potem... Boże, nawet nie wiem, jak to się stało.

Nie umiem tego opisać tak, żeby nie zabrzmiało jak kiczowata powieść. Wtopiliśmy się sobie w ramiona. Nasze usta spotkały się niczym wzburzone fale. Te wszystkie głupie frazesy.

Tylko że nie było żadnego wtapiania. Żadnej delikatności. To było mocne, szybkie i pilne, całkiem bolesne w tej intensywności. Całowałam i byłam całowana, potem było gryzienie, moja skóra między jego zębami, a potem moje palce w jego włosach, jego dłonie rozrywające moje guziki, a potem skóra przy skórze i usta przy ustach – nie mogę Panu tego opisać. Nie mogę opisać, bo nie umiem przestać tego wspominać. Nie wiem, jak przestać.

Później leżeliśmy przytuleni przed kominkiem, nasze ciała lśniły od potu i lepkości, a on zasnął z głową na mojej piersi, delikatnie unosił się i opadał z każdym moim oddechem. Przez chwilę po prostu na niego patrzyłam, na to, jak jego skóra blednie i staje się mleczna pod biodrami, na stadko piegów u nasady jego nosa, na ciemne miotłki rzęs na policzkach, dłoń owiniętą wokół mojego ramienia. A potem podniosłam wzrok na półkę nad kominkiem nad nami, gdzie leżała elektroniczna niania, cicho wyczekując.

Nie mogłam wrócić. A jednak musiałam.

W końcu, kiedy poczułam, że sama zaczynam przysypiać, wiedziałam, że muszę wstać, bo inaczej spędzę tu całą noc, a kiedy się obudzę, zobaczę, jak dziewczynki robią sobie same śniadanie, podczas gdy ja będę musiała przejść drogę wstydu do domu w zimnie, w świetle świtu.

I była jeszcze Rhiannon. Nie mogłam ryzykować, że znajdzie mnie tutaj, kiedy wróci, gdziekolwiek była. I tak miałam już dość do wyjaśnienia Sandrze, nie trzeba do tego dodawać nocnych spacerów.

Bo musiałam jej się przyznać. To była jedyna możliwość, zrozumiałam to, leżąc w objęciach Jacka... Może nawet wiedziałam to wcześniej. Musiałam się przyznać do wszystkiego i zaryzykować utratę pracy. Gdyby mnie zwolniła – to cóż, nie mogłabym jej winić. I mimo wszystko, mimo finansowego dołka, w jaki bym wpadła bez pracy, bez pieniędzy i bez referencji, pomimo tego wszystkiego, i tak musiałabym to po prostu przełknąć, bo sobie zasłużyłam.

Ale gdybym wyjaśniła, gdybym naprawdę wyjaśniła, *dlaczego* zrobiłam to, co zrobiłam, może... może po prostu...

Już prawie miałam na sobie jeansy, kiedy usłyszałam hałas. Nie dochodził z elektronicznej niani, tylko gdzieś z zewnątrz domu, dźwięk pomiędzy trzaskiem a łupnięciem, jak gdyby z drzewa spadła gałąź. Zatrzymałam się, wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam, ale nie rozległy się kolejne dźwięki ani też żadne piskliwe marudzenie z elektronicznej niani, które wskazywałoby, że cokolwiek to było, obudziło Petrę i resztę.

Mimo wszystko wyjęłam telefon i sprawdziłam aplikację. Ikonka kamery oznaczona „pokój Petry” pokazywała ją rozłożoną na plecach, z jak zwykle rozrzuconymi kończynami; obraz był rozpikselowany i niewyraźny w słabym blasku nocnej lampki, ale wyraźnie widziałam kształt. Kiedy na nią patrzyłam, westchnęła i wetknęła sobie kciuk do buzi.

Kamera w pokoju dziewczynek nie pokazywała niczego. Zapomniałam im włączyć lampkę nocną, kiedy je położyłam, i rozdzielczość była zbyt kiepska, by wyłowić cokolwiek poza ziarnistą czernią, z pojedynczymi kropkami szarych zakłóceń. Ale gdyby się obudziły, zapaliłyby światło przy łóżku, więc jego brak był dobrą wiadomością.

Kręcąc głową, zapięłam dżinsy, włożyłam koszulkę przez głowę, a potem się pochyliłam i bardzo delikatnie pocałowałam Jacka w policzek. Nic nie powiedział, tylko przewrócił się na drugi bok i wymamrotał coś niezrozumiałego, w rodzaju: „Dobranoc, Lynn”.

Na chwilę serce mi zamarło, ale zaraz się otrząsnęłam. To mogło być cokolwiek. „Dobranoc, kochana. To dobranoc”. A nawet jeśli było to: „Dobranoc, Lynn” albo „Liz”, albo jakiegokolwiek inne imię, to co z tego? Ja miałam przeszłość. Może Jack też? Bóg wie, że miałam zbyt dużo własnych sekretów, by jeszcze wyciągać cudze i je potępiać.

Powinnam była po prostu wyjść.

Powinnam była wziąć elektroniczną nianię, iść do drzwi i wyjść na zewnątrz.

Ale nim wróciłam do domu, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spojrzeć jeszcze ostatni raz na leżącego Jacka; jego skóra złociła się w świetle kominka, oczy miał zamknięte, a usta rozchylone w taki sposób, że miałam ochotę pocałować go jeszcze ostatni raz.

A kiedy się obejrzałam, zobaczyłam coś jeszcze.

To był fioletowy kwiat leżący na blacie. Przez minutę nie umiałam sobie przypomnieć, dlaczego wyglądał znajomo ani dlaczego mój wzrok się na nim zatrzymał. A wtedy zrozumiałam – to był ten sam kwiat, który znalazłam tamtego poranka w kuchni i włożyłam go do kubka po kawie, żeby odżył. Czy to *Jack* zostawił ten kwiat na kuchennej podłodze? Ale nie – jego chyba tamtego wieczoru nie było, wyjechał załatwić coś dla Billa... czy nie? A może to był inny wieczór? Brak snu sprawiał, że dni mi się zlewały, sklejały w jeden, i coraz trudniej było mi sobie przypomnieć, który z długich, koszmarnych ciągów ciemności należał do którego poranka.

Kiedy tak stałam, marszcząc brwi, próbując to sobie przypomnieć, zauważyłam coś jeszcze. Coś jeszcze bardziej prozaicznego. Ale jednocześnie coś, co zatrzymało mnie w pół kroku; mój żołądek ścisnął niepokój. To był krótki kawałek sznurka. Zupełnie niewinny – więc dlaczego tak mnie zdenerwował?

Wróciłam do pokoju i podniosłam go.

Był to motek białego sznurka, złożony na dwa i trzy i związany babskim węzłem, który nagle okazał się straszliwie znajomy. I najwyraźniej został odcięty – przecięty na pół bardzo ostrym nożem albo może tymi samymi ogrodowymi nożycami, które wyniosłam z trującego ogrodu.

Nie miało to teraz naprawdę znaczenia czym.

Ważne, że to był ten sam kawałek sznurka, który owinęłam wokół bramy trującego ogrodu – zbyt wysoko, by mogły go sięgnąć małe

rączki – sznurek, który założyłam tam, żeby dziewczynki były bezpieczne. Ale co on robił w kuchni Jacka? I dlaczego leżał obok tego niewinnie wyglądającego kwiatu?

Kiedy wyjęłam swój telefon i otworzyłam Google, poczułam niezdrowe, nerwowe trzepotanie w piersi, jakbym już wiedziała, co znajdę. Wpisałam w pasek wyszukiwarki „fioletowy kwiat trujący”, a potem kliknęłam w Obrazy Google, i oto był, drugie zdjęcie od lewej, ten dziwny oklapnięty kształt i jasnofioletowy kolor, nie do pomylenia. „Aconitum napellus (tojad)” przeczytałam i poczułam, że z każdą kolejną liniijką robi mi się coraz bardziej niedobrze. „Jeden z najbardziej toksycznych kwiatów rodzimych w Wielkiej Brytanii. Akonityna jest silną toksyną dla serca i układu nerwowego, a każda część tej rośliny, włącznie z łodygą, liśćmi, płatkami lub korzeniami, może być śmiertelnie trująca. Większość śmierci to wynik zjedzenia tojadu, ale radzi się ogrodnikom, aby byli niezwykle ostrożni podczas podcinania, ponieważ nawet kontakt ze skórą może wywołać pewne objawy”.

Pod spodem była lista przypadkowych zgonów po kontakcie z tojadem i morderstw dokonanych z użyciem tej rośliny.

Wyłączyłam telefon i obróciłam się, żeby spojrzeć na Jacka, nie mogłam w to uwierzyć. Czy to od początku był tak naprawdę on?

On pielęgnował trujące rośliny w zamkniętym ogrodzie i utrzymywał to straszne miejsce przy życiu.

On zdjął zabezpieczenia, które założyłam, próbując ochronić dzieci.

On starannie wybrał najbardziej trujący kwiat, jaki znalazł, i zostawił go na środku podłogi w kuchni. Ja go tylko podniosłam – ale równie dobrze mogły go znaleźć dzieci, a może nawet jeden z psów.

A ja właśnie się z nim pieprzyłam.

Ale dlaczego? Dlaczego miałby to robić? I za co jeszcze był odpowiedzialny?

Czy to on był osobą, która włamała się do systemu, żeby zerwać nas wszystkie z łóżek w środku nocy ogłuszającą muzyką i przerażającymi wrzaskami?

Czy to on uruchamiał dzwonek, wyrywając mnie ze snu, i nie pozwalał zasnąć przerażającym *skrzyp... skrzyp...* skradających się kroków?

A co najgorsze, czy to on napisał te straszne rzeczy w zamkniętym pokoju na strychu, a potem zabił za sobą wejście tylko po to, by je „odkryć”, kiedy nadejdzie właściwy moment?

Zauważyłam, że mój oddech przyspiesza i staje się coraz krótszy. Ręce mi się trzęsły, kiedy wsunęłam telefon z powrotem do kieszeni, i nagle poczułam, że muszę się stąd wydostać, za wszelką cenę uciec od niego.

Nie przejmując się zachowaniem ciszy, otworzyłam drzwi mieszkania, wyszłam w noc i zatrzasnęłam je za sobą. Znowu zaczęło padać, a ja pobiegłam, czując deszcz spływający mi po policzkach, miałam zaciśnięte gardło i niewyraźny wzrok.

Drzwi do pomieszczenia gospodarczego były nadal otwarte, więc weszłam do środka, oparłam się plecami o drzwi i użyłam swojej koszulki, żeby otrzeć oczy, próbując odzyskać jakąś równowagę.

Kurwa. *Kurwa*. Jak to jest ze mną i z mężczyznami w moim życiu? Dlaczego są tacy gówniani, wszyscy?

Stojąc tam i próbując uspokoić swój dławiący oddech, przypomniałam sobie ten cichy dźwięk, który słyszałam wcześniej, kiedy się przebierałam. Dom wyglądał tak samo, jak kiedy wychodziłam, nigdzie nie było śladów wysokich obcasów Rhiannon zdjętych na korytarzu ani torby porzuconej na pierwszym stopniu schodów. Ale tak naprawdę się ich nie spodziewałam. Słyszałabym podjeżdżający samochód. To był pewnie jeden z psów.

Znowu przetarłam oczy, zdjęłam buty i powoli przeszłam przez kuchnię, czując delikatne ciepło podłogowego ogrzewania przebijające się przez beton. Hero i Claude spały zwinięte w swoich koszach, cicho pochrapywały. Kiedy weszłam, podniosły głowy,

a potem położyły je ciężko z powrotem, gdy usiadłam przy barze śniadaniowym i zastanawiałam się, co zrobić.

Nie mogłam iść spać. Niezależnie od tego, co powiedział Jack, Rhiannon nadal nie było, a ja nie potrafiłam o tym tak po prostu zapomnieć. Powinnam – a nawet musiałam – napisać e-mail do Sandry. Porządny, wyjaśniający wszystko, co się wydarzyło.

Ale najpierw musiałam zrobić coś jeszcze.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej nie pasowało mi zachowanie Jacka. Nie chodziło wyłącznie o trujący ogród – tylko o wszystko. O to, jak zawsze był w pobliżu, kiedy coś się psuło. O to, że najwyraźniej miał klucze do każdego pomieszczenia w tym domu oraz dostęp do zarządzania nim, którego nie powinien mieć. Skąd wiedział, jak zapanować nad aplikacją tamtej nocy, kiedy muzyka krzyczała z głośników? Jak to się stało, że akurat miał klucz do tych zamkniętych drzwi na strych?

I niezależnie od tego, co powiedział, w końcu nazywał się Grant. Co, jeśli było tu jakieś powiązanie, które przegapiłam? Czy mógł być jakimś dawno zaginionym krewnym doktora Kenwicka Granta, który powrócił, by wypędzić Elincourtów z domu swoich przodków?

Ale nie – to ostatnie przypuszczenie to już była przesada. Nie byliśmy w jakimś dziewiętnastowiecznym dramacie o powstaniu chłopskim. Co miałyby zyskać Jack na wypędzeniu Elincourtów z ich własnego domu? Nic. Po prostu kolejna angielska para znalazłaby się tam, gdzie ich miejsce. A poza tym to nie Elincourtowie wydawali się celem. Tylko ja.

Bo prawdą było, że cztery nianie – pięć, jeśli liczyć Holly – odeszły od Elincourtów. Nie, nie odeszły, były systematycznie odstraszone, jedna po drugiej. I mogłabym uwierzyć, że odpowiedzialność za to ponosiły wędrujące dłonie Billa, gdyby nie moje własne doświadczenia w domu Heatherbrae. Ktoś w tym domu... ktoś lub coś odstraszało nianie poprzez świadomą i niepowstrzymaną kampanię prześladowania.

Nie wiedziałam tylko kto.

W mojej głowie, gdzieś za oczami, poczułam tępy, pulsujący ból, będący odbiciem bólu w dłoni – zawroty głowy po wypitym wcześniej winie zaczynały już się zmieniać w początki straszego kaca. Ale nie mogłam mu się teraz poddawać. Powoli, niepewnie ześlizgnęłam się ze stołka przy wyspie, podeszłam do zlewu i ochlapałam sobie twarz, próbując się rozbudzić i oczyścić głowę w przygotowaniu na to, co zamierzałam zrobić.

Ale kiedy tak stałam z wodą ściekającą z rozpuszczonych włosów, z dłońmi opartymi po obu bokach zlewu, coś zobaczyłam. Coś, czego tam nie było, kiedy wychodziłam, tego byłam pewna – a przynajmniej na tyle pewna, na ile mogłam, bo teraz już nic nie wydawało się niewątpliwe.

Na prawo od zlewu stała moja prawie opróżniona butelka wina. Tylko że teraz była zupełnie pusta. Powinien zostać w niej jeszcze kieliszek, a teraz była zupełnie opróżniona. A w wyżłobieniu wokół brzegu rozdrabniacza kuchennego leżał jeden rozgnieciony owoc.

To mogły być resztki jagody albo maliny, zgniecione nie do poznania, ale z jakiegoś powodu wiedziałam, że to coś innego.

Serce mi waliło, kiedy bardzo powoli sięgnęłam do rozdrabniacza kuchennego.

Sięgnęłam głęboko, głęboko w metalowy otwór, aż moje palce dotknęły czegoś na dnie. Czegoś raz miękkiego, raz twardego, moje palce się w to zapadły, kiedy wyciągnęłam masę.

To była papka z jagód. Cis. Ostrokrzew. Laurowiśnia.

A mimo wody, którą spłukałam odpływ, nadal wyczuwałam dość wyraźnie wciąż trzymające się ich resztki wina.

To nie miało żadnego sensu. *Nic* z tego nie miało sensu. Tych jagód nie było w winie, kiedy wychodziłam – a może mogły być? Sama otworzyłam tę butelkę.

Co oznaczało, że ktoś je tam włożył, kiedy nie patrzyłam. Ktoś, kto był tego wieczoru w kuchni po tym, jak dzieci poszły spać.

Ale w takim razie... w takim razie ktoś inny je wylał.

Tak, jakby w tym domu były dwie siły – jedna walczyła, by się mnie pozbyć, druga, by mnie ochronić. Ale kto – *kto* to robił?

Nie wiedziałam. Ale jeśli była gdzieś jakaś odpowiedź, to zdawałam sobie sprawę, gdzie muszę jej szukać.

Czułam ucisk w klatce piersiowej, kiedy się wyprostowałam, więc wymacałam w kieszeni džinsów inhalator i zaciągnęłam się. Napięcie nie zelżało, a kiedy podeszłam do schodów i zaczęłam się wspinać w kierunku ciemności, mój oddech zrobił się szybki i płytki.

Kiedy zbliżałam się do najwyższego piętra, nie umiałam odeprzeć wspomnienia ostatniego razu, kiedy tam stałam, z dłonią na zaokrąglonej gałce, po prostu niezdolna, żeby pójść krok dalej – niezdolna, by zmierzyć się z tą czujną ciemnością rozciągającą się za tymi drzwiami.

Teraz jednak zaczynałam podejrzewać, że to, co nawiedzało Heatherbrae, było bardzo ludzkie. I tym razem byłam zdecydowana przekręcić gałkę, otworzyć drzwi i znaleźć na to dowody – dowody, które będę mogła pokazać Sandrze, kiedy opowiem jej o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

Ale kiedy weszłam na piętro, okazało się, że wcale nie muszę ich otwierać. Bo moje drzwi... drzwi do mojego pokoju były otwarte. A ja zostawiłam je zamknięte.

Miałam wyraźne, przejrzyste wspomnienie tego, jak stałam przed nimi, patrzyłam na szparę na dole i nie byłam w stanie przekręcić gałki.

A teraz były otwarte.

Znowu było bardzo zimno, jeszcze zimniej niż wtedy, kiedy obudziłam się w środku nocy z dreszczami i okazało się, że termostat był skrecony i dmuchała klimatyzacja. Ale tym razem nie był to tylko chłód w pomieszczeniu, ale prawdziwy powiew wiatru.

Przez chwilę czułam, że całe to moje zdecydowanie kurczy się niczym kawałek plastiku w ogniu, znika w środku mnie, topi się i zwija w twardy, poczerniały rdzeń.

Skąd się wziął ten powiew? Czy wpadł przez drzwi na strych? Jeśli były znowu otwarte, mimo zamka i klucza w mojej kieszeni, i mimo tego, że Jack spał w swoim mieszkaniu po drugiej stronie podwórka... myślałam, że zacznę krzyczeć.

Ale potem się opanowałam.

To było szaleństwo. Nie ma czegoś takiego jak duchy. Nie ma czegoś takiego jak nawiedzenie. Na tym strychu nie było niczego prócz kurzu i gratów po znudzonych dzieciach, które nie żyją od pięćdziesięciu lat.

Weszłam do pokoju i przycisnęłam przycisk na panelu. Nic się nie wydarzyło. Wypróbowałam inny kwadrat, byłam pewna, że wczoraj wieczorem włączyłam nim światło. Nadal nic, chociaż zaczął brzęczeć jakiś niewidzialny wiatrak. Przez długi czas stałam w ciemności, próbując wymyślić, co zrobić. Czułam chłodne, zakurzone powietrze, które wpadało przez dziurkę od klucza na strych, a do tego coś słyszałam – nie takie *skrzyp... skrzyp...* jak wcześniej, ale niskie, mechaniczne brzęczenie, które mnie zastanawiało.

A potem, ni stąd, ni zowąd, zalała mnie nagła fala wściekłości.

Cokolwiek to było, cokolwiek tam siedziało, *nie* pozwolę się tak straszyć. Ktoś, coś, próbuje mnie wypędzić z Heatherbrae, ale ja się temu nie poddam.

Nie wiem, czy to resztki wina w moich żyłach dały mi tę odwagę, czy świadomość, że kiedy następnego dnia zadzwonię do Sandry, prawdopodobnie i tak wrócę do domu, ale wyjęłam z kieszeni telefon, włączyłam latarkę i przesunęłam nią po sypialni w stronę drzwi na strych.

Wtedy znowu rozległo się to brzęczenie. Dochodziło sponad mojej głowy. Ten dźwięk brzmiał znajomo, ale nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego. Brzmiał jak szalenie wściekła osa, ale było w nim coś... coś automatycznego, jakaś cecha sprawiająca, że nie mogło go wydawać żywe stworzenie.

Wymacałam w kieszeni džinsów klucz, który był tam od wczoraj, twardy i niewzruszony przy mojej nodze, wyjęłam go.

Delikatnie, bardzo delikatnie włożyłam klucz do drzwi szafy i przekręciłam go. Chodził sztywno – ale nie tak jak wcześniej. WD40 zadziałało i chociaż poczułam opór, cicho się obrócił, bez zgrzytu metalu o metal, jaki rozległ się, kiedy Jack otwierał zamek siłą.

Potem położyłam dłoń na drzwiach i otworzyłam je.

Zapach był dokładnie taki, jak pamiętałam z ostatniego razu – wilgotny, stęchły zapach śmierci i opuszczenia.

Ale coś tam *było*, teraz to widziałam, coś rzucało słaby biały blask na pajęczyny utkane przez pająki w poprzek schodów na strych. Chociaż wydawało się oczywiste, że nikt tu nie zaglądał od wizyty mojej i Jacka. Upewnił mnie w tym nie tylko klucz w mojej kieszeni, ale też grube, niezniszczone pajęczyny na mojej drodze, pracowicie utkane po moim ostatnim przejściu. Nie ma mowy, żeby ktoś przeszedł tędy, nie niszcząc ich. Sama byłam zmuszona postępować ostrożnie, odgarniając je ręką sprzed twarzy, próbując utrzymać lepiące się nici z dala od oczu i ust.

Co to za światło? Księżyc świecący przez to maleńkie okno? Możliwe, chociaż było takie brudne, że zdziwiłabym się.

Na szczycie schodów cicho nabrałam powietrza, szykując się mentalnie, a potem weszłam na strych.

Od razu zobaczyłam dwie rzeczy.

Po pierwsze, że strych wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnio, kiedy spjrzałam na niego, zanim zeszłam za Jackiem po schodach dzień wcześniej. Jedyne, czego brakowało, to głowa lalki, która sturlała się ze stosu na środek pokoju. Jej nie było.

Po drugie, to *rzeczywiście* księżyc oświetlał strych, i to zaskakująco jasno, bo okno – to okno, które zamknął wcześniej Jack – było znowu otwarte. Najwyraźniej nie zatrzasnął go dobrze i w nocy otworzył je wiatr. Przeszłam ze złością po skrzypiących

deskach, zatrzęsłam okno mocniej niż on i zaczęłam szukać w ciemności haczyka. W końcu znalazłam – długi trzonek z nawierconymi dziurkami. Był pokryty grubymi pajęczynami i musiałam odgarnąć je na bok dłońmi, czując chrupanie dawno martwych ofiar w sieciach, a potem wsunęłam go na miejsce, upewniając się, że teraz już nie ma sposobu, by okno znowu otworzyło się samo.

W końcu było zabezpieczone, a ja cofnęłam się w głąb pokoju i otrzepałam ręce. Po zamknięciu okna światło natychmiast zostało przytłumione, zapleśniała szyba zasłaniała wszystko prócz cienkiej strużki. Ale kiedy odwróciłam się w stronę schodów, a wąty snop z mojej latarki oświetlał wąską ścieżkę na parkiecie, zauważyłam coś jeszcze. Było tam też inne światło. Bledsze, bardziej niebieskie, i padało z rogu strychu naprzeciw okna, rogu zupełnie skąpanego w cieniu, rogu, w którym żadne światło nie miało prawa bytu.

Kiedy tam podchodziłam, waliło mi serce. Czy to jakieś przejście do jednego z pokoi poniżej? Coś innego? Niezależnie od tego, co było źródłem światła, chowało się to za kufrem, więc odsunęłam go niedbale na bok, nie troszcząc się już o zachowanie ciszy, bo nie obchodziło mnie teraz, kto mnie tu znajdzie. Kierowało mną tylko jedno – odkryć, co tak naprawdę się tam dzieje.

To, co zobaczyłam, sprawiło, że odsunęłam się zaskoczona, a potem uklękłam w kurzu, żeby lepiej się przyjrzeć.

Za starym kufrem leżał ukryty mały stosik rzeczy. Książka. Jakieś papierki po batonikach. Bransoletka. Naszyjnik. Garść gałązek i jagód – tak, zwiędłych, ale na pewno nie wysuszonych.

I telefon komórkowy.

To światło z tego telefonu widziałam z drugiego końca strychu, a kiedy go podniosłam, znowu zabręczał i zdałam sobie sprawę, że to było źródło tego dziwnego dźwięku, który usłyszałam wcześniej. Najwyraźniej się aktualizował i utknął w pętli, próbował się włączyć, nie udawało mu się i resetował się, za każdym razem brzęcząc.

Był to stary model, podobny do aparatu, który sama miałam kilka lat wcześniej, więc wypróbowałam sposób, który czasem działał, kiedy mój telefon umierał: długo przytrzymałam jednocześnie przycisk głośności i włącznik. Zawiesił się na chwilę, na ekranie coś się zakręciło, potem zrobił się czarny, a ja wcisnęłam reset.

Ale kiedy czekałam, aż system się załaduje, coś przyciągnęło mój wzrok. Srebrzysty błysk z małego stosiku śmieci, które odsunęłam na bok, żeby podnieść telefon.

Był tam, rozciągnięty niewinnie na podłogowych deskach, na tej żalosznej kupce pozostałości, światło latarki mojego telefonu odbiło się od jednego z jego zagłębień.

Mój naszyjnik.

Serce podeszło mi do gardła, gdy go chwyciłam, nie mogłam w to uwierzyć. Mój naszyjnik. *Mój* naszyjnik. Co on robił tutaj, w tych ciemnościach?

Nie wiem, jak długo siedziałam w kuchni, z dłońmi wokół kubka herbaty, przesypując między palcami cienkie oczka łańcuszka mojego naszyjnika i próbując to wszystko zrozumieć.

Zniosłam też na dół tamten telefon, ale bez PIN-u nie mogłam go aktywować, żeby sprawdzić, do kogo należał. Byłam tylko w stanie określić, że był stary i że wyglądał na podłączony do sieci Wi-Fi, ale chyba nie miał w środku karty SIM.

Jednak to nie telefon mnie martwił. Tak, to dziwne, ale było coś bardziej osobistego w tym, że odnalazłam tam ukryty mój naszyjnik, w ciemności, pośród gnijących piór. Powinnam była myśleć o Rhiannon, przejmować się tym, dokąd pojechała, oraz wyobrażać sobie kłótnię, jaką na pewno odbędziemy, kiedy stanie w drzwiach. Powinnam była myśleć o Sandrze, rozważyć moje możliwości i próbować wymyślić, co powiedzieć – jak jej przekazać prawdę.

Myślałam o jednym i drugim. Ale między te myśli wplątane były oczka mojego naszyjnika, bo próbowałam ułożyć chronologię i czas, aby określić, jak mógł zniknąć w porządnie zamkniętym pokoju, za drzwiami, do których jedyny klucz leżał w mojej kieszeni, za korytarzem zapieczętowanym setkami nienaruszonych pajęczyn. Czy był tam wcześniej, kiedy włamaliśmy się z Jackiem? Ale to niczego nie wyjaśniało. Ta szafa była zabita płytą od miesiący, lat. Ślady kurzu, zwisające pajęczyny – nikt nie wchodził po tych schodach od długiego, długiego czasu. A tamto okno było zaledwie na tyle duże, żebym przełożyła przez nie głowę oraz ramiona, i do tego wychodziło na strome dachówki.

Po znalezieniu naszyjnika przeczesalam każdy centymetr pomieszczenia, szukając kłap, włazów, ukrytych drzwi – ale nic

tam nie było. Wiktoriańskie deski podłogowe biegły nieprzerwaną linią z jednego końca na drugi, ściany nie wychodziły na nic poza dachówką, a ja ruszyłam każdy mebel, obejrzałam od spodu każdy centymetr sufitu. Choć co do innych rzeczy miałam wątpliwości, byłam zupełnie pewna, że nie ma tam żadnego wejścia ani wyjścia – prócz schodów prowadzących z mojego pokoju.

Księżyc był nadal wysoko na niebie, ale zegar nad kuchenką pokazał już jakoś między trzecią a czwartą rano, kiedy w końcu usłyszałam opony na żwirze podjazdu, tłumione śmiechy na ganku i dźwięk automatycznie otwierających się drzwi wejściowych, kiedy ktoś aktywował zamek odciskiem kciuka. Drzwi zamknęły się ukradkiem, a van odjechał, i usłyszałam ostrożne kroki, po czym ktoś najwyraźniej się potknął.

Przewróciło mi się w żołądku, ale zmusiłam się do zachowania spokoju.

– Cześć, Rhiannon – powiedziałam cicho i usłyszałam, że kroki na kamiennej posadzce w korytarzu się zatrzymują, a potem rozległ się okrzyk niesmaku, gdy Rhiannon zorientowała się, że została nakryta.

– Kurwa.

Niepewnie weszła do kuchni. Makijaż rozpułynał jej się na pół twarzy, w rajstopach miała oczka i mocno pachniała jakąś mieszanką słodkich alkoholi – pomyślałam, że to na pewno Drambuie, do tego Malibu, z czymś jeszcze, może Red Bullem?

– Jesteś pijana – powiedziałam, a ona zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Przyganiał kocioł. Stąd widzę butelki po winie w koszu.

Wzruszyłam ramionami.

– Masz rację, ale wiesz, że nie mogę ci tego puścić płazem, Rhiannon. Muszę powiedzieć twoim rodzicom. Nie możesz tak po prostu wychodzić w ten sposób. Masz czternaście lat. A co, gdyby coś się stało, a ja nie wiedziałabym, gdzie ani z kim byłaś?

– Okej – odpowiedziała, wyciągnęła się przez kuchenną wyspę i przysunęła do siebie puszkę herbatników. – Zrób tak, *Rachel*.

I powodzenia dalej.

– To nie ma znaczenia – odparłam. Kiedy wyjęła sobie ciastko i odstawiła puszkę, też wzięłam sobie jedno i zamoczyłam spokojnie w herbacie, chociaż dłonie trochę mi drżały, mimo że usiłowałam je opanować. – Podjęłam już decyzję. Zamierzam się przyznać twojej mamie. Jeśli stracę pracę, to trudno.

– *Jeśli* stracisz pracę? – Parsknęła kpiąco. – *Jeśli?* Łudzisz się. Jesteś tutaj pod fałszywym nazwiskiem, być może z fałszywymi kwalifikacjami, o ile mi wiadomo. Będziesz miała szczęście, jeśli to się nie skończy pozwem.

– Może – stwierdziłam. – Ale podejmę to ryzyko. A teraz idź na górę i zetrzyj to sobie z twarzy.

– Pieprz się – rzuciła z pełnymi ustami, jej słowom towarzyszył wyrzut okruszków ciastka, które rozprysnęły mi się po twarzy, sprawiły, że odskoczyłam. Zamrugalam i wytarłam okruszki z oczu.

– Ty mała suko! – Mój temperament, tak starannie ukryty, nagle puścił. – Co jest z tobą nie tak?

– Co jest nie tak *ze mną*?

– Tak, z tobą. W sumie z wami wszystkimi. Dlaczego tak mnie nienawidzicie? Co ja wam takiego zrobiłam? Naprawdę chcecie zostać tu same? Bo tak właśnie będzie, jeśli dalej będziecie takimi pieprzonymi sukami wobec pracowników.

– A co ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć? – odwarknęła i nagle zrobiła się tak wściekła jak ja, odepchnęła swój metalowy stółek, tak że się zachwiało i upadł z dzwoniącym brzęknięciem na betonową podłogę. – Jeśli o mnie chodzi, to możesz stąd spieprzać, nie chcemy cię tutaj, nie *potrzebujemy* cię.

Na końcu języka miałam zgryźliwą ripostę, ale z jakiegoś powodu, kiedy tak stała, a kuchenne światła sprawiły, że jej zmierzwione, splątane blond włosy świeciły jak ogień, twarz zaś wykrzywił grymas wściekłości i bólu, wyglądała zupełnie jak Maddie, zupełnie jak *ja*, trochę ścisnęło mi się serce.

Przypomniałam sobie siebie w wieku piętnastu lat, kiedy wróciłam po umówionej godzinie, stałam w kuchni z rękoma na biodrach i krzyczałam na moją mamę: „Nie obchodzi mnie, że się martwisz, nie proszę cię, żebyś na mnie czekała, nie potrzebuję twojej opieki!”.

Oczywiście to było kłamstwo. Kompletne kłamstwo.

Ponieważ wszystko, co robiłam, każdy dobrze napisany sprawdzian, każde spóźnienie, każdy raz, kiedy sprzątałam pokój lub kiedy tego nie robiłam – to wszystko miało jeden cel. Sprawić, żeby moja matka mnie zauważyła. Sprawić, by się *przejęła*.

Przez czternaście lat tak bardzo usiłowałam być idealną córką, ale to zawsze było za mało. Niezależnie od tego, jak starannie pisałam, jak wysoką ocenę dostawałam z dyktanda albo jak dobra była moja praca plastyczna, to zawsze było za mało. Mogłam spędzić całe popołudnie, kolorując obrazek dla niej, a ona zauważyłaby jedno miejsce, w którym kichnęłam i wyjechałam kredką za linię.

Mogłam spędzić sobotę, perfekcyjnie sprzątając pokój – a ona marudziłaby z powodu butów, które zostawiłam w korytarzu.

Cokolwiek robiłam, było źle. Za szybko rosłam, moje ubrania były za drogie, a moi przyjaciele za głośni. Byłam zbyt pulchna lub przeciwnie, wybrzydzałam przy jedzeniu. Moje włosy były zbyt nieporządne – za grube, zbyt trudno było je ujarzmić gładkimi warkoczami i kucykami, które lubiła.

Tak więc, kiedy przestałam być dzieckiem i stałam się nastolatką, zaczęłam robić na odwrót. Próbowałam być idealna – potem zaczęłam próbować bycia nieidealną. Nie wracałam do domu. Piłam. Pogorszyły mi się oceny. Przeszłam od zupełnego podporządkowania do częstego nieposłuszeństwa.

To nic nie zmieniło. Niezależnie od tego, co robiłam, nie byłam taką córką, jaką powinnam być. Tylko potwierdzałam ten fakt przed nami obiema.

Zniszczyłam jej życie. To był zawsze niewypowiedziany przekaz – coś, co między nami wisiało, sprawiało, że chwytałam się jej jeszcze mocniej, kiedy się odsuwała. I w końcu nie mogłam już znieść dalszego oglądania tej prawdy wypisanej na jej twarzy.

Opuściłam dom w wieku osiemnastu lat; w garści miałam tylko przeciętnie napisane egzaminy i posadę dla *au pair* w Clapham. Wtedy byłam już na tyle dorosła, że nie musiałam wracać do domu o określonej godzinie, nikt nie czekał na mnie w nocy i nie witał mnie z wyrzutem w oczach, kiedy wracałam.

Ale wcale nie było tak, że nie potrzebowałam nikogo, kto by się o mnie troszczył.

Może Rhiannon też.

– Rhiannon – podeszłam, starając się, żeby w moim głosie nie zabrzmiała litość. – Rhiannon, wiem, że odkąd Holly...

– Nie waż się wypowiadać jej imienia – warknęła. Zrobiła krok w tył, potykając się na wysokich obcasach, i nagle zaczęła przypominać dziewczynkę, którą była – chwiejącą się w ubraniach zbyt dorosłych dla niej, tak bardzo, że ledwo nauczyła się jej nosić. Usta miała zaciśnięte w taki sposób, który mógł oznaczać złość, ale podejrzewałam, że raczej próbuje się nie rozplakać. – Nie *waż* się mówić tutaj o tej dziwkarskiej wiedźmie.

– Kto... Holly? – Zatkanło mnie. Coś w tym było, coś więcej niż ogólna nienawiść do świata i wrogość, które czułam ze strony Rhiannon do tej pory. To było sarkastyczne, bezwzględne, a Rhiannon drżał od tego głos.

– Co... co się stało? – spytałam. – To dlatego, że was porzuciła?

– Porzuciła? – Rhiannon zaśmiała się kpiarskim, huczącym śmiechem. – Gdzie tam. Ona nas nie porzuciła.

– To o co chodzi?

– *O co chodzi?* – przedrzeźniła mnie, okrutnie wyśmiewając mój południowolondyński akcent, rozmywając swoje wyraźne spółgłoski i rozwlekając ostatnią sylabę. – Jeśli musisz wiedzieć, to ukradła mojego pieprzonego ojca.

– Co?

– Tak, mojego kochanego tatusia. Pieprzyła go przez prawie dwa lata, a do tego owinęła sobie Maddie i Ellie wokół palca, tak że kryły ich oboje i opowiadały kłamstwa mojej matce. A wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze? Nie zauważyłam, co się dzieje, dopóki nie przyszła do mnie koleżanka i mi tego nie powiedziała. Na początku jej nie wierzyłam, więc zastawiłam na nich pułapkę, żeby poznać prawdę. Mój tata nie ma kamer w swoim gabinecie. Zauważyłaś to? – Zaśmiała się gorzkim śmiechem, *staccato*. – Zabawna sprawa. Może śledzić nas wszystkich, ale *jego* prywatność jest święta. Wzięłam elektroniczną nianię Petry, podłączyłam ją pod jego biurkiem i *usłyszałam* ich. Usłyszałam, jak mówił Holly, że ją kocha, że zamierza zostawić moją mamę, tylko musi być cierpliwa, i że przeniosą się razem do Londynu, tak jak jej obiecał.

O kurwa. Chciałam ją objąć, uściskać, powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, że to nie jej wina, ale nie byłam w stanie się ruszyć.

– A potem usłyszałam też ją, jak błagała, prosiła, mówiła mu, że już nie może czekać, że chce z nim być. *Słyszałam* to, te wszystkie rzeczy, które chciała mu robić, to było... – Przerwała, dławiąc się przez chwilę obrzydzeniem, a potem najwyraźniej się pozbierała, założyła ręce na piersi, a jej twarz skryła maska żalu, zbyt dorosła dla niej. – Więc wrobiłam tę sukę.

– Co... – Ale nie zdołałam dokończyć. Ledwo udało mi się wydusić to jedno słowo.

Rhiannon się uśmiechnęła, ale minę miała skrzywioną, jakby powstrzymywała łzy.

– Zwabiłam ją przed kamery i podpuszczałam ją, aż mnie uderzyła.

O Boże. To stąd się tego nauczyła Maddie.

– A potem powiedziałam jej, żeby się wyniosła, bo inaczej wrzucę nagranie na YouTube i nigdy nie dostanie pracy w tym kraju, a od tamtej pory...

Przerwała, przełknęła ślinę i spróbowała znowu.

– A od tamtej pory...

Nie mogła dokończyć. Nie musiała. Znałam prawdę, wiedziałam, co próbowała powiedzieć.

– Rhiannon... – Podeszłam do niej z wyciągniętymi rękoma, jakbym próbowała poskromić i udobruchać dzikie zwierzę, mnie samej drżał teraz głos. – Rhiannon, przysięgam, że nie ma szans, za *żadne skarby* nigdy nie będę uprawiać seksu z twoim ojcem.

– Nie możesz tego obiecać. – Miała zapuchniętą twarz, łzy płynęły jej teraz po policzkach. – One wszystkie tak myślą, kiedy tu przyjeżdżają. Ale on próbuje, próbuje i próbuje, i nie mogą sobie pozwolić na utratę pracy, a on ma pieniądze, a do tego nawet potrafi być czasem czarujący, jeśli chce, rozumiesz?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie, nie, nie. Rhiannon, słuchaj, ja... ja nie mogę ci tego wyjaśnić, ale po prostu... nie. Nie ma szans. Po prostu nie ma szans, nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie wierzę ci – odpowiedziała. Te słowa zabrzmiały jak szloch. – Wiesz, robił to już wcześniej. Przed Holly. I wtedy *naprawdę* odszedł. Miał inną rodzinę. Inne dziecko, *niemowlę*. Słyszałam, jak m-moja m-m-mama k-kiedyś opowiadała. I je z-zostawił; taki już jest i gdybym go nie powstrzymała, on by p-po p-prostu...

Ale nie dała rady dokończyć. Jej głos zamienił się w szlochanie. Zrozumiałam coś okropnego i położyłam jej dłonie na ramionach, próbując utrzymać nas obie w równowadze, łącząc nas, próbując przekazać wszystko, czego nie mogłam powiedzieć, pewnością swojego głosu.

– Rhiannon, posłuchaj, mogę ci to obiecać na mur beton. Przysięgam na mój *grób*, że nigdy, przenigdy nie prześlę się z twoim ojcem.

Ponieważ.

Miałam to na końcu języka.

Nigdy, przenigdy nie prześlę się z twoim ojcem, ponieważ...

Żałuję, że nie dokończyłam wtedy tego zdania, Panie Wrexham. Żałuję, mogłam jej to po prostu powiedzieć, opowiedzieć,

wytłumaczyć. Ale nadal trzymałam się koncepcji, że następnego dnia wyjaśnię powód mojego oszustwa Sandrze, i nie mogłam powiedzieć Rhiannon prawdy, nim nie przyznałam się jej matce. Musiałam wyznać, że nie jestem Rowan, a litość Sandry i zrozumienie, dlaczego przyjechałam do jej domu pod fałszywym nazwiskiem, były moją jedyną szansą wyjścia z tej sytuacji bez co najmniej zwolnienia i bardzo możliwe, że pozwu.

Ale Pan nie potrzebuje, żebym kończyła to zdanie, prawda, Panie Wrexham? Pan wie dlaczego. A przynajmniej wyobrażam sobie, że Pan wie, jeśli czyta Pan gazety. Pan wie, bo policja wie. Bo to odkryli. Bo połączyli fakty tak, jak prawdopodobnie robi to Pan teraz, nawet w tej chwili.

Pan wie, że przyczyną, dla której nigdy nie przespałabym się z Billem Elincourtem, był fakt, iż jest on także moim ojcem.

Przecież powiedziałam Panu, Panie Wrexham, że nawet nie szukałam pracy, kiedy natrafiłam na tamto ogłoszenie. Tak naprawdę robiłam coś zupełnie innego, czym zajmowałam się wcześniej wiele razy.

Wpisywałam w wyszukiwarke nazwisko mojego ojca.

Zawsze wiedziałam, kim był, a od jakiegoś czasu wiedziałam też, *gdzie* był – w luksusowej połówce bliźniaka w dzielnicy Crouch End, z elektryczną bramą, która rozsuwała się automatycznie nad podjazdem, oraz ze lśniącym bmw na parkingu. Byłam tam raz jako nastolatka, pod pretekstem udawanej wycieczki na zakupy przy Oxford Street z przyjaciółką. Pamiętam smak w swoich ustach, to, jak moje ręce drżały, kiedy pokazałam kierowcy bilet, każdy krok spaceru z Crouch End Broadway.

Długo stałam przed tą bramą, pochłonięta dziwną mieszaniną strachu i złości, zbyt bojąc się zadzwonić dzwonkiem i stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, którego nigdy nie poznałam, który odszedł, gdy moja matka była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Przez jakiś czas wysyłał czeki, ale nie widniał w moim akcie urodzenia i przypuszczam, że moja matka była zbyt dumna, by go ścigać i zmusić do płacenia alimentów.

Zamiast tego pozbierała się, dostała pracę w agencji ubezpieczeniowej i w końcu wyszła za mąż. Za mężczyznę – to było bardzo czytelne – z którym *powinna* była być od początku.

A więc, kiedy miałam sześć lat, przeprowadziłyśmy się do jego małego, kanciastego domku.

To był ich dom. Jej i jego. Nigdy mój. Już od dnia, w którym wprowadziłam się do maleńkiego pokoiku na piętrze i powiedziano mi ostro, żebym nie rysowała walizką listew przypodłogowych na

korytarzu. Aż do dnia, dwanaście długich lat później, w którym spakowałam się do innej, większej walizki, i się wyprowadziłam.

To był ich dom, ale ja – ja zawsze tam byłam, żeby im wszystko zepsuć. Niczym żyjące, oddychające, stałe przypomnienie o przeszłości mojej matki. O mężczyźnie, który ją zostawił. I każdego dnia musiała patrzeć, jak gapię się na nią znad płatków śniadaniowych *jego* oczami. Kiedy czesała moje grube, kręcone włosy w kucyk, czesała *jego* włosy, nie swoje, cienkie i miękkie.

Bo to było wszystko, co od niego dostałam. To oraz naszyjnik, który wysłał mi na pierwsze urodziny, to był mój ostatni kontakt z nim. A na naszyjniku był mój inicjał – R jak Rachel.

„Tania, brzydka tandeta” – mówiła o nim moja matka, ale to nie powstrzymało mnie od noszenia go zawsze, kiedy było mi wolno. Najpierw w weekendy i każdego dnia wakacji. Potem, kiedy zaczęłam pracować jako *au pair*, chowałam go pod koszulkami i plastikowymi fartuszkami, żeby zawsze tam był, wytarty metal między moimi piersiami.

Pracowałam jako niania w Highgate, kiedy zadzwoniła i mi powiedziała. Sprzedawali z ojczymem dom i przenieśli się do Hiszpanii. Tak po prostu. Nie żebym miała jakieś specjalne uczucia wobec tego domu – nigdy nie byłam tam szczęśliwa.

Ale był... cóż, jeśli nie moim domem, pod żadnym względem, to przynajmniej jedynym miejscem, które mogłam tak nazwać.

– Oczywiście, możesz przyjeżdżać w odwiedziny – oznajmiła wysokim i lekko defensywnym tonem, jak gdyby wiedziała, co robi, i wydaje mi się, że to właśnie wyprowadziło mnie z równowagi. „Możesz przyjeżdżać w odwiedziny”. Takie rzeczy mówi się dalekim krewnym albo znajomym, których niespecjalnie się lubi, z nadzieją, że nigdy nie przyjmą propozycji.

Powiedziałam jej, żeby spierdalała. Nie jestem z tego dumna. Powiedziałam, że jej nienawidzę, że spędziłam cztery lata na terapii, próbując sobie poradzić z tym, jak zostałam wychowana, i że nie chcę z nią już nigdy więcej rozmawiać.

To nie była prawda. Oczywiście, że to nie była prawda. Nawet teraz, nawet tutaj, w więzieniu Charnworth, była pierwszą osobą, którą umieściłam na liście osób, które mogą do mnie dzwonić. Ale nigdy nie skorzystała z tej możliwości.

Dwa dni po jej obwieszczeniu wróciłam na Crouch End.

Miałam dwadzieścia dwa lata. I tym razem nie byłam wściekła. Byłam tylko... strasznie, strasznie smutna. Straciłam jedyne rodzica, jakiego kiedykolwiek znałam, i pożerała mnie potrzeba, żeby zastąpić go *czymkolwiek*, nawet jeśli nieudany i nieodpowiednim.

– Cześć... Bill. – Ćwiczyłam te słowa w swojej sypialni wieczór wcześniej, stojąc naprzeciwko lustra. Miałam zmyty makijaż, przez co wyglądałam na młodszą i jeszcze bardziej bezbronną, chociaż nie taki był mój zamiar, i odkryłam, że mam nienaturalnie wysoki głos, jakbym chciała wzbudzić w nim litość. Nie wiedziałam, jaką córkę chciałby mieć, ale byłam gotowa spróbować być tą osobą. – Cześć, Bill. Nie znasz mnie, ale mam na imię Rachel. Jestem córką Catherine.

Serce waliło mi w piersi, kiedy podeszłam do bramy i zadzwoniłam dzwonkiem, czekając, aż brama się rozsunie albo może przez domofon usłyszę trzeszczący głos. Ale nic się nie wydarzyło.

Spróbowałam jeszcze raz, długo i mocno przytrzymałam dzwonek i w końcu drzwi frontowe się otworzyły i na wyłożony kamyczkami podjazd wyszła niska kobieta w kombinezonie, z miotłą w ręku.

– Dzień dobry? – Była po czterdziestce albo pięćdziesiątce i miała wyraźny akcent, pomyślałam, że polski albo może rosyjski. W każdym razie z Europy Wschodniej. – W czym mogę pomóc?

– O, dzień dobry. – Puls mi przyspieszył, aż pomyślałam, że mogłabym zemdleć ze zdenerwowania. – Dzień dobry. Szukam pana... – Przełknęłam ślinę. – Pana Elincourta. Billa Elincourta. Jest może?

– Nie ma go tutaj.

– Och, no dobrze, a czy wróci później?
– Wyjechał. Teraz jest nowa rodzina.
– T-to znaczy?
– On wyprowadził się z żoną w tamtym roku. Do innego kraju. Do Szkocji. Teraz jest tu nowa rodzina. Państwo Cartwrightowie.

Aha. Cholera.

To było niczym cios w brzuch.

– Czy... czy ma pani może adres? – spytałam łamiącym się głosem, a ona pokręciła głową. Patrzyła na mnie z litością.

– Przepraszam, nie mam, ja tylko sprzątam.

– Wspomniała... – Przełknęłam ciężko. – Wspomniała pani o żonie, pani Elincourt. Mogę spytać... jak ma na imię?

Nie wiem, dlaczego to nagle stało się dla mnie ważne. Wiedziałam tylko, że straciłam trop i każdy strzępek informacji wydawał się lepszy niż nic. Sprzątaczką spojrziała na mnie smutno. Myślała sobie, że kim byłam? Odepchniętą dziewczyną? Dawną pracowniczką? A może odgadła prawdę.

– Ma na imię Sandra – odparła bardzo cicho. – Muszę już iść. – A potem się odwróciła i poszła do domu.

Ja też się obróciłam i zaczęłam długi spacer z powrotem na Highgate, oszczędzając na bilecie autobusowym. Miałam dziurę w bucie, a kiedy zaczęłam iść pod górę, rozpadało się, ja zaś wiedziałam, że straciłam swoją szansę.

Po tym przez kilka lat nie próbowałam już dalej szukać. Aż nagle, pewnego dnia, kiedy bezmyślnie wpisałam w Google: „Bill Elincourt”, pojawiło się. To ogłoszenie. Z domem w Szkocji. I żoną o imieniu Sandra.

Oraz rodziną.

I nagle nie mogłam tego *nie* zrobić.

Tak jakby wszechświat to dla mnie przygotował – aby dać mi szansę.

Nie chciałam, żeby był moim tatą, nie teraz, nie po tych wszystkich latach. Chciałam tylko... no, chyba po prostu *zobaczyć*. Ale oczywiście nie mogłam pojechać do Szkocji pod własnym nazwiskiem, nie mówiąc mu, kim jestem, i nastawić się na ciężar oczekiwań oraz potencjalne odrzucenie. Nawet prawie trzydzieści lat później było to mało prawdopodobne, by Bill zapomniał imienia swojej pierworodnej córki, a Gerhardt było na tyle nietypowym nazwiskiem, że zastanowiłby się dwa razy i rozpoznał je jako należące do matki jego dziecka.

Ale nie musiałam jechać jako ja. Właściwie miałam lepsze nazwisko, lepszą tożsamość, gotową i czekającą na mnie. Taką, która pozwoliłaby mi przejść przez drzwi bez zobowiązań i zrobić to, co mi się podoba. Więc wzięłam te dokumenty, które Rowan zostawiła tak kusząco rozłożone w swojej sypialni – dokumenty, które niemal się marnowały. Były bardzo, bardzo podobne do moich, tak że nie wydawało mi się to ostatecznie jakimś wielkim oszustwem.

I zgłosiłam się.

Nie spodziewałam się, że dostanę tę pracę. Nawet jej nie chciałam. Zamierzałam tylko poznać tego człowieka, który tyle lat temu mnie porzucił. Ale kiedy zobaczyłam Heatherbrae, wiedziałam, Panie Wrexham. Wiedziałam, że jedna wizyta mi nie wystarczy. Chciałam być częścią tego wszystkiego, spać w tych miękkich łóżkach, w pościeli z pierza, zatapiać się w tych aksamitnych sofach, kąpać się pod deszczownicą – w skrócie, stać się częścią tej rodziny.

I chciałam, bardzo, *bardzo* mocno, poznać Billa.

A kiedy nie pojawił się na rozmowie, widziałam tylko jeden sposób, by to osiągnąć.

Musiałam dostać pracę.

Ale gdy to się już stało... i kiedy poznałam Billa tego pierwszego wieczoru, zdałam sobie sprawę, jakim jest człowiekiem. Boże, to jak metafora tego wszystkiego, Panie Wrexham. To wszystko się łączy.

Piękno i luksusy domu oraz trucizna sącząca się pod jego nowoczesną fasadą. Solidne, wiktoriańskie drewno drzwi do szafy, z wypolerowaną, mosiężną osłoną zamka – oraz zimny, zepsuty zapach śmierci zięjący przez dziurkę od klucza.

W tym domu było coś chorego, Panie Wrexham. Czy to Bill był chory, kiedy tam pojechał, i zawiózł to ze sobą, czy dopiero tam złapał tę chorobę i stał się mężczyzną, którego spotkałam tamtego pierwszego wieczoru, tym niebezpiecznym, nadużywającym swojej pozycji człowiekiem, tego nie wiedziałam.

Wiedziałam tylko, że te dwie rzeczy szły ze sobą w parze i gdyby zadrapać ściany domu Heatherbrae, zdzierając paznokciami tę ręcznie malowaną tapetę w pawie, albo zrobić dziurę w wypolerowanych granitowych płytach, wysączyłaby się z nich ta sama ciemność, ciemność, która leżała tuż pod skórą Billa Elincourta.

„Nie szukaj go” – to była jedna z niewielu rzeczy, które opowiedziała mi o nim matka, zanim całkowicie zamknęła temat. „Nie szukaj go, Rachel. Nic dobrego z tego nie wyniknie”.

Miała rację. Boże, ależ ona miała rację. I jak bardzo żałuję, że jej nie posłuchałam.

– Chodź – powiedziałam w końcu. – Do łóżka, Rhiannon. Jesteś zmęczona, ja jestem zmęczona, obie za dużo wypiliśmy... Porozmawiamy o tym rano.

Zadzwonię do Sandry i to wyjaśnię. Jakoś. Z głową bolącą od zaczynającego się kaca i zmęczenia szczypiącego mnie od środka w oczy, nie umiałam wymyślić konkretnych słów, ale one przyjdą. Będą musiały. Nie mogę tego dalej ciągnąć, dawać się szantażować Rhiannon.

Przez chwilę, kiedy szłam po schodach, Rhiannon przede mną, przyszedł mi do głowy absurdalny obraz Sandry witającej mnie z otwartymi ramionami, mówiącej mi, że dopełniam jej rodzinę, że... Ale nie. To było niedorzeczne i dobrze o tym wiedziałam. Nawet najbardziej wyrozumiałe kobiety potrzebują czasu, żeby przyzwycząić się do pojawienia się dawno zaginionego pasierba, a dowiedzieć się w taki sposób, w tych okolicznościach... Nie miałam wątpliwości co do tego, jak potoczy się ta rozmowa. Będzie trudna – to najoptimistyczniejszy scenariusz.

Cóż, nawarzyłam piwa i muszę je teraz wypić. Prawdopodobnie zostanę zwolniona, naprawdę nie widziałam innego wyjścia. Ale byłam niemal pewna, że Bill nie będzie chciał pozywać swojej odseparowanej córki, której matce zapłacił grosze na opiekę nad dzieckiem, nim zniknął na dobre. Nie, to nie będzie dobre dla marki Elincourt and Elincourt. Nie, zamiecie to pod dywan, a ja będę mogła żyć dalej. Sama.

I daleko od Heatherbrae.

Naprawdę nie pomyślałam o swoim pokoju i o tym, gdzie będę spać, dopóki nie weszliśmy na drugie piętro i Rhiannon nie

przekręciła klamki popisanych drzwi do swojej sypialni i beztrąsko nie zrzuciła butów.

– Dobranoc – powiedziała, jakby nic się nie stało, jakby wydarzenia z tej nocy były tylko zwyczajną rodzinną sprzeczką.

– Dobranoc – odparłam, wzięłam głęboki wdech i otworzyłam drzwi do sypialni. Czułam w kieszeni twardość tego dziwnego telefonu, a mój naszyjnik – ten, co do którego bałam się, że Bill Elincourt mógłby go rozpoznać – wisiał ciepły na mojej szyi.

W środku drzwi na strych były zamknięte na klucz, tak jak je zostawiłam. Już miałam chwycić swoją piżamę i zabrać ją na dół, na sofę, żeby złapać parę godzin snu przed świtem, kiedy nagle zawiął wiatr, aż drzewa na zewnątrz jęknęły. Zasłony gwałtownie, dziko załopotwały na wietrze, a pokój wypełnił świeży, przesiąknięty sosną zapach szkockiej nocy.

Pokój był nadal strasznie zimny, tak jak wcześniej tego wieczoru, i nagle zrozumiałam. To zimno nie przyszło ze strychu – to musiało być to okno, cały czas otwarte. Tylko że wcześniej byłam tak zafiksowana na szukaniu prawdy na temat tego, co jest za zamkniętymi drzwiami, że nawet nie zerknęłam w kierunku zasłon.

Ale przynajmniej chłód był uzasadniony. Nic nadnaturalnego – po prostu zimne nocne powietrze.

Problem w tym, że nie otwierałam tego okna. Nie ruszałam go, odkąd zatrzasnęłam je kilka godzin wcześniej. A teraz nagle przewróciło mi się w żołądku tak, że zrobiło mi się bardzo, bardzo niedobrze.

Obróciłam się, wybiegłam z pokoju i na dół po schodach, ignorując zaspane: „Co, do cholery?” Rhiannon, kiedy zatrzasnęłam za sobą drzwi. Na pierwszym piętrze, z sercem walącym w piersi, otworzyłam drzwi sypialni Petry, drewno zaszurało o gruby dywan, a ja odczekałam, aż moje oczy przywykną do przygaszonego światła.

Leżała tam, spała, z rozrzuconymi rękoma i nogami, a ja poczułam, że mój puls się uspokaja, ale tylko trochę, nadal

musiałam sprawdzić resztę, by móc się rozluźnić.

A zatem w dół korytarza, do drzwi podpisanych „Księżniczka Ellie” i „Królowa Maddie”.

Były zamknięte, więc bardzo delikatnie przekręciłam gałkę i lekko je popchnęłam. W środku było zupełnie czarno bez nocnej lampki, zaciemniające zasłony nie wpuszczały nawet światła księżyca, ale kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, usłyszałam ciche dźwięki pochrapywania i poczułam, że mój oddech trochę się uspokaja. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że nic im nie jest.

Podeszłam na palcach po grubym dywanie i wymacałam ścianę w poszukiwaniu kabla od nocnej lampki. Odnalazłam na nim włącznik, a potem rozbłysło światło. I były tam, Ellie zwinięta w ciasną kulkę, jakby próbowała się przed czymś schować, Maddie skulona pod kołdrą tak, że nie widziałam niczego poza jej kształtem pod przykryciem.

Panika ustąpiła, a kiedy cofnęłam się do drzwi, zaśmiałam się sama z własnej paranoi.

A potem... zatrzymałam się.

To było niedorzeczne, wiedziałam o tym, ale po prostu musiałam sprawdzić, musiałam *zobaczyć*...

Podeszłam na palcach i uniosłam kołdrę. Zobaczyłam... poduszkę ułożoną w zawinięty kształt śpiącego dziecka.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

Najpierw sprawdziłam pod łóżkiem. Potem zajrzałam do wszystkich szafek w pokoju.

– Maddie – szeptałam na tyle głośno, na ile miałam odwagę, nie chcąc obudzić Ellie, ale słyszałam w swoim głosie spanikowane ponaglenie. – Maddie?

Ale nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, nawet zduszonego chichotu. Po prostu nic. Nic.

Wybiegłam z pokoju.

– Maddie? – zawołałam, tym razem głośniej. Szarpnęłam klamkę drzwi do łazienki, ale nie były zamknięte na klucz, a kiedy się otworzyły, zobaczyłam pustkę, światło księżyca rozlewało się na nagich płytkach.

– Maddie?

Niczego nie znalazłam także w sypialni Sandry i Billa, tylko nienaruszoną gładkość łóżka, oświetlony księżycem kawałek dywanu, białe kolumny rozsuniętych zasłon, niczym wartowników stojących po obu stronach wysokiego okna. Pootwierałam szafy, ale słabe światło automatycznych lampek nie pokazało niczego poza schludnymi rzędami garniturów i półkami butów na wysokich obcasach.

– Co to ma być? – dobiegł mnie z góry zaspany głos Rhiannon. – Co się, do cholery, dzieje?

– Chodzi o Maddie – odkrzyknęłam, starając się nie przenieść paniki do swojego głosu. – Nie ma jej w łóżku. Możesz sprawdzić na górze? Maddie?

Petra się już wierciła, rozbudzona moimi coraz głośniejszymi krzykami, i usłyszałam jej marudny pomruk, przygotowujący się do porządnego jęku, ale nie zatrzymałam się, żeby ją pocieszyć. *Musiłam znaleźć Maddie.* Czy zeszła na dół, szukała mnie, kiedy byłam z Jackiem? Ta myśl przyprawiła mnie o nieprzyjemny zawrót głowy, a po nim jeszcze jeden, nawet bardziej nieprzyjemny.

Czy... o Boże. Czy mogła za mną *pójść*? Zostawiłam otwarte tylne drzwi. Może wyszła szukać mnie na dworze?

Do głowy przychodziły mi straszne wizje. Staw. Potok. Nawet droga.

Zignorowałam Petrę i zbiegłam po schodach, wsunęłam na nogi pierwszą parę kaloszy, jaką znalazłam przy tylnym wyjściu, i wybiegłam na światło księżyca.

Brukowane podwórko było puste.

– Maddie! – zawołałam na całe gardło, teraz już zdesperowana, usłyszałam swój głos odbijający się od kamiennych ścian stajni i od

domu. – Maaaddie?! Gdzie jesteś?

Nie było żadnej odpowiedzi i nagle pomyślałam o czymś strasznym, gorszym nawet od tej leśnej polany ze zdradziecko błotnistym stawem.

Trujący ogród.

Trujący ogród, który Jack Grant zostawił otwarty i niezabezpieczony.

To miejsce zabiło już jedną małą dziewczynkę.

Dobry Boże, modliłam się, kiedy zaczęłam biec na tył domu, w stronę ścieżki między krzewami, a stopy ślizgały mi się w za dużych kaloszach. Proszę, nie zabieraj kolejnej.

Ale kiedy minęłam róg domu, znalazłam ją.

Leżała z twarzą wgniecioną w ziemię pod oknem mojej sypialni, rozciągnięta na kamieniach brukowych w koszuli nocnej, biała bawełna była przesiąknięta krwią, taką ilością krwi, że nigdy nie wyobrażałam sobie, by jej małe ciało mogło tyle pomieścić.

Spływała po bruku niczym melasa, gęsta i kleista, poplamiła mi kolana, kiedy w niej uklęknęłam, przywarła do moich palców, kiedy podniosłam Maddie, przytuliłam, czując, że jej kostki są delikatne niczym u ptaka, błagając ją i prosząc, żeby było z nią dobrze.

Ale oczywiście to było niemożliwe.

Z nią już nigdy nie będzie dobrze. Nic nie będzie.

Była zupełnie, zupełnie martwa.

Kilka kolejnych godzin to te, których przebieg policja kazała mi powtarzać wciąż na nowo, tak jak paznokcie drapią i drapią ranę, sprawiając, że za każdym razem od nowa krwawi. A jednak nawet po tych ich wszystkich pytaniach wracały do mnie tylko urywki wspomnień, niczym noc oświetlana błyskami piorunów, pomiędzy nimi ciemna.

Pamiętam, że krzyczałam, trzymając ciało Maddie najdłużej na świecie, jak mi się wydawało, aż w końcu najpierw przyszedł Jack, a potem Rhiannon, z wyjąca Petrą w ramionach, którą prawie upuściła, kiedy zobaczyła, co przerażającego się stało.

Pamiętam jej ryk, ten straszny dźwięk, kiedy ujrzała ciało swojej siostry. Nie wydaje mi się, żebym miała to kiedyś zapomnieć.

Pamiętam, że Jack zabrał Rhiannon na bok, a potem próbował mnie odciągnąć, mówiąc, że ona nie żyje, ona nie żyje, nie możemy ruszać ciała, Rowan, musimy ją zostawić policji, a ja nie mogłam jej puścić, potrafiłam tylko szlochać i płakać.

Pamiętam błyski niebieskiego światła policji przy bramie i twarz Rhiannon, białą i nieszczęśliwą, kiedy próbowała to wszystko zrozumieć.

Pamiętam, jak tam siedziałam, cała we krwi, na aksamitnej kanapie, a oni pytali, co się stało, co się stało, co się stało.

I nadal tego nie wiem.

Nadal tego nie wiem, Panie Wrexham, taka jest prawda.

Zdaję sobie sprawę z tego, co myśli policja, domyślam się po pytaniach, które zadali, oraz scenariuszach, które mi przedstawili.

Myślą, że Maddie poszła do mojego pokoju i przekonała się, że mnie nie ma, ale zobaczyła stamtąd coś, co mnie w jakiś sposób

obciążało – na przykład podeszła do okna i dostrzegła, jak wyslizguję się z mieszkania Jacka. Albo może myślą, że znalazła coś w moich rzeczach, coś, co miało związek z moim prawdziwym nazwiskiem, rzeczywistą tożsamością.

Nie wiem. W końcu miałam dużo do ukrycia.

I myślą, że wróciłam, znalazłam ją tam i zrozumiałam, że mnie zdemaskowała, po czym otworzyłam okno i...

Nie umiem tego powiedzieć. To za trudne nawet do napisania. Ale muszę to z siebie wydusić.

Myślą, że to ja ją wyrzuciłam. Myślą, że stałam tam między rozwianymi zasłonami i patrzyłam, jak wykrwawia się na śmierć na bruku, a potem zesłam na dół wypić herbatę i spokojnie zaczekać na powrót Rhiannon.

Myślą, że specjalnie zostawiłam otwarte okno, aby sprawić wrażenie, że mogła wypaść. Ale są pewni, że tego nie zrobiła. Sama nie wiem dlaczego. Chyba ma to coś wspólnego z tym, gdzie wylądowała – zbyt daleko od budynku, aby mogła się poślizgnąć, taki łuk mógł być wynikiem tylko wypchnięcia albo skoku.

Czy Maddie mogła wyskoczyć? To jest pytanie, które zadawałam sobie tysiąc, a może milion razy.

I szczerze mówiąc, po prostu nie wiem.

Może nigdy się nie dowiemy. Cała ironia w tym, Panie Wrexham, że w domu wypełnionym kilkunastoma kamerami żadna nie pokazała, co tej nocy stało się Maddie. Kamera w jej pokoju pokazuje tylko ciemność. Jest skierowana na łóżka dziewczynek, więc nie widać nawet sylwetki w drzwiach, która wskazywałaby, o której Maddie wyszła.

A jeśli chodzi o mój pokój... o Boże, jeśli chodzi o mój pokój, to jest to jedna z tych cegiełek w stosie dowodów, który policja zbudowała przeciwko mnie.

– Dlaczego zakryłaś kamerę monitoringu w swoim pokoju, skoro nie miałaś nic do ukrycia? – pytali mnie w kółko, w kółko i w kółko.

A ja próbowałam im powiedzieć – wyjaśnić, jak to jest być młodą kobietą, samotną, w obcym domu, pośród obserwujących cię obcych. Próbowałam im wyjaśnić, że nie miałam nic przeciwko kamerze w kuchni, w biurze, w salonie, na korytarzach, nawet kamerom w pokojach dziewczynek. Ale potrzebowałam miejsca, tylko jednego miejsca, w którym mogłam być sobą, bez obserwacji, bez kontroli. Gdzie mogłam nie być Rowan, tylko Rachel – chociaż przez kilka godzin.

– A pan chciałby mieć kamerę w swojej sypialni? – spytałam detektywa, bez ogródek, ale on tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „to nie ja mam proces, skarbie”.

Ale to prawda, zakryłam tę kamerę. A gdybym tego nie zrobiła, może wiedzielibyśmy, co się stało Maddie.

Bo ja jej *nie* zabiłam, Panie Wrexham. Wiem, powtarzam się. Napisałam to w pierwszym liście, który Panu wysłałam. Nie zabiłam jej i musi mi Pan wierzyć, bo to prawda. Ale nie wiem, pisząc te słowa w ciasnej celi, ze szkockim deszczem spływającym po oknie... czy Pana przekonałam? Jak bardzo chciałabym Pana przekonać, żeby Pan tu przyjechał. Dodałam Pana do mojej listy odwiedzających. Mógłby Pan przyjechać choćby jutro. A ja mogłabym spojrzeć Panu w oczy i powiedzieć: „ja jej nie zabiłam”.

Ale nie przekonałam do tego policji. Nie przekonałam pana Gatesa.

Ostatecznie nie jestem nawet pewna, czy przekonałam siebie.

Bo gdybym nie wyszła tamtej nocy, gdybym nie spędziła tamtych godzin z Jackiem w jego mieszkaniu, w jego ramionach, nic z tego by się nie wydarzyło.

Nie zabiłam jej, ale mam jej krew na rękach. Mojej małej siostrzyczki.

„Jeśli nie ty ją zabiłaś, to kto? Pomóż nam, Rachel. Powiedz nam, co się twoim zdaniem wydarzyło” – pytała w kółko i w kółko policja, a ja byłam w stanie tylko kręcić głową. Bo tak naprawdę, Panie Wrexham, ja tego nie wiem. Stworzyłam tysiące teorii – jedna

bardziej szalona od drugiej. Maddie skacząca w noc jak ptaszek, Rhiannon z jakiegoś powodu wracająca późno ze swojego wyjścia, Jean McKenzie kryjąca się na strychu, Jack Grant zakradający się obok mnie, kiedy czekałam na dole na Rhiannon.

Bo okazało się, że Jack też miał swoje tajemnice – wiedział Pan o tym? Nic równie wielkiego ani melodramatycznego, jak sobie wyobrażałam – nie był spokrewniony z doktorem Kenwickiem Grantem, a przynajmniej jeśli był, to ani on, ani policja nie zdołali wskazać powiązania. A kiedy powiedziałam policji o motku sznurka w jego kuchni oraz kwiecie *Aconitum napellus*, on w przeciwieństwie do mnie miał na to szybkie i rozsądne wyjaśnienie. Bo wyglądało na to, że Jack rozpoznał fioletowy kwiat stojący w kubku na kuchennym stole – albo tak mu się wydawało. Więc zabrał go, żeby porównać z roślinami w trującym ogrodzie. Kiedy odkrył, że jego przypuszczenia były prawdziwe, a kwiat w kuchni okazał się nie tylko trujący, ale wręcz śmiertelny, usunął moje prowizoryczne zabezpieczenie ze sznurka i zastąpił je kłódką z łańcuchem.

Nie, poważny, mroczny sekret Jacka był dużo bardziej prozaiczny. I zamiast oczyszczać mnie z zarzutów, tylko bardziej mnie pogrążał – stanowił kolejny powód, dla którego mogłabym chcieć ukryć nasz romans.

Jack był żonaty.

Kiedy policjanci odkryli, że tego nie wiem, czerpali wielką radość z podkreślania tego faktu, przypominali mi o nim przy każdej okazji, jakby chcieli za każdym razem patrzeć, jak znowu krzywię się z bólu. Ale szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie to. Co z tego, że Jack miał już żonę i dwuletnie dziecko w Edynburgu? Niczego mi nie obiecał. A w obliczu śmierci Maddie wszystko to zdawało się nieważne.

Jednak skłamałabym, gdybym powiedziała, że w ciągu spędzonych tu dni, tygodni i miesięcy nie myślałam o nim i nie zastanawiałam się dlaczego. Dlaczego mi o niej nie powiedział?

O swoim małym synku? Dlaczego żyli osobno? Czy z przyczyn finansowych – może wysyłał im pieniądze? Jeśli Elincourtowie płacili mu połowę tego, co zaproponowali mnie, to było to bardziej niż prawdopodobne, że przyjął tę pracę ze względu na wynagrodzenie.

Ale może nie. Może byli w separacji, rozdzieleni. Może go wyrzuciła, a ta oferta pracy z mieszkaniem w pakiecie była idealnym sposobem, by ułożyć sobie życie na nowo.

Nie wiem, bo nigdy nie miałam szansy go o to spytać. Nigdy go już nie zobaczyłam po tym, jak zostałam zabrana na komisariat na przesłuchanie, pouczona, a potem zatrzymana w areszcie. Nigdy nie napisał. Nigdy nie zadzwonił. Nigdy nie przyjechał.

Ostatni raz widziałam go wtedy, gdy potykając się, wsiadłam do policyjnego radiowozu, nadal we krwi Maddie; czułam, że jego dłonie ściskają moje, mocno i pewnie.

– Wszystko będzie dobrze, Rowan. – To była ostatnia rzecz, którą do mnie powiedział, ostatnie, co usłyszałam, bo drzwi auta zostały za mną zatrzaśnięte i silnik zastartował.

To było kłamstwo. Kłamstwo, od początku do końca. Nie byłam Rowan. I nic już nigdy nie będzie dobrze.

Ale coś do mnie ciągle wraca, a są to słowa, które wypowiedziała do mnie Maddie za pierwszym razem, gdy ją poznałam – wtedy gdy oplatała mnie mocno rękoma, a twarz skryła w mojej bluzce.

„Nie przyjeżdżaj tutaj” – powiedziała. „To nie jest bezpieczne”.

A potem te ostatnie słowa, wyszlochane przy rozstaniu, a następnie wyparte, słowa, które – o czym nawet teraz, wiele miesięcy później, jestem przekonana – na pewno usłyszałam.

„Duchom by się to nie spodobało”.

Nie wierzę w duchy, Panie Wrexham. Nigdy nie wierzyłam. Nie jestem przesadną osobą.

Ale to nie był przesąd, że słyszałam spacerowanie po strychu nade mną, noc po nocy. To nie przesąd, że budziło mnie to w nocy i trzęsłam się, mój oddech wyglądał jak białe obłoczki w świetle

księżycą, a w pokoju było zimno jak w lodówce. Ta głowa lalki turlająca się po perskim dywanie, to było prawdziwe, Panie Wrexham. Prawdziwe jak Pan i ja. Prawdziwe jak napisy na ścianach na strychu, prawdziwe jak moje listy do Pana.

I wiem, wiem, kiedy przypieczętowałam swój los przed policją. Nie chodziło tylko o fałszywe nazwisko i skradzione dokumenty. Nie chodziło tylko o to, że byłam porzuconą córką Billa, która wróciła, by w jakiś chory sposób zemścić się na jego nowej rodzinie. Nie chodziło o żadną z tych rzeczy.

Tylko o to, co im powiedziałam tej pierwszej okropnej nocy, siedząc tam w zakrwawionym ubraniu, trzęsąc się z szoku, smutku i przerażenia. Bo tej pierwszej nocy załamalam się i opowiedziałam im wszystko, co się wydarzyło. Począwszy od kroków w nocy, kończąc na głębokim, sączącym się wrazeniu zła, które poczułam, kiedy otworzyłam drzwi na strych i weszłam do środka.

To właśnie, bardziej niż cokolwiek, co stało się później, był moment, kiedy przekręcili klucz w zamku.

Wtedy już *wiedzieli*.

Miałam tu dużo czasu na myślenie, Panie Wrexham. Dużo czasu na myślenie, zastanawianie się i zrozumienie wszystkiego, odkąd zaczęłam ten list do Pana. Powiedziałam policji prawdę i to prawda mi zaszkodziła. Wiem, kogo zobaczyli – szaloną kobietę z przeszłością, w której było więcej dziur niż w ostrzelanym znaku drogowym. Zobaczyli kobietę z motywem. Kobietę tak odciętą od swojej rodziny, że pojawiła się w ich domu pod fałszywym pretekstem, by wymierzyć jakąś straszną, szaloną zemstę.

Wiem, co ich zdaniem się wydarzyło. Miałam dość czasu, by to wszystko poskładać – otwarte okno, kroki na strychu, ojciec kochający swoją córkę tak bardzo, że ją to zabiło, oraz ojciec, który ciągle, ciągle opuszczał swoje dzieci.

A przede wszystkim dwie rzeczy, których nie połączyłam aż do samego końca – telefon oraz biała, błagająca twarzą Maddie tego pierwszego dnia, kiedy wyjeżdżałam, i jej wyszeptane, udręczone: „Duchom by się to nie spodobało”. I te dwie rzeczy zgubiły mnie przed policją. Moje odciski palców na tym telefonie oraz moja relacja tego, co powiedziała mi Maddie, a także efekt domina, jaki wywołały jej słowa.

Ale pod koniec dnia nie miało znaczenia to, co myślałam, ale jakie miałam teorie. Liczy się to, co pomyśli ława przysięgłych. Proszę mnie wysłuchać, Panie Wrexham, nie musi Pan wierzyć we wszystko, co Panu napisałam. I wiem, że przedstawiając przed sądem choćby połowę tego, naraziłabym się na wyśmianie i ława przysięgłych by się ode mnie na zawsze odwróciła. Nie po to to wszystko Panu mówię.

Ale próbowałam wcześniej opowiedzieć tylko część tej historii – i tak trafiłam za kratki.

Wierzę, że prawda mnie ocali, Panie Wrexham, a prawda jest taka, że nie zabiłam, *nie mogłam* zabić swojej siostry.

Wybrałam Pana, Panie Wrexham, bo kiedy pytałam inne kobiety tutaj, kogo powinnam szukać, kto mógłby mnie reprezentować, Pańskie nazwisko padło najczęściej wśród nazwisk prawników. Najwyraźniej cieszy się Pan opinią osoby, która potrafi wyciągnąć nawet tych, którym brakuje nadziei.

I wiem, Panie Wrexham, że to właśnie ja. Nie mam już nadziei.

Dziecko nie żyje, a policja, opinia publiczna, prasa, oni wszyscy chcą, by ktoś za to zapłacił. I tym kimś muszę być ja.

Ale ja nie zabiłam tej dziewczynki, Panie Wrexham. Nie zabiłam Maddie.

Kochałam ją. I nie chcę gnić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłam.

Proszę, *proszę* mi uwierzyć.

Z poważaniem

Rachel Gerhardt

8 lipca 2019

Richard McAdams

Usługi Budowlane Ashdown, poczta wewnętrzna

Rich, zabawna sprawa: jeden z gości pracujących przy przebudowie Charnworth znalazł ten plik starych dokumentów, kiedy wyburzał ścianę. Wygląda na to, że jedna z więźniarek je ukryła. Nie wiedział, co z nimi zrobić, więc przekazał je mnie, a ja powiedziałem, że popytam. Zerknąłem tylko na kilka z brzegu, ale wygląda to na listy od więźniarki do jej prawnika przed procesem – nie wiem, dlaczego nigdy nie zostały wysłane. Facet, który je znalazł, przejrzał je i mówi, że to była całkiem znana sprawa; on mieszka w okolicy i pamięta ją z nagłówek gazet.

W każdym razie było mu głupio wrzucić je do kontenera, na wypadek gdyby to były dowody albo coś objętego ochroną prawną, a on mógłby skończyć po złej stronie prawa za ich zniszczenie. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to miało teraz jakieś znaczenie – ale dla jego świętego spokoju obiecałem, że dopilnuję, aby ktoś się tym odpowiednio zajął. Czy w zarządzie jest ktoś, kogo mógłbyś wy badać w tej sprawie? Czy myślisz, że należałoby to zignorować i wyrzucić do kosza? Nie chcę się wpakować w jakąś dużą papierkową robotę.

Na górze są jej listy do prawnika, ale w tym samym miejscu ukryła też kilka listów napisanych do niej. Wyglądają na jakieś sprawy rodzinne, ale też je dołączyłem na wszelki wypadek.

W każdym razie byłbym bardzo wdzięczny, gdybym mógł Ci je zostawić, żebyś zdecydował, co z nimi zrobić – jeśli w ogóle

cokolwiek.

Pozdrowienia

Phil

1 listopada 2017

Droga Rachel!

No cóż. Dziwnie jest zwracać się do Ciebie tym imieniem, ale trudno.

Muszę zacząć od tego, jak bardzo mi przykro, że to wszystko się wydarzyło. Wyobrażam sobie, że nie tego się po mnie spodziewałaś, ale jest mi przykro i nie wstydzę się tego.

Musisz zrozumieć, że opiekuję się tymi dziećmi już prawie pięć lat – i widziałam więcej przychodzących i odchodzących niań, niż zjadłam gorących posiłków. To ja musiałam siedzieć i patrzeć, kiedy ta torba Holly zabawiała się z panem Elincourtem pod nosem jego żony, to ja musiałam wszystko poskładać, kiedy odeszła i zostawiła dziewczynki w rozsypce. A od tamtej pory musiałam siedzieć i patrzeć, jak jedna niania po drugiej przychodzi i odchodzi, a te dzieciaczki za każdym razem mają jeszcze bardziej złamane serduszka.

I za każdym razem, kiedy przyjeżdżały kolejne piękne, młode dziewczęta, czułam jakby zimną dłoń oplatającą moje serce, leżałam bezsennie w nocy i zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć pani Elincourt, jakim mężczyzną jest jej mąż, jaką kobietą była Holly i dlaczego naprawdę odeszła. I za każdym razem okazywało się, że nie jestem w stanie, przełykałam złość i mówiłam sobie, że następnym razem będzie inaczej.

Więc przyznaję, kiedy Cię poznałam i zobaczyłam, że pani Elincourt zatrudniła kolejną ładną, młodą dziewczynę, zrobiło mi się przykro. Bo wiedziałam, co on będzie robił, i niezależnie od

tego, jaka jesteś, czy będziesz próbowała jak najwięcej wynieść z tych okoliczności, jak Holly, czy będziesz go unikać, wiedziałam, że tak czy inaczej te biedne dzieci znowu będą cierpieć, kiedy będziesz miała dość i odejdziesz, może tym razem zabierając go ze sobą. I to wprawiało mnie w złość. Tak było. Nie wstydzę się tego przyznać. Ale wstydzę się tego, jak Cię potraktowałam – nie powinnam była w taki sposób wyładowywać na Tobie swojej złości i naprawdę strasznie mi przykro, kiedy przypominają mi się niektóre rzeczy, które Ci powiedziałam. Bo niezależnie od tego, co twierdzi policja, wiem, że wolałabyś przespacerować się kilometr po tłuczonym szkle niż skrzywdzić którąś z tych małych dziewczynek, i tak powiedziałam przesłuchującemu mnie oficerowi; chcę, żebyś to wiedziała. Powiedziałam: nie lubiłam tej dziewczyny i nie ukrywałam tego, ale ona nie skrzywdziłaby małej Maddie, i: szukasz w niewłaściwym miejscu, młody człowieku.

No więc częściowo dlatego piszę. Żeby Ci to wszystko powiedzieć i wyrzucić to z siebie.

Ale inny powód jest taki, że Ellie napisała do Ciebie list. Włożyła go do koperty i zakleiła ją, zanim mi go podała, kazała mi obiecać, że go nie przeczytam, a ja powiedziałam, że tego nie zrobię. Dotrzymałam tej obietnicy, ponieważ uważam, że należy być słownym, nawet wobec dzieci, ale bardzo Cię proszę, jeśli w tym liście jest coś, co Twoim zdaniem powinnam wiedzieć albo co powinna wiedzieć jej matka, musisz dać nam znać.

Nie ma sensu pisać do domu, bo stoi zamknięty i tylko Bóg wie, że pani Elincourt ma dość trosk na głowie, biedna kobieta. Zostawiła swojego męża – czy policja Ci to powiedziała? Zabrała dzieci i wyprowadziła się z powrotem na południe, do swojej rodziny. Pan Elincourt też się wyprowadził – ma jakiś pozew związany ze stażystką w jego firmie, tak przynajmniej mówią w wiosce, a według plotek dom zostanie sprzedany, żeby spłacić opłaty sądowe.

Ale na dole tego listu umieszczam swój adres i proszę Cię, jeśli masz jakieś przypuszczenia, napisz do mnie, a ja zrobię to, co należy. Wierzę, że powinnam tak postąpić, bo wierzę, że kochałaś te dzieci, podobnie jak ja je kochałam i kocham. Nie pozwolisz, żeby Ellie stała się krzywdą, prawda? Modliłam się do Boga i próbowałam posłuchać Jego odpowiedzi; powierzam Ci tę sprawę, Rachel. Modlę się, żebyś mnie nie zawiodła.

Z wyrazami szacunku

Jean McKenzie

15a High Street

Carn Bridge

Do:

Od:

Temat:

Dorota Owen chociaż mówią że teraz masz na imię Rachel czy to prawda

Bardzo za tobą tęsknię i bardzo przepraszam za to co się stało zwłaszcza że to wszystko moja wina ale nie mogę nikomu powiedzieć zwłaszcza mamusi albo Tatusiowi bo byliby tacy źli a potem tatuś by odszedł tak jak próbował wcześniej tak jak Maddie zawsze mówiła że robi

to ja Rowan popchnęłam mad bo ona chciała się ciebie pozbyć tak jak pozbyła się wszystkich innych robiąc sztuczki ze starym telefonem mamusi zabierała ich rzeczy i wpinała się przez okno na strychu przez dach z twojego pokoju ten strych był jej tajemną kryjówką gdzie zawsze chodziła ale mówiła że ja jestem za mała żeby się wspiąć i to ona sprawiła że happy obudziła wszystkich w nocy i wzięła filmik z YouTube i puszczała go na głośnikach przez happy żeby brzmiało to jakby jacyś ludzie byli na strychu i spacerowali ale tak nie było to tylko ten filmik i zabrała głowę laleczki ze strychu i zmusiła mnie żebym położyła głowę laleczki na tobie tak strasznie przepraszam bo powiedziałam że to nie była prawda a to ja zrobiłam

obudziła się i ciebie tam nie było i mad chciała cię otruć jagodami ale ja pobiegłam za nią i wylałam wino do zlewu a potem Maddie była bordo zła i powiedziała że znowu wejdzie na strych przez okno i narobi ci kłopotów u mamusi bo uruchomi wszystkie alarmy bo ty wyszłaś a ja pobiegałam za nią i posiałam żeby tego nie robiła

a ona powiedziała nie zrobię to albo ona zabierze tatusia a ja
powiedziałam nie rób tego Rowan jeź miła i nie chcę żeby
odchodziła nie zrobi tego a mad powiedziała zrobię tako nie
powstrzymasz mnie i wpięła się a ja ją popchnęłam nie chciałam
żaby to się stało i bardzo przepraszam

proszę proszę proszę nie mów policji Rowan ja nie chcę iść do
więzienia i bardzo przepraszam bo to nie w porządku, że ty
dostajesz za coś co ja zrobiłam czy możesz po prostu powiedzieć że
to nie ty i że wiesz kto to zrobił ale nie możesz powiedzieć kto bo to
tajemnica ale to nie byłaś ty

jedziemy jutro do nowego domu tatuś nie może na razie
przyjechać ale mam nadzieję że ty możesz kocham cię proszę wróć
niedługo całusy Ellie elancourt lat 5 do widzenia

Podziękowania

Ogromnie dziękuję mojej nieustrudzonej drużynie redaktorów, specjalistów, marketingowców, grafików, przedstawicieli handlowych, osób zajmujących się prawami, wydawców oraz wszystkich, którzy pracowali za kulisami. Fakt, że książka, którą trzymacie w rękach, jest piękna, czytelna i w ogóle istnieje, zawdzięczam głównie ich wysiłkom.

Alison, Liz, Jade, Sara, Jen, Brita, Meagan, Bethan, Catherine, Nita, Kevin, Richard, Faye, Rachel, Sophie, Mackenzie, Christian, Chloe, Anabel, Abby, Mikaela, Tom, Sarah, Monique, Jane, Jennifer, Chelsea, Kathy, Carolyn oraz wszyscy w Simon & Schuster oraz PRH – dla was serdeczne podziękowania.

Dziękuję także Masonowi, Susi i Stephanie za to, że byli najlepszymi czytelnikami.

Eve and Ludo, moim stróżom ninja, dziękuję za to, że zawsze mnie wspierali.

Moim cudownym przyjaciółom pisarzom – tym online i na żywo – dziękuję, że trzymaliście mnie przy zdrowych zmysłach i rozbawialiście.

I oczywiście mojej rodzinie – dziękuję, że jesteście i że nie zmusiliście mnie do zamieszkania w smart domu.

Spis treści

Strona przedtytułowa

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

* * *

Podziękowania